





III, I, 18, 68

3





# TLÓMACZENIA ODYŃCA

II





ANTONI EDWARD ODYNIEC

---

# TŁÓMACZENIA

---

## TOM II

KORSARZ — NARZECZONA Z ABYDOS

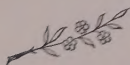
MAZEPĄ — NIEBO I ZIEMIA

CZCICIELE OGNIĄ — PERI I RAJ

DZIEWICA ORLEAŃSKA

---

WYDANIE TRZECIE



WARSZAWA  
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1897

Дозволено Цензурою.  
Варшава 29 Мая 1895 г.

# KORSARZ

POWIEŚĆ

LORDA BYRONA.

---

— »I suoi pensieri in lui dormir non ponno«.

TASSO. Canto X. *Gerusalemme Liberata*.






## PIEŚŃ PIERWSZA.

— »Nessun maggior dolore,  
»Che ricordarsi del tempo felice  
»Nella miseria . . . . .«

*Dante.*

### I.

 Na modrych głębiach jasnej morskiej wody  
Jak ona z wiatrem, buja duch swobody;  
Jak burza nad nią, grzmi nasza potęga.  
Gdzie wiatr, gdzie fala, gdzie miecz nasz dosięga,  
Tam dom nasz, państwo, łup naszej odwagi!  
Mórz i flot berłem jest maszt naszej flagi.

Nam w dzikim życiu czuć wciąż, niespodzianie,  
W każdym dniu nowość, rozkosz w każdej zmianie! —  
O! i któż pojmie? — nie ty zniewieściały!  
Cobyś mdlał patrząc na wzburzone wały;  
Nie ty pieszczochu! co wiek w zbytkach trawisz,  
Śpiąc nie spoczywasz, bawiąc się nie bawisz;  
O! i któż pojmie? — prócz tych samych, którzy  
Płasali z falą rozigranej burzy:  
Tę pełność życia, ten war krwi co pali  
Serce żeglarza na bezdrożnej fali;

Tę żądzę bojów, tę pewnoś zwycięstwa,  
Ten szal, tę rozkosz wśród niebezpieczeństwa?...  
Gdzie trwożni rozpacz — my tryumf znajdujem;  
Gdzie słabi mdleją — my żyjem i czujem:  
Czujem, jak w piersiach krzepi się i wzмага  
Duch i nadzieja, siła i odwaga!...

Nie strach nam śmierci — byle wprzód lub razem,  
Wróg u stóp naszych skonał pod żelazem:  
Byle wprzód z życia rozkosz wyssać w życiu!—  
Gdy ginąć — cóż stąd, w bitwach czy w rozbiciu?—  
Niech bojaźliwy zakochaniec świata  
Woli w niemocy długie jęczeć lata,  
I w puch przed śmiercią kryje się, nim skona!  
Nam łożem piasek lub trawa zielona.  
Gdy strach zeń duszę dzień po dniu wywleka:  
Nam cios, strzał jeden — duch wolny ucieka!

Jemu niech dziedzie pyszną złoci trumnę,  
Radzi że umarł, niech stawia kolumnę;  
Po nas łzy płyną — krótko, ale szczerze,  
Gdy nas w swe głębie ocean zabierze.  
Nam ku czci nawet w biesiadniczem kole  
Puchar pamięci zaiskrzy na stole;  
Nagrobkiem dla nas zabrzmi chwała męstwa:  
Gdy pozostali dzieląc łup zwycięstwa,  
Wspomną poległych, i rzekną ze łzami:  
„Szkoda, że mężni nie dzielą go z nami!“—

## II.

Taka pieśń brzmiała na wyspie korsarzy,  
Wkrąg przy ogniskach ponadbrzeżnej straży,

I bijąc echem o chropawę głazy,  
Jak one twardy był ton i wyrazy.

Leżąc na piasku rozrzuconą zgrają,  
Ci ostrzą bronie, ci piją lub grają,  
Probują strzelby, handlują łupami,  
Nie patrząc nawet na krew, co je plami.  
Brzmiały szczęki siekier ciosających łodzie:  
Ów marząc patrzy po dalekiej wodzie,  
Ów czyha rychło ptak mu w sidła wleci.  
Mokre na słońcu rozwieszają sieci:  
A każdy coraz pogląda ku morzu,  
Czy gdzie nie dojrzeć żagla na przestworzu,  
Lub wspominając ostatnią wygraną,  
Radzą skąd znowu świeży łup dostaną. —

Skąd? wódz niech myśli! — im tylko przystało  
Ufać, iść za nim, i uderzać śmiało. —  
Któż jest tym wodzem? — Od brzegu do brzegu  
Imię się jego jak piorun rozlega,  
To dość — o resztę nie troszczy się rzesza.  
W bitwach on tylko z ich tłumem się miewa,  
Zresztą sam zawsze; — krótkie jego słowa,  
Lecz wnet co wyrzekł, dłoń spełnić gotowa.  
Nie lubi gwaru; nigdy z nimi społem  
Nie zasiadł wesół za biesiady stołem,  
Śmiech ni żart nigdy ust mu nie umili:  
Lecz mężny — męstwu hardość wybaczyli.  
Próżno go kolej pełnego kielicha  
Wabi w przechodzie: on z wzgardą odpycha;  
A jego ucztą! — najlichsi z czeladzi  
Wzajemby z wzgardą odepchnąć ją radzi.

Jadło, chleb suchy; napój, czysta woda.  
Zbytkiem nie częstym, owoc lub jagoda,  
A i tych nawet ze wstrętem dotyka,  
Jakby związany ślubem pokutnika.  
Ale im żądze zmysłów trzyma srożej,  
Rośnie w nim dusza, i siła się mnoży.  
„Płyn tam!” — wnet płyną; — „rób to!” — wnet zaczęto;  
„Za mną, i naprzód!” — poszli, i łup wzięto.  
Tak skory rozkaz, skorsza jego ręka:  
Każdy drżąc słucha, lecz pytać się lęka.  
Szyderczy uśmiech, wzrok i twarz surowa,  
Karcą zuchwalca za niewczesne słowa.

### III.

„Patrz! żagiel, żagiel! — Nastawcie lunety! —  
„Skąd? — czyja flaga? — czy zdobycz?” — niestety!  
Nie zdobycz — jednak cieszą się weseli:  
Z masztu czerwoną chorągiew ujrzeli.  
„Nasza łódź, nasza! powraca z wyprawy!” —  
Dmij w pełne żagle, dmij wietrze łaskawy!  
Nim słońce zajdzie, zawinie do brzegu. —  
„Patrz, patrz, jak lekka! zda się płasa w biegu.  
Jak wzdyma skrzydła! — jak buja wspaniale!  
Z szumem przed sobą prze kipiące fale.  
Weszła w zatokę — patrz! idzie jak żywa,  
Zda się żywioły do walki wyzywa!  
Możeż się lękać burz, bitew, lub trudu,  
Pan takiej łodzi, wódz takiego ludu?” —



IV.

Skrzypią powrozy, krzyczą robotnicy,  
Opadły żagle — łódź drga na kotwicy.  
Spuszczają czołno: — w podwójnym szeregu  
Siedli wiosłarze i pędzą do brzegu.

Wkoło na piasku tłum zebrany czeka,  
Poznaje, woła, i wita z daleka.  
O! słodkie głosu przyjaznego dźwięki!  
O! słodki uścisk przyjacielskiej ręki!  
Gdy wita w porcie żeglarza z wyprawy,  
Gdy na bezpieczny brzeg wiedzie go z nawy;  
Słodkie łyzy, uśmiech, słodkie zapytania,  
Gdy pocałunek odpowiedzi wzbrania!...

V.

Wieść się rozbiegła, tłum rośnie z pośpiechem,  
Gwar, ciżba, wrzawa, przerywana śmiechem,  
I głosy kobiet znać w cichszej rozmowie:  
Imię kochanka, męża, w każdym słowie.  
„Czy zdrów? czy żyje? czy na brzeg wysiądzie?  
Czy dziś, czy jutro zabawi na lądzie?  
Gdzie był? co robił? czy bił się walecznie?  
Mniejsza, co zyskał? gdy wrócił bezpiecznie;  
Lecz czy nie ranny? dla czego nie z wami?  
Czyż on nie wiedział, że czekam ze łzami?“ —

VI.

— „Gdzie jest wódz? — ważne przywozimy nowiny.  
Śpieszmy! czas nagli, drogie są godziny. —

Dzięki wam, bracia, żeście braciom radzi!  
Lecz niech nas Żuan do wodza prowadzi.  
Wrócim za chwilę — zostańcie tu bliscy,  
Wnet, co kto zechce, dowiecie się wszyscy“. —

I poszli, kędy na najwyższej górze  
Zamek ich wodza wzbija się nad morze,  
Śród bujnych krzewów i kwiatów pachnących,  
Gdzie tysiąc źrójów, świeżością dyszących,  
Srebrzy się szemrząc po złomach granitu.  
Poszli pod górę — dochodzą do szczytu.

Któż to nad brzegiem przepaścistej skały,  
Wsparty na mieczu, spogląda na wały? —  
To on! wódz! Konrad! — sam, jak zwykle — myśli.  
„Idź naprzód, Żuan! powiedz żeśmy przyszli.  
Okręt nasz widzi; — powiedz, że go prosim  
O posłuchanie, ważną wieść przynosim.  
Idź! my nie śmiemy; wiesz jak się wnet zżyma,  
Gdy mu kto nagle stanie przed oczyma“. —

## VII.

Przystąpił Żuan — Konrad spojrział srogo,  
Wysłuchał, skinał, że się zbliżyć mogą.  
Przyszli — ukłonem witają z daleka.  
Powitał wzajem — na słowa ich czeka.  
„Wodzu! przynosim list od Greka szpiega,  
Co nas o łupach i wrogach ostrzega.  
Ważność tych wieści sam wódz niech oceni.  
My też...“ — „Już dosyć!“ — zmilkli zawstydzeni.  
Wziął list — ciekawi poglądają z boku,  
Wrażenia wieści dojrzyć w jego oku.

Zgadł myśl — czytając twarz zwrócił na stronę,  
Może by ukryć uczucia wzburzone.  
Skończył — na świstku coś pisze. — „Żuanie!  
Gdzie jest Gonzalwo?“ — W łodzi. — „Niech zostanie!  
Nieś mu ten rozkaz! — Wy nie stojcie dłużej,  
Każdy na miejsce, gotów do podróży!  
Na waszej nawie sam z wami dziś płynę“. —  
— „Dziś, wodzu? w nocy?“ — „Dziś, w dzień, za godzinę.  
Wiatr będziemy mieli. — Minuty nie zwlekać!  
Wziąć mój płaszcz, pancerz — u portu mię czekać!  
„Ty weź mą trąbkę i strzelbę opatrzij!  
Zamek źle spuszcza — oczyść go i natrzyj!  
Wezwać płatnerza! niech mój miecz bojowy  
Natoczy ostro i da mu hart nowy.  
Rękojeść zwłaszcza niech szerzej rozkuje:  
Ta broń mię gorzej niż bitwa morduje. —  
Śpieszcie! na hasło, że czas już odpłynąć,  
Dać ognia z działa i żagle rozwinać!“ —

## VIII.

Kazał — posłuszni odeszli w pokorze. —  
Nie w smak im znowu puszczać się na morze,  
Gotowi jednak: — Konrad sam prowadzi.  
Dokąd? — któż pyta, gdy on co uradzi? —  
Dziwny ten człowiek dumy i milczenia,  
Którego nigdy śmiechu ni westchnienia  
Nikt z nich nie słyszał; którego z daleka  
Sam widok, twarz ich bladością powleka:  
Rządzi ich duszą, z tą sztuką władania,  
Co zmusza, mami, lecz sądzić zabrania.

Cóż jest ten urok, że mu nikt z korsarzy,  
Choć szemrze, zajrzy, oprzeć się nie waży?  
Co w nich dłań wzbudza tę cześć, posłuszeństwo?—  
Potęga myśli, duszy czarnoksiężstwo!

One go wzniosły, gdy i los mu sprzyja,  
Tem on ich wolę pod rząd swój podbija.  
Walczy ich ręką, sam jak mistrz sprzężyny:  
Gmin dziełem jego własne mniema czyny.

Jest, było, będzie — to bieg świata tego,  
Wielu pracować musi dla jednego.  
Lecz niech nieszczęśnik, co w trudach umiera,  
Nie zajrzy temu, co owoc z nich zbiera!  
Niechby znał ciężar, co wielkość nań zwała —  
O! jakże lżejsza niższych cierpień szala! —

## IX.

Nie na wzór świata dawnego mocarzy,  
Szatanów w czynach, lecz bogów na twarzy,  
Konrad nie w sobie nie ma nad człowieka.  
Blask czarnych oczu émi smutna powieka.  
Twarz ogorzała, skroń wzniosła i blada,  
Włos kruczy bujno pierścieniami spada.  
Krzepki w ramionach, lecz kształt nie olbrzymi,  
Ani się wzrostem wyniósł nad innymi.  
We wszystkim jednak biegły wzrok badacza  
Znajdzie coś, co go od gminu odznacza.  
Patrzac nań, wszyscy dziwią się i śledzą,  
Że tak jest, czują; lecz czemu? nie wiedzą. —

Nieraz z brwi groźnych, z drżenia ust, lub z czoła,  
Znać dumę, której poskromić nie zdoła.

Głos jego wdzięczny, serce jednak ziębi:  
Więcej niż mówi, znać że tai w głębi.  
Szybka gra rysów nagle się mieniających,  
Wabi ciekawość, lecz mięsza patrzących,  
Jakby w tym duszy posępny pomrok  
Kryły się czucia zbyt straszne dla wzroku. —  
Tak o nim sądzą — prawdy nieświadomi.  
Wzrok jego śmiałość dostrzegacza gromi,  
A i któż wzajem oka mu dotrzyma,  
Gdy nań raz w pełni zaiskrzy oczyma? —

Umie on sztukę — gdy ciekawość skryta  
Mniema, że z twarzy myśl jego wyczyta —  
Umie on sztukę, że wnet zamiar zgadnie,  
I sam w ciekawca duszy brodzi na dnie,  
Aż zadrzeć musi, by go wzrok Konrada  
Nie przejrzał całkiem, niż on coś w nim zbada.  
W szyderezym jego, chociaż głośnym śmiechu,  
Jakby sam szatan śmiał się w jego echu,  
Jest coś, co w sercu słyszących go ludzi  
I gniew, i trwogę, i nienawiść budzi.  
Wzrok jego gniewny, zabija Nadzieję,  
Przed groźbą jego, Miłosierdzie mdleje.

## X.

Wstręt ma iść na jaw zlej myśli katusza,  
Wewnątrz to, wewnątrz — tam pracuje dusza!  
Miłość jest szczerą, śmieje się, czy wzdycha:  
Ale nienawiść, lecz zbrodnia, lecz pycha,  
Drgnieniem ust chyba, uśmiechem goryczy,  
Zdradzą ci przepaść głębi tajemniczej.



Z gry chyba rysów, z mieniającej się twarzy,  
Poznasz namiętność, gdy się w piersiach żarzy.  
Lecz kto chcesz dojrzeć jej pełnię lub zmiany,  
Wtenczas patrz chyba, gdyś sam nie widziany! —  
Patrz! gdy wódz w nocy, z rozognionem czołem,  
Załamiał ręce, szybkim chodzi kołem,  
I nagle stanie, i zadrży — czy w ciszy  
Śledzącej zdrady kroków nie dosłyszysz? —  
Patrz, jak się dziko groźna brew nachmurza,  
Gdy każdym nerwem wnętrzna miota burza.  
Patrz w jego wzroku na szaleństwo ducha!  
Iskrzy, mgli, krzepnie, i znów ogniem bucha.  
Patrz — jeśli zniesiesz widok tej katuszy,  
Jaki los jego! jaki pokój duszy!  
Jak cel zawiści gminu, wśród ukrycia  
Pożywa owoc występnego życia!  
Patrz! tam go poznasz; — lecz któż tak z badaczy  
Przejrzy człowieka? — kto ducha obaczy? —

## XI.

Lecz nie natura stworzyła w Konradzie  
Srogiego wodza zbójcekiej gromadzie.  
Zmienił on duszę, wprzód nim czyny swemi  
Wyparł się nieba, wojnę wydał ziemi.

Z młodu pan siebie, więzów świata jeniec,  
Mędrzec w swych słowach, lecz w czynach szaleniec,  
By drzeć, zbyt mocny; by uledz, zbyt hardy;  
Za chęć być dobrym — cel szyderstw lub wzgardy:  
Zamiast nawzajem wzgardzić zgrają podłą,  
On przeklął cnotę, jak swych cierpień źródło.

Z urągowskiem wbrew stając obłudzie,  
Choć znał, zapomniał że są lepsi ludzie,  
Dla których lepiej darów swych używszy,  
Znalazłby szczęście, i stał się cnotliwszy. —  
Lżony, gardzony, bez zgryzot nawzajem  
Serce swe z ludzkim rozbratał rodzajem,  
I obrał sobie, za swój cel na ziemi:  
Za winy kilku, mścić się nad wszystkimi. —

Czuł się występny — lecz dumny, rozumiał  
Że nikt nie lepszy, choć nim zdać się umiał,  
I gardził dobrym, jak tym, co w obawie  
Czyni to skrycie, co mężny na jawie. —  
Nienawidzony, wiedział, że u ludzi  
Nienawiść jego strach i zgrozę budzi:  
Przestawał na tem; — zimny, dziki, hardy,  
Nie dbał o miłość, gdy nie bał się wzgardy.  
Stronić, drzeć przed nim, potępiać go, skarżyć,  
Kląć, może każdy — lecz nikt lekceważyć!

Depcą robaka — lecz któż bez bojaźni,  
Kto nie pomyśli, nim węża rozdrażni?  
Robak się zwinie, i nie mszcząc się kryje,  
Wąż zginie, ale i wroga zabije.  
Sam się nań rzuci — łamie się, pasuje,  
Choć nie pokona — krew jadem zatruje.

## XII.

Nikt nie zły całkiem: — i w duszy Konrada  
Jedno tajemnie słodsze czucie włada.  
Szydzi on z drugich, że ich wikła w sieci  
Namiętność godna szaleńców lub dzieci;

Sam, próżno rozum przeciw niej wyteża —  
W nim nawet miłość wolę przezwyteża.

Tak! jest to miłość — wzajemna — płomienna.  
Jedyna dotąd, i niczem niezmienna! —

Tłum się mu branek na oczy nawija:

On ich ni stroni, ni szuka — lecz mija.

Niejedną piękność w mocy swojej trzyma:

Żadnej słodsze mi nie uczcił oczyma.

Tak, jest to miłość! — jeżeli myśl tkliwa,  
Stateczna w probach, w każdej chwili żywa,

Której samotność, świat, szyderstwo ludzi,

Ani, co większa, sam czas nie ostudzi:

Której ni zmienne fortuny igrzysko

Nie zaćmi smutkiem — póki *Ona* blisko;

Która w boleści, w gniewie, ni w niedoli,

Cierpkiego na *Nią* słowa nie dozwoli,

I bez pociechy woli znieść katusze,

Niż ich podziałem zasmucić *Jej* duszę:

Jeśli myśl taka, niezmienna, nie płocha,

Jest tem, co zowią kochaniem — on kocha!

Występca, zbrodzień, z każdej cnoty zboczył,

Przeciw tej jednej w niczem nie wykroczył;

Ona, gdy wszystkie zgasty po kolei,

Świeci mu jeszcze, jak gwiazda nadziei.

### XIII.

Zaczekał nieco — brew marszczy ponuro,  
Aż śpiesząc z braćmi Żuan znikł za górą.

„Straszna wieść! — tylem niebezpieczeństw przeżył,  
Cóż jest, żem nigdy jak dziś smutny nie był? —

Źle wróży serce — ale się nie boi,  
Ni mię tak ujrzą towarzysze moi.

„Idziem śmierć spotkać:—lecz gdybym tu zwlekał,  
Pewniejbym śmierci i hańby doczekał.

Dziś, gdy plan pójdzie, los wzmoże w potrzebie,  
Przybędzie płaczu na naszym pogrzebie! —

„O! niech spokojnie, niech śpią rozmarzeni,  
Przyspieszę dla nich świt takich promieni —  
Wiej tylko wietrze! — tak jasnych i ciepłych,  
Że aż krew zawre w ich sercach zakrzepłych! —

„Czas do Medory! — Milcz, milcz serce moje!  
Nie mogąc siebie, czyż ją uspokoję? —

Jednak jam śmiały! — Lecz tu wszyscy śmieli,  
Gad, gdy się broni, równą śmiałość dzieli.

Zwierząt nie ludzi godna jest odwaga,  
Gdy ją strach śmierci lub chęć łupu wzmaga.

Gardzę jej chwałą! — Cel godny mej dumy  
Był, uczyć garstkę, jak zwyciężać tłumy.

Wódz ich, nie dałem krwi ich marnie płynąć. —

„Lecz dziś! — dziś trzeba zwyciężyć, lub zginąć.—

Ha! to los wojny! — i nie to mnie smuci. —

Lecz wieść tam wszystkich, skąd żaden nie wróci,  
Albo tu drzemiąc dać się ująć w pęta?...

„Czyż pamięć wodza nie będzie przekłeta,  
Co przywiódł na to: że aby się zbawić,

Na jedną kartę trzeba wszystko stawiać?... —

Losie mój, losie! czuję dłoń twą groźną.

Zbaw, jeśli możesz — jeszcze nie za późno!“ —

XIV.

Tak dumał w sobie, aż idąc ponury  
Doszedł do wieży na wierzchołku góry.  
Wstrzymał się u drzwi: — głos się ozwał w ciszy,  
Głos, co choć często, zawsze on rad słyszy;  
I taką piosnkę posępnej czułości  
Nucił z za kraty jego „Ptak piękności”.

„Żyje w mej duszy myśl-tajemnica,  
„Drży mi na ustach, gore w spojrzeniu,  
„Gdy obok ciebie patrzę w twe lica:  
„I znów się w dawnem kryje milezeniu.

„Jak lampa w grobie, skryta przed okiem,  
„Myśl ta w mem sercu błyska i tleje,  
„Smutek jej blasku nie emi swym mrokiem,  
„Choć sam jej blaskiem nie rozjaśnięję.

„Przyjdź, gdy ja umrę, do mej mogiły,  
„Pomódl się za mnie, lzy wylej po mnie!  
„Tej tylko myśli zniesie nie mam siły,  
„Że ty, mój luby, zapomnisz o mnie! —

„Nie wstyd jest płakać zeszyłych ze świata.  
„Raz pierwszy proszę — lzy i wspomnienia.  
„Będzie to pierwsza, jedna zapłata,  
„Mojej miłości, mego cierpienia!” —

Porwał się Konrad, pchnął drzwi, i z pośpiechem  
Wszedł — struny arfy brzmiały jeszcze echem.



„Smutna, Medoro, jest twoja balada!“ —

— „Chciałbyś wesołej, gdy niema Konrada? —

Gdy ciebie niema, a żal miota duszą,

Tęskne się myśli w pieśniach zdradzić muszą.

Każdy ton, serca uczucia wydaje;

Lecz choć pieśń mileży, boleść nie ustaje. —

„Ach! ileż nocy, na bezsennem łożu,

Marzę jak we śnie, o skałach, o morzu!

Zmierzeła — ja myślę, że niebo się chmurzy;

Wiatr ledwo szemrze — mnie słyszeć szum burzy.

Cóż, gdy posępnem odezwie się wyciem?

Zda się, że jęczy nad twojem rozbiciem! —

Zrywam się, patrzę, czy stróż niekarni

Nie dali zgasnąć portowej latarni,

I o pogodę gwiazd pytam oczyma.

„Nastał poranek — ciebie jeszcze niema!... —

Jak wtedy zimno na me serce wiało,

Jak przez łzy słońce mgliste się zdawało! —

Patrzę i patrzę dzień cały — daremnie.

Konrad gdzieś jeszcze daleko odemnie! —

Wreszcie — postrzegam maszt, okręt — tu płynął,

Witam go, czekam; — zbliżył się — i minął.

Znów drugi! — twój był. Powróciłeś z boju.

„O! mój Konradzie! mam-że w niepokoju

Zawsze tak czekać? — nigdyż serca twego

Nie ujmie powab szczęścia spokojnego? —

Masz dosyć skarbów — ach! więcej niż trzeba;

Znajdziem kraj miłszy, pogodniejsze nieba,

Pójdźmy! — O siebie wiesz, że się nie boję. —

Lecz twoje szczęście — lecz ach! życie twoje!...

Dziwne two serce! gdy dla mnie tak tkliwe,  
Tak razem srogie dla drugih, tak mściwe!...“ —

— „Tak, moja luba! dziwne jest to serce.

Zwiedli je zdrajcy, zelżyli oszczerce,

Jak płaz zdeptane, lecz mści się jak żmija:

Ludzie w nie wleli jad, co ich zabija! —

„Bez żadnej zniskąd pociechy, prócz ciebie,

Bez celu w życiu, bez nadziei w niebie,

W duszy się mojej tak wiąże i splata

Miłość dla ciebie z nienawiścią świata,

Że gdy się jedna, wnet druga ostudzi:

Przestałbym ciebie, gdybym kochał ludzi! —

„O to się nie bój! — przeszłość moja cała

Ręczy, że przyszłość nie będzie się chwiała.

Lecz uzbrój serce! — raz jeszcze, Medoro!

Dziś — muszę jechać — ale wrócę skoro“. —

— „Jechać! dziś jeszcze? — ach! jam to przeczuła!...

Tak znikły wszystkie sny, com sobie snuła,

Sny moje złote!... — Lecz dziś? — być nie może!

Łódź ledwo przysła, maż znów iść na morze?

Nie czekać drugiej? — Znużeni jej ludzie

Muszą choć chwilę odpocząć po trudzie!... —

Nie! ty, mój luby, chcesz przez to udanie

Poznać, nauczyć, jak mam znieść rozstanie.

Igrasz z mem sercem! — ono ci wybaczy,

Lecz z takich żartów blisko do rozpacz! —

„Milez, milez, Konradzie! — nie jedziesz dziś! — wie-

Pójdź dzielić ze mną twą skromną wieczerzę! [rzę.

Nikt prócz mnie nie śmiał tknąć jej, ni zastawić.

Lekki trud wprowadzie ucztę ci przyprawić!

Owoc ten rwałam z najwyższego drzewa,  
Im bliższy słońca, tem prędzej dojrzewa.  
Trzy razy górę obiegłam, nim w cieniu  
Najświeższą wodę znalazłam w strumieniu.  
Pójdź! niech cię sorbet orzeźwi po skwarze:  
Patrz, jak się iskrzy w kryształowej czarze!  
Wina ty nigdy kosztować nie raczysz,  
Drżysz jak Muzułman, gdy puhar obaczysz. —  
Nie sądz, że ganię — o! nie! — to mnie cieszy,  
Że i w tem nawet różnisz się od rzeszy.

„Lecz pójdź! stół gotów; ja okna zasłonę.  
Srebrna tam lampa, patrz, jak jasno płonie!  
Wezwę mych dziewię — niech złączą wokoło  
Lub rażny taniec, lub piosnkę wesolą! —  
Lubisz mą arfę — czy chcesz? — wnet nastroję.  
Lub jeśli wolisz, będziemy oboje  
Czytać z Aryosta Olimpii żale,  
Gdy zdrajca śpiącą zostawił na skale <sup>1)</sup>.  
Po tobie jednak mnie byłoby smutniej!  
Gdybyś dziś jechał, zrobiłbyś okrutniej,  
Okrutniej nawet niż Tezeusz zradny! —

„Wiem, ty się śmiejesz, gdy ci Aryadny  
Wyspę niekiedy wskazuję z wysoka,  
A mnie myśl smutna łązy pędzi do oka:  
Gdyby mnie kiedy Konrad tak porzucił? —  
Aleś ty lepszy! tyś do mnie powrócił!“ —  
— „Wróciłem, luba, i powrócę znowu,  
Zawierz miłości i Konrada słowu.  
Wróć, i rychło; — lecz teraz już chyża  
Chwila rozstania na skrzydłach się zbliża.

Gdzie? po co jadę? — szkoda chwil na słowa.  
Gdy je ma skończyć najgorsze: bądź zdrowa!  
Odkryłbym jednak — lecz już czas zbyt drogi.  
Nie bój się! wcale nie straszne są wrogi.  
Tu ci zostaje straż silna, podwójna.  
Będiesz bezpieczna — o mnie bądź spokojna!  
Nie baw samotna, gdym ja oddalony.  
Jadących ze mną poruczam ci żony.  
W tem miej pociechę, że po tem zwycięstwie.  
Nagrodę trudów znajdziem w bezpieczeństwie. —  
„Słyszysz! dźwięk trąbki? — ha! łódź już gotowa. —  
Jeden wzrok, uścisk! — raz jeszcze! — bądź zdrowa!“

Łkając na szyi zawisła rękami.  
Drżące w nim serce czuje pod ustami.  
On nie śmiał podnieść, nie śmiał znieść widoku  
Bładości w twarzy i rozpaczy w oku. —  
W całej dzikości bezładnego wdzięku.  
Włos jej po jego rozestał się ręku;  
Stłumiony oddech i mdłe serce bieie  
Świadeżą w niej tylko cierpienie i życie...

Zagrzmiał huk działa — odjazdu godzina!  
Słońce zachodzi — on słońce przeklina.  
Strzał drugi, trzeci; — ścisnął z uniesieniem  
Niemą od żalu, proszącą mileżeniem,  
I drżącym krokiem zaniósł ją na łożo.  
Spojrzał z rozpaczą — raz ostatni może!  
Dreszcz przebiegł serce: — uczuł, że dla niego  
Prócz niej na świecie nie niema miłego.

Dotknął ust, zimne; — spotkał wzrok, wpół zgasły. —  
Zwrócił się nagle — drzwi z łoskotem trzaśły.

## XV.

„Co? już go niema?“ — straszliwe pytanie,  
Gdy kto tak nagle samotnym zostanie!  
Myśl nie śmie wierzyć, że oczy nie mylą —  
Przed chwilą jeszcze tu stał — był przed chwilą —  
Gdzież jest? — Wybiegła obłąkanym krokiem.  
Aż łązy jej wreszcie lunęły potokiem,  
Bujne, gorące; — myślą za nim woła:  
„Bądź zdrów!“ — wymówić nie śmie, i nie zdoła.  
Ach! bo w tem słowie — choć się chcą uśmiechać  
Wiara, nadzieja — rozpacz tylko słyhać.

W błędnych jej rysach, jak w twarzy z kamienia.  
Tehnie dziki wyraz wiecznego cierpienia;  
Oczy jej modre, szkliste, bez promieni.  
Jak gwiazdy we mgle błędzą po przestrzeni.  
I ach! dostrzegły — to on! — już daleki!...  
Wtedy raz jeszcze z pod łzawej powieki  
Błysły, jak słońce z za deszczowej chmury.  
Próżno! nie spojrział, znikł w zaroślach góry.  
„Poszedł!“ — Jak posąg błąda, nieruchoma.  
Łkające piersi przyciska rękoma.  
Spojrziała jeszcze — port przed jej oczyma:  
Bielą się żagle i morze się wzdyma.  
Nie patrzy więcej — w drzwiach błyska jej postać —  
„Prawda więc! — jedzie! — samej kazał zostać!“ —

XVI.

Szybko wprost z góry, na głaz skacząc z głazu,  
Biegł Konrad — nazad nie spojrział ni razu.  
Lecz drżał ilekroć ścieżka przed nim boczy,  
By na zakręcie nie wpadła mu w oczy  
Samotna jego, lecz miła mu wieża.  
Zawsze go pierwsza witała z nadbrzeża,  
Jak on ją z morza! — i ona w niej, ona!  
Burzliwej duszy gwiazda niezamglona! —  
Jeden wzrok jeszcze — a moc w nim rozbroi.  
Nie śmie go ujrzyć; pomyśleć się boi,  
Że mógłby zostać; — chciałby — któż mu broni? —  
Zostać? — by zginąć od katowskiej dłoni? —  
Nie, nie! — Raz jednak, chciał stanąć, chciał wrócić,  
Na los zdać wszystko, zamiar na wiatr rzucić —  
Nie! — myśl niegodna! — nie! — prawego męża  
Płacz niewiast miękczy, ale nie zwycięża. —

Ujrzał swą nawę — zważa wiatr przychylny,  
Zwrócił myśl ku nim — i znów w sobie silny,  
Znów chyżej naprzód; — i gdy z brzegu słyszy  
Wesołą wrzawę mężnych towarzyszy,  
I łoskot fali, co pod wiatrem rośła,  
I hasła majtków, i szybki szum wiosła:  
Gdy widzi okręt — maszt niebu urąga,  
Rozskrzydlił żagle, kotwicę wyciąga: —  
Gdy widzi czółna, w których ludzie zbrojni  
Płyną na okręt — jak wszyscy spokojni!  
Choć jak śnieg białe i gęściej od śniegu  
Chustki żon ku nim powiewają z brzegu;

Gdy widzi zwłaszcza, jak z masztu zwieszona  
Igra z wiatrami chorągiew czerwona —  
Sam się zadziwił, że był słabym tyle,  
W wielkim zamiarze zachwiać się na chwilę.

Żar w jego oczach, dzikość w jego duszy,  
Uczuł sam siebie — nie go już nie wzruszy.  
Pośpiesza, bieży — aż zbiegł gdzie równina,  
Co skałę kończy a brzeg rozpoczyna.  
Tam zwolnił kroku; — świeżość bliskiej głębi  
Krzepi znużenie, ogień lica ziębi;  
Lecz stanął raczej, by zimną odwagę  
Wrócił swej twarzy, swym krokom powagę,  
Wprzód nim go ujrzą. — Konrad sztukę umie,  
Jak tając dumę, tłum zhołdować dumie.  
Wynosłość lica, i zimną postawę,  
Co stroniąc niby obudza obawę;  
I wzrok, i uśmiech, co choć serce nie zraża,  
Hamuje płochosć i śmiałość przeraża;  
Wszystko ma w mocy, by zgraję zaślepić,  
Rozbroić opór, i władzę ukrzepić.

Lecz gdy chce ująć — z ufnością przyjaźni  
Každy wnet pierwszej zapomni bojaźni,  
Niewolnik, z duszą na rozkaz gotową.  
Nad dary drugich, droższe jego słowo,  
Gdy jakby z serca głębi tajemniczej  
Zagra do serca głos tęsknej słodyczy. —  
Lecz rzadko słodycz w parze z jego duszą:  
Nie dba czy zechcą, gdy co każe, muszą.  
Czy podłość drugich, czy dумы szaleństwo —  
On depce miłość, by mieć posłuszeństwo.



XVII.


Wkoło broń straży brzękła czeią wodzowi.  
Zbliżył się Żuan. — „Czy wszyscy gotowi?“ —  
— „Już są w okręcie; ostatnie przy lądzie  
Czołno to czeka, póki wódz nie wsiądzie“. —  
„Miecz mój, płaszcz, trąbkę!“ — Miecz przypiął  
[z niechcenia,  
Trąbkę ma w dłoni, płaszcz zwiesił z ramienia.  
„Zawołać Pedra!“ — Przyszedł — Konrad wita,  
Pierwszemu z wodzów grzeczność należyta.  
„Weźmij ten papier! — zawiera rozkazy.  
Ważne — bacz pilnie na wszystkie wyrazy.  
Anzelmo także, jak skoro przybędzie,  
Ma je wykonać. — Straż podwoić wszędzie!  
Za trzy dni, jeśli — jeśli wiatr posłuży —  
Powrócę. Bądź zdrów!“ — i nie zwłócząc dłużej,  
Podał dłoń, ścisnął — skinął na wiosłarzy,  
I skoczył w czołno z wyniosłością w twarzy.  
Ruszyły wiosła — jak gwiazd droga mleczna,  
Iskrzy za niemi jasność fosforyczna<sup>2)</sup>.  
Dopłynął nawy — stoi na pokładzie.  
Gwiznięto z góry — ruch w całej gromadzie.  
On zważa okręt, jak lekki na fali,  
Jak słucha steru — uważa, i chwali.  
„Gdzie jest Gonzalwo?“ — Zbliżył się młodzieniec,  
W skłonionej twarzy radości rumieniec.  
Uprzejme słowo wódz już w ustach trzyma —  
Czegóż się wzdrygnął? czy się gniewem zżyma? —  
Ach nie! — on ujrzał swą wieżę na skale,  
Wspomniał rozstanie, zgadł Medory żale,

Jeśli na okręt spogląda w tę chwilę, —  
Nigdy on, nigdy nie kochał jej tyle! —  
Lecz nim noc minie, wiele zrobić trzeba.

Odwrócił oczy, spojrział w błękit nieba,  
I wnet z Gonzalwem zszedłszy na spód nawy,  
Odkrywa cele i środki wyprawy.  
Przed nimi mapa i lampa na stole,  
I kompas; w ręku cyrkiel i półkole.  
Północ — czuwają; twarz obudwu groźna.  
Bezsenным oczom któraż chwila późna? —

Tymczasem w żagle dał wiatr pożądaný,  
Okręt jak sokół leci przez bałwany;  
Sto wysp minęli sterczących granitem:  
Cieszą się — celu dopłyną przed świtem.

Już przez szkła nocne liczą bez obawy,  
W ciasnej zatoce natłoczone nawy  
Baszy Seida; widzą, jak niedbali  
Stróże przy ogniach gasnących czuwali!...  
Okręt ich kołem obiegł czaty przednie,  
Wszedł, gdzie bezpieczny skryłby się choć we dnie.  
Przy pustym brzegu, za skałą wysoką,  
Straży ni szpiega nie dojrzy go oko. —  
Konrad na pokład zgromadził swych ludzi,  
Do powinności — lecz nie ze snu, budzi.  
Wsparł się na poręcz, rozkazy objawia,  
Rozmawia zimno — choć o krwi rozmawia. —



## PIEŚŃ DRUGA.

»Conoscete i dubbiosi desiri?«

*Dante.*

### I.

**W** zatoce Koron las masztów się jeży,  
Na zamku Koron lampy błyszczą z wieży,  
Tam Seid Basza częstuje żołnierzy.  
Święci swój tryumf — jutro spodziewany —  
Gdy zbójców zgromi i pojma w kajdany.  
Tak na Allaha przysiągł swemu Panu.

Wierny przysiedze i słowom firmanu,  
Zwołał swe nawy; — coraz w liczbę rosną,  
Tłum coraz większy tryumfuje głośno.  
O łup, o branki, przed wzięciem się kłóć,  
Jeszcze nie wyszli, już pewni że wrócą.  
O świecie dosyć niech pod żagle wsiedą,  
Przed zmrokiem zbójców port i łup zdobędą! —  
Tymczasem strażę mogą spać bezpiecznie.  
Nie dość jest bić się — niech marzą walecznie!  
Lub gdy sen komu nie ciąży w powiekach,  
Może ramienia próbować na Grekach!...

O! godne czyny barbarzyńskiej dłoni!  
Katować więźnia, gdy się sam nie broni;  
Napaść dom Greka, sprzęt skruszyć pod nogą,  
Bić — byle tylko nie zabić nikogo! —  
Dziś są łaskawi — nie chcą, czy nie mogą.  
Gdźieniegdzie tylko słyhać jęk i razy.  
Lecz to żart! — Basza zakazał obrazy.

Wzdłuż brzegu wszędzie śmiech, muzyka, wrzawy:  
Kto kochasz głowę, śmiej się, dziel zabawy!  
Bo dziś muzułman wesół — choć bez wina,  
Wyteżył doweip — łaje i przeklina.

## II.

W biesiadnej sali, w śniącym złotogłowiu,  
W białym zawoju, wsparty na wezgłowiu,  
Seid wśród gości spogląda wesoły.  
Skończona uczta, odstawione stoły.  
Twarz jego płonie, ogień iskrzy z oka;  
Pije on, mówią, napój nie Proroka.  
Nie śmieją drudzy; prawowierni, trzeźwi,  
War wonnej mokki myśl w nich tylko rzeźwi.  
Z długich cybuchów dym bucha wokoło,  
Gdy Almy w środku tańczą wesoło<sup>1)</sup>.  
Jutro na bitwę! — lecz dziś, w nocnej porze,  
Nie dość bezpiecznie puszczać się na morze!  
Na wzdętych falach sny nie tak powabne,  
Jak gdy ich łoże kołysze jedwabne! —  
Więc się dziś bawią; — jak błysnie świtanie,  
Pójdą, bo muszą — nadzieja w Koranie!

Choć widok floty i gwar tłumnej rzeszy,  
Ziemią nadzieją niemniej dumę cieszy.

### III.

Ze czią bojaźni, od wewnętrznych podwoi,  
Idzie niewolnik, co w nich stróżem stoi.  
Schylił się, czołem uderzył podłogę,  
Nim w drżących ustach głos rozwiązał trwogę.  
„Derwisz podróżny, zbieg z więzów korsarzy,  
Przybył, i czeka czy się wejść odważy?“ —  
W skinieniu Baszy zgadł znak jego woli.  
Odszedł. — Wszedł derwisz — zbliża się powoli.  
Skromnie na piersiach krzyżuje ramiona,  
Krok jego słaby, żrenica spuszczone.  
Trudów, nie wieku, starość znać z postawy,  
Twarz jego blada z postów, nie z obawy.  
Poświęcon Bogu włos spada szeroko,  
Okryty czapką okrągłą, wysoką.  
Długa, powiewna, rozpuszczona szata,  
Obwija piersi — ozięble dla świata.  
Pokorny, jednak pan siebie, bez strachu  
Spotyka oczy iskrzące wzdłuż gmachu.  
Nikt nie śmie pytać, lecz wszyscy ciekawi  
Co wnet spytany przed baszą objawi.

### IV.

„Skądś derwiszu?“ — „Przez zbójców pojmany,  
Uszedłem z więzów“. — „Gdzie? kiedy zabrany?“ —  
— „Do wyspy Scio z portu Skalanowy  
Płynął nasz okręt, wiózł towar handlowy.

Nie szczęścił Allah — wola jego święta!  
Napadli zbójcy, nawa nasza wzięta,  
Towar złupiony — myśmy poszli w pęta.  
Nie miałem bogactw, śmierci się nie bałem,  
Lecz tracąc wolność, straciłem co miałem. —  
Długo mię gniotła przemoc świętokradzka;  
Aż dziś noc ciemna i łódka rybacka  
Tu mię zbawiły — tu, w opiece twojej,  
Potężny Baszo! któż się zbójców boi?“ —  
— „Jakże ci zbójcy? jak zbrojni? czy śmieli?  
Myślisz, że opór stawićby mi chcieli?  
Czy wiedzą o mnie, że z jutrzejszą gwiazdą  
Mam zniszczyć ogniem skorpionów gniazdo?“ —  
— „Baszo! wzrok we łzach nie wiele dostrzega,  
Trudna więźniowi przenikliwość szpiega.  
Słuchałem tylko morskich fal łoskotu,  
Ptastwu morskemu zazdroszcząc przelotu;  
Widziałem tylko — ach! przez kraty ciasne,  
Niebo — zbyt czyste, słońce — zbyt mi jasne;  
I żeby innem czem zająć mą duszę,  
Czułem że wolność wprzód odzyskać muszę. —  
Lecz z mej ucieczki znać że się nie strzegą,  
Że się nie muszą obawiać niczego.  
Sposobność ujścia próżnoby mi znikła,  
Jeśliby brzegów strzegła czujność zwykła.  
Niebacžność straży, jak mojej podróży,  
Równie zbliżeniu twej floty posłuży. —  
„Lecz Baszo! głosu i sił mi już braknie,  
Trud odpoczynku, głód posiłku łaknie.

Pozwól, bym odszedł. — Pokój, pokój z wami!  
Odchodzę za was modlić się ze łzami“. —

— „Stój, stój derwiszu! mam cię jeszcze badać.  
Stój! — słyszysz? każę — musisz odpowiadać.

Usiądź! wieczerzę przyniosą ci słudzy,  
Nie będziesz pościł, gdzie uczują drudzy.  
Powiesz mi potem, jak naoczny świadek,  
Krótko i jasno — nie lubię zagadek“. —

Nie wiedzieć czemu, derwisz drgnął — i srogo  
Z pod brwi zmarszczonych spojrzął jakby z trwogą.  
Łaska w nim Baszy nie budzi wdzięczności,  
Ni go snąć wzrusza cześć obecnych gości,  
Bo przygryzł wargę, i bladość niezwykła  
Jak błysk po licu przebiegła i znikła.  
Usiadł w milezeniu, i w rychle na nowo  
Przybrał wzrok zimny i postać surową.

Przynieśli ucztę — wykwintne potrawy.  
Jakby w nich jadu lękał się zaprawy,  
Zadrżał na widok, ze wzgardą odpycha —  
Dziwna w zgłodniałym wstrzemięźliwości mnicha! —  
— „Co ci derwiszu? — jedz! — ust ci nie splami  
Psie jadło Giaurów; tuś nie ze zbójcami. —  
Co? sól odpychasz? — zgody zakład święty,  
Co podzielona koi gniew zawzięty,  
Sprzysięgłe na się łączy pokolenia,  
I serc nieprzyjaźń w braterstwo przemienia?...“  
— „Sól jest przysmakiem; — pożywieniem mojem  
Są polne zioła, woda mym napojem.  
Prawa zakonu i ślub mój przed Bogiem?“  
Bronią mi łamać chleb z bratem, czy z wrogiem.

To cię zadziwia — i może obruszy,  
Lecz względy ziemskie nie zbawią mej duszy.  
Ty, ni sam sułtan nie zmusi mię niczem,  
Bym dotknął uczty przed ludzi obliczem,  
Bo gdy raz zgrzeszę, gniew mi Mohameda  
Do świętej Mekki pielgrzymować nie da“. —  
— „Dobrze, derwiszu! gdyś tak bogobojny,  
Powiedz mi tylko — odejdiesz spokojny —  
Ilu ich? — Cóż to? ha! to nie jest zorze!  
Co za meteor? co za blask na dworze!  
Patrzcie! nad portem jakby ognia morze! —  
Pożar! do broni! śpieszcie! pożar! zdrada!  
Flota się pali! a jam tu — o! biada!  
Przeklęty derwisz! — przyszedł w sidła zwabić,  
Giaur, szpieg przebrany! — pojmać go i zabić!“ —

Porwał się derwisz na wybuch płomieni,  
Nagłą w nim zmianą zbledli przerażeni.  
Porwał się derwisz — nie już w mniszym stroju,  
Lecz jak wojownik gotowy do boju.  
Rozdarł swą szatę, czapkę zerwał z skroni:  
Pancerz na piersiach, szabla błyszczy w dłoni!  
Hełm niski, lśniący, nad nim czarne pióro.  
Twarz się zeczerniła, oczy ogniem gorą.  
Jak na zjawisko piekielnego ducha  
Pierzchły z sere Turków męstwo i otucha.  
Tłoczą się, biegną, wśród zgiełku, wśród gwaru —  
Tu blask pochodni, tu łuna pożaru!  
Krzyk, hałas, groźby, przekleństwa i jęki,  
Huk trąb i bębnow, i oreża szczęki



Grzmia po powietrzu — jakby z mocą wściekłą  
Całe na ziemię wywarło się piekło.  
Złękłe, zdumione, obłąkane straże,  
Patrząc na morze, na niebo w pożarze,  
Nie widzą pana — nie słyszą, co każe.

Próżno wre Baszy wściekłość rozdąsana:  
„Pojmajcie szpiega! pojmacie szatana!“ —  
On ujrzał popłoch — cofnął krok rozpaczny,  
Którym się na śmierć miotał nieobaczny,  
Gdy pośpiech braci, wcześniej niż zalecił,  
Niż wydał hasło, pożarem zaświecił.  
On ujrzał popłoch — trąbkę do ust złożył,  
Dźwięk krótki, ostry, trzykroć się powtórzył.  
Odpowiedziano. — „Wy tu, bracia mili!  
Mogłżem posądzać, w niebezpiecznej chwili  
Że mię umyślnie samym zostawili?...“ —  
Rzekł, miecz i ramię puścił w krąg szeroki,  
Jakby chciał pierwszej powetować zwłoki.  
Przestrach we wrogach, męstwo w nim podwaja. —  
Pierzchła przed jednym rozpłoszona zgraja.  
Toczą się głowy po krwawej podłodze,  
Nikt nie śmie dostać: żołnierze i wodze,  
Nieufni w dłoni, zaufali w nodze.  
Seid ostatni w pierzchających tłumie,  
Grozi, klunie, błaga — wstrzymać ich nie umie.  
Mężny — sam jednak spotkania unika:  
Strach uolbrzymał siłę przeciwnika.  
Spojrzał z rozpaczą, gdzie flota się pali,  
I rwąc swą brodę, wściekły wybiegł z sali<sup>3</sup>).  
Nie czas już czekać: — przełamano wartę,

Bramy pałacu runęły wyparte.  
Wpadają zbójcy. — Próżno trwoga błada,  
Próżno pokora na kolana pada,  
U nóg zwycięzców próżno składa miecze:  
Przeszli — krew wrząca strumieniami ciecze.  
Pędzą, gdzie znowu brzmi trąbka Konrada,  
I jęk ginących tryumf zapowiada.  
Wpadli — okrzykiem witają weseli:  
Śród stosu trupów zwycięzcę ujrzeli!  
Miecz trzyma w górze, ogniem iskrzą oczy,  
Jak syty tygrys w krwi rozlanej broczy. —  
Krótka rozmowa: „Flota już w perzynie!“ —  
— „Dobrze! Lecz Seid musi zginąć“. — „Zginie!“ —  
— „Za mną, i naprzód! z ogniem i żelazem!  
Płonie port — czemuż i miasto nie razem?“ —

V.

Skory na rozkaz — każdy żagiew chwyta,  
Miasto i zamek jedną łuną świta.  
Z dziką rozkoszą Konrad się uśmiecha:  
Wzdrygnął się nagle — jakież słyszy echa?  
Ha! to jęk niewiast! — jak dzwon na pogrzebie  
Wstrząsł sercem jego — tak twardem w potrzebie.  
„Harem się pali! — za mną! do obrony!  
Śpieszcie! pomnijcie — i my mamy żony.  
Na nie, ach! spadnie krew niewiast; — pomnijcie!  
Nie krzywdzić żadnej, kto stoi o życie!  
Śmierć nieść mężczyznom — lecz pomoc kobiecie! —  
Ach! jam zapomniał! — lecz czyż Bóg przebaczy  
Sprawcy niewinnych śmierci i rozpaczy? —

Idź kto chce za mną! ja choćby sam, idę  
Odeprzeć od nas tej zbrodni ohydę!“ —

I skoczył w ogień po wschodach runących,  
Wylał otwór we drzwiach gorejących;  
Po rozpalonych kamieniach podłogi,  
Śród kłębow dymu i iskier pożogi,  
On, i w ślad za nim śpieszący bez trwogi,  
Wpadli — porwali — każdy na swych rękach  
Unosi jedną — nie myśląc o wdziękach,  
Ośmiela, cieszy, błaga, uspakaja.  
Zna cześć piękności Konradowa zgraja.  
Nie iść w ślad wodza najdzikszego sroma,  
Ratuje słabość — krwawymi rękoma.

Leez któż jest? któż jest ta piękna i blada,  
Ta najpiękniejsza w objęciach Konrada? —  
Postać niebianki, tronu godne lica,  
Anioła godne! — Któż jest ta dziewica? —  
Pani haremu — Baszy niewolnica.

## VI.

Krótko wódz spojrzął na wdzięki Gulnary <sup>4)</sup>  
Krótko ośmielał, niosąc przez pożary,  
Krótko pożegnał; — nie czas stać spokojnie! —

Gdy litość chwilę sfolgowała wojnie,  
Wróg nieścisany zaczął się ozierać,  
Zwalniać krok, stawać, zwracać się, opierać —  
Widzi to Seid — widzi i poznaje,  
Przed jaką garstką pierzchły jego zgraje.  
Wstydzi się błędu — wstyd wściekłość w nim drażni,  
Gdy widzi dzieło zbyt skorej bojaźni.

„Alla il Alla!“ okrzyk zagrział w gminie,  
Każdy jak wściekły, pomści się, lub zginie.  
Ogień za ogień, krew za krew niech płaci! —  
Lecą do boju, po trupach swych braci.  
Znów szczęk, wrzask, ciżba — wre bitwa straszliwa.  
Szczęście jak nagle wezbrało — odpływa.  
Zwycięzcy tłuszcza ściśnieni zuchwaleczą,  
Już nie o tryumf, o swe życie waleczą.  
Ujrzał wódz — pojął, zgadł niebezpieczeństwo.  
Słabnie przed tłumem siła — choć nie męstwo.  
„Jeszcze raz, za mną! rozbić zgraję trwożną!“ —  
Kupią się — biegną — uderzyli — próżno!  
Wszystko stracone! — wróg ciśniej otacza,  
Nikt ująć nie zdoła, lecz nikt nie rozpacza.  
Jeszcze są w szyku! — ha! już przełamani,  
Już rozpierchnieni, ujęci, zrąbani!...  
Kto został, milcząc pasuje się w gminie,  
Aż z trudu raczej niż z rąk wroga zginie;  
Aż choć raz jeszcze, w konwulsyjnej pięści,  
Na czasce wroga mściwy miecz zachrząści.

## VII.

Lecz nim tłum dziki wszcząwszy bój zażarcie,  
Sam się na wstępne odważył natarcie,  
Wraz ze swą panią, dziewice Gulnary,  
W domu mieszkańca jednej z niemi wiary,  
Z rozkazu wodza umieszczone skrycie,  
Przystały bać się o sławę i życie.

Z łez i Gulnary oschło czarne oko,  
Lecz smutna, milczy i duma głęboko.

Tkwi w jej pamięci wybawca z płomienia,  
Dźwięk jego głosu, blask jego spojrzenia.  
Daw jej, że zbójca, wśród boju dzikości,  
Zdał się być czulszym, niż Seid w miłości.  
W pieszczotach nawet Baszy niewolnica  
Czuć musi łaskę, jaką pan zaszczyca;  
Korsarz niósł pomoc, ośłodę boleści,  
Jak hold należny godności niewieściej!...

„Żle jest — co gorsza — wiem, że próżno żądać.  
Chciałabym jednak — muszę go oglądać.  
Winnam mu życie moje i tych branki. —  
Zapomniał o nim mój pan — mój kochanek!“ —

### VIII.

I wnet go widzi — gdzie bój najzaciętszy,  
Jęk najgłośniejszy i tłok coraz gęstszy.  
Sam wśród trupów szczęśliwszych już braci,  
Cofa się, groźny w lieu i postaci.  
Kaźda pięta ziemi krwią za nim przesiąka.  
Męsza się pogoń, ustaje zalekła —  
Aż w krwi ślizgocie krok się jego zwinął.  
Zachwiał się, upadł — chce zginąć, nie zginął.  
Wzięty! — Ha! zbrodnia nie ujdzie bezkarnie,  
Niech tylko zemsta wymyśli męczarnie! —

Tamują rany — śmierć nie czyni zadość.  
Kroplą po kropli przelać krew, to radość,  
Jęki po jękach słyszeć, gdy je wyda,  
To będzie rozkosz dla Baszy Seida! —  
Obyż mąk rodzaj wynaleźć, wykonać,  
By wciąż z nich konał, nigdy nie mógł skonać! —

Widzi Gulnara — tenże to syn męstwa,  
Przed chwilą jeszcze wódz i pan zwycięstwa,  
Którego słowo lub ręki skinienie  
Tysiącom niesło śmierć lub przebaczenie? —  
On to! — bezbronny, lecz mężny w złej doli,  
Życie go tylko, że je ustrzegł, boli.  
Rany ma lekkie, choć sam ciosy wabił,  
Choćby całował miecz coby go zabił,  
Niktże z tysięcy — jednego potrzeba —  
Nie chce go posłać — mniejsza! czy do nieba?  
Samże on z braci ma zostać na ziemi,  
On, co śmierć spotkać śpieszył przed wszystkimi?...

Czuł on, co człowiek czuje, gdy na czoło  
Ze szczytu upadł pod Fortuny koło:  
Czuł złe, co zbroił; czuł bliskie katownie,  
Czuł hardość wroga — czuł gorzko, gwałtownie;  
Ale też дума, co go w głąb strąciła,  
Wzmogła w nim serce i boleść pokryła.

Wzrok pogardliwy i twarz obojętna,  
W jeńcu, zwycięzcy jeszcze noszą piętna.  
Ranny, znużony — lecz gdzież są w tej chwili  
Coby spokojniej i mocniej patrzyli? —  
Słucha bez gniewu, jak stojąc zdaleka  
Podła nań tłuszcza urąganiem szczeka;  
Mężni, co zbliżka w boju go widzieli,  
Szczepiają w więzach dłoń, przed którą drżeli.  
Ledwo nań który z wiodącej go straży,  
Żaden beze czci spojrzeć się nie waży.

IX.

Posłany lekarz — nie litość posyła —  
Ma rzec, co w mękach zniesie jeńca siła.  
Znalazł jej dosyć, by dźwigać kajdany;  
Znalazł dość czucia, by czuć ból zadany;  
Jutro więc, jutro, gasnąc na gór szczycie,  
Słońce obaczy pierwsze na pal wzbicie,  
A rano z morza w zwykłej wstając mocy,  
Ujrzy jak dotrwał w mękach całej nocy.

Z mąk to najsroźsza, najdłuższe z cierpienia;  
Z bolem konania łącząc żar pragnienia,  
Śmierć, jedną ulgę, z dnia na dzień oddała,  
Gdy już éma sępów kracze koło pala.  
„Ach! wody! wody!“ — Zemsta się naśmiewa,  
Wskazuje puhar — zbliża — i rozlewa.  
Próżno nieszczęśnik usta ku niej kwapił:  
Skończyłby cierpieć, gdyby się raz napił.  
To wyrok jego. — Odeszli strażnicy,  
On został — jeden, w kajdanach, w ciemnicy.

X.

Któż uczuć jego pojałby męczarnie,  
Gdy on, ofiara, sam ich nie ogarnie?  
Noc, wojna, zamęt, w myślach jego duszy:  
Wszystkie w niej siły mdleją od katuszy,  
Wszystkimi jego uczuciami miota  
Nieżałująca, rozpaczna zgryzota,  
Ów wróg nasz mściwy, co mileząc w potrzebie,  
Po czasie woła: „ostrzegałem ciebie!“ —  
Próżno! — pierś mężna, jadem jej zatruta,

Klnie albo mileczy — dla słabych pokuta!  
Przed chmurą ciosów, czyż obwód jej tarczy  
Okryciu serca wielkiego wystarczy? —  
W tej nawet chwili, gdy nawpół jak w grobie,  
Całe swe życie czuje, widzi w sobie,  
Żadna w niem zbrodnia nad inne grożąca,  
Żadna namiętność, ni myśl pauzująca,  
Nie émi się przed nim tak, aby swym cieniem  
Resztę przynajmniej skryła przed wspomnieniem.  
Nie! — okiem ducha patrzy on od razu  
Na całą przestrzeń dzikiego obrazu:  
Widzi rozpierchłe sny dumnej wielkości,  
Skażoną chwałę, łzy, rozpacz miłości,  
Znikłe nadzieje szczęścia, czeze zamiary,  
Tryumf swych wrogów, kaźń swej bliskiej kary!...  
Przeszłość się czerni, jak otchłań bezdenna,  
Przyszłość jak chmura gromami brzemienna;  
Czynny i słowa, złe myśli i chęci,  
Co jak éma nocna kryły się w pamięci;  
Błędy wesołe lub miłe w swym czasie,  
Lecz z których dzisiaj każdy zbrodnią zda się;  
I wszystkie krzywdy, któremi przewinił,  
Co choć utaił, sam wie, że uczynił,  
Których naprawić nie ma już sposobu:  
Wszystkie, jak duchy z otwartego grobu,  
Wznoszą się z serca, okryte żałobą,  
I groźnym palcem wołają za sobą...  
Wszystko on widzi — nim zwierciadło duszy  
Oekniona дума porwie i rozkruszy.

Tak! дума pokryć, odwaga znieść śmiało



Potrafi wszystko — wszystko co się stało;  
Lecz któż bez trwogi? — cóż stąd, że ukryta?  
Godzien jest tylko chwały hipokryta:  
Nie nędznik, co się wprzód chełpiąc, ucieka,  
Lecz ten, co nawet widzi śmierć — i czeka;  
Lub gdy weń godzi grot niechybny losu,  
Bieży wpół drogi na spotkanie ciosu.

### IX.

W warownej izbie, na najwyższej wieży,  
Okuty Konrad na posłaniu leży.  
Pałac spalony — ta wieża zamyka  
Baszę, kobiety, dwór i niewolnika.

Nie wini Konrad o srogość zwycięzcę,  
Sam mu los równy gotował po klęsce.  
Duma sam w sobie: — strach, zgryzotę przemógł;  
Lecz jest myśl jedna, której uśpić nie mógł,  
Której pomyśleć nie śmiał: — jak te wieści  
Przyjmie Medora? jak zniesie boleści?... —

Wtenczas — raz tylko wtenczas — z cichym jękiem  
Porwał się z miejsca, i z kajdanów brzękiem  
Wzniósł nagle ręce — jakby zerwać żądał  
Wieży, na które z wściekłością poglądał. —  
Lecz udał męstwo, czy się w nie uzbroił:  
Zaśmiał się gorzko, i gniew uspokoił.

„Teraz niech przyjdą! — niech znajdą katusze  
Gorsze! niech znajdą!... — Lecz odpocząć muszę“. —  
Rzekł, padł na łożę, zamknął skrzące oko,  
I cobądź marzy — znać, że spi głęboko.

Noc jeszcze — północ już była minęła,

Gdy pożar floty i bitwa się wszeźęła.  
Jak Konrad w planach, godna wodza rzesza  
Skora w pełnieniu i w pracy pośpiesza.  
Nie było złego, choć w tak krótkiej chwili,  
Coby go mogąc, wrogom nie zrobili.  
W godzinie Konrad — korsarz na pokładzie,  
Na łądzie rycerz, derwisz na biesiadzie,  
Odkryty, bliski śmierci, ocalony,  
Zwycięzca, tyran, zbawca, zwyciężony,  
Jeniec, w kajdanach, jak zbrodzień po wojnie  
Skazany na śmierć — i usnął spokojnie!

## XII.

Śpi — uśmiech w ustach, łza łśni z pod powieki.  
Oddycha lekko — oby spał na wieki! —

Któż się to zbliża z łzawemi oczyma?  
Wrogi odeszli, przyjaciół tu niema!  
Seraf-li, niebios utaiwszy blaski,  
Niesie mu we śnie zwiastowanie łaski? —  
Nie! — choć anielska w licu piękność świta,  
Ziemski to tylko jest anioł — kobieta!

Wzniesioną lampę w jednej trzyma dłoni,  
Drugą jej światło przed uśpionym chroni,  
By blask niewczesny nie padał na oczy,  
Co z snu otwarte, wnet znów śmierć zamroczy.  
W powiewnej bieli, postać jej w milczeniu,  
Jak duch wiejący, posuwa się w cieniu.  
Lekka, wysoka — pierś tylko i leca  
Mdłe światło lampy zaledwo oświeca.  
Włos rozpuszczony — na białej odzieży

Jak smug ciemności, wpół na piersiach leży,  
Wpół spływa z ramion; — stopa jak śnieg biała,  
I jak śnieg cicho na ziemię spadała. —

Któż ona? — Sama, w nocy, mimo straży,  
Jak tu wejść mogła? — jak się wchodzić waży? —  
O! spytaj raczej, przed jaką przeszkodą  
Zadrży kobieta, gdy jej duszę młoda  
Czułość i litość, jak Gulnarę wiodą? —

Nie mogła usnąć — i gdy Basza we śnie,  
Marząc o klęsce, klnie, jęczy boleśnie,  
Marząc o jeńcu, nakazuje męki: —  
Wstała, i sygnet zdjęła z jego ręki,  
Znak jego woli: który gdy okaże,  
Wszelkie wnet przed nią rozstąpią się straże.  
Przeszła bezpiecznie — nikt o nie nie bada.  
Znużeni bojem strażnicy Konrada,  
Zazdroszcząc więźnia spoczynkowi, sami  
Wpół senni ziemię zalegli przed drzwiami.  
Ujrzeni pierścień — mało się kłopotą  
Kto go przynosi, gdzie idzie, i po co? —

### XIII.

Patrzy zdumiona — „On śpi? — gdy z rozpaczą  
Tysiące po nim, lub na niego płaczą?...  
Ja sama nawet!... — Jakaż czarów siła  
Tak mi go nagle drogim uczyniła? —  
Zbawił mi życie, poświęcił sam siebie —  
Mamże go wzajem opuścić w potrzebie? —  
Nie! — chcę mu pomóc — nie dbam o sąd ludzi. —  
Lecz cicho! — westchnął — poruszył się — budzi!“ —

Podniósł wzrok — blaskiem zaślepione oczy  
Zdają się wąpić czy sen ich nie mroczy.  
Lecz ruszył ręką — głuchy brzęk okowu  
Dowiódł, że żyje, i cierpieć ma znowu. —  
„Któż jest ta postać? Anioł stróż z wejrzenia!  
Zbyt zda się piękny na stróża więzienia“. —  
— „Nieznasz mnie? — jestem z tych co czują wdzięczność  
Za czyn, do jakich rzadkoś miewał zřęczność.  
Patrz! czyż nie pomnisz, żeś sam swą odwagą  
Wyrwał mię z ognia, ustrzegł przed zniewagą?... —  
Przyszłam — nie pytaj po co? — lecz nie szydzić.  
Ja cię nie mogę, nie chcę nienawidzić“. —  
— „Jeśli tak, pani! jesteś więc tu jedna,  
Której śmierć moja uciechy nie zjedna.  
Tem gorzej! — smutku nie radbym ci sprawić.  
Lecz dziś ich pora! — chcą, mogą się bawić.  
Słuszna im jednak wdzięczność niewolnika,  
Że tak pięknego ślą mu spowiednika“. —

Z najgłębszym smutkiem niekiedy się męsza  
Dziwna wesołość: — serca nie pociesza,  
Choć błyszczy w oczach, łza z nich nie osycha;  
Uśmiech jej gorzki — jednak się uśmiecha,  
I nieraz światu, zamiast pożegnania,  
Żart płochy rzuca z wierzchu rusztowania<sup>5)</sup>,  
Co choć nie radość, jak zda się, go budzi, —  
Ułudza drugich — lecz któż siebie złudzi? —

Co bądź czuł Konrad — jak łuna z ogniska,  
Dzika wesołość w rysach jego błyska.  
Mówił z uśmiechem, z szyderstwem na poły:  
Wesołe słowa, i ton ich wesoły —

Znać, że mu obcy; w burzliwym swem życiu  
Rzadko miał porę miewać go w użyciu.

#### XIV.

„Korsarzu! pal twój gotów — lecz ma władza  
Często gniew Baszy i wyrok zlagadza.  
Chciałabym — tak jest — chcę, muszę cię zbawić.  
Dziś nie! — dzień bliski mógłby nas wyjawić.  
Lecz dość zyskamy, jeżeli, jak wróżę,  
Czas twojej kaźni do jutra przedłużę.  
Dzisiaj nic więcej nie żądam odemnie,  
Gdyżbyśmy tylko zginęli daremnie“. —  
— „Ja nic nie żądam — niech się kres mój zbliży!  
Spadłem zbyt nisko, bym się bał spaść niżej.  
Więc oszczędź sobie trudu, mnie życzenia,  
Bym jak zbieg podły uchodził z więzienia.  
Gdym nie zwyciężył — mamże z braci całej  
Sam, nie śmiąc umrzeć, powracać bez chwały?... —  
„Jest wszakże jedna — o której duch marzy,  
Której łzę, zda się, że czuję na twarzy!...  
W życiu mem dotąd jedyne pociechy  
Były: mój okręt, mój miecz, jej uśmiechy,  
I Bóg mój niegdyś! — przeszłość to daleka!  
Jam się Go z młodu, dziś On mnie wyrzeka.  
Za nieczeseć ojca, mściwy karze sędzia.  
Zwycięzcy moi Jego są narzędzia!  
Nie czas już wszakże, bym rozpacznik podły  
Samolubnemi znieważał go modły!  
Nie! — nie mam prawa prosić — i nie proszę.  
Co zesłał, cierpię; co znieść mogę, znoszę. —

Miecz mój z niegodnej wytrącono dłoni,  
Niegodnej dźwigać jak on wiernej broni.  
Okręt mój wzięty — lecz ta, tak mnie droga!...  
Ach! za nią jeszcze chciałbym prosić Boga.  
Ona jest wszystkim dla mnie — a te wieści  
Skruszą jej serce ogromem boleści! —  
Ta myśl jest dla mnie nad śmierć sroższą karą. —  
Ona tak tkliwa, tak piękna! — Gulnaro!  
Nimem cię ujrzał, przeszły lata długie,  
Żem nie pomyślał, czy są piękne drugie“. —  
— „Ty więc już kochasz? — ty już kochasz inną? —  
Cóż mi to znaczy? — nie, nie nie powinno!  
Jednak — ty kochasz! — ach! ja zajrzeć muszę  
Duszy, wzajemną kochającą duszę,  
Która nie czuje, i nigdy nie czuła  
Tej cześci serca — co moje zatrula“. —  
— „Twoje? — sądziłem, że z ogniów haremu  
Jam cię ratując, zachował lubemu“. —  
— „Seid mój luby? — ach! nie! nie mój luby!  
Niegdyś to serce, dziś już wzięte w kluby,  
Długo się niegdyś ubijało we mnie,  
By czuć wzajemność — niestety! daremnie.  
Pragnęłam kochać, kochać jestem zdolną,  
Lecz czułam, czuję — wprzód trzeba być wolną.  
Jam niewolnica — cóż że z łaski pana  
Na panią innych niewolnic wybrana?  
Gorzkie pieszczoty, gdy je przyjąć każą,  
Podlęca wierność, pod dozorców strażą;  
Lecz trudniej jeszcze, gdy wstręt serce mrozi!  
Udawać czułość — bo pan gniewem grozi!

Stokroć w dzień muszę w duszy mej złorzeczyć  
Zimnym „czy kochasz?“ nie śmiejąc zaprzeczyć.  
Bierze mą rękę — ni daję, ni bronię,  
Krew w niej jak martwa, ni krzepnie, ni płonie.  
Patrzy mi w oczy — niezmiészana stoję;  
Ust jego żarem nie palą się moje.  
Sama się sobą muszę tylko brzydzić.  
Nie dość kochałam, by choć znienawidzić.  
Nie, nie nie czuję! — Odchodzi — nie pytam  
Gdzie? kiedy wróci? — Powraca — nie witam,  
Nie widzę prawie. — Straszliwa rozwaga,  
Czuję, jak coraz wstręt i sytość wzмага.  
O! gdybyż wreszcie nasycon wzajemnie,  
Chciał sobie miłszą wynaleźć odemnie,  
I mnie zostawił — przed godziną boju  
Mogłabym jeszcze powiedzieć: w pokoju! —  
Lecz już się stało! — Dzisiaj jeszcze muszę  
Udawać czułość — nim twe więzy skruszę.  
Za smutne życie ocalone brance,  
Zbawcę mojego chcę wrócić kochance;  
Wrócić jej sercu szczęście i wesele,  
Jakiego sama z nikim nie podzielię. —  
Bądź zdrow! — dzień świta, straże zejść nas mogą. —  
Nie umrzesz dzisiaj — okupię cię drogo“. —

## XV.

Rzekła, i ręce okute Konrada  
Z tkliwą pokorą do serca przykładą.  
Poszła, jak przysła — jako sen przelotny.  
Byłaż tu ona? — znówże on samotny? —

Jakażto kropla, jak brylant promienny,  
Łśni na okowach od jasności dziennej?  
Łza ta najświętsza — niewieściej czułości —  
Najdroższa perła, co z morza litości  
Nim tkliwa dusza na świat ją uroni,  
Już wygładzona w Cherubina dłoni!

O! jak uroczą, jak silnie zwyciężka,  
W oczach kobiety, jej łza czarnoksięska!  
Broń jej słabości — razem miecz i tarcza,  
Jak do obrony, do zwycięstw wystarcza.  
O! nie patrz na nią! — Cnota z drogi boczy,  
Mądrość się zbłąka, gdy w nią wlepi oczy.  
Jedna łza w oku egipskiej królowej —  
Pierzchnął bohater, świat poszedł w okowy.  
Lecz nie potępiać błędu tryumwira! —  
Tyłu się nieba, nie ziemi wypiera,  
Rzuca się w piekło, wieczność w mękach pędzić,  
By zalotnicy kilku łez oszczędzić! —

## XVI.

Ranek — przez kraty na twarz więźnia pada  
Dzień — co kres wszystkich dni mu zapowiada.  
Dzień już bez jutra, a w nim pamięć *wczora*,  
Straszniejsza stokroć, niż widok upiora! —

Wczora pan morza, wódz dzielnych zastępów! —  
Dziś, jeniec wrogów — może pastwa sępów,  
Kiedy to słońce, co wschodzi tak jaśnie,  
Okiem już jego niedojrzane zgaśnie,  
Gdy wkoło świeżość chłodu wieczornego  
Ożywi wszystko — wszystko oprócz niego!... —

~~~~~



## PIEŚŃ TRZECIA.

»Come vedi! — amor non m'abbandonna«. —

*Dante.*

### I.

**Z**wolna — piękniejsze niż w dziennej kolei,  
Zniża się słońce za wzgórze Morei.  
Nie w mgle, jak indziej, blade, bez promieni,  
Lecz jak ognisko żyjących płomieni.  
Po śpiącej głębi smugiem złota ciska,  
Wre zda się woda, gdy z drżeniem połyska.  
Nad wyspą Hydry, nad Eginy czołem,  
Bóg wesołości, spojrzeniem wesołem,  
Po raz ostatni luby kraj swój darzy,  
Choć w nim już dawnych nie widzi ołtarzy.  
Słupem z gór wierzchu cień zstępując siny,  
Port niepodbitej zaległ Salaminy.  
Przez głab wąwozów, we zwierciadłach fali,  
Krwawą purpurą horyzont się pali,  
Gdy na gór szczycie, jak złota korona,  
Lśni jeszcze słońca jasność zawieszona:  
Aż wreszcie blaski zagarnąwszy całe,  
Utonie do snu za Delficką skałę.

Taki był zachód dnia, w którym przed wieki  
Najmędrszy z Greków miał zawrzeć powieki.  
Jak wtedy jego uczniowie płaczący  
Drżeli o każdy promień konający,  
Gdy jak to słońce, z niem razem, przed niemi  
Mądrość ich mistrza zejść miała na ziemi! <sup>1)</sup>  
„Jeszcze nie! — jeszcze! — słońce zachód zwleka,  
Chwila rozstania jeszcze jest daleka!“ —  
Lecz słońce patrząc w konające oczy,  
Blask swój przed niemi i swe barwy mroczy;  
Żalobę zda się po kraju rozlewać,  
Gdzie dotąd Febus nie umiał się gniewać.  
I nim Cytery zakryła go skała,  
Puchar stał próżny — duch uleciał z ciała —  
Duch, co dla prawdy śmierć i trwogę przemógł,  
Co żył, i umarł — jak nikt drugi nie mógł.

Lecz patrz! mileżąca z za Hymetu szczytów <sup>2)</sup>  
Wzbija się nocnych królowa błękitów.  
Ni mgła, ni obłok, zapowiednik burzy,  
Nie émi jej kształtu, ani lic nie chmurzy.

Ówdzie śród ruin, pełnym wzrostem dumna,  
Blaskiem jej dawna bieleje kolumna;  
Tam z okrągłego minaretów wierzchu,  
Młody jej obraz połyska się w zmierzchu.  
Gajem oliwne rozsadzone drzewa,  
Gdzie skromny Cefiz wązki nurt przelewa;  
Między cyprysy gronami stojące,  
Letnich kiosków wieżyczki błyszczące; <sup>3)</sup>  
I owa palma, samotna stróżyni

Przy Tezeusza zwałonej świątyni,  
Wszystkie koleją przyńcążą oczy —  
Ślepą ma duszę, kto idąc nie zoczy!

Wojną z wiatrami Neptun zmordowany,  
Do snu Egejskie uciszył bałwany.  
W pręgach jasności złota i błękitu,  
Leżą zwierciadłem u stóp ścian granitu.  
Prócz gdzie cień wysep czerni się na wodzie,  
Wszystko się w nocnej uśmiecha pogodzie!<sup>4)</sup>

## II.

Czas do mej treści — czyż myśl od niej boczy?  
O! ziemio grecka! o! kraju uroczy!  
Któż, gdy cię poznał — o czemkolwiek pienia,  
Nie rad w nich twego uświęcić wspomnienia?  
Kto widząc z Aten zachód twego Feba,  
Ich wieczornego mógł zapomnieć nieba? —  
Nie ten, co z gościa jakby syn twej ziemi,  
Niezmienny miejscy, ni laty długimi,  
Myślą po tobie dawne licząc ślady,  
Żyje zakłęty między tve Cyklady!  
Ni hołd ten obcym pieśni swej uważa.  
Twą była, wyspa mojego korsarza —  
Wyzwól ją z jarzma, którem wróg znieważa! —

## III.

Słońce już zaszło — i jak wyspa cała,  
Z ostatnim jego blaskiem pociemniała

Dusza Medory; — trzeci dzień przeminał.  
Dziś on miał zbłąkał się? wrócić: — czy zginął? —  
Burzy nie było, wiatr wiał wciąż łaskawy.  
Anzelmo wczoraj powrócił z wyprawy,  
Lecz wieść jedyna, którą opowiada,  
Jest, że nie spotkał okrętu Konrada.  
O! gdyby spotkał! — chociaż krwawszych w treści,  
Innychby w skutku doczekano wieści! —

Noc, wiatr dmie zimny: — ona przez dzień cały  
Z okna swej wieży patrzyła na wały,  
Łudząc się widmem to masztów, to żagli,  
Nie może dłużej — niespokojność nagli.  
Zbiegła nad morze, i w lekkiej odzieży  
Błądzi niebaczna wzdłuż płaskich wybrzeży. —  
Próżno ją fala przyskająca z brzegu,  
Ohlewa rosą, o burzy ostrzega:  
Nie dba, nie zważa, w tył kroku nie ruszy,  
Nie czuje zimna — jej zimno w jej duszy!  
Aż straszna pewność tak myśl jej obiegła,  
Że gdyby wtedy kształt jego postrzegła,  
Lubby ją rozum, lub dusza odbiegła.

Wtem łódka jakaś weszła do przystani,  
W niej kilku ludzi — wszyscy krwią oblani.  
Wszyscy Konrada towarzysze śmieli.  
Uszli — jak? — sami prawie nie wiedzieli.  
Widzą Medorę, poznali zdaleka. —  
Zbliża się — milczą — każdy zda się czeka  
Aż drugi zacznie, sam w duszy niewieściej  
Bojąc się zbytniej obudzić boleści.

Ona nie pyta — ona wszystko zgadła —  
Jednak nie blednie, nie drży, nie upadła.  
W dziewiczej piersi wielkie czucia żyły,  
Dotąd swej własnej nieświadome siły:  
Póki nadzieja — bała się, płakała;  
Straciwszy wszystko — czułość skamieniała.  
I głos się w sercu z dziką ozwał mocą:  
Kto wszystko stracił, bać się niema o co! —  
Nadludzkie męstwo! jakie w sercach ludzi  
Szał chyba tylko, albo rozpacz budzi! —

„Milczycie? — dobrze! — ja nie nie chcę wiedzieć.  
Nie — jedno tylko — ktoby mógł powiedzieć?...  
Nie patrzcie na mnie z twarzą obłąkaną! —  
Prędko i krótko — gdzie go pochowano?“ —  
— „Pani! nie wiemy: — zaledwośmy sami  
Z życiem ująć mogli. — Lecz jest między nami  
Co utrzymuje, że wódz nie zabity,  
Że jest w niewoli; że go sam ukryty  
Widział pod strażą: — ranny, ale żywy“. —

Nie słucha więcej — wieści przeraźliwej  
Nie zniosło serce: — przytomność i siła  
Razem krzepnącą duszę opuściła.  
Chwieje się, padła — i nawpół umarła  
Możeby morze mogile wydarło,  
Lecz wnet ze łzami, choć dłońmi twardemi,  
Skorzy w ratunku podnieśli ją z ziemi.  
Niema sił stąpić — na rękach ją niosą —  
Skroń, piersi, morską oblewają rosą,  
Aż barwa życia wróciła na lice. —  
Posłali zbudzić śpiące służebnice,

I wnet, matrony zostawiwszy przy niej,  
Odchodzą szukać Anzelma jaskini,  
Smutnej wyprawy oznajmują skutki:  
Zbyt długa powieść, na tryumf tak krótki!

#### IV.

Złożono radę — słowa się zatliły  
Groźbą i zemstą; — nie patrzą na siły,  
Powinność woła! — zda się że Konrada  
Duch jeszcze z nimi na radzie zasiada.  
Cobądź go czeka, poprzysięgli zgodnie  
Albo go zbawić, albo pomścić godnie.  
Biada niewiernym! — bo jeszcze zostali  
Śmieli na wszystko i o nic niedbali! —

#### V.

W haremu swego głębi niedostępnej  
Zamknął się Seid, i duma posepny.  
Miłość, nienawiść naprzemian nim włada,  
Gdy lub Gulnarę wspomni, lub Konrada.

U stóp mu siedzi piękna niewolnica,  
Wzrokiem obawy patrząc w jego lica  
Mroczne; — daremnie jej piękność i sztuka  
Iskry uczucia w sercu jego szuka.  
On licząc niby kaliwa różańca,<sup>5)</sup>  
Kroplami w myślach przelewa krew brańca.

„Baszo! dniem chwały dziś cię Allah darzy,  
Bitwa wygrana, w więzach wódz korsarzy.

Ma umrzeć — słusznie! — wart twej nienawiści.  
Lecz czyżbyś większych nie osiągnął korzyści,  
Gdybyś pozwolił — sam to rozważ ściśle,  
Ja radzić nie śmiem, lecz mówię co myślę —  
By on wszystkimi skarby, które złupił,  
Ten raz, na krótko z więzów się wykupił. —  
O skarbach jego wieść cuda rozgłasza,  
Radabym żeby posiadał je mój Basza! —  
On znów, osłabion klęską poprzedniczą,  
Z resztą swych łatwą stałby się zdobyczą.  
Lecz gdy tu zginie, tamci zdjęci zgrozą  
Uciekną z wyspy i skarby uwiozą. —  
— „Słuchaj Gulnaro! gdyby mi za każdą  
Kroplę krwi jego, dyamentu gwiazdą  
Zapłacić chciano; za każdy włos jego  
Dawano sztabę złota dziewiczego;  
Gdyby, jak plotą arabscy bajarze,  
Skarb w Salomona zamknięty pieczarze  
U stóp mi sypał: — za te wszystkie dary  
Jednąbym chwilą nie zwłókl jego kary,  
Gdybym nie wiedział, że raz w mojej mocy,  
Ujść z niej nie zdoła, ni znajdzie pomocy.  
Tymczasem myśleć kazałem w seraju,  
Nad wynalazkiem nowych mąk rodzaju,  
I sam rozmyślał, jakich środków użyć,  
By ból powiększyć, a życie przedłużyć“. —  
— „Żleś sobie, Baszo! myśl mą wytlómaczył.  
Nie chcę, nie radzę, abys mu przebaczył.  
Nie! — chciałam tylko wskazać ci sposoby  
Zyskania skarbów; — gdyż co do osoby —

Choćbyś go puścił — w tym, w jakim jest stanie,  
Nigdy on całkiem wolnym nie zostanie:  
Sam ranny, banda zmniejszona połową,  
Byleś chciał, pojmać mógłbyś go na nowo“. —  
— „Mógłbym go pojmać? — i chcesz, bym dlatego  
Miał go dziś puścić? — dziś już pojmanego?  
Puścić psa Giaura, zbójcę, wroga mego?...  
Puścić? — i może powiedzieć, na czyje  
Prośby? i komu zawdzięcza że żyje?...  
Chcesz bym go może nagroził, pochwalił,  
Że mnie chciał zabić, lecz ciebie ocalił?... —  
Mądrze doradzasz! — Słuchaj, ja też radzę —  
Co powiem, zapisz w sercu i uwadze. —  
Nie wierzę tobie, kobieto! — w tej chwili  
Stwierdziłaś sama, co drudzy mówili. —  
Mów! czy gdy ciebie unosił z pożaru,  
Ujść z nim natenczas nie miałaś zamiaru?...  
Lecz nie! — milcz raczej! — ten ogień na twarzy,  
Sam już cię więcej, niżbym żądał, skarży. —  
Więc strzeż się, piękna! rada innych zbawiać,  
Patrz, czy za tobą będzie się kto wstawiać? —  
„Rozumiesz? — dosyć! — Przekłęta godzina,  
Gdy cię uniosło ramię poganina!...  
Wolałbym gdybyś!... — Lecz nie! wtedy pewnie  
Łzami kochanka płakałbym cię rzewnie.  
Dziś pan ostrzega. — Próżne twe mamidła!  
Wiesz, że zbyt lotne umiem obciąć skrzydła;  
Nie w słowach tylko grożę, i nie próżno! —  
Wejdz w siebie dobrze! — pomnij! bądź ostrożną!“ —



Powstał, i dumnym oddała się krokiem,  
Szyderstwo w ustach, gniew wisi nad okiem. —  
Nieznany jemu hart niewieściej duszy,  
Że go surowość ni groźba nie skruszy.  
Nie zna Gulnary — nie wiedział, co ona  
Czuje, gdy tkliwa — śmie, gdy obrażona. —  
W niewiarze mniema że krzywdę poniosła;  
Nie wie skąd litość w sercu jej tak wzrosła.  
Zbawca — więc słusznie, że wdzięczność dlań czuje;  
Branka — nad losem więźnia się lituje.  
Nie śledzi dalej; — niepomna na groźby,  
Na niebezpieczne znów się waży prośby.  
Znów pogardzone; — aż w głębi jej duszy  
Zawział się zamiar — nic go już nie wzruszy; —  
Ujdzie z nim z więzów — lub zginie w katuszy! —

## VI.

Tymczasem długie, tęskne, jednostajne,  
Dzień i noc przeszły. — Konrad męki tajne  
Zniósł — w strasznej walce zwątpień i bojaźni:  
Gdy każda chwila zda się chwilą kaźni,  
Gdy się krok każdy, co u drzwi rozlega,  
Zdaje być krokiem oprawcy lub szpiega;  
Kiedy głos każdy, co się ozwie w ciszy,  
Mniema ostatnim, co przed śmiercią słyszy; —  
On zniósł to wszystko — mężnie i spokojnie  
Dotrwał w najsroźszej z sobą samym wojnie.  
Gorącość bitwy, groza, wściekłość burzy,  
Dręczącą wewnątrz myśl tępi lub nuży:

Lecz być samotnym, wtrąconym w okowy,  
Być, czuć się pastwą każdej myśli nowej;  
Patrzyć w swe serce, i drżeć, lub przed marą  
Zbrodni swych przeszłych, lub przed przyszłą karą:  
Tamtych naprawić, tej nie móżd odwrócić;  
Kłać każdą chwilę, po każdej się smucić; —  
Bez przyjaciela — coby słabość wspierał,  
Coby rzekł ludziom, żeś mężnie umierał;  
Śród nieprzyjaciół — co wiesz, że potwarzają  
Jak całe życie, śmierć twoją znieważają;  
W obec mąk — które choć duch widzi śmiało,  
Nie wiesz, nie zgadniesz, jak je zniesie ciało,  
A jednak czujesz, że jęk, że łza jedna,  
Skazi twe męstwo, wrogom tryumf zjedna; —  
Gdy ci zbyt sroga surowość człowiecza  
Nadziei nawet zbawienia zaprzecza —  
A raj twój ziemski — pewniejszy niż w niebie,  
Ta, którą kochasz, daleko od ciebie: —  
Oto są myśli, w których duch Konrada  
Miota się, błąka — ale nie upada;  
To są męczarnie, które musiał znosić —  
Zniósł — źle czy dobrze? nie uległ — już dosyć.

## VII.

Przeszedł dzień pierwszy — on miał być dniem kary;  
Zszedł drugi, trzeci — nie widać Gulnary.  
Lecz co przyrzekła, stało się; — nie wróżył  
By w mocy Baszy jutra nawet dożył.  
Idzie dzień czwarty — przeminał, a z nocą  
Ciemność i burza przyszły z całą mocą.

O! jak mu luby szum, ryczenie morza,  
Gdy zapienione wre u ścian podnóża!  
Porwał się — słucha — jakby z wiatry społem  
Duch jego bujał nad dzikim żywiołem. —  
W takich on nocach, na wzdętych bałwanach,  
Po rozhukanych latał oceanach,  
Zawisał w chmurach, i z dumnym uśmiechem  
Spadał w otchłanie — ciesząc się pośpiechem!... —  
Dziś, głos tak znany, jak na pośmiewisko,  
Woła, niestety! próżno, choć tak blisko! —  
Świszcząc dmie wichry; po nad dachem domu  
Toczy się w chmurach huk ciągłego gromu,  
Bucha nań łuna błyskawic tysiąca: —  
Blask ich dla niego weselszy od słońca!  
Wdarł się ku oknu — przez kraty wyciąga  
Okute ręce — błaga czy urąga? —  
Wzniósł je ku niebu, ku chmurom — i razem  
Przyzywa gromu klątwą i żelazem. —  
Próżno! — kłębam chmura się przewala,  
I poszła dalej. — Ucisza się fala,  
Huk coraz słabszy, oddala się, głuży!  
Ustał — ucichło — martwość w jego duszy!  
Uczuł samotność, i serce zatwardził,  
Jakby ostatni przyjaciel nim wzgardził,

## VIII.

Północ — przed drzwiami usłyszał stąpanie.  
Krok lekki — coraz pomknie się, i stanie.  
Skrzypła pod kluczem klamka zardzewiona.  
„Ona!” — przeczuło serce — tak, to ona!

Anioł stróż jego! jakiebądź jej grzechy,  
Miła mu, piękna, jak anioł pociechy! —  
Lecz dziś w niej zmianę widzi wzrok Konrada.  
Krok bardziej drżący, twarz jej bardziej blada.  
Spojrzała dziko — w tym wzroku wyczytał  
To słowo „umrzesz!“ — i o nic nie pytał.

„Tak! dziś masz umrzeć! — lecz jest sposób, który...  
Który nie gorszy niż żal i tortury!“ —  
— „Ja go nie widzę — umiem znieść cierpienia,  
Com rzekł, powtarzam — Konrad się nie zmienia. —  
Lecz skąd chęć w tobie ocalić zbrodniarza,  
Gdy go świat cały potępia, spotwarza,  
Gdy, jak bądź srogie ma być ukaranie  
Sam znam, że słusznie zasłużyłem na nie?“ —  
— „Skąd ta chęć we mnie? — ty mię pytasz o to? —  
Któż mię wybawił, ustrzegł przed sromotą? —  
Skąd ta chęć we mnie? — tak ci więc z mąk długich  
Oślepla dusza na uczucia drugich,  
Że chcesz bym sama — chociaż wstydem płonę,  
Zrywała z serca skromności zasłonę? —  
Tak jest! — pomimo twych zbrodni, ja czuję  
Wielkość twojej duszy; dziwię się, lituję,  
Kocham cię! — Nie mów! ja wiem że daremnie,  
Że kochasz drugą, że kocha wzajemnie,  
Że może czulsza, piękniejsza ode mnie! —  
Lecz gdzież jest? — czemu cierpień twych nie dzieli? —  
Czemu się na to, co ja nie ośmieli? —  
Gdybym ja była twoją — o tej dobie,  
Byłbyś już wolny, albo ja przy tobie! —

Żona korsarza! samym go wyprowadzić!...

Czemże ta pani ma się w domu bawić? —

„Nie marszcz brwi! nie czas gniewać się za słowo,  
Gdy miecz na włosie wisi nad twą głową. —

Jeśli chcesz działać — jeśliś działać zdolny —

Masz, weź ten sztylet — pójdź, a będziesz wolny!“ —

— „Mam iść? — zaprawdę, w brzęczących okowach

Piękniebym stąpał po ich sennych głowach! —

Patrz! zapomniałaś widzieć o mym stroju.

A z tem narzędziem cóżbym zrobił w boju?“ —

— „Nieufny człeku! — przekupiłam strażę;

Chciwe zapłaty, uczynią co każe.

Dość wyrzec słowo, a więzy twe spadną. —

Myślisz że sama przyjść tu mogłam snadno? —

Czas choć był krótki, użyłam go godnie,

Na twój ratunek — choć może na zbrodnię. —

Zbrodnię? — nie! — nigdy zbrodnią się nie wyda

Śmierć prześladowcy. — Pójdź, zabij Seida! —

„Cóż to? tyś zadrżał? — skąd ci ta obawa? —

Jam też nie była ni dzika, ni krwawa,

Aż on sam jadłem zatrul moją duszę! —

Skrzywdził mnie, zelżył — pomszczoną być muszę.

Obwinił o to, czem dotąd gardziłam —

Tak, choć pod strażą, ja mu wierną byłam. —

Śmieć się! ty możesz — on nie miał przyczyny,

Nie! — jam się jeszcze nie czuła do winy.

Chciałam cię zbawić, krwiąbym okupiła,

Lecz nie wiedziałam, że to miłość była.

On to rzekł pierwszy — zawistny szyderca!

Sam on myśl zdrady wrzucił mi do serca.

Jam nie kochała jego, lecz nikogo  
Kochać nie śmiałam. — Kupił mię — zbyt drogo,  
Bo niekupione serce biło we mnie.

Znosiłam jednak — aż mi sam nikezemnie  
Urągać, wmawiać nie zaczął zamiaru,  
Żem chciała z tobą ujść podczas pożaru. —  
To fałsz, wiesz dobrze; — lecz wróżby zawiści  
Skrzywdzone serce prędzej, później ziści. —

„Nie sądz, że dla mnie spóźnił twe męczarnie,  
Nie! — prosić nawet nie mogłam bezkarnie.  
Na to on tylko czas tej zwłoki łożył,  
By tobie cierpień, mnie żalu przymnożył. —  
Mnie też on grozi! — czas jakiś łaskawie  
Ku swej mię pańskiej zatrzyma zabawie,  
Lecz nasycony, dość by skinał wzrokiem,  
Wór się otworzy — śmierć w morzu głębokiem! —

„Jaż mam za cacko służyć do pieszczoty,  
Nim czas ludzającej nie zetrze pozłoty? —  
Nie! kocham ciebie — poprzysięgam zbawić,  
By ci choć wdzięczność w pamięci zostawić.  
Lecz gdyby Seid nie był mię znieważał,  
Nie krzywdził sławy, życiu nie zagrażał —  
A wiem do czego okrutnik jest zdolny —  
Wtedy!... — i wtedy musiałbyś być wolny,  
Tak! — lecz krwi jego nie chciałabym przelać. —  
Teraz, jam twoją! — chcę twój los podzielać,  
Słuchać co każesz, i pełnić w pokorze. —

„Ty mię nie kochasz, nie znasz, gardzisz może —  
Nie przetom jednak gorsza, żem jest szczerza!  
Pierwsza to miłość — i nienawiść pierwsza! —

O! gdybyś kiedy wiary mej doświadczył!  
Wtenczasbyś może pojął, i obaczył  
Miłość, co płonie w sercach niewiast wschodnich! —  
„Ona ci świeci blaskiem gwiazd przewodnich,  
Ona wskazuje wolność! — Jeśliś gotów,  
Pójdź! — w porcie na nas czeka łódź Majnotów.  
Lecz w izbie, którą przejść nam trzeba właśnie,  
Śpi Seid — uderz! niech na wieki zaśnie! —  
Bledniesz?” —

„Gulnaro! przed śmiercią nie bladłem,  
Nie czułem dotąd, że tak nisko spadłem! —  
Seid jest wróg mój — mściwie i zażarcie  
Ścigał nas, szkodzi, — lecz walczył otwarcie.  
Myśmy też przyszli, moc jego osłabić,  
Pomścić się braci, i zabójcę zabić.  
Przyszliśmy z mieczem, nie z nożem; — ten, czyja  
Dłoń niewiast broni, śpiących nie zabija! —

„Nie na tom, pani, z ognia cię ratował;  
Nie chciej, bym czynu dobrego żałował! —  
Odejdź! — bądź zdrowa! — uspokój swą duszę!  
Dzień wnet zabłyśnie — ja wprzód spocząć muszę“ —

— Śpij, śpij! o wschodzie ockniesz się na palu!  
Umrzesz jak zbrodzień: cel wzgardy nie żalu. —  
Słyszałam rozkaz, widziałam zebrany  
Lud, rusztowanie, pal już zaciosany —  
Reszty nie ujrzę — nie zdołam cię przeżyć. —

„Korsarzu! trudnoź wznieść dłoń, i uderzyć? —  
Rozmyśl się! — miłość, nienawiść, zniewaga,  
Twe bezpieczeństwo tej śmierci wymaga.



Bez niej ucieczka na nic się nie przyda,

Ujść nie zdołamy pogoni Seida. —

„Pójdź! niech go słuszna nie minie zapłata,

Za moje młode, pohańbione lata,

Za krzywdy twoje, za krew braci twojej! —

Pójdź, pójdź! — cios jeden wszystko zaspokoi. —

„Co? — jeszcze nie śmiesz? — Więc ja się odważę! —

Ujrysz, co ręka kobiety dokaże. —

Straż przekupiona — wychodź stąd czem prędzej! —

Ujrzym się wolni — albo nigdy więcej!“ —

## IX.

Rzekła — nie czeka, nie chce odpowiedzi.

Znikła — on drżący oczyma ją śledzi.

Wlokący łańcuch w węzeł zebrał w ręku,

By i szedł wolno, i nie wydał brzęku. —

Drzwi otworzone — wyszedł; — strażę zdjęte,

Pusto i ciemno — przejście wąskie, kręte.

Nie wie gdzie idzie; ręką ścian się trzyma. —

Blask jakiś mglisty mignął przed oczyma:

Czy światłoienne? — wierzy i nie wierzy.

Iść czy nie? — poszedł; — chłód rzeźwiący, świeży,

W twarz mu powionął; — czuje woń poranku.

Wnet na otwartym ujrzał się kruzganku —

Odetchnął wolno, spojrział wkoło siebie. —

Ostatnie gwiazdy bledniały na niebie,

Wschód się zajmował brzaskiem; — wtem z uboczy

Blask, jakby lampy, uderzył go w oczy.

Z samotnej izby blask się ten przeciska —

Drzwi wpół przemknięte — wpatruje się z blizka:



Światło jest wewnątrz, lecz przy niem nikogo. --  
Usłyszał szelest, i cofnął się z trwogą.

Szybкими kroki, białą otulona,  
Postać wybiegła — stanęła — to ona!  
Dłoń jej bezbronna, krew szat nie plamiła  
„Dzięki jej sereu, dzięki! — nie zabiła!” —  
Spogląda na nią: obłęd w jej spojrzeniu,  
Jakby je w jakimś utkwiała widzeniu!...  
Stanęła — bacznie nasłuchuje uchem:  
Cichość dokoła! — konwulsyjnym ruchem  
W tył odrzuciła włosy, co po całej  
Twarzy i piersiach w nieładzie spadały:  
Znać że musiała nachylać się nisko,  
Na jakieś straszne patrząc widowisko, —  
Zwraca się — wzrok jej spotkał się z Konradem. --  
Cofnął się przed nią. — Na jej czole bladem,  
Nad brwią — nieznaczną — której pewno sama  
Dojrzeć nie mogła — jedna mała plama! --  
Ujrzał jej barwę — mdłość mu wzrok zaćmiła --  
Pojął, zgadł wszystko — to kropla krwi była!

## X.

Bywał on w bitwach — w niewoli bezbronnej  
Czuł blizkie męki śmierci nieuchronnej;  
Wykraczał, cierpiał, i jeszcze nie zgadnie  
Czy to okucie z rąk jego opadnie:  
Lecz nigdy bitwa, niewola, zgryzota,  
Która nim kiedy miotła lub miota,  
Żadne cierpienie w całej swojej sile,  
Nie przeraziło, nie wstrząsało go tyle,

Jako ta plama, ta kropla zbrodnicza! —  
W niej zgasł mu urok pięknego oblicza.  
Widok krwi nieraz męstwo w nim zagrzewał,  
Lecz gdy ją w boju, męczyzna przelewał! —

## XI.

„Stało się! — pójdźmy! — Porwał się był z trwogą.  
Lecz już się stało! — kosztujesz mię drogo!  
Pójdźmy stąd, pójdźmy! — nie tu czas na słowa! —  
Patrz! dzień już świta — łódź czeka gotowa.  
Kupione straże wnet za mną pośpieszą,  
Wszyscy chcą z twoją połączyć się rzeszą.  
Czyn mój w wolniejszej uniewinnię porze,  
Gdy już bezpieczni wypłyniem na morze“.

## XII.

Klasnęła w dłonie: — skryci, niedalecy,  
Wbiegli jej słudzy — Murzyni i Grecy.  
Zdjeli okowy na rozkaz władczyni. —  
Znowu on wolny jak wiatr na pustyni!  
Lecz w sercu jego taki smutek cięży,  
Jakby z rąk na nie przełożono więzy.

Skinęła — drzwi się otwarły tajemne.  
Wiodą ku morzu przez przejścia podziemne.  
Wyszli za miasto — przyśpieszają biegu,  
Gdzie fala szemrząc srebrzy się po brzegu...

Konrad szedł zwolna — nie dba i nie bada  
Co go ma spotkać? — swoboda czy zdrada?  
Czuje że opór na nie się nie przyda,  
Jak gdyby jeszcze był w mocy Seida.

### XIII.

Łódź czeka — wsiedli; — rozdeły się żagle,  
Pękł sznur — łódź w pianach zaryła się nagle,  
I poszła z wiatrem. — Cieszy się gromada! —  
Ileż tu wspomnień dla duszy Konrada! —  
Dumał sam w sobie — aż gład nad zatoką,  
Gdzie wysiadł na ląd, spotkał jego oko.  
Ach! od tej nocy, on, choć czas tak krótki,  
Wiekowe przeżył trwogi, zbrodnie, smutki! —  
I gdy cień głazu posepny, olbrzymi,  
Sięgając łodzi, czernił się nad nimi,  
On wzrok odwrócił, twarz płaszczem obwinał,  
I stał dumając, aż ten cień przeminał.  
Przypomniał wszystko — Gonzalwa, swą nawę,  
Braci swych, tryumf, klęskę, więzy krwawe,  
I onę — tkliwą, kochaną jedynie!... —  
Wzniósł wzrok, i ujrzał — Gulnarę, zbójczynię.

### XIV.

Długo w milczeniu spoglądała z trwogą  
Na odwróconą twarz, zimną i srogą.  
Spojrzał — nie zniosła oczu jego mroźnych.  
Dzikość jej wzroku zgasła w łzach — zbyt późnych!  
Uklękła przed nim — dłoń łamie w rozpacz:  
„Przebacz mi! — Allah może nie przebaczy:  
Aleś ty sądzić powinien łagodniej! —  
Cóżby się z tobą stało bez mej zbrodni? —  
Karz mię, gdy zechcesz — lecz ach! nie w tej chwili,  
Nie dzisiaj jeszcze! — dziś pozór cię myli.

Nie jestem taką, jakem się być zdała —  
Ta noc straszliwa, ta mię obłąkała! —  
Gdyby nie miłość — niewinnąbym była —  
Lecz tybyś nie żył! — karz, gdym przewiniła!“ —

## XV.

Krzywdzi go: — siebie, a nie ją on winił.  
On źródłem zbrodni — choć jej sam nie czynił! —  
Lecz mroczne, nieme, w duszy tylko na dnie  
Krwawią te myśli — któż myśl jego zgadnie? —

Pod lekkim wiatrem pełny żagiel wzdycha,  
Mknie łódź swobodna: — woda jasna, cicha.  
Na widnokręgu, z trwogą niespokojną,  
Widzą punkt, plamkę, maszt, żagle, łódź zbrojną! —  
Znać że ich łódkę postrzegła zdaleka:  
Wszystkie swe żagle z pośpiechem nawleka.  
Olbrzymia, nakszałt morskiego straszdyła,  
Pędzi — nadbiega — nastawiwszy skrzydła.  
Półkolem w pianach zarywszy się chyżo,  
Iskrzącą ku nim zawróciła spiżą.  
Błysnęło — kula świszcząc przeleciała,  
Plusnęła w wodę, woda zasyczała.

Porwał się Konrad na znajome echo,  
Oczy się jasną zaśmiały pociechą:  
„Mój strzał! mój okręt! widzę flagę moję! —  
Jam znów pan morza — i nic się nie boję“. —

Dał znak, poznali; — okrzykiem weseli,  
Spuszczają czółno, i żagle zwinęli.

„To Konrad! Konrad!“ — ciżba na pokładzie —  
Próżny głos wodzów! — w niesfornej gromadzie  
Tłoczą się, patrzą, jak z dumną postacią  
Wchodzi na okręt — stanął między bracią!...  
Každy go wita usta i oczyma,  
Dłoń się ich ledwo od uścisku wstrzyma.  
On, wpół niepomny swej straty i klęski,  
Wita nawzajem jakby wódz zwycięzki;  
Ścisnął Anzelma dłoń — i znowu czuje,  
Że może walczyć, i że rozkazuje.

## XVI.

Umilkła radość — żal im nie pomału  
Że wódz na wolność wrócił bez wystrzału.  
Szli szukać zemsty — i gdyby wiedzieli  
Że dłoń kobiety spełniła co chcieli,  
Cześć jej królewską niosłaby gromada.  
Mniej oni trudni, niż дума Konrada;  
Wszystkie im drogi dobre, gdy u celu  
Łup albo zemsta na nieprzyjacielu.

Kryjąc uśmiechy, z podziwieniem w oku,  
Szepcą, i ku niej spoglądają z boku:  
A ona — wyższa, niższa od płci swojej,  
Krwi się nie bała — ich wzroku się boi! —  
Milczy — i na dół spuściwszy źrenice,  
Gęstą zasłonę nawlokła na lice.  
Ręce na piersiach złożone z pokorą. —  
Konrad bezpieczny — w piersiach tych nie gorą  
Gniew ni nienawiść — i cobądź w nich wrzało,  
Serce kobiety tkliwem pozostało.

XVII.

Pojał to Konrad, i czuł mimo woli  
Wstręt dla jej zbrodni, lecz żal dla niedoli. —  
Co uczyniła, żadna łza nie zmaże,  
W dzień gniewu swego niebo ją ukarze.  
Lecz już się stało! — on karać niezdolny.  
Wielka jej zbrodnia — lecz on przez nią wolny!  
Ona dla niego poświęciła siebie,  
Wszystko na ziemi, i wszystko swe w niebie!... —

Z żalem ku brance spojrział czarnookiej.  
Skróń jej schylona od myśli głębokiej,  
Bładość marmuru piękną twarz okrywa:  
I tylko jedna ta plama straszliwa,  
Krew zabitego — co barwy nie mieni,  
Śród tej bladości jedna się czerwieni!...

Ujął jej rękę — drżała — już zapóźno! —  
Tak trwożna teraz, mogłaż być tak groźną? —  
Ścisnął jej rękę — drżała — i dłoń jego  
Osłabła; uczuł drżenie głosu swego.  
„Gulnaro!“ — milczy — „kochana Gulnaro!“  
Podniosła oczy, z bojaźnią, z niewiarą —  
Wzrok jej rozjaśniał — i jakby zemdlona  
Nagle się w jego rzuciła ramiona.  
Gdyby odepchnął — on, jedna opieka! —  
Byłby coś więcej lub mniej od człowieka.  
Pozwolił zostać; — i gdyby nie ciemne  
Przeczucia serca — straszne, choć tajemne —  
Może w tej chwili ostatnia na ziemi  
Cnotaby jego poszła za drugimi.

Lecz przed nią nawet grzechem się nie stanie,  
Jedno tak pięknych ust pocałowanie!  
Pierwsze, co płochość wykradła wierności;  
Jedna nagroda — tak wielkiej miłości!

### XVIII.

Brzegi swej wyspy ujrzeli o zmroku.  
Każda się skała uśmiecha ich oku!  
U portu słyszać zgiełk, wrzawę stłumioną,  
Strażnicze ognie na swych miejscach płoną.  
W zatoce szybkie ślizgają się łodzie,  
Skacząc delfiny igrają po wodzie;  
Krzyk nawet ptastwa, co się wkrag rozlega,  
Brzmi dla nich wdzięcznie zwiastowaniem brzegu.  
Przy każdym świetle chcą dojrzeć postaci,  
Każdy swej żony, kochanki lub braci!... —  
Ach! któż tak czuje wdzięk własnej ustroni,  
Jak błędny żeglarz na burzliwej toni?

### XIX.

Pałają się światła wzdłuż całych wybrzeży,  
Lecz Konrad światła nie widzi na wieży.  
Dziwią się wszyscy, i patrzą — daremno!  
W jednej Medory oknach tylko ciemno! —  
W nich zwykło jaśnieć powitania hasło:  
Może i teraz śmiło się, nie zgasło!... —  
Rzucił się w łódkę — leniwo zbyt niosła —  
Z niecierpliwością pogląda na wiosła.  
Ach! onby pragnął sokolemi pióry,  
Wiatrem zalecieć na wierzchołek góry!...

Słabną wioślarze — znużenie ich zoczył,  
Nie czeka dłużej — i w morze wyskoczył.  
Łamie się z falą — dopłynął do brzegu,  
I biegł — na chwilę nie zwalniając biegu.

U drzwi zamkniętych wstrzymał się, i słucha:  
Wszystko uśpione — wkoło ciemność głucha!  
Puka, i głośno — echo się rozlega —  
Nikt nie otwiera, — i nikt nie przybiega.  
Puka — lecz zcichła — bo dłoń jego drżąca,  
Bo w duszy jego myśl przerażająca!... —

Drzwi się otwarły — lecz przy nich nie ona,  
Na której uścisk gotował ramiona!  
A sługa milczy: — on dwakroć próbował,  
Dwakroć chciał spytać — i słów nie znajdował.  
Porywa lampę — w pośpiechu i trwodze  
Z rąk mu wypadła, i zgasła przy nodze. —  
Poszedł w ciemności — lampa tylko druga  
Z głębi mrocznego kurytarza mruga.  
Rozemknął izbę — wszystko się odkryło,  
Co serce jego czuło — nie wierzyło.

## XX.

Nie wyszedł, nie padł, nie płakał — wzrok wlepił,  
Zimny dreszcz serce ścisnął — nie pokrzepił.  
On patrzył — boleść wzrastała tajemnie —  
Czuł, lecz pomyśleć nie śmiał, że daremnie!...

Za życia ona piękniejszą nie była.  
Śmierć ją jak dziecię do snu utuliła.  
Zimny kwiat, tkwiący w jej zimniejszym ręku <sup>6)</sup>,  
Trzyma z ujęciem tak żywego wdzięku,



Że zda się żartem utaiła we śnie,  
Że jeszcze budzić i płakać zawczasie! —  
Śnieżne powieki rżęsami długiem  
Ćmia — myśl się wzdryga na to, co pod niemi!... —

Tam to się naprzód pastwi śmierć niszcząca,  
Gdy duszę z tronu światłości wytrąca,  
I promieniste gwiazdy życia gasi:  
Choć blask ich jeszcze, jak w niej, usta krasi!  
Zda się uśmiechem zmordowane mile,  
Drzemia — nim znów się uśmiechną za chwilę!... —

Lecz biała, lekka, przejrzysta zasłona,  
Żadnym na piersiach tchem nieporuszona;  
Lecz włos jej długi, utrefiony, lśniący,  
Martwo na śnieżnych ramionach leżący,  
Co kiedyś w pasma rozwiany promienne  
Wonnością wiatry napawał wiosenne;  
Lecz twarz jej blada — nieruchoma postać!...  
Ona umarła! — Maż on sam tu zostać? —

## XXI.

Nie pytał o nic — cóż nada pytanie?  
Umarła, widzi — wie, że nie powstanie. —  
Miłość lat młodych, nadzieja następnych,  
Źródło chwil miłych, osłoda posepnych,  
Jedyna, którą między żyjącami  
Nie nienawidził, kochać mógł na ziemi:  
Wszystko mu wzięte! — On zasłużył na to —  
Ach! i tem srożej czuł boleść nad stratą:  
Czuł bez pociechy. — Cnota ulgę znajdzie  
Tam, kędy zbrodnia ni dojrzy, ni zajdzie.

Żli, dumni, cel swój co tu założyli,  
Tracąc go, wszystko tracą w jednej chwili,  
Choćby rzecz błahą — lecz wszystko co mieli! —  
Któż się bez żalu z swem szczęściem rozdzieli? —

Niejedno czoło stoickie i oko  
Maskują tylko ranę zbyt głęboką;  
Niejedna rozpacz stroi się w uśmiechy,  
Aby daremnej nie żebrać pociechy,  
Na niewetowne straty albo grzechy! —

## XXII.

Któż z tych, co czują, wysłowi katusze,  
Gdy chaos cierpień zwali się na duszę?  
Gdy tysiąc myśli płacze się i mięsza,  
A wszystkie dręczą, żadna nie pociesza?  
Gdy sercem coraz szarpia czucia nowe,  
A ból ich ustom odbiera wymowę?... —  
Któż to wysłowi? — Pod takim brzemieniem  
Dusza Konrada łamie się z cierpieniem;  
A zda się czułość straconej na świecie  
W serce mu weszła — i płakał jak dziecię!... —  
Słabość to tylko, nie pociecha była,  
Wydała boleść — ulgi nie sprawiła.  
Nikt łez nie widział — i w tej nawet porze  
Przy świadku z serca nie wyszłyby może.  
Sam je wnet otarł; — znów długo spoglądał —  
Wyszedł — pociechy ni szukał, ni żądał.  
Czy słońce wejdzie — ciemny mu blask słońca;  
Czy noc zapadnie — noc jego bez końca! —

Niema ciemnoty, jak smutku pomroka,  
Niema ślepoty, jak ponurość oka,  
Co na nic patrzeć nie chce, i unika,  
I idzie w ciemność — ach! bez przewodnika! —

### XXIII.

Serce w nim było tkliwe: lecz skrzywdzone,  
Strute zbyt wczesnie, zbyt długo drażnione,  
Poszło ku złemu; — czucia były czyste:  
Lecz jako rosy krople przezroczyste,  
W głębi grot zimnych, niedostępnych słońcu,  
Ścieły się, skrzeły, skamieniały wkońcu. —

Grom kruszy skały: — serce w nim jak skała,  
Śmierć je Medory jak piorun strzaskała.  
W cieniu się skały jeden kwiat rozwijał,  
Cię groźny innym, jemu służył, sprzyjał;  
Nadeszła burza — grom zniszczył od razu  
Lilii piękność i wytrwałość głazu.  
Żadnego liścia nie zostało z kwiatu,  
By jego życie, śmierć przypomnieć światu;  
A strzaskanego głazu zimne szczątki  
Leżą — już tylko grobowe pamiątki! —

### XXIV.

Ranek — południe — nie widać Konrada. —  
Samotność jego szanuje gromada.  
Poszli nakoniec. — Pusta była wieża.  
Wódz znikł! — Przebiegli wyspę i nadbrzeża.  
Noc — jego niema; — szukali noc całą,  
Imię Konrada echa zmordowało.

Góry, doliny, jaskinie przebiegli —

Próżno! — Dzień nastał — przy brzegu postrzegli

Zerwany łańcuch, gdzie barka stać zwykła.

Uszedł! — z nim piękna niewolnica znikła. —

„Ha! a więc w pogoń! — wiatr ten sam co wczora!”

Żeglują w pogoń. — Mylna, czy nieskora! —

Minęło wiele tygodni, miesięcy —

Konrad nie wrócił — nie powróci więcej!

Śladu ni wieści, gdzie swój żal tułaczy

Ukrył przed światem, lub zginął z rozpacz.

Długo się wierna smuciła gromada;

Świetny grób wzniesli kochance Konrada.

Jemu nikt grobu, pomnika nie święci:

Zostało tylko długich lat pamięci

Imię Korsarza, i powieść smucąca,

Jedynej cnoty — a zbrodni tysiąca <sup>7)</sup>.

## PRZYPISY AUTORA.

Czas w tej powieści mógłby się zdawać za krótkim na wypadki, lecz każda z wysp Egejskich leży o kilka tylko godzin żeglugi od lądu, a łaskawy czytelnik raczy sobie wyobrazić wiatr taki, jakiego ja sam nieraz w istocie doznałem.

### PIEŚŃ PIERWSZA.

1. Str. 19. . . . . Będziemy oboje  
Czytać z Aryosta Olimpi żale,  
Gdy zdrajca śpiącą zostawił na skale.

*Orlando Furioso. Pieśń X.*

2. Str. 24. Ruszyły wiosła — jak gwiazd droga mleczna,  
Iskrzy za nimi jasność fosforyczna.

W nocy, szczególnie pod cieplejszą strefą, za każdym uderzeniem wiosła, za każdym poruszeniem czółna lub okrętu, daje się widzieć pewna mdła jasność, która jak błyskawica z wody wynika.

### PIEŚŃ DRUGA.

Słyszałem zarzut, że wejście Konrada, przebranego za szpiega, jest niezgodne z naturą. Być może. -- Coś podobnego jednak w historii znalazłem.

„Cheąc przekonać się własnymi oczyma o sile Wandalów, Majorian przemieniwszy kolor swych włosów, udał się sam do Kartaginy w charakterze własnego posła swojego; i Genserik nie pomahał żałować, gdy się potem dowiedział, że podejmował i wypuścił cesarza rzymskiego. Podanie to możnaby za zmyślane uważać; ale jest to zmyślenie, które tylko w życiu bohatera użyte być mogło“ (Gibbon).

Że charakter Konrada nie jest całkiem w sprzeczności z naturą, najlepszym tego dowodem są niektóre podobieństwa historyczne, z którymi się już po napisaniu „Korsarza“ spotkałem.

„Ezzelin prisonier, dit Rollandini, s'enfermait dans un silence menaçant; il fixait sur la terre son visage féroce, et ne donnait point d'essor à sa profonde indignation. — De toutes parts cependant les soldats et le peuple accouraient; ils voulaient voir cet homme, jadis si puissant, et la joie universelle éclatait de toutes parts“.

„Ezzelin était d'une petite taille; mais tout l'aspect de sa personne, tous ses mouvements indiquaient un soldat. — Son langage était amer, son déportement superbe — et par son seul regard, il faisait trembler les plus hardis“ (Sismondj).

„Gizericus (Genserik, król Wandalów, zdobywca Kartaginy i Rzymu) statura mediocris, et qui casu claudicans, animo profundus, sermone rarus, luxuriae contemptor, ira turbidus, habendi cupidus, ad solicitandas gentes providentissimus“ etc. etc. (Jornandes de Rebus Geticis).

Pozwalam sobie przytoczyć te fakta na usprawiedliwienie mego Korsarza i Giaura.

1. Str. 27. Gdy Almy w środku tańczują wesoło.

Almy — tanecznice.

2. Str. 30. Prawa zakonu i ślub mój przed Bogiem.

Derwisze dzielą się na zakony rozmaitych reguł jak mnisi.

3. Str. 32. I rwąc swą brodę wściekły wybiegł z sali.

Powszechny i wcale nie nowy objaw gniewu Muzułmanów (*Patrz Pamiętniki księcia Eugeniusza na karcie 24*). „Seraskier został ranny w udo, i gniewny, że z bitwy ustąpić musiał, wyrwał sobie całą swą brodę“.

4. Str. 34. Krótko wódz spojrział na wdzięki Gulnary.

Gulnara, imię niewieście, znaczy dosłownie: kwiat granatu.

5. Str. 43. I nie raz światu zamiast pożegnania  
Żart płochy rzuca z wierzchu rusztowania.

N. p. Tomasz Morus na rusztowaniu, i Anna Boleyn w więzieniu, gdy obejmując dłonią swą szyję, zrobiła uwagę; „iż zanadto cienka, aby mogła mistrzowi wiele trudu przyczynić“. — W czasie rewolucyi francuskiej stało się prawie modą, aby ginąć pod gilotyną, jakie „*bon mot*“ po sobie zostawić. I zbiór tych wszystkich dowiecipnych słówek, w ciągu całej rewolucyi rzeczonych, utworzyłyby bez wątpienia książkę znacznej objętości.



## PIEŚŃ TRZECIA.



1. Str. 49. Mądrość ich mistrza zajść miała na ziemi.

Sokrates wypił cykutę nieco przed zachodem słońca (czasem naznaczonym), pomimo prośb uczniów swoich, aby się wstrzymał, nim słońce nie zajdzie.

2. Str. 49. —Lecz patrz! milcząca z za Hymetu szczytów...

Zmrok w Grecyi jest bez porównania krótszy niż u nas — dni są dłuższe w zimie, krótsze zaś w lecie.

3. Str. 49. Letnich kiosków wieżyczki błyszczące...

Kioski, są to letnie mieszkania Turków. — Nurt Cefizu jest w istocie bardzo wązki — a Ilissus wcale bez wody.

4. Str. 50. Prócz gdzie cień wysep czerni się na wodzie,  
Wszystko się w jasnej uśmiecha pogodzie.

Cała strofa tej pieśni pod n. I. jest tu może nie wie-dzieć po co, i należała do innego poematu, nie ogłoszonego choć drukowanego, a była napisana na miejscu, wiosną 1811 r. — Czytelnik więc, ja sam nie wiem dla czego, musi przebaczyć, jeśli może, że ją tutaj znajduje

5. Str. 53. On licząc niby kaliwa różańca.

Kombołajo, albo różaniec muzułmański, zawiera ziarn dziewięćdziesiąt dziewięć.

6. Str. 71. Zimny kwiat, tkwiący w jej zimniejszym ręku.

Na wschodzie jest zwyczaj rozsypywać kwiaty przy cia-łach zmarłych, i dawać bukiet w ręce młodych osób.

7. Str. 75. Jedynej cnoty, a zbrodni tysiąca.

Że uczucie honoru, które jest cechą charakteru Kon-rada, nie wykracza z granic prawdopodobieństwa, mogłaby tego dowieść niejako następująca historyczna wiadomość o jednym amerykańskim rozbójniku morskim z r. 1814.

Czytelnicy nasi słyszeli bez wątpienia, o wyprawie prze-ciwno rozbójnikom morskim w Barrataryi; że jednak nie wszyscy mogą być dokładnie uwiadomieni o położeniu, hi-storyi i naturze tego zakładu, kładziemy tu następujące opo-wiadanie naocznego świadka, spodziewając się, że to dla wielu czytelników obojętnem nie będzie.

„Barratarya jest to zatoka, a raczej wązkie długie ramię odnogi Meksykańskiej. Rozciąga się wzdłuż żyznego lecz bardzo płaskiego kraju, i aż o milę tylko do rzeki Mississipi dochodzi 15 mil poniżej miasta Nowego Orleanu. Zatoka



ta dzieli się na niezliczone gałęzie, w których przed najściślejszem poszukiwaniem, bezpiecznie ukryć się łatwo. Prócz tego ma jeszcze związek z trzema jeziorami, leżącemi na południowo zachodnim jej brzegu, i łączącemi się z czwartem, także Barratarya zwanem, które przytyka do morza, i właśnie w miejscu zetknięcia się tworzy wyspę, z dwóch stron temże jeziorem, zresztą morzem oblaną. W roku 1811 wschodni i zachodni brzeg tej wyspy od strony lądu, zostały umocnione warownią przez bandę zbójców morskich, pod dowództwem niejakiego Monsieur La Fitte, niegdyś kapitana w wojsku Napoleona. Banda ta po większej części składała się z tej klasy mieszkańców Luizyany, którzy uciekłszy z wyspy St. Domingo, podczas zamieszek tamże wynikłych, udali się byli naprzód na wyspę Kuba; lecz wnet z niej, z powodu wojny Francyi z Hiszpanią, wygnani, przybyli nieproszeni do Zjednoczonych Stanów i prawie wszyscy w kraju Luizyany osiedli.


Wyspa Barratarya leży pod 29 stopniem szerokości a 92 długości geogr. i słynie zdrowem powietrzem i wielką obfitością ryb wszelkiego rodzaju. Naczelnik bandy, na wzór Karola Moora w tragedyi Szyllera, obok wielu występków posiadał niektóre cnoty. W r. 1813 zuchwałość i łupieztwa jego hordy, zwróciły na nią baczną uwagę wielkorządcy Luizyany, który, aby ją tem łatwiej mógł zniszczyć pozbawiając wodza, ogłosił 500 dolarów nagrody za głowę Lafitta znanego dobrze mieszkańcom Nowego Orleanu, już to przez swoje z nimi związki, już to z powodu, że był niegdyś w tem mieście sławnym nauczycielem sztuki fechtowania. — Na to ogłoszenie wielkorządcy, Lafitte odpowiedział wzajemnem, obiecując 15,000 dolarów za głowę wielkorządcy. Ten naówczas wysłał oddział wojska z rozkazem zdobycia wyspy Lafitta, zniszczenia ogniem wszelkiej własności zbójców, i przywiezienia ich samych do Nowego Orleanu. Oddział ten, pod dowództwem dawnego niegdyś współnika i najzaufańskiego przyjaciela Lafitta, podstąpił pod samą wyspę od strony lądu, nie widząc żywej duszy, ani słysząc głosu

ludzkiego. Lecz nagle usłyszano gwiznienie, podobne do hasła majtków, i cały oddział ujrzał się otoczonym przewyższającą siłą zbrojnych ludzi, którzy nań z zasadzki wypadli. W tej okoliczności, nowy Karol Moor rozwinął szlachetne rysy swego charakteru. Nie tylko bowiem darował życie człowiekowi, który go zdradził, który na życie jego i na wszystko co mu drogiem było nastawał; lecz nadto ofiarował mu taką sumę pieniędzy, iż mu na przystojne aż do śmierci utrzymanie się wystarczyć mogła, i choć ją ów z pogardą odrzucił, bezpiecznie mu do Nowego Orleanu powrócić do, zwolił. — Wypadek ten i kilka podobnych, przekonały, że wyspa korsarzy od strony lądu jest niezdobyta. — Postanowiono więc uderzyć na nią od morza. Zrazu siła morska przy tych brzegach będąca, nie była dostateczna do tego przedsięwzięcia, i ze stratą przez Lafitta odpartą została. — Lecz ściągawszy posiłki, ponowiono napad, który się nareszcie zupełnem zniszczeniem bandy korsarzów zakończył. — (*Z gazety amerykańskiej*).

W dykeyonarzu biograficznym Grangera, kontynuowanym przez Noblego, w życiu arcybiskupa Blackbourne, znajduje się szczególne miejsce, które ponieważ ma niejaki związek z rzemiosłem bohatera mego poematu, nie mogę oprzeć się pokusie, umieszczenia go tutaj.

„Jest coś tajemniczego w historyi i w charakterze doktora Blackbourne. Pierwsza, nigdy dokładnie znaną nie była; lecz biegały wieści, że był niegdyś korsarzem, i że jeden z jego braci w rzemiosło, powróciwszy do Anglii, rozpytywał się głośno o dawnym swoim towarzyszu Blackbourne, i nie chciał wierzyć gdy mu powiadano, że został arcybiskupem w Yorku. Ta wieść jednakże, zdaje się być tylko bezzasadną potwarzą. Jako arcybiskup, postępował on zawsze z wielką roztropnością, i jako stróż dochodów dyecezalnych na powszechny szacunek zasłużył. — Wprawdzie szeptano pokątnie, że zachowywał jeszcze wiele błędów młodości, i że uwielbienie dla płci pięknej trzymało nie ostatnie miejsce na liście jego słabości. — Lecz gdy przy tyłu oskarże-

niach, o nie istotnie przekonany nie był, wszystkie te wieści uważam tylko za skutek zawistnej złośliwości. — Bo czyż podobna, aby rozbójnik morski mógł być tak uczonym człowiekiem, jakim bez zaprzeczenia był Blackbourne? On, który posiadał tak doskonałą znajomość pisarzy starożytnych, mianowicie tragików greckich, iż był w stanie czytać ich z równą łatwością jak Szekspira, musiał poświęcić wiele pracy nauce języków starożytnych, i mieć na to wiele czasu i dobrych nauczycieli. Jakoż niewątpliwie wiadomo, że odbierał nauki w Oxfordzie. Przyznawano mu powszechnie, że był bardzo w społeczeństwie przyjemnym, z czego nawet zrobiono przeciw niemu zarzut, mówiąc, że więcej serc niż dusz pozyskał. —



# NARZECZONA Z ABYDOS

POWIEŚĆ TURECKA

LORDA BYRONA.

Had we never loved so kindly,  
Had we never loved so blindly,  
Never met, or never parted,  
We had ne'er been brokenhearted.

*Burns.*



## PIEŚŃ PIERWSZA.

### I.

**Z**nacie kraj, gdzie laur chwały i cyprys żałoby.  
Godłem są dni obecnych i wieków minionych?  
Gdzie żałośna turkawka, i sęp krwawo-dzióbny,  
Powtarza dzikość panów, i jęk zwyciężonych?  
Kraj cedrów w niebo roślących, i winnic nektaru;  
Kraj niewiedzącej wiosny, i wiecznej pogody;  
Kędy skrzydła Zefirów, od woni ciężaru  
Słabieją, przelatując różane ogrody?  
Gdzie wśród gajów zieleni błyszcząca cytryna,  
Dziś jeszcze Hesperyjskie sady przypomina;  
W jagodach złoty balsam oliwy dojrzewa,  
A w cieniu drzew jej słowik nie przestając śpiewa?  
Kraj, gdzie ziemi zieloność i niebios lazury  
Walczą o piękność barwy przed słońcem bez chmury,  
A ocean gra ogniem najżywszej purpury?  
Gdzie dziewice jak kwiaty, co noszą do tańców?  
Gdzie wszystko piękne, boskie — oprócz serc mie-  
[szkańców? —

Kraj to Wschodu! kraj słońca, co mu naprzód świeci! —  
Możesz się tak uśmiechać na zbrodnie swych dzieci? —  
Dzikie, jak krzyk wiecznego rozstania boleści,  
Są ich serca — i czyny — i o nich powieści.

## II.

Otoczon tłumem niewolników gronem,  
Lśniących od złota, i z kornym pokłonem  
Gotowych służyć dworaczo czy zbrojnie,  
Za orszak w domu, lub za straż na wojnie,  
Jak się podoba i baszy i panu:  
Zasiadł Giaffir\*) śród swego dywanu.  
Z brwi nasepionych i groźnego oka.  
Znać że go trapi jakaś myśl głęboka.  
I choć nie łatwo z twarzy Muzułmana  
Wyczytać duszę — nawykłą przed tłumy  
Kryć wszystkie swoje uczucia, prócz dumy —  
Twarz Giaffira mroczna, zadumana,  
Zdradza coś więcej, niżby wydać żądał,  
Więcej, niż ścierpi aby dwór oglądał.

## III.

„Chcę być sam“ — skinął — skinieniu pańskiemu  
Posłuszni, tłumem ku drzwiom się cofali. —  
„Zawołać do mnie dozorcę haremu!“ —  
Już w głębi sali, sam na sam zostali,  
Basza z swym synem; i w progu zdaleka  
Wezwany murzyn na rozkazy czeka.

---

\*) Czytaj *Giaffir*.

„Słuchaj, Harunie! skoro tłum ten cały  
„Wyjdzie z pałacu za bramę i wały —  
„Bo biada głowie, którejby żrenice  
„Śmiały wzrok podnieść na Zulejki lice!  
„Córke tu moją przywiedziesz z haremu  
„Dziś chcę na przyszłość ustalić jej dołę. —  
„Mów, niech pośpiesza; lecz nie mówiąc: czemu?  
„Sam chcę jej pierwszy objawić mą wolę<sup>2</sup>. —

— „Baszo! mem prawem są rozkazy twoje!<sup>2</sup>  
Niewolnik innej odpowiedzi nie ma. —  
I już wychodził za sali podwoje.  
Kiedy go ramię wstrzymało Selima.

Selim z potrójnym, głębokim pokłonem  
Wrócił ku baszy, i z okiem spuszczonem.  
Nieśmiałym głosem rzekł, stojąc przed tronem:  
Bo muzułmana nie ośmielić niczem.

Aby śmiał usieść przed ojca obliczem.  
„Bojąc się, ojcze! abyś się nie gniewał.  
„Czy na Haruna, czy na siostrę moję.  
„Jeśli tak rychło, jakbyś się spodziewał.  
„Nie zdąży przybyć na rozkazy twoje:  
„Wyznam mą winę — jeśli w tem jest wina.  
„Że we mnie jednym tej zwłoki przyczyna.  
„Słońce dziś rano wschodziło tak jasno.  
„Że — chyba starcy ujrzawszy to, zasną —  
„Jam zasnąć nie mógł; — lecz w tak pięknej porze.  
„Patrzeć samemu na niebo, na morze.  
„Gdy nikt nie słucha i nikt nie podziela  
„Natchnionych myśli i uczuć wesela.  
„Smutno jest — zwłaszcza mnie, com od powicia



„Nie nawykł znosić samotności życia. —  
„Zulejkę zatem namówilem z sobą. —  
„Tyś sam dozwolił, aby każdą dobą  
„Wstęp do haremu był dla mnie otwarty. —  
„I nim wpół senne ocknęły się warty,  
„Już my ukryci w cyprysowym gaju,  
„Pojąc się wdziękiem natury i kraju,  
„Zapominali o obecnej chwili  
„W rymach Sadego i pieśniach Leili! <sup>1)</sup>  
„Aż usłyszawszy głos bębna, postrzegłem <sup>2)</sup>  
„Że się zbliżyła godzina Dywanu,  
„I wnet, pamiętny twej woli, przybiegłem  
„Złożyć cześć winną i ojcu i panu.  
„Ale Zulejka dotąd błądzi w gaju. —  
„O! przebacz ojczy! nie nasrożaj czoła!  
„Wszakże prócz niewiast i stróżów seraju,  
„Nikt się tam przedrzeć, ni zajrzeć nie zdoła“. —

#### IV.

Gniew zawrzał w baszy: „Synu niewolnika,  
„Z niewiernej matki! — bo próżno od młodu  
„Szukałem w tobie, godnych mego rodu,  
„Uczuć człowieka albo wojownika! —  
„Ty zamiast wprawiać do boju twe dłonie,  
„Zawstydzasz strzelców, wyzywasz szermierze,  
„Ciskać dzirytę, lub ujeżdżać konie:  
„Ty, Greku w duszy, jeżeli nie w wierze!  
„Gotów iść wzdychać całe dni i noce,  
„Gdzie jakaś woda w strumieniu bełkoce,  
„Kwiat jaki pachnie, albo ptak świergoce!... —

„Niechbyż przynajmniej to słońce promienne,  
„Co tak twe oczy zachwyca bezsenne,  
„Wlało ci swego choć iskrę płomienia,  
„By i twą duszę obudzić z uśpienia! —  
„Lech nie! ty okiem patrzyłbyś nieczułem,  
„Choćby tu przyszły psie wojska pogańskie;  
„Choć by ich działa grzmiały pod Stambułem;  
„Nie! choćby wszystkie państwa Ottomańskie  
„Zależeć miały od wsparcia twej dłoni:  
„Nie śmiałybyś dotknąć zaostrojonej broni!... —  
„Precz! — niech twa słabsza od niewieściej ręka,  
„Kręci wrzeciono, gdy się szabli lęka! —  
„A ty, Harunie! śpiesz do córki mojej!  
„Ten raz przebaczam — dla starości twojej.  
„Lecz niech Zulejka raz jeszcze na nowo  
„Wyjdzie z nim kiedy — odpowiesz mi głową!“ —

## V.

Selim nie wyrzekł słowa — ale z twarzy,  
Lecz z oczu jego łatwo myśli dociec. —  
Wyrzuty baszy i słowa szydercze  
Przebodły duszę jak włócznic mordercze; —  
„Syn niewolnika! — O podłość mię skarży! —  
„Chce mię poniżyć! — najgrawać się waży! —  
„Syn niewolnika! Któż więc jest mój ojciec?“ —  
Temi myślami wrzał w duszy, a lice  
Pałały ogniem, a groźne żrenice  
Błysły z pod powiek jak dwie błyskawice. —  
Giaffir spojrział — i zląkł się widoku  
Gniewnego syna; — poznał jak go drasło

Uragowisko — i w tym jego wzroku  
Dostrzegł, lub przeczuł pierwsze buntu hasło.

„Pójdź, chłopcze! — Cóż to? nie chcesz odpowia-  
[dać? —

„O! ja znam ciebie, umiem myśl twą zbadać —

„Szkoda, żeś dłonią nie uczył się władać? —

„Lecz niechno męska urośnie ci broda,

„A wiek odwagi, albo siły doda:

„Doczekam jeszcze pociechy, jak wróżę.

„Ujrzyć cię zbrojnym — albo spotkać może!“ —

I gdy to mówił z szyderczym przyciskiem.

Wzrok dumnej wzgardy utopił w Selima. —

Selim nie zadrżał — i z uragowiskiem

Tak go nawzajem przejmował oczyma,

Że basza z trwogą obejrzał się wkoło.

I ogniem wstydu oblało się czoło.

Dla czego? — Basza dobrze czuł i wiedział

Przyczynę trwogi — lecz jej nie powiedział.

„Nie próżne, myślał, przeczucia, jak widzę.

Zem nigdy jego nie ufał przyjaźni!

Zrozumiał, odgadł, że go nienawidzę. —

I .. — lecz dłoń jego nie warta bojaźni!

Na łowach ledwo można go ośmielić

Potkać się z sarną, lub strzelbę wystrzelić:

Cóż gdyby z ludźmi miał toczyć bój krwawy.

Narażać życie dla zemsty lub sławy?...

Tak! — gdyżbym zwierzeźniej nie ufał pokorze.

Tem mniej krwi związkom — krwi, co kiedyś może...

Ha! lecz on niewie o tem!... — Nie nie znaczy!

Muszę podwoić czujność dostrzegaczy! —

Giaur, pies pogański, Arab memu oku  
Znośniejszy stokroć od jego widoku <sup>3)</sup>!“ —

„Lecz otóż słyszę głos Zulejki mojej! —  
On mi wzburzoną duszę uspokoi;  
Miły mym uszom jak hurysek pienia! —  
W niej widzę moje najśodsze wspomnienia,  
Pierwszej, jedynej miłości zadatki:  
Droższa mi nawet, miłsza od swej matki!  
Moja nadzieja, chluba, szczęście moje!  
Jedna, co kocham — i co się nie boję!“ —

„Witaj, ty moja! ty Peri, bogini!  
„Chłodna fontanna w piaszczystej pustyni  
„Mniej miła ustom spragnionym pielgrzyma,  
„Niż tyś jest zawsze przed ojca oczyma! —  
„Pielgrzym nie może czuć wdzięczności więcej,  
„Ni Prorokowi dziękować goręcej,  
„Jak ja dlań w duszy za ciebie ją czuję,  
„Jak ja mu zawsze, i teraz dziękuję.“ —

## VI.

Piękna, jak pierwsza ze stworzonych w raju,  
Gdy z zaufaniem, z weselem dziewiczem,  
Śmiała się patrząc w zakazanym gaju,  
Jak ją wąż okiem urzekał zwodniczem,  
I blask swych oczu zaszczepiał w jej wzroku —  
Źródło obłudy jej płci, i uroku! —  
Miła — jak sennej pociechy widzenie,  
Co łyż na jawie płynące osusza,

Gdy w nieśmiertelne ubrana promienie,  
Duszę płaczących cieszy zmarłych dusza;  
Tkliwa — jak pamięć miłości niewinnej;  
Czysta — jak wiara modlitwy dziecinnej;  
Była dziewica, cel ojca miłości.  
Który ją witał ze łzami — radości.

Któż nie doświadczył, że trudno słów dźwiękiem  
Dać uczuć piękność, z jej blaskiem i dźwiękiem?  
Kto nie czuł patrząc — nim niesyte oczy  
Mgła upojenia albo łza zamroczy —  
Jak wzbudzający cześć, i jak zwycięzki  
Jest niewinności urok czarnoksiężki! —  
Ona je łączy: — w niej jednej zebrane,  
Kwitną powaby — jej tylko nieznane:  
Niebieskiej łaski świętość tajemnicza,  
Pogoda myśli, swoboda dziewicza,  
Dusza — muzyka tehnąca z jej oblicza! <sup>4)</sup>  
I czułość, którą lada myśli wzrusza —  
I ach! oko! co samo już zda się być duszą! —

Skromnie na piersiach krzyżując ramiona --  
I pierwszym tkliwym słowem ośmielona,  
Na szyję ojca zarzucając ręce,  
Co jej wesołe pieszczoty dziecięce  
Dzielił i wzajem odpłacał, słowami,  
Błogosławieństwami i całowaniami —  
Zulejka przysła. — Giaffir czuł w duszy,  
Że zamiar jego miękczy się i kruszy.  
Nie by się troskał o przyszłym jej szczęściu,

Czy je mieć może w wybranem zameściu:  
Lecz myśl rozstania zamysłem zachwiała —  
Miłość ją wlała — duma pokonała.

## VII.

- „Zulejko moja! dziecię mej miłości!  
„Dziś się przekonasz, jak cię kochać muszę.  
„Gdy niepamiętny tęsknot samotności,  
„W jakiej twa strata pograży mą duszę.  
„Sam się ojcowskiej pociechy wyrzekę,  
„Aby ci męża zapewnić opiekę:  
„Męża — którego, prócz chyba Padyszcy,  
„Nikt w państwach jego niczem nie przewyższy. —  
„Bo choć Moślemin mało o ród bada,  
„Godna jest względu krew Kara-Osmana<sup>2)</sup>.  
„Której potęga, z przodków przekazana,  
„Dzierżonym krajem, jak dziedzictwem włada.  
„I w razie wojny ma na swe skinienie  
„Timariotów dzielne pokolenie. —  
„Z tej krwi Osmána wybrałem więc zięcia;  
„Dziedzie i bliski Oglu-Beja krewny. —  
„O wiek nie będziesz dbała — jestem pewny —  
„Dziecku-bym mego nie zwierzył dziecięcia!  
„Bogactwo twemu odpowiada wianu;  
„A temi śluby złączona moc nasza.  
„Urażać będzie ze śmierci firmanu.  
„Którego widok tak drugich przestrasza!  
„I gdy najśmielszy, najmożniejszy basza.  
„Śmie wprzód dać szyję, niż się oprzeć Panu:

„My uczyć będziem sultańskie Tatary<sup>6)</sup>,  
„Jakiej nagrody warte takie dary! —  
„Teraz, Zulejko! wiesz o woli mojej,  
„Wiesz wszystko, co płeć twej wiedzieć przystoi. —  
„Do posłuszeństwa, ojciec córkę skłania;  
„Sam mąż niech żonę nauczy kochania!“ —

### VIII.

Zulejka mileząc skłoniła oblicze —  
Czy żeby ukryć zmieszanie dziewicze,  
Czy łzy, któremi czuła, że nie władła,  
I twarz, co w kolej płonęła i bladła:  
Gdy słowa ojca, jak strzały, przez uszy  
Świszcząc leciały i więzły w jej duszy? —  
Lecz ten rumieniec, ta bladość, ta żałość,  
Co oznaczają? — czy wstręt? czy nieśmiałość? —

Łza w pięknem oku tak słodko porusza,  
Że nawet miłość z żalem ją osusza;  
Skromny rumieniec tak twarz piękną krasi,  
Że nawet litość niechętnie go gasi! —  
Czy to Giaffir czuł, czy nie obaczył  
Łez i rumieńca; czy zważać nie raczył: —  
Trzykroć w dłoń klasnął<sup>7)</sup> — konia podać każe:  
Rzucił z rąk cybuch oprawny w klejnoty<sup>8)</sup>,  
I szedł, gdzie zbrojne czekały go strażę:  
Janczarów, Spahów, Mameluków roty.  
I śród nich śpieszy na pole gonitwy,  
Widzieć ich zręczność i wprawiać do bitwy. —



Sam Kislar-Aga, na czele rzezańców<sup>9)</sup>.  
Został na straży haremu i szańców.

### IX.

Selim na dłoni wsparł czoło, i okiem  
Zdawał się toczyć po morzu szerokiem,  
Gdzie prac się między Dardanelskie skały.  
Z szumem w pienne popiętrza się wały.  
Nie widział jednak ni morza, ni brzegów;  
Ni nawet baszy wojennych szeregów,  
Co bliżej przed nim tocząc bój udany,  
To z koni twarde płatają turbany<sup>10)</sup>,  
To na dwie zręcznie rozbiegłszy się roty  
Biją na siebie stępionymi groty,  
A wrzask ich „Ollah!“ powietrze rodziera<sup>11)</sup>: —  
Selim nie słyszy, nie widząc spoziera  
W myśli mu tylko — córka Giaffira.

### X.

Zulejka nie śmie przerywać milczenia,  
Lecz smutek myśli zdradzają westchnienia.  
Selim wciąż z okna patrzył zamyślony,  
Niemy, i blady, i nieporuszony.  
Próżno nań siostra spogląda ciekawie:  
Nie nie wyczytać w tej zimnej postawie!  
Smutek jej równy — ale go pokrywa.  
W sercu dla brata technie miłość tak tkliwa,  
Że wstyd dziewiczy, sama nie wie czemu,  
Nie dał jej dotąd wyznać — nawet jemu.



Terazby chciała — chce mówić — daremnie!  
„Tak smutny! tak się odwraca odemnie! —  
Nie tak bywało za każdym spotkaniem;  
Czyż się raz pierwszy tak zimno rozstaniem?“ —

Trzykroć komnatę obeszła dokoła,  
Patrzając na niego; — on nie zwrócił czoła.  
Ledwo nie płacząc, pochwyciła dłonią  
Urnę stojącą z róż arabskich wonią,  
I wonnym deszczem prysnęła z niej wkoło  
Na strop, na ściany — i Selima czoło!...—  
Krople po twarzy stoczyły się zbladłej,  
I z szat złocistych na pierś jego spadły;  
On się nie wzruszył, nie zwrócił baczenia,  
Jak gdyby lice i pierś miał z kamienia.  
„Co? jeszcze smutny? — ach! któż to wytrzyma!  
Taka nieczułość — i to od Selima!...“ —

Wkrąg gmachu kwiaty najrzadsze na wschodzie,  
Kwiaty w naczyniach, jak w sztucznym ogrodzie.—  
„On lubi kwiaty! — może z rąk mych przyjmie?...—  
Musisz się rozśmiać, mój luby Selimie!“ —  
Ledwo dziecinna myśl przyszła do głowy,  
Kwiat był zerwany i bukiet gotowy:  
Z nim się po cichu zbliża niewidziana,  
I u stóp brata ugięła kolana.  
„Słowik tę różę przysyła za posła<sup>12)</sup>,  
„By ci pociechę i radość przyniosła;  
„I sam prócz tego, jak jej obiecywał,  
„Będzie noc całą dla Selima śpiewał.  
„I z wszystkich piosnek, co umie na wiosnę,  
„Wybierze same wesołe i głośne,

„Z miłą nadzieją, że jak on swe tony,  
„Odmieni myśli Selim zasmucony“.

## XI.

„Co? nie chcesz nawet przyjąć mego kwiatu? —  
„Jestże gdzie siostra bardziej nieszczęśliwa,  
„Coby nie mogła ulgi przynieść bratu,  
„Którego smutek serce jej rozrywa? —  
„O! nie patrz na mnie oczyma takimi! —  
„Któż cię nademnie kocha na tej ziemi? —  
„Bracie mój drogi! — obym droższe imię  
„Wynaleźć mogła! — mój luby Selimie!  
„Podziel twój smutek ze mną! — lub przynamnie,  
„Jeśli się gniewasz — powiedz, że nie na mnie! —  
„Pójdź, usiądź! głowę skłoń na piersi moje!  
„Ja całowaniem twą boleść ukoję,  
„Gdy cię ni płochy żart mój nie rozśmieszył,  
„Ni mój zmyślony słowik nie pocieszył. —  
„Wiem, że nasz ojciec niekiedy zbyt ostry:  
„Aleś ty takim nie bywał dla siostry!  
„Wiem, wiem, że ciebie nie kocha jak syna:  
„Ale czyż Selim o mnie zapomina?... —  
„Ach! może zgadłam? — tyś jest nie rad z planu  
„Owego związku z Bejem Karasmanu?... —  
„Może ku niemu masz powód urazy?... —  
„Powiedz mi tylko! pomimo rozkazy  
„Ojca — przysięgam na Mekki ołtarze,  
„Jeśli się na nie przysięgać odważę —  
„Że bez porady, bez woli Selima,  
„Nikt mię — sam nawet sułtan nie otrzyma! —

„Myślisz, że zniosę oddalenie twoje,  
„Lub mogę serce rozedrzeć na dwoje? —  
„Któżby nam został — jeśli się rozdzielę,  
„Mnie przewodnikiem, tobie przyjacielem? —  
„Nie, nie! dzień taki nie błysnie na niebie,  
„Coby mą duszę oderwał od ciebie!  
„Nie — sam Azrael — on, którego ramię <sup>13)</sup>  
„Wszystko na świecie rozrywa i łamie.  
„Gdy się na jedno z nas dwojga zamierzy,  
„Uczuje litość — oboje uderzy!“ —

## XII.

Ożył — odetchnął — z lic ogień wytrysnął —  
Podniósł dziewicę — do piersi przycisnął.  
Gniew, boleść znikła — z oczu niezwykła  
Radość, jak jasność, błysła spojrzeniem,  
Myśli promieniem, uczuć płomieniem.

Jak woda z gór lecąca,  
Gdy ją ciasny brzeg zwięzi,  
Wrywa się iskrząca,  
Z pod wierzbowych gałęzi;  
Jako piorun, gdy z góry  
Ogniem błysnie w obłoku:  
Tak z pod brwi tej ponurej,  
Dusza błyszczy w tem oku! —  
Na dźwięk trąby koń wrzący,  
Na wrzask łowów lew śpiący,  
Na krzyk buntu szalony  
Tyran ze snu zbudzony,

Mniej gwałtownie się wzruszy,

Mniej uczuje sił w duszy,

Jak Selim słysząc przysięgę dziewicy,

Słyszając wyznanie uczuć tajemnicy! —

„Teraz tyś moja! tyś na wieki moja!

„Bóg sam nas chyba, nie ludzie rozdwoja.

„Mojąś na wieki! — ta święta przysięga,

„Coś ty wyrzekła, oboje nas sprzega. —

„Dobrze zrobiłaś! bo przez to wyznanie

„Nie jedna głowa na karku zostanie! —

„Lecz ty się nie trwóż! — póki miecz w mej dłoni,

„Żaden włos nigdy nie spadnie z twej skroni;

„Strwożyć cię nawet nie miałbym zamiaru,

„Za wszystkie skarby pieczar Istakaru!... — <sup>14</sup>).

„Z innych się przyczyn gniew w sercu mem warzył.

„Giaffir dzisiaj zelżył mię, znieważył,

„Nikezemnym prawie nazwać się odważył!...

„Ha! teraz pora okazać mu w czynie,

„Jaka krew w synu niewolnika płynie! —

„Drżysz? — On tak nazwał! — lecz serce Selima.

„Choć się nie chęłpi przed ludźmi oczyma.

„Jeszcze mu w słowach i czynach dotrzyma! —

„Ja synem jego?... — Lecz ukój twą trwogę! —

„Tymczasem, pomnij! by przysięgi naszej

„Niebaczne słowa nie zdradziły baszy! —

„Znam ja nędznika, co u Giaffira

„Ręki się twojej i wiana napiera;

„Podlejszej duszy, i skarbów niezmiernych,

„Gorzej zebranych, nie ma kraj niewiernych

„Cheiwszy od Greka, trwożliwszy od Żyda!  
„Gorszego nadeń Egrippo nie wyda!<sup>15</sup>)... —  
„Lecz dosyć o tem! — Okiem ni językiem  
„Pomnij, tajemnie nie zdradzić przed nikim!  
„Na resztę środek znajdziemy w potrzebie. —  
„Osmana Beja, ja biorę na siebie! —  
„Słuchaj, Zulejko! — raz pierwszy wyznaję —  
„Słuchaj! — nie jestem, czem się być wydaję.  
„Tyś mi do szczęścia otworzyła drogę —  
„Mam broń, przyjaciół — zawady znieść mogę!“ —

### XIII.

— „Co? ty nie jesteś czem się być wydajesz? —  
Dziwne mi dzisiaj zagadki zadajesz! —  
„O! mój Selimie! skąd ci ta odmiana? —  
„Byłeś tak dobry, tak wesół dziś zrana! —  
„Czem cię tak mogły wzruszyć moje słowa? —  
„Że ja cię kocham — czyż to ci rzecz nowa? —  
„Kocham! jak kochać nie można goręcej,  
„Zawsze jednako — bo nie umiem więcej! —  
„Innego szczęścia nie wystawiam sobie,  
„Jak by cię widzieć, słyszeć, być przy tobie. —  
„I stąd dzień lubię, a nocą się brzydzę:  
„Że noc nas dzieli, a we dnie cię widzę. —  
„I gdybym mogła na przyszłość wybierać,  
„Z tobą chcę tylko i żyć i umierać;  
„Ciebie pocieszać, doglądać, piastować,  
„Bawić, usypiać, uściskać, całować...  
„Tak, tak! jak teraz — jak teraz!... — Już dosyć!  
„Dosyć, Selimie! — w twych ustach żar tleje! —

„Nie, nie! nie mogę! — ach! przestań mię prosić! —  
„Ja sama nie wiem co się ze mną dzieje!...  
„Obym tak zawsze być mogła przy tobie:  
„Strzedz twego zdrowia, doglądać w chorobie,  
„Rządzić twym domem — nie trwoniąc ci mienia.  
„Lub dzielić nędzę — bez łez, bez cierpienia:  
„I wszystko czynić i pełnić z pośpiechem,  
„I wszystko cierpieć i znosić z uśmiechem!... —  
„Jednej ci tylko nie oddam posługi:  
„Oczy twe kiedyś niech zamknie ktoś drugi!... —  
„Bo wiem że umrę, mając to oglądać. —  
„Mogęś co więcej — ja zrobić — ty żądać?... —

„Lecz, mój Selimie! powiedz mi, dla czego  
„Ty się tak ojca obawiasz naszego,  
„Aby się naszych uczuć nie dowiedział? —  
„Ja milczeć będę — boś ty mnie powiedział;  
„Lecz czemużbyśmy ojcu nie ufali? —  
„I to mi także powtórz zrozumiałej,  
„Coś wprzód nadmienił o sobie — o broni —  
„O przyjaciółach. — Kto są? gdzie są oni? —  
„Jabym woląa ojcu się otworzyć!  
„Gniewby mię jego nie zdołał zatrwożyć. —  
„Lecz za cóż gniewy? — Ach! nie! on pozwoli,  
„On mię zostawi panią mojej woli! —  
„Cóż w tem dziwnego, jeślibym życzyła  
„Być dla cię zawsze, jakem dotąd była?  
„Że odłączona od ludzi i świata,  
„Świat i mąż obcy przeraża mię trwogą?  
„Że nieznająca nikogo prócz brata,

- „Prócz niego kochać nie mogę nikogo?... —  
„Czyżby te dotąd uczucia bez winy.  
„Grzechem dziś były? — lub z jakiej przyczyny.  
„Mybyśmy dzisiaj prawdy się wstydzili.  
„Cośmy jak cnotę kochali i czeili?... —  
„Wiesz sam, Selimie! jak za fraszkę lada  
„Ojciec wnet na cię w zapalczywość wpada;  
„Cóż, gdybyś słuszne dał do niej powody?...  
„Strzeż nas, Allahu! od takiej przygody! —  
„Ta tajemnica — nie pojmuję czemu.  
„Jakby grzech jaki ciąży sercu memu!... —  
„Tyś ją narzucił — miej litość nademną!  
„Zdejm ją — lub rozwiąż tę zagadkę ciemną!  
„Lecz nie zostawuj w tych myślach i trwodze!... —  
„Ach! Czokadera już widzę na drodze <sup>16)</sup>;  
„Ojciec nasz wraca!... — Jak mi serce bije! —  
„Czuje, że wszystko z mej twarzy odkryje. —  
„Nigdy nie drżała na spotkanie jego —  
„Dziś drzę — i nie wiem — ty powiedz, dla czego?“ —

## XV.

- „Odejdź! ja sam tu spotkam Giaffira.  
„Będziem jak zwykle rozmawiać przy świadkach,  
„O dżumie, wojnie, firmanach, podatkach,  
„I o złych wieściach z obozu Wezyra:  
„Jak stojąc mężnie nad brzegiem Dunaju,  
„Czas nieczynnością, a lud głodem traci;  
„Za co mu kiedyś Giaur złotem zapłaci:  
„Jeśli wprzód jeszcze, za tę miłość kraju,  
„Sułtan mu stryczka nie przysze z seraju... —

„To zwykły przedmiot rozmów — i w tej chwili  
„O niczem innem nie będziemy mówili. —

„Ale pamiętaj! że skoro o zmroku

„Bęben na hasło spoczynku uderzy,

„Selim cię czeka u drzwi twojej wieży! —

„Zakryci nocą od dozorców wzroku,

„Możem bezpiecznie do jutra, do wschodu,

„Błądzić samotnie wśród wałów ogrodu.

„Strome — szpieg na nie nie wdrze się snadnie,

„A choćby wdarł się — mam sposób, że spadnie. —

„Wtedy się dowiesz o losach Selima,

„Czego nikt o nim ani wie, ni mniema. —

„Ty się mnie nie bój! zawierz sercu memu! —

„Wiesz, że mam klucze tajnych drzwi haremu...” —

— „Ja się bać ciebie? — Z twych ust taka mowa?... —

„O! mój Selimie!...” —

— „Nie trać chwil na słowa!

„Mam klucz haremu — straż rygle odsunie.

„Umiałem wzbudzić przychylność w Harunie.

„On nas nie zdradzi — zaufaj mu śmie! —

„Dziś ci odkryję mój los, moje cele. —

„Ale, Zulejko! — pomnij, że nie taję,

„Żem rzekł — nie jestem, czem się być wydaję”. —





## PIEŚŃ DRUGA.

### I.

**W**iatr huczając wzdyma Hellespontu wody,  
Jak w owej strasznej i pamiętnej nocy,  
Gdy urągając z fal i niepogody,  
Piękny, szlachetny, odważny i młody,  
Kochanek w bogów zaufał pomocy,  
I sam zwiedziony nadzieją opieki,  
Nadzieje lubej omylił na wieki! —

Lecz ach! gdy ujrzał, że z wieży jej wierzchu,  
Hasło jej, lampa połyska się w zmierzchu:  
Cóż, że mógł widzieć jak niebo się chmurzy,  
Że go krzyk ptastwa ostrzegał o burzy?  
Że wiatry w górze, ryk wałów u dołu,  
Zdały się grozić i radzić pospołu?  
On, pełen uczuć i nadziei błogich,  
Nie baczył znaków, ni głosów złowrogich;  
Na światło tylko kochanki spoglądał,  
Gwiazdę miłości! — i innych nie żądał.

Kochanki tylko śpiew słyszał zdaleka:

„Śpiesz się, mój luby! kochanka cię czeka!“ —  
Stara to powieść — lecz zawsze i wszędzie  
Miłość ją lubić i powtarzać będzie.

## II.

Wiatr dmie od morza, i w paszczę ciążniny  
Prze wał po wale, pieniaący się, siny;  
I noc ponurą rzuciła zasłonę,  
Na pola niegdyś tyłą krwi zbroszone,  
Gdzie stare grody Pryama świeciły: —  
Dzisiaj pustynia, gruzy i mogiły!  
Jedna znikłej potęgi i chwały oznaka —  
Prócz nieśmiertelnych marzeń ślepego żebraka!

## III.

Oby mi jeszcze dano na te brzegi wrócić,  
Gdziem raz już proch ich święty deptał stopą młodą:  
Łamać się, jakem łamał, z Hellespontu wodą,  
I z tobą, wieszczu Grecki! cieszyć się i smucić!  
We wszystkim widzieć ślady dzieł dawnych rycerzy,  
Wierzyć, że w każdym grobie proch półboga leży:  
Myśleć, że jako przed ich, przed memi oczyma,  
Też góry błękitnieją, toż morze się wzdyma:  
Żyć ich myślą, ich czuciem, ich wiekiem! —któż z ludzi,  
Raz tak marząc, dla wieszczu wiecznej czci nie  
[wzbudzi? —

## IV.

Pomrok okrywa ziemię i morze — nim wznijdzie,  
Jako dziewicza jego bogini na Idzie,

Ów księżyc, co stąd niegdyś patrząc skróś ciemnoty,  
Przeglądał mury Troi i Greków namioty. —

Nie klną mu dziś na zdradę śpieszący rycerze:  
Lecz błogosławią dotąd spokojni pasterze.  
Na zielonym pagórku pasą się ich trzody —  
Grób to jest Achillesa! ołtarz jego chwały!  
On, przed którym bił czołem Macedończyk młody! <sup>1)</sup>  
Który króle wieńczyły, sławiły narody!  
Grób, pomnik bohatera! — jak ciasny, jak mały!...  
Dzieł jego i imienia zapomniał lud płochy;  
Przez rozpadłe kamienie wiatr wydmuchał prochy;  
Obcy chyba przychodziń, dumając w milczeniu,  
Westchnie nad nim — i ducha wezwie po imieniu! —

## V.

Późno dziś, późno księżyc rozweseli  
Smutny pasterza nocleg, i ośmieli  
Błędną rybaka łódź — który inaczej  
Brzegów, ni drogi do nich nie zobaczy.  
Chmurą się gwiazdy zakryły przewodnie,  
Wzdłuż brzegów morskie pogasły pochodnie;  
Z Zulejki tylko samotnej komnaty  
Mdłe światło lampy miga się przez kraty.

W złotym kagańcu ta lampa się pali,  
Z góry u stropu zwieszona śród sali.  
Na sofach z tkani perskiego przedziwa,  
Leżą w nieładzie, ale pełnym wdzięku,  
Tu bursztynowe różańca kaliwa,  
Z których woń cudna rozlewa się w rękę <sup>2)</sup>;

Owdzie, w szmaragdów promienie objęty —  
(O! jak zła wróżba, że go zapomniała!)  
Z tekstem Koranu amulet jej święty <sup>3)</sup>,  
Co go jej matka przed skonaniem dała,  
By słów wyrytych mocą tajemniczą,  
Świecił jej duszy gwiazdą przewodniczą.  
I bliżej przy nim, alkoran otwarty,  
Złotem barwnemi połyska się karty <sup>4)</sup>;  
I dalej nieco, zwoje lżejszej treści,  
Perskich poetów pieśni i powieści;  
I na nich wsparta, brzmieć niemi lubiąca,  
Spoczywa lutnia — rzadko tak mileżąca.  
Śród izby, kwiaty świeżą tehnące wiosną,  
Z japońskich naczyń, jak ze śniegu rosna,  
I wszystkie zmysły czarują od razu  
Barwą Kaszmiru i wonią Szyrazu. —  
Wszystko, co tylko natura i sztuka,  
Pięknego stworzy, miłego wyszuka,  
Wszystko się zbiegło w tej wdzięków świątyni —  
I wszystko tylko smutniejszą ją czyni,  
Gdy w niej nie widać kapłanki - bogini! —  
Gdzież ona? — mogłaż rzucić ją w tej porze,  
Gdy taka noc, wiatr taki, i burza na dworze? —

## VI.

W szacie czarniejszej niż tej nocy cienie,  
(Żadna z cór gminu równej nie używa),  
Którą ramiona i pierś swą okrywa,  
Pierś, Selimowi droższą nad zbawienie:

Po krętych ścieżkach, krzewami zarosłych,  
Drżąc na świst wiatru, na szum drzew wyniosłych,  
Co wkoło skrzypem chyła się ku ziemi;  
W ciemności, mgłami zwiększonej morskimi,  
Z wytężonemi przed siebie oczyma,  
Niepewnym krokiem szła obok Selima.  
I chociaż seree do powrotu radzi,  
Choć w niem złych przeczuć potłumić nie może:  
Czyż go samego zostawi w tej porze?  
Czyż się ma lękać, gdy on ją prowadzi?

## VII.

Doszli do grotty, którą w łonie skały  
Sztuka z naturą wspólnie wykowały;  
Gdzie nieraz w chwilach wieczornych lub rannych,  
Lub w skwar świeżego szukając powiewu,  
Słuchała morza harmonii szklanych,  
Lub głos swej lutni budziła do śpiewu;  
Albo się ucząc z Koranu miejsce świętych,  
W marzeniach, wiary prostotą natchniętych,  
Roila obraz rozkoszy niezmiernych,  
Jakie raj przyszły gotuje dla wiernych. —  
Gdzie duszom niewiast przybytek oznańczył,  
Prorok im o tem powiedzieć nie raczył;  
Leez jeśli Selim miejsce w nim otrzyma,  
Czyż raj ten byłby rajem dla Selima,  
Czyżby go przyjął, i w nim się weselił,  
Gdyby z nią jego rozkoszy nie dzielił?... —  
Jestże huryska, któraby zdołała  
Kochać go tyle — jak ona kochała? —

VIII.

Od ostatniego niewidzenia groty  
Zda się w niej jakąś postrzegać odmianę:  
Może to ciemność odmienia przedmioty,  
Przy świetle tylko dnia dotąd widziane? —  
Z wpół przygasłego na środku ogniska,  
Mdle ledwo światło na ściany odbłyśka.  
Patrzy ciekawie; — lecz czegoż tak zbladła? —  
Na dziwny widok źrenica jej padła!  
W głębi stos broni! — nie broń Muzułmanów!  
Zamiast janczarek, łuków, ataganów,  
Znać strzelbę obcą z kształtu i oprawy!  
Proste pałasze — przebóg! jeden krwawy! —  
Blask się od niego odbija czerwono. —  
Na stole widzi czarę postawioną,  
Ach! nie sorbetem zda się napełnioną!... —  
Strach ją ogarnął — chce pytać Selima,  
Zwraca się — onże to przed jej oczyma? —

IX.

Szat swych zasłone, rzucił na stronę —  
Na skroniach jego, zamiast turbanu,  
Szal okręcony, jak krew czerwony,  
Dwoma końcami zwisa do stanu.  
W pasie z rzemienia, z obojej strony,  
Zamiast nagłowia złotych sztyletów,  
Zdobnych w kamienie godne korony,  
Błyszczy żelazo dwóch pistoletów.  
U boku prosty miecz przypasany;

Z ramienia krótki, w fałdy zebrany,  
Z rozwieszonemi na dół wyloty,  
Powiewa śnieżny płaszcz Kandyoty.  
Na piersiach kaftan — lecz z pod kaftana,  
W srebrzyste łuszezki zręcznie łamana,  
Zbroja od pasa sięga kolana;  
Dalsza w poziomem świetle ogniska,  
Greekim koturnem stopa połyska. —  
Gdyby nie wyraz oczu i twarzy,  
Gdyby nie ogień, co się w nich żarzy,  
Rzekłbyś, że prosty Galjongi greeki <sup>b)</sup>  
Lub że na lądzie Arnaut zbojecki.

X.

„Widzisz! — nie jestem, czem być się zdawałem! —  
„A teraz mojej posłuchaj powieści! —  
„Jeżeli smutna — nie ja ją pisałem  
„Ogniem mych wstydy i łzami boleści;  
„Moja rzecz tylko — prawdę jej okazać,  
„I krwią mych wrogów dopisać — i zmazać!  
„Tyś pierwsza na jej słuchaczkę wybrana —  
„Przysięgłaś nie być małżonką Osmana;  
„Lecz gdyby usta twe dziś nie zdradziły  
„Tajemnie serec, jak ci jestem miły:  
„I jabym strasznych nie rozwarł skrytości.  
„Nie bierz słów moich za dowód miłości! —  
„Nie! — jać jej czynem dowiodę w potrzebie,  
„Życiem dla ciebie, lub śmiercią za ciebie! —  
„Tyś mi przysięgła nawzajem — dość na tem! —  
„Ja — ja, Zulejko! — nie jestem twym bratem!“ —

XI.

- „Ty nie mym bratem? — Boże! — O! ja  
[biedna!... —  
„Lecz nie! — ty możesz... — jeszcze czas zaprze-  
[czyć!... —  
„Milczysz? — Więc mamże pozostać tak jedna,  
„I żyć, by płakać — bo nie śmiem złorzeczyć —  
„Że się sierotą na świat narodziłam?... —  
„Ale się zlituj nad niedolą moją!  
„Mnie pozwól zostać przynajmniej czem byłam,  
„Siostrą, Zulejką, przyjaciółką twoją!... —  
„Lecz ty mię kochać nie zechcesz już dłużej! —  
„Zdawna mi serce coś jakby śmierć wróży. —  
„Może ty nawet masz zemsty zamiary?  
„Może mię zabić chcesz śród tej pieczary? —  
„Ach! dobrze! zabij! — lepiej raz być w grobie,  
„Niż żyć tak obcą, nienawistną tobie!... —  
„Ach tak! — bo teraz pojmuję dlaczego  
„Giaffir zawsze był z tobą tak ostry;  
„On cię obraził — a jam dziecię jego! —  
„Nie! ty nie możesz kochać mię jak siostry.  
„Ale miej litość nad biedną dziewczicą!  
„Pozwól przy sobie być choć niewolnicą!“ —

XII.

- „Ty niewolnicą? — O! nie! mnie to raczej  
„Twym niewolnikiem pozostać na wieki! —  
„Ale pohamuj ten zapęd rozpaczy!  
„Klnę się na świętość Medyny i Mekki,



„Nikt cię, nikt z mojej nie wydrze opieki! —

„I niech tak święty tekst na mem żelazie, <sup>6)</sup>

„Na twą obronę, w niebezpiecznym razie,

„Ramieniu memu dodaje potęgi —

„Jak ja tej święcie dochowam przysięgi! —

„Tak! bądź spokojna! — choć odmieniam imię,

„Które tak było sercu twemu drogiem,

„Miłości brata nie tracisz w Selimie.

„Choć ojca twego zwać muszę mym wrogiem,

„Bliższe, niż myślisz, łączą nas ogniwa: —

„Słuchaj, i zadrżij! — bo powieść straszliwa.

„Abdalla było imię mego ojca —

„Giaffir jego brat — i bratobójca! —

„Brat zajrzał bratu potęgi — i zabił,

„By urząd jego i skarby zagrabił!

„Lecz mnie sierotą zrobiwszy w powieciu,

„Mnie — nie wiem czemu — zostawił przy życiu,

„I dotąd zdradą uwodząc nikczemnie —

„Czegóż prócz zdrady ma czekać odemnie? —

„Kazał mi zwać się — i sam zwał mnie synem,

„Fałsz słowa każdym okazując czynem.

„Strzegł mnie — jak gdyby potomka Kaima, <sup>7)</sup>

„Lub jak lwie młode, co kto w klatce trzyma,

„Upokorzeniem gnębiąc siłę ducha,

„By ją uczuwszy nie zerwał łańcucha! —

„Krew ojca mego wre we mnie, i woła

„O pomstę w duszy, jakby głos anioła!

„Mógłbym się pomścić — lecz uśmierz twą trwogę! —

„Dla ciebiem wszystko przebaczyć gotowy,

„Wszystko — krew ojca, i moje okowy —  
„Lecz już w nich dłużej pozostać nie mogę.  
„Nie! — Lecz wprzód słuchaj! — choć wbrew twej bo-  
„Muszę dokończyć ciąg strasznej powieści. — [leści,

### XIII.

„Skąd się w nich bratnia zawzięła nienawiść?  
„Co ją zrodziło? — łakomstwo czy zawiść?  
„Nie wiem; — lecz często pożar nieprzyjaźni,  
„W gwałtownych sercach, lada skra rozdrażni. —  
„Abdalla w męstwie nie znalazł równego.  
„W Bośni brzmi dotąd sława dzieł jego,  
„Gdzie mieczem jego zwyciężko ścigana,  
„Pierzchała przed nim dziec Oglu-Paswana. —  
„Lecz o tem z inąd możesz się dowiedzieć —  
„Śmierć tylko jego ja muszę powiedzieć,  
„I jak to rodu mojego odkrycie,  
„Dało mi wolność — choć zatrulo życie.

### XIV.

„Gdy Paswan-Oglu, z buntownymi tłumy,<sup>s)</sup>  
„Naprzód z obawy śmierci, potem z dumy,  
„Wszczął bój z Padyszą: i po latach wielu  
„Morderczych bitew, bez skutku i celu,  
„Twierdze Widdinu owładał nareszcie;  
„Bracia baszowie oblegli go w mieście.  
„Równi znaczeniem i z władzą podobną,  
„Każdy swem wojskiem dowodził osobno. —  
„Z dwóch stron do szturm u iść miały ich rotę;  
„Już obu wojskom plac bitwy wskazano,

„Dla obu wodzów rozbito namioty:  
„Leez ach! napróżno Abdallę czekano! —  
„Cóż mówić więcej? — Puhar z ręki brata.  
„Z jadem ukrytym, jak myśl jego serca,  
„Posłał Abdallę do lepszego świata —  
„Dóbr tego tylko zadrościł morderca! —  
„Abdalla nie czuł podejrzeń bojaźni,  
„Znać że o bratniej nie wąpił przyjaźni.  
„I gdy po łowach, po dniu skrwawnej spieki,  
„Wieczorem w łaźni orzeźwiał się z znoju;  
„Brat przysłał czarę chłodnego napoju —  
„Skosztował kroplę — i zasnął na wieki! — <sup>9)</sup>  
„Jeśli ci trudno zawierzyć mej mowie —  
„Spytaj Haruna! — on świadek! on powie! —

## XV.

„Czyn raz spełniony — i władza Paswana  
„Zachwiana z gruntu, choć niepokonana: —  
„Urząd, paszalik, i skarby Abdalli,  
„Mordercy brata, jak bratu oddali!... —  
„Nie wiesz, co w naszym Dywanie niecnota  
„Dokaże mocą intrygi i złota! --  
„Wprawdzie zbyt drogo tę łaskę opłacili:  
„Rozsypał wszystko, czem go mord zbogacił —  
„Ale wnet umiał odzyskać, co stracił! —  
„Jak? spytasz może! — Patrz na te pustynie,  
„Patrz na te ludy konające z nędzy!  
„Z krwi, z łez ich tyran ładuje w swe skrzynie  
„Stosy klejnotów i wory pieniędzy! —  
„Ale dlaczego mnie życie ocalił?

- „Czemu nie wygnał? z ócz swych nie oddalił?...  
„Nie wiem — i nawet zgadywać daremnie.  
„Może zgryzota dręcząca tajemnie:  
„Może nadzieja przebaczenia winie,  
„Gdy krzywdę ojca poprawi na synie,  
„I wzięte jemu, mnie wróci bogactwa:  
„Może cel jaki, lub powód dziwactwa,  
„Złączone z małym ważeniem mej siły,  
„Uśpiły bojaźń, i mnie ocaliły: —  
„Nie wiem. — Lecz przyszedł dzień zdawna żądany.  
„Że nas łączące czas zerwać kajdany!  
„Mściciela we mnie czuć musi zabójca —  
„I ja nie mogę przebaczyć krwi ojca! —

## XVI.

- „W pałacu jego, wśród haremu progów.  
„Z między tych nawet, z którymi chleb łamie.  
„Znam wielu tajnych Giaffira wrogów:  
„Mógłbym do zemsty uzbroić ich ramię.  
„Dość bym rzekł słowo, i ród mój powierzył.  
„Každyby mieczem lub nożem uderzył. —  
„Lecz Harun dotąd jeden wie, lub wiedział  
„Tę tajemnicę; — on mi ją powiedział  
„Nie dość — o prawdzie słów swoich przekonał.  
„Z młodu w pałacu Abdalli sprawował  
„Ten co tu urząd. — Harun mię wychował.  
„Kochał Abdallę — widział go, gdy konał! —  
„Lecz cóż mógł biedny niewolnik poradzić?  
„Zemścić się pana? — czyn już był spełniony.  
„Czy mnie ocalić, chronić i prowadzić? —

„Wybrał ostatnie; — i gdy otoczony  
„Niewolnikami, którzy przed nim drżeli,  
„Lub pochlebcami, co łask jego chcieli,  
„Giaffir łupy rozdzielał zbrodnicze:  
„Przyniósł mię dzieckiem przed jego oblicze.  
„I nie napróżno znać że się domagał  
„Łaski, o którą na kolanach błagał.  
„Przysięgą tylko związał się wzajemną,  
„Kryć mię przed światem, i ród mój przedemną. —  
Wkrótce Giaffir paszalik swój zmienił,  
„I z Rumilii, z nad brzegów Dunaju,  
„Gdy ją swem zdzierstwem wyssał i wypenił,  
„Jak sęp przeleciał do świeżego kraju,  
„Tu, gdzie jesteśmy — w ten ogród rozkoszy,  
„Co go dziś własny lud klnie, on pustoszy! —  
„Sam Harun, z dawnej niewolników zgrai,  
„Przybył z nim tutaj — zyskał ufność pana:  
„Widząc, jak święcie tajemnicę tai,  
„Przestał się lękać że mu była znana. —  
„Lecz tajemnica zbrodniarza i zbrodni,  
„Cięży jak łańcuch na sercu człowieka;  
„By się jej pozbyć, pory tylko czeka. —  
„Skorom wzrósł — Harun uwolnił się od niej. —  
„Tak Allah nieraz zbrodniarzom udziela  
„Sług, wykonawców — nigdy przyjaciela.

## XVII.

„Com rzekł, Zulejko! dziko razi uszy,  
„Lecz dzikszą jeszcze być musi ma powieść.  
„Nie radbym głębiej rozraniać twej duszy,

„Ale ci muszę szczerości mej dowieść. —

„Widziałem drzenie, gdyś strój mój spostrzegła —

„Noszę go zdawna, długo muszę nosić!

„Ten, komuś dzisiaj na wiarę przysięgła,

„Co cię o trwałość przysięgi śmie prosić;

„Jest — hordą morskich korsarzów dowodzi!

„Bez praw — prócz miecza; bez domu — prócz łodzi:

„A których czyny, i o nich powieści,

„Nie są dla uszu i duszy niewieściej! —

„Bronń tę co widzisz, ich dłoń tu przyniosła.

„Na znak mój blisko czekają ich wiosła:

„I na nich czeka ta czara na stole.

„Z niej krzepią męstwo — mniejsza! jakim płynem —

„Pijąc, nie pomną na Proroka wolę: —

„Ach! gdybyż tylko kalali się winem!

### XVIII.

„Jestem ich wodzem; — czemuż miałem zostać?

„Gnębiony w domu niewolą i sromem,

„Znikąd pociechy niemogący dostać,

„Wyśmiany, gdym jej chciał szukać za domem:

„W gnuśnej się nudzie młody wiek mój trwoniał.

„Giaffir miecza i konia mi wzbroniał!

„Choć nieraz — Allah! ty wiesz ile razy! —

„W pełnym Dywanie śmiał tyran urągać,

„Jakbym ja ostrza lękał się obrazy,

„Lub nie miał siły wędzidla zawściagać! —

„Na wojnę nawet brać z sobą nie raczył,

„Na wieczną nicość, na wzgardę przeznaczył,

„Bym bez nadziei, bez siły, bez chwały,

- „Śród niewolników przegnuśniał wiek cały!  
„Gdy ty — ty! której przychylność i wdzięki,  
„Choć słabiąc duszę, słodziły jej męki --  
„Na zamek baszy zasłana spokojny,  
„Gościć w nim zwykłaś do skończenia wojny!... —  
„Harun naówczas, widząc jak mię nękał,  
„Jak mię bezczynny każdy dzień przywalał,  
„Wzruszył się — kary, śmierci się nie lękał,  
„Więźniowi użyć swobody pozwalał;  
„Puszczał samego — ufny memu słowu,  
„Że wprzód niż basza — w pęta wrócę znowu. —  
„Próżnoby mówić, com czuł, com doświadczył,  
„Gdym po raz pierwszy na wolnym przestworze,  
„Wolnem powietrzem odetchnął — obaczył  
„Błękitne niebo i szerokie morze!  
„Na wskroś ich dusza leciała jak strzała,  
„Wszystkie ich cuda pojęła, zbadała!  
„Do czegoż wtedy nie czułbym się zdolny? —  
„Silny, szczęśliwy, równy bogom — wolny! —  
„Znikł z myśli obraz cierpień i katuszy —  
„Świat — O! nie! — Niebo czułem w mojej duszy!

## XIX.

- Harun naraił sternika Murzyna,  
„Bieglego w sztuce, i wiernego panu.  
„Ster nasz zwabiła wysp greckich drużyna — <sup>10)</sup>  
„Pas szmaragdowy szaty Oceanu!  
„Każdą z kolei zwiedziłem tajemnie.  
„Lecz gdzie — jak hordeę spotkałem i kiedy,

„Obrany wodzem, przysięgłem wzajemnie  
„Żyć nim lub zginać? — opowiem ci wtedy,  
„Gdy wszystko dzisiaj zamierzone skończym,  
„Odetchniem wolno, i z nimi się złączym.

## XX.

„Wprawdzie, Zulejko! są to rozbójnicy,  
„Równie w uczuciach, jak w zwyczajach dzieci;  
„I każda wiara, i różne plemiona,  
„Mają lub mogą mieć wstęp do ich grona.  
„Lecz dzielna ręka, i otwarta mowa,  
„I dusza śmiała, na wszystko gotowa,  
„Co na nic strachu nie spojrzy oczyma:  
„I przyjaźń, którą jeden z drugim trzyma.  
„I wspólna ufność, i wierność bez skazy,  
„I posłuszeństwo na wodza rozkazy,  
„Łatwoby mogły otworzyć im drogę  
„Do wyższych celów — niż ja wskazać mogę.  
„Wielu z nich nawet — a wszystkich zbadałem,  
„Znaczniejszych czucia lub myśli zapalem:  
„Chociaż do rady tych raczej przyzywam,  
„W kim większą Franków przebiegłość odkrywam;  
„Wielu z nich nawet roi wyższe cele:  
„Są to greckiego Lambra przyjaciele. <sup>11)</sup>  
„Dusza ich, zamiast używać swobody,  
„Jakiej im żadne nie dadzą narody,  
„Niewolą tylko Grecyi zajęta;  
„I czy wkrąg masztu legną na pokładzie,  
„Czy wkrąg ogniska zasiądą w gromadzie,



„Rozmowa zawsze: jak skruszyć jej pęta?  
„Jak wskrzesić z grobu ducha dawnych Greków,  
„I w krwi tyranów zmyć wstyd tylu wieków?... —  
„Pozwalam gwarzyć — i słucham zdaleka,  
„Jak rozprawiają o prawach człowieka,  
„I o wolności, której świat wygląda,  
„I o równości, której próżno żąda!...  
„Słucham z uśmiechem i marzę sam w sobie. —  
„Ach! i ja kocham wolność — choć w różnym spo-  
[sobie! —

„Obym mógł bujać, jak ów patryarcha morza,  
„Lub koczować jak Tatar wśród pustyń przestworza! <sup>12)</sup>  
„Lekki namiot na brzegu, lotna łódź nad wody,  
„Milsze mi są nad wszystkie pałace i grody.  
„Na grzbiecie wzdętej fali, na dzikim rumaku,  
„Na otchłaniach bez brzegu, na stepach bez szlaku,  
„Nie dbam gdzie wiatr popędzi, gdzie koń zwróci  
[wodze —  
„Ty tylko, gwiazdo moja! przyświecaj mej drodze!  
„Ty gołąbko pokoju! przodkuj mojej łodzi,  
„I gałązkę oliwną przynieś z nad powodzi!  
„Lub, gdy dla niej pokoju niema prócz rozbicia,  
„Świeć mi przynajmniej tęczę w burzach tego życia!  
„Promieniem, który pomrok nocnych chmur rozgania,  
„I proroczo jutrzejsze zwiastuje zarania!

„Święte — jak Muezzina wołanie z wież Mekki,  
„Na które ze czcigłównym pielgrzym przykłęka daleki;  
„Miłe — jak nuta pieśni znana z lat dziecinnych,

„Wspomnieniem ich słodząca gorycz wszystkich in-  
[nych:

„Drogie — jak wygnańcowi dźwięk ojczystej mowy,

„Będą mi wszystkie twoje słowa i romowy!

„Dla ciebie na tych wyspach wynajdę schronienie,

„Kwitnące, jako w nowo stworzonym Edenie;<sup>13)</sup>

„Tysiąc rąk, tysiąc piersi, tysiąc serc uzbroję,

„By cię strzegły, służyły na skinienia twoje!

„Na ich czele, przy tobie, zbiegłszy ląd czy morze,

„Łupy krajów i ludów u stóp twoich złożę! —

„Czyż się pieszczoł harem ugnuśnych i jednakich,

„Zrzec nie warto dla trudów — dla rozkoszy takich? —

„Cóż, że patrząc w mą dolę, widzę — lecz nie ble-  
[dnę —

„Niebezpieczeństw tysiące — szczęście tylko jedno,

„Miłość twoją? — ach! ona wszystko mi nagradza,

„Niech mię los prześladowe, niech przyjaciel zdradza,

„Najczarniejszy mrok duszy ta myśl rozpromieni:

„Wszystko się odmieniło — Jej nie odmieni!“ —

„Niech tylko moc twa, mocy duszy mej dotrzyma,

„Niech twa miłość dorówna miłości Selima,

„Potrafić zdwoić rozkosz, smutek rozweselić,

„Pokonać, lub znieść wszystko — byle się nie dzielić! —

„Raz stargawszy me pęta, z przyjaciół memi,

„Bez trwogi wojnę całej wypowiemy ziemi,

„Wojnę ludziom! — bo wojna przeznaczeniem ludzi;

„Bo sama w nich natura żądze wojny budzi.

„Patrz! gdzież się nasycili łupem i rozbojem?

„Kraj zamienia w pustynię, i to zwa — pokojem!

„A jaż nie miałbym ufać mej sztuce lub sile? —

„Nie by ziemie zdobywać! — dość gdy jej mam tyle,  
„Ile mi wkrag potrzeba na zamach mej broni —  
„Lecz by nie być ich łupem, muszę być jak oni! —  
„Chcę władzy — nie co z trwogą przez niezgodę włada,  
„Której dwoistem berłem jest moc albo zdrada: —  
„Nie! — ja w moc tylko ufam! — podstęp przyzwiem

[wreszcie

„Jeśli się kiedy w ludnem zniewolniczym mieście.  
„Tam to niebezpieczeństwo godne naszej trwogi!  
„Tam twa nawetby dusza mogła zboczyć z drogi. —  
„Ileż serc nierozdzielnych w niebezpieczeństw fali,  
„Obłudnicy zwaśnili, zdrajcy rozerwali!  
„A niewiasta im łacniej niśli mąż ulegnie. —  
„Gdy los lub świat kochanka poniży i zegnie,  
„Gdy szyderstwo lub potwarz utopią weń miecze:  
„Trwożna o siebie próżność, wyprze się go, zrzecze,  
„I wstydić się go będzie! — Precz te podejrzenia!  
„Nie skażą one mojej Zulejki imienia! —

„Lecz życie jest grą losu!“ — Po cóż zwlekać dłużej,  
„Tu, gdzie nam nic wygranej, wszystko zgubę wróży:  
„Tak, zgubę! — czyż mi jutro nie masz być wyrwana  
„Wyrokiem Giaffira, przemocą Osmana?  
„Lecz dziś jeszcze na wieki zbędziem tej obawy.  
„Niech tylko wiatrswe skrzydła przypnie do mejnawy!  
„Raz złączonych na zawsze, o cóż bojaźń wzruszy?  
„Błądząc bez odpoczynku, pokój znajdziem w duszy.  
„Przy tobie, silny w czynach, śmiały w przedsięwzię-

[ciach,

„Łąd, morze dla mnie jedno! — świat mój w twych  
[objęciach! —

„O! niech wre wściekła fala, niech grom w maszty  
„Skoro ty mi tem tkliwiej rzucisz się na szyję! — [bije,  
„Każda myśl, każde słowo, każde me westchnienie,  
„Będzie tylko modlitwą za twe ocalenie!  
„Najdziksza waśń żywiołów mniejszą trwogę wzbudzi,  
„Niżbyśmy tu drzeć mieli przed przemocą ludzi.  
„To skały, w pośród których nie ujdziem rozbicia;  
„Tam chwile niebezpieczne — tu każdy dzień życia! —  
„Precz złowrogie przecucia! — ta chwila rozstrzygnię,  
„Czy nas los wtrąci w przepaść, czy miłość podźwi-  
[gnie?... —

„W niewielu słowach skończę powieść mojej doli,  
„Twoje jedno — wnet z mocy wrogów nas wyzwoli.  
„Tak! wrogów! — Czyż Giaffir nie jest wrogiem moim,  
„Lub Osman — co nas chciałby rozłączyć — nie twoim?“ —

## XXI.

„Głowę Haruna by ustrzedz od kary,  
„Wróciłem na czas, wierny słowu memu;  
„Mało kto wiedział, nikt nie złamał wiary,  
„Żem się śmiał wykraść za progi haremu.  
„Odtąd choć zdala od wiernej gromady,  
„Rzadko omylić mogę czujne straże,  
„Wszystkie ich czyny, zamysły i rady,  
„Ja rozporządzam, kieruje i ważę:  
„Ja daję plany, ja wskazuję cele,  
„Ja godzę spory, i zdobycze dzielę —  
„Czas, bym sam wreszcie walczył na ich czele! —  
„Skończyłem powieść. — Zulejko! czas nagli:  
„Łódź moja blisko — w chwili ją mieć mogę;

„I wnet pod skrzydłem opiekuńczych żagli  
„Rzucim za sobą nienawiść i trwogę!  
„Jutro przybywa Osman — my tej nocy  
„Ujść stąd musimy — lub uledez przemocy. —  
„Jeśli więc pragniesz oszczędzić krwi beja,  
„Krwi droższej może — nie zwlekaj daremno!  
„W pośpiechu dla nas jedyna nadzieja:  
„Zulejko moja! bądź moją! pójdź ze mną!... —  
„Lecz jeśli słyszac tajemnic wyznanie,  
„Żałujesz przysiąg wyrzeczonych z rana:  
„Zostań! — lecz wtedy i Selim zostanie —  
„Ale cię żoną nie ujrzy Osmana!“ —

## XXII.

Rzekł — ona blada, bez ruchu i tchnienia,  
Jako ów posąg i pomnik cierpienia,  
Gdy wszystko tracąc, wszystko czując razem,  
Matka z rozpaczny skamieniała głazem: —  
W równej postawie i leca żałobie,  
Stała i sercem podobna Niobie.  
Lecz wprzód nim usty, nim nawet oczyma,  
Wydać zdołała myśl — wyrok Selima:  
Brzękły wrzeczadze u bramy ogrodu —  
I z mrocznej głębi sklepionego wchodu,  
Wybiegła jasność pochodni iskrząca;  
Druga, i trzecia — i szereg bez końca!  
W różne się strony rój ogniów rozłata: —  
„Uchodź, mój! — ach! nie bracie! — lecz droższy  
[od brata!“ —

Śród drzew, w ciemnościach, iskrzące czerwono,  
Rozpierzchłe światła migają się, wioną:  
Nie same światła; — w każdej prawej dłoni  
Lśni od ich blasku ostrz dobytej broni.  
Dziela się, płaczą, zbiegają się razem,  
Świecący ogniem, grożący żelazem.  
Wśród nich Giaffir zżyma się i dąsa,  
Miecz bratobójczy nad głową potrząsa. —  
Już w głąb jaskini sięgają oczyma —  
Maż ona stać się grobem dla Selima? —

### XXIII.

On czekał śmiało: — „Co ma stać się, stanie! —  
„Zulejko! uścisk i pocałowanie!  
„Może ostatnie nasze pożegnanie! —  
„Blisko gdzieś jednak łódź mych towarzyszy;  
„Może da pomoc, gdy hasło posłyszysz! —  
„I tak nas mało! — lecz ujrzym, co znaczy  
„Złączona siła męstwa i rozpacz!” —  
Rzekł, i ku wyjściu groty skoczył śmiało. —  
Echo wystrzału w powietrzu zagrzmiało.  
Zulejka z żalu jak martwa opoka,  
Ani zadrżała, ni zmrużyła oka! —

„Nie słyszysz może — lub chociaż przybędą,  
„Śmierci mej chyba mścić się tylko będą!  
„Strzał zwabił ku mnie nieprzyjaciół roje. —  
„Teraz, mój mieczu, pokaż dzielność twoją!  
„Ty ojca mego spuścizno jedyna,  
„Dziś za krew jego daj pomstę dla syna! —

„Bądź zdrowa, luba! — uchodź! albo raczej  
„Schroń się w głąb groty! — Chron się! już są blisko. —  
„Ojciec cię kocha, i wszystko przebaczy. —  
„Chron się! na krwawe nie patrz widowisko:  
„By czasem kula zbłąkana lub strzała  
„Niewinnej piersi za cel nie obrała! —  
„Nie drżij o Niego! — choć mego zabójca —  
„Wolałbym zginąć, niż ci wydrzeć ojca! —  
„Nie! — choćby z mieczem sam na mnie nastawał,  
„Choćby mi podłość na nowo zadawał!  
„Ale się zgrai nie poddam tak snadnie —  
„Prócz głowy Jego — każda inna spadnie!“ —

#### XXIV.

Skoczył ku morzu; — jak błysk piorunowy,  
Miecz jego z pochew na powietrzu błysnął.  
Drgająca głowa i tułów bez głowy  
Padł mu pod nogi, z tłumu co się cisnął.  
Padają drudzy — lecz nakształt mrowiska,  
Ruchoma ciżba otacza go, ściska.  
On w lewo, w prawo, tnąc ścieżkę krwawą,  
Z falą już prawie spotyka się w biegu: —  
O strzał już ledwo towarzysze z nawą —  
Łódź bliżej jeszcze: — jak szybko, jak żwawo,  
Z rozpaczłą siłą wiosłują do brzegu! —  
Ach! chwila jeszcze — a zbawić go mogą!... —  
On już fal morskich dotyka się nogą —  
Korsarze z czołna rzucają się w morze,  
Z szablami w zębach, ze strzelbami w górze:



Zapamiętali, rozżarci, zjadli.

Już skaczą na brzeg — na bitwę przypadli... —

Ach! — Zemsta chyba teraz sił im doda! —

Krwia serca jego rumieni się woda.

## XXV.

Śród kul, i mieczów, i grotów miotanych,  
Bez ran, lub wcale nie czując zadanych,  
Przedarł się Selim — i ku morskiej toni  
Biegł spotkać odsiecz, lub ujść od pogoni.  
Już wpław ku łodzi miał rzucić się bratniej,  
Już podniósł ramię na zamach ostatni —  
Czegóż się wstrzymał? — nieszczęsna przewłoka! —  
Próżno w głąb groty chciał sięgnąć oczyma! —  
Ta jedna chwila, ten jeden rzut oka,  
Może go zgubić, lub w więzach zatrzyma! —  
O! smutny dowód, jak serce człowieka  
Trudno ostatniej pociechy się zrzeka!... —

U stóp się jego już fala rozpryska —  
Pomoc tuż przed nim — już widna, już bliska!...—  
Wtem razem wystrzał i głos zagrział srogi:  
„Tak giną wszystkie Giaffira wrogi!“ —  
Czyj głos, czyj wystrzał? czyja, śród tak wielu,  
Kula, zbyt bliska by chybić do celu,  
Świsła w powietrzu, i plusła do fali? —  
Twoja to, twoja, morderco Abdalli!  
W mękach trucizny ojciec życie kończył;  
Prędszą z nim śmiercią sierota się złączył! —  
Wrząca krew pluszcząc wylewa się z rany,  
Śnieżne nią wkoło zboczyły się piany.



On padł bez jęku — próżno usta ruszył,  
Głos śmierć stłumiła, lub szum fal zagłuszył.

## XXVI.

Ranek — wiatr w kłębach rozwiewa mgły nocne. —  
Gdzież ślady bitwy, co tak krwawą była? —  
Strzały, co echa budziły północne,  
Groźby, błagania, jęki niepomocne,  
Ścichły — dym opadł — krew woda obmyła —

Powietrze, morze spokojne.

Na piasku tylko gdzie niegdzie rzucone  
Szczałki orężów, lub w nim wytłoczone,  
W rozpacznej z wrogiem czy ze śmiercią walce,  
Ślady stóp zbrojnych, i rąk krwawe palce,  
Świadczą człowieka czyn — wojnę.

Z brzegu na wodzie — znać ledwo co zniosła —  
Pływa pochodnia i łódka bez wiosła,  
I dalej nieco, w zielska zapłątany,  
Okryty pleśnią i morskimi piany,

Z falą się biały płaszczyzn wznosił:

Z rozrzuconemi na wodzie wyloty,  
Zwykła greckiego odzież Kandyoty —

Gdzież jest ten, który ją nosił? —

Widzisz tę plamę? — czerwona, straszliwa!  
Morze jej dotąd nie zmyło — nie zmywa!... —  
Lecz kto chcesz płakać nad ciałem ofiary,

W kim los jej litość ocala:

Idź, kędy płucząc Sygejskie pieczary,

Podwodnym nurtem morze swe ciężary  
Na brzegi Lemnu wyrzuca! —  
Tam czarne ptaki nad swoją zdobyczą  
Ciężkimi skrzydły podlatują, krzyczą,  
Ilekoć fala, co ku brzegom dysze,  
Leżącą na niej głową zakołysze;  
Ilekoć, jakby strasząca ptastw chmury,  
Stężała ręka, dłoń blada,  
Z silniejszym wałem wzniesie się do góry,  
I znów z nim razem opada!  
Cóż ma obchodzić, czyli go w swem łonie  
Ziemia pogrzebie, czy może pochłonie?  
Czy że szarpiące już go dzioby ptaków,  
Pozbawią pastwy ryby lub robaków?... —  
Jedyne serce, coby się krwawiło,  
Jedyne oko, coby łzę wylało  
Nad jego ciałem, lub jego mogiłą:  
Serce to pękło, oko się zaćmiło,  
Wprzód, niż śmierć jego ujrzało! —

## XXVII.

W haremie Giaffira płacz i narzekanie;  
Oko niewiast zroszone, i mężczyzn twarz blada. —  
Czyjże to okrzyk rozpaczy?  
„Zulejko! córko moja! — daremne wołanie!  
Biada ci, tyranie, biada!  
Ona ci nie odpowie — ha! i nie przebaczy! —

\*

\*

\*

Zapóźno, oblubieńcze, przybywasz na gody!  
Nie widziałeś — nie ujrysz narzeczonej wdzięków! —  
Czyż nie słyszał, wjeżdżając w te grody,  
Smutnych pieśni derwiszów i płaczenie jęków,  
Że się przybliżasz tak śmieie?  
Czyż te skupione przy bramach haremu  
Tłumy niewieście:  
Ta niewolników postać nieruchoma,  
Z założonemi na piersiach rękoma:  
Żal w mieście —  
Nie dosyć jeszcze mówią sercu twemu,  
Jakie cię czeka wesele? —

\* \* \*

Pokój sercu dziewicy! — Allah twemu oku,  
Duszy twej, najsroźszego oszczędził widoku:  
Śmierci twojego Selima! —  
W chwili, gdy z objęć twoich wydarł się, i w mroku  
Znikł przed twojemi oczyma:  
Rozpacz tve serce strętwiła.  
On ci był wszystkim! — szczęściem, nadzieją i chlubą:  
Myśl że go tracisz, ustrzedz nie możesz przed zgubą:  
Ta myśl — zabiła!  
Usłyszano krzyk jeden — głośny, niedaleki —  
Czyj? — On zgadł! — wstrzymał się chwilę;  
Słucha — próżno! — Już wszystko ucichło — na wieki! —  
Pokój dziewiczej duszy, i wczesnej mogile!

\* \* \*

Szcześliwaś! — jak kwiat w pełni rannego rozwicia,  
Serce zwiędło — nie piło gorzkich mętów życia!  
Ból ten — srogi, śmiertelny — był pierwszy, jedyny!  
Nie doznałaś co gorycz żalu, wstydu, winy,  
Pychy, zemsty, zgryzoty! — ach! ni tej katuszy,  
Co jak wieczne szaleństwo wre w mózgu i w duszy:  
Jak robak lęgnie w sercu, i na wskrós je wierci,  
I nie śpiąc sam, nie daje zasnąć — prócz snem śmierci;  
Każdą myślą, jakby żądłem zatrutem kaleczy,  
Obawia się ciemności, a światłu złorzeczy;  
Jak ogień w suchem oku i we krwi się pali,  
I aż w popiół obróci — wprzód się nie oddali!

\* \* \*

Biada tobie, morderco! na dni i na lata,  
W życiu, i w wieczności biada! —  
Darmo tarzasz się w prochu, i sinemi usty  
Klniesz siebie, i z przestrachem błagasz o odpusty --  
Pokuta, rozpacz nie nada!  
Dłoń, z której legł Abdalla, Selim — brat, syn brata --  
Próżno będzie targała włos i szaty darła:  
Zbrodni nie minie zapłata!  
Chłuba twoja — rękojmnia przyjaźni Osmana:  
Godna, gdyby ją poznał, dzielić tron sułtana --  
Córka twoja — umarła!

\* \* \*

Zgasła u wschodu gwiazda dziewiczej czystości,  
Której blask, noc twej chmurnej duszy rozweselał:

Jutrzenka twych nadziei, zorze twej starości! —

Któż ją zagasił? — Krew, którąś ty przelał! —  
Biada ojeu-zabójcy! tyranowi biada! —

Słyszysz ten okrzyk rozpaczy?  
„Gdzie dziecię moje?” — Echo mu „gdzie?” —  
[odpowiada <sup>14</sup>).

Ona mu nie odpowie — ha! i nie przebaczy! —

## XXVIII.

Miedzy pomników i grobów tysiące,  
Lśniących się spodem, gdy z boków i z góry,  
Cyprysy mroczne, choć zieleniejące  
Zimą i latem, ścielą cię ponury,

Jak myśl rzucona na groby:  
Jest jedno miejsce — osobne, kwitnące,  
Wiecznie zielone, rozweselające

Nawet te gaje żałoby. —  
Tam jedna tylko, tętnąc samotną wonią.  
Róża rozkwita — posępna i blada,  
Rzekłbyś, rozpaczy zasadzona dłonią:  
Tak mdła, tak słaba, że zda się wiatr lada

Liść jej po polu rozprószy;  
Jednak choć wichur, choć burza się wścieka,  
Kwiat jej trwa cało; — choć ręka człowieka.  
Co wszystko piękne w tym kraju pustoszy,  
Kwiat jej oberwie: — niepojęta władza,  
Kwiat ten nazajutrz na nowo odradza:  
Jakby duch jaki miał ją w swojej pieczy,  
Który jej rany łzami niebios leczy,

I czarodziejską mocą swego śpiewu,  
Co noc kwiat nowy wykołysze z krzewu! —

Nie dziw, że dotąd helleńskie dziewice  
Wierzą, że kwiat ten nie jest z tego świata,  
Co mu ni szkodzić nie śmia nawałnice,  
Ni szrony zimy, ani skwary lata:  
On zawsze smutny, lecz piękny jak w maju,  
Zdaje się tęsknić po kraju swym — raju.

Nad kwiatem co noc ptaszek jakiś śpiewa,  
Ukryty w liściach pobliskiego drzewa:  
Sam dotąd ludzkim okiem niedojrzany,  
Lecz głos ma wdzięczny, jak hurysek lutnie.  
Nie jest to słowik w róży zakochany —  
Słowik nie śpiewa tak czule, tak smutnie!  
Ci, którzy słyszą śpiew ten tajemniczy,  
Doznają w duszy tak rzewnej słodczy,  
I czują w sercu taką tęskność tkliwą,  
Jak gdyby czuli miłość nieszczęśliwą,  
I choćby chcieli, łez wstrzymać nie mogą.  
Lecz te łzy same, tak słodko im płyną,  
Żal ten tak z żadną nie zmieszany trwogą,  
Że się im zdaje rozkoszą jedyną:  
Że się lękają promienia poranku,  
Chcieliby słuchać, płakać bez przestanku —

Taki jest urok w tym śpiewie! —  
Lecz skoro pierwszy świt niebo zapłoni,  
Ptaszek, nie wiedzieć, znika, czy się chroni,  
I śpiew zamilka na drzewie. —

Są nawet — może urok przysłyszenia —  
(Lecz ci co czują, nie będą się śmieli),  
Są którzy mówią, że wśród jego pienia,  
W najtkliwszej jego nucie dosłyszeli  
Brzmienie Zulejki imienia! <sup>15)</sup>

Bo dla niej zda się ten ptaszek tak śpiewa,  
Z cyprysowego nad jej grobem drzewa;  
Bo z jej to właśnie mogiły dziewiczej  
Wykwita róży ów kwiat tajemniczy. —

Niegdyś kamienny grób stawiać jej chciano —  
Lecz postawiony wieczorem — znikł rano.  
Ni dłoń to ludzka, co go w nocnej porze,  
Wyrwawszy z miejsca, przeniosła nad morze! —  
Bo go tam właśnie ujrano o świcie,  
Gdzie Selim w boju dał za nią swe życie,  
I skąd go fale uniosłszy, zbawiły  
Czei pogrzebowej i ziemskiej mogiły. —

I odtąd co noc, gdy księżyc łśni w górze,  
Widać na białym pomnika marmurze,  
Wspartą, jak gdyby dumającą z żalem,  
Głowę czerwonym okręconym szalem.  
Powieści o niej lud z trwogą powtarza,  
I pomnik zowie „Wezgłowieм Korsarza“. —  
A na Zulejki mogile, jak pierwiej,  
Zakwitła róża — i kwitnie bez przerwy:  
Smutna i blada — jak lice piękności,  
Gdy słucha dziejów nieszczęsnej miłości! —

~~~~~

## PRZYPISY AUTORA.

### PIEŚŃ PIERWSZA.

1. Str. 88. Zapominali o obecnej chwili  
W rymach Sadego, i pieśniach Leili.

Sadi, jeden z najślawniejszych poetów perskich.  
Leila i Mejnun, para kochanków, sławna na Wschodzie,  
jak w Europie Romeo i Julia, lub Abelard i Heloiza.

2. Str. 88. Aż usłyszawszy głos bębna, postrzegłem...

W Turcyi uderzenie w bęben ogłasza wschód, południe  
i zachód słońca.

3. Str. 91. Giaur, pies pogański, Arab memu oku  
Znośniejszy stokroć od jego widoku.

Turecy nienawidzą Arabów, którzy im w dziesięciokroć  
odpłacają się wzajemnością, więcej nawet niż chrześcijanin.

4. Str. 92. Dusza, muzyka tehnąca z jej oblicza.

Wyrażenie to uległo zarzutom. Nie odpowiadając na  
nie krytykom „niemającym muzyki w duszy” proszę tylko  
czytelnika, aby przypomniał w myśli na chwilę, rysy naj-  
piękniejszej, jaką znał, kobiety. A jeśli wtenczas jeszcze  
nie zrozumie tego, co mój wiersz słabo wyraża, wyznaję:  
iż będę żałował nas obu.



W dziele „O Niemczech“ (tom III, roz. 10), napisanem przez kobietę, przewyższającą geniuszem kobiety wszystkich wieków. znajduje się bardzo wymowny ustęp, o podobieństwie zachodzącym między malarstwem a muzyką; i porównanie tych obu sztuk, wynikające z tegoż podobieństwa. Czyżby więc podobieństwo muzyki nie miało być większe z oryginałem jak z kopią? z kolorytem natury, jak sztuki? Wreszcie jest to rzecz, która się więcej daje czuć niż wyrazić. Jestem pewny, iż znajdzie się zawsze kilka osób, które to wyrażenie moje rozumieją, a przynajmniej któreby zrozumiały, gdyby widziały twarz, której mówiąca harmonia tę myśl mi natchnęła. Wyrażenie to bowiem nie jest wzięte z wyobraźni: znalazłam je w mojej pamięci — w tem zwierciadle, które smutek rzuce o ziemię, a patrząc na jego szczyt, widzi w nich tylko pomnożone odbicie.

5. Str. 93. Godna jest względu krew Kara-Osmana.

Karasman-Oglu, albo Kara Osman Oglu, jest najznakomitszym dzierżawcą dóbr ziemskich w Turcyi: a zarazem rządcą Magnezyi. Timariotami zowią się ci, którzy niejako lennem prawem posiadają ziemię, z obowiązkiem służenia wojskowo. Służą pospolicie w jeździe, jako Spahi, i obowiązani są własnym kosztem uzbroić pewną liczbę żołnierzy, stosownie do rozciągłości posiadanej dzierżawy.

6. Str. 94. My uczyć będziemy sultańskie Tatary,  
Jakiej nagrody warte takie dary.

Jeśli basza czuje się dosyć potężnym aby się oprzeć sułtanowi, rozkazuje pospolicie udusić posłańca, który mu rozkaz śmierci i stryczek przywozi. Niekiedy pięciu lub sześciu podobnych posłańców ginie jeden po drugim na rozkaz zbuntowanego baszy. — Lecz jeśli przeciwnie basza czuje się słabym, lub nieposłusznym okazać się nie chce, natenczas schyla głowę, całuje podpis sułtana, i pozwala się udusić z pokorą. W r. 1810 wystawiono nad bramą

Seraju głowy wielu razem baszów, którzy podobnego losu doznali; a między innymi głowę baszy Bagdadu, dzielnego młodzieńca, który po długim oporze przez zdradę nakoniec zamordowanym został.

7. Str. 94. Trzykroć w dłoń klasnął.

Turecy klaszczą w dłonie wołając na sługi. Nie lubią trwonić próżno głosu, a dzwonków nie znają.

8. Str. 94. Rzucił z rąk cybuch oprawny w klejnoty.

Cybuchy bogatych Turków, a często i same lukki, oprawne bywają w najdroższe kamienie. Munsztuczek jest tylko pospolicie z bursztynu.

9. Str. 95. Sam Kislar-Aga na czele rzezańców.

Kislar-Aga jest to tytuł naczelnika czarnych stróżów Seraju.

10. Str. 95. To z koni twarde płatają turbany.

W Turcyi do wypróbowania szabel używają pospolicie złożonych w kilkoro wojłoków z pilśni, albo też bardzo twardych turbanów; i żadna inna szabla, oprócz najlepszej tureckiej, nie zdoła ich przeciąć od razu. Walka na stępione dziryty, ulubione igrzysko jazdy tureckiej, przedstawia bardzo ożywiony i malowniczy widok.

11. Str. 95. A wrzask ich »Ollah!« powietrze rozdziera.

„Ollah! Alla il Allah!“ są to zwykłe okrzyki tureckie, którymi na lud milezący, zanađto szczodrze szafują, zwłaszcza podczas walk na dziryty, na łowach, a najwięcej śród bitwy. Ożywienie Turków w otwartem polu, z powagą ich w izbie, przy lulce lub różańcu, zabawną przedstawia sprzeczność.

12. Str. 96. Słowik tę różę przysyła za posła.

Miłoszki słowika i różę są ulubionem zmysleniem poetów wschodnich.

13. Str. 98. Nie — sam Azrael — on, którego ramię.

Azrael, anioł śmierci.

14. Str. 99. Za wszystkie skarby pieczar Istakaru.

Mają to być zaklęte skarby sułtanów, przed Adamem jeszcze żyjących.

15. Str. 100. Gorszego nadeń Egrippo nie wyda.

Egrippo, tak Turcy nazywają Negrepont. Podług krajowego przysłowia, Turcy z Egrippo, Żydzi z Saloniki, a Grecy z Aten, są najgorszymi, każdy ze swego plemienia.

16. Str. 102. Ach! Czokadera już widzę na drodze.

Czokader, nazwisko sługi, poprzedzającego zwykle orszak znakomitych Turków.

## PIEŚŃ DRUGA.

1. Str. 106. On, przed którym bił czołem Macedończyk młody.

Aleksander W. przed wyprawą do Persyi zwiedził grób Achillesa, i uwieńczył laurem wystawiony przez siebie na cześć jego ołtarz. Naśladował go w tem Karakalla, cesarz rzymski. Jest podanie, że ten ostatni otruł umyślnie przyjaciela swego Festusa, aby mieć powód ponowienia igrzysk, jakie niegdyś Achilles na cześć Patrokla wyprawiał. Widziałem pasące się owce na grobach Esyeta i Antilocha; pierwszy z nich leży w środku równiny.

2. Str. 106. Tu bursztynowe różańca kaliwa,  
Z których woń cudna rozlewa się w rękę.

Różaniec turecki zowie się w ich języku „Kombolojo“; składające go ziarna bywają u bogatszych z drogich kamieni, albo z bursztynu, który potarty lub w rękę rozgrzany wydaje z siebie wonność, nie mocną, ale przyjemną.

3. Str. 107. Z tekstem koranu amulet jej święty.

Wiara w amulety, rznięte na drogich kamieniach lub w puszkach złotych zamknięte, jest dotąd powszechną na Wschodzie. Napis ich składa się z kilku wierszy alkoranu. Noszą je zawieszane na szyi, lub zamiast bransoletek na rękę. Wiersze z drugiego rozdziału alkoranu, opisujące własności Najwyższego, stanowią najskuteczniejsze amulety, i są najczęściej używane.

4. Str. 107. I bliżej przy nim, alkoran otwarty,  
Złotem barwnemi połyska się karty.

Wszystkie rękopisma wschodnie, a mianowicie alkoran, ozdobione są z wielkim przepychem i zbytkiem. — Kobiety greckie są pospolicie trzymane w zupełnej ciemności i niewiadomości; ale wiele młodych Turczynek odbiera bardzo staranne wychowanie; wprawdzie nie mogące się równać z wychowaniem europejskich kobiet.

5. Str. 110. Rzekłbyś, że prosty Galjongi grecki.

Galjongi, majtek. Na flotach tureckich majtkami są Grecy, żołnierzami Turcy. Ubiór Galjongich jest bardzo mallowinny; widziałem w nim nieraz samego Kapudana baszę, który go nosił wychodząc *incognito*. — Nogi ich jednak są nagie po kolana. — Opis obuwia i zbroi w tekście jest podobny stroju arnauckiego rozbójnika, u którego mieszkałem w Morei: ma się rozumieć, że już był wtedy swojej profesji zaniechał.

6. Str. 112. I niech tak święty tekst na mem żelazie.

Na wszystkich prawie szablach tureckich znajdują się napisy, czasem wyrażające tylko nazwisko robotnika lub miejsca gdzie były robione; ale częściej jeszcze jaki tekst z koranu, wypisany literami złotymi.

7. Str. 112. Strzegł mię, jak gdyby potomka Kaima.

Wiedzieć trzeba, że wszelkie aluzye tak do osób, jak do wypadków w Starym Testamencie opisanych, równie są powszechne u Muzułmanów, jak u Żydów. Turcy nawet przechwalają się z tego, że wiedzą więcej o życiu patryarchów, niż to, co nasze Pismo Święte o nich podaje; i nie przestając na Adamie, mają szczegółowe biografie patryarchów przed nim żyjących. — Salomon jest przez nich uważany jako największy mędrzec, mający nawet władzę nad duchami; Mojżesz zaś, jako prorok, niższy tylko od Chrystusa i Mahometa.

8. Str. 113. Gdy Paswan-Oglu, z buntownymi tłumy.

Paswan-Oglu, basza Widdynu, podniósł bunt przeciw sultanowi, i przez wiele lat zagrażał całej potędze Porty Otomańskiej.

9. Str. 114. Skosztował kroplę i zasnął na wieki.

W r. 1811 Giaffir basza Sentari został otruty przez Albańczyka Alogo, sposobem opisanym w tekście. Trucizna była w sorbecie, którym Muzułmani po wyjściu z łaźni ochładzać się zwykli. W kilka miesięcy po dokonanej zbrodni Ali pojął w małżeństwo córkę zamordowanego przez siebie Giaffira.

10. Str. 118. Ster nasz zwabiła wysp greckich drużyna.

Turcy nie znają prawie innych wysp, oprócz Archipelagu Greckiego.

11. Str. 119. Są to greckiego Lambra przyjaciele.

Lambro Canzani, sławny naczelnik powstania greckiego w 1789—90 r. Zawiedziony w nadziei wybicia się z pod tureckiego jarzma został korsarzem, i długo był postrachem Turków na Archipelagu. On i Riga, są dwaj najślawniejsi powstańcy greccy, przed ostatecznem wybicciem się Grecyi.

12. Str. 120. Obym mógł bujać, jak ów patriarcha morza,  
Lub koczować jak Tatar wśród pustyni przestworza.

Noe. — Sposób życia koczujących Arabów, Tatarów i Turków opisany jest szczegółowo przez wszystkich podróżujących na Wschodzie, jako mający dla nich szczególniejszy powab. Młody jeden Francuz, renegat, opowiadał sam panu Chateaubriand, że ile razy, jako farys, czwałował na koniu, sam jeden w pustyni, doświadczał zawsze niewypowiedzianej rozkoszy, która się do zachwyty zbliżała.

13. Str. 121. Kwitnące, jako w nowo stworzonym Edenie.

Januat-al-Eden, tak się zowie raj Muzułmanów.

14. Str. 132. Gdzie dziecię moje? — Echo mu „gdzie?” odpowiada.

„Przyszedłem na miejsce urodzenia mojego, i zawołałem: Przyjaciele młodości mojej, gdzie są? — Echo odpowiedziało: „gdzie są?” (*Wyciąg z rękopisu arabskiego*).

15. Str. 134. Brzmienie Zulejki imienia.

*And airy tongues that syllable men's name.* Milton.  
(I powietrzne głosy, wymawiające imiona ludzi).

Mniemanie, że dusze umarłych przybierają niekiedy kształt ptaków, nie na samym tylko Wschodzie jest znane. Powieść o księżnie Kendal, wierzącej i przekonanej, że dusza Jerzego I przylatywała do jej okna w postaci kruka, jako też wiele innych podobnych powieści, przekonują nas, że to mniemanie znajduje się i u nas (w Anglii). —

Niejaka Lady Worcester uroiwszy sobie, że dusza jej siostry przeszła w jakiegoś śpiewającego ptaka, całe swoje oratorium w kościele napęłniła podobnymiż ptakami, zamkniętymi w klatkach. Ponieważ była to pani bogata i wiele na ozdobę kościoła łożyła, nie sprzeciwiano się jej dziwactwu.



# MI AZ E P A


POWIEŚĆ

LORDA BYRONA





## DO CZYTELNIKA.

 Podanie o Mazepie, na którem się treść niniejszej powieści opiera, znane jest u nas powszechnie. Autor wziął je z historyi Karola XII. przez Woltera, który je za prawdziwe przytacza. Za takie też uchodziło i u nas, aż do czasów ogłoszenia znakomitych Pamiętników Jana Chryzostoma Paska, z czasów króla Jana Kazimierza, gdzie obok innych szczegółów, dotyczących się pierwszej młodości Mazepy i pobytu jego na dworze królewskim, znajduje się opis prawdziwego zdarzenia, które stało się powodem i wyjazdu Mazepy na Ukrainę, i rozszerzonej o nim w kraju powieści. Porównanie rzeczywistej prawdy z poetycką fikcją podania, może tu ująć za ciekawą wskazówkę, jak się tworzą wszystkie tradycje gminne; to jest, jak poetyka wyobraźnia ludu, dopełniając i upiększając stopniami dany wypadek, na koniec go całkiem przekształca.

Obszerniejsza wiadomość o dalszem politycznem życiu Mazepy, jako naprzód Asşauły, a potem Hetmana Kozaków, znajduje się w Atheneum z r. 1842, przez Aleksandra hr. Przezdzieckiego.

## I.

Było to wkrótce po dniu pod Połtawą,  
Gdy los odstąpił Szwedzkiego Karola,  
A wojsko jego z wstydem i niesławą,  
Zaległo trupem, lub uciekło z pola.  
Szczęście i chwała, jako ich czciciele,  
Płoche w przemianach, w łaskach niestateczne,  
Zastępom Piotra stanęły na czele,  
I mury Moskwy znów stoją bezpieczne.  
Aż znowu na nie, z straszliwymi gromy  
Nie przyjdzie burza: i w ich ognisk dymie  
Nie zgaśnie, jako meteor znikomy,  
Większa potęga, i sławniejsze imię!\*)  
Groźna nauka dla ludów i tronów,  
Cios dla jednego — wstrząśnienie milionów!

## II.

Tak los zwykł igrać z wielkością człowieka.  
Karol raniony przed wrogiem ucieka,

\*) Rok 1812.

Wcwał, dniem i nocą, po polach oblanych  
Krwia swoją własną i swoich poddanych.  
Bowiem tysiące poległy, ażeby  
Króla z ostatniej ratować potrzeby:  
Przecież głos żaden, w tylu ofiar tłumie,  
Nie śmiał złorzeczyć poniżonej dumie;  
Nikt się nie pomścił — choćby mógł bezkarnie  
Słowem wyrzutu — za śmierć i męczarnie!

Koń jego poległ: — Gieta dał mu swego,  
I na śmierć pewną został w miejscu jego.  
Lecz i ten drugi, gnany bez wytechnienia,  
Omdlał nakoniec, i padł z wysilenia.  
I w głębi lasów — gdy wkoło na błoni  
Świecą się ognie zwyciężkiej pogoni —  
Król musi spocząć — pod cieniem jedliny,  
Na suchych liściach: — toż-li są wawrzyny,  
Co dla się z młodu polewał krwią ludów?  
To-li spoczynek bohaterskich trudów? —

Skostniałe członki, krew zakrzepła w ranie,  
Noc zimna, wietrzna — mrożące posłanie...  
Sen, jedną ulgę dla myśli i ciała,  
Krew gorączkowa z ocz mu odpychała.  
Przecież, choć w mroku nie śledził go świadek,  
Król po królewsku znosił swój upadek.  
Pod moc swej woli podbijał cierpienia,  
Jak niegdyś wrogi; a żal i westchnienia,  
Milczały w jego łonie tajemniczem,  
Jak niegdyś ludy przed jego obliczem.

III.

Z nim grono wodzów — o! jakże zmniejszone,  
Od dnia, co dla nich miał być dniem zwycięstwa!  
Lecz za toż serca w wierze doświadczone!  
Los zmógł ich siłę, lecz nie zachwiał męstwa.  
Smutni, w milczeniu, cugle dzierżąc w dłoni,  
Każdy szerokim płaszczem obwinięty,  
Siedzą przy królu, i obok swych koni. —  
Nieszczęście zbliża człowieka z zwierzęty:  
W niebezpieczeństwie, jeździec i koń jego  
Są jakby bracią jeden dla drugiego.

Śród nich, Mazepa, pod rozłożystemi  
Gałęzmi dębu, na chropawej ziemi,  
Słał sobie liście i drzewne konary.  
Jak dąb ów silny, i ledwo mniej stary,  
Hetman Kozaków — jak śród gromów wojny,  
Śród burzy losu zimny i spokojny. —  
Ale nim uległ, zwyczajem kozaka,  
Opatrzył naprzód wiernego rumaka.  
Otarł go burką, i głaszcząc po grzywie,  
Cieszył się, patrząc jak pał się skwapliwie:  
Bo nie był próżen tej jednej obawy,  
Że jeść nie zechce zaroszonej trawy.  
Lecz w tem koń-kozak był równy Mazepie:  
Dziki i chyży, jak wichher na stepie,  
Mało dbał o to, czem wzmoże swe siły,  
Byleby panu w potrzebie starczyły.  
W skwary jak w mrozy, wytrwały do jazdy,  
We mgle bez słońca, i w nocach bez gwiazdy,

Na krok w pustyni nie zbłądził do rana;  
W tłumie tysięcy znał twarz swego pana,  
I na głos jego, biegł doń pędem strzały,  
I ślad w ślad za nim szedł choćby dzień cały.

#### IV.

Gdy tak koń paś się — Mazepa tymczasem,  
Wsparłszy o gałąź dzidy swojej drzewce,  
Wyjął króćce zatknięte za pasem,  
Spojrzał czy suchy był proch na panewce,  
Czy ostre skałki, czy spust niezawodny.  
Szablę swą potem otarł z rosy chłodnej,  
Brzeszczot i pochwę; i z olster u siodła  
Dobyl chleb suchy i wodę ze źródła;  
I jakby krajczy wśród dworskiej biesiady.  
Obdzielał króla i resztę gromady.

Król gwałtem uśmiech wymógłszy na czole,  
By się zdać wyższym nad ból i niedolę,  
Przyjął swój udział i rzekł: — „Wyznać trzeba,  
Że choć nam wszystkim nie skąpiły nieba  
Sił i wytrwania: nikt z nas w tej pustyni.  
Mniej nie rozprawia, a więcej nie czyni,  
Jak ty, Mazepo! — przykład twój co chwila,  
Jak i twój zapas, nas wszystkich posila.  
Od Aleksandra i od Bucefała,  
Dzielniejszej pary ziemia nie widziała,  
Jak ty i koń twój; a od przodków Scytów,  
Godzieneś jeźdźca najpierwszych zaszczytów!“ —  
A Hetman na to: „Strzeż Boże nauki,  
„Jaka za młodu doszedłem tej sztuki!“ —

— „Czemu?“ — Król spytał — „twój przykład, hetma-  
Broni twych mistrzów przeciw twej naganie“.-- [nie,  
— „Długo by o tem mówić“ — rzekł Mazepa —  
A nie czas teraz; — noc mglista i ślepa  
Pozwala spocząć, by jutrzejszą porą  
Śpieszyć tem prędzej. — Wrogi nie za górą —  
Na niebie widać ich ogniów odbłyśki.  
Rano wstać trzeba; — a świat to nie bliski  
Do brzegów Dniestru, nim rumaki nasze  
Puścim swobodnie na turecką paszę! —  
A więc, śpij królu! — ja zastąpię strażę“. —  
— „Owszem“ — rzekł Karol — „proszę cię i każę,  
Powiedz nam twoją tę powieść: a może,  
Słuchając prędzej oczy do snu złożę —  
Bo senność dotąd mych powiek nie klei“. —  
— „A! gdy rzecz o to: — w tej miłej nadziei —  
Rzekł stary hetman — „chętnie w mej pamięci  
Odnowię przeciąg lat siedemdziesięci“. —  
„Mogłem mieć wtedy rok dwudziesty prawie.  
Na dworze króla — Jana Kazimierza —  
Siedem lat paziem przebyłem w Warszawie.  
Był to pan dobry: nie tak na rycerza,  
Jako na mędrca; — jak niebo do ziemi  
Z Waszą Królewską Mością! — Uczty, bale,  
Książka, rozmowa z ludźmi uczonemi,  
To jego rozkosz! — O wojennej chwale  
Ani pomyślał; tem mniej o zaborach  
Ziem i państw cudzych. — Prawda, że z swem jednym  
Dość miał kłopotu! — Lecz w życiu powszednem,  
Gdyby nie sejmy w ustawicznych sporach,



I gdyby w domu nie swarliwa żona,  
Wiódłby dni miłe króla Salomona. —  
Lecz dwie te rzeczy — z dodaniem i trzeciej:  
Zajść, skarg i dziwactw zawistnych piękności,  
Co w kolej króla imaly w swe sieci —  
Truły mu rozkosz myśli i miłości.  
Aż obmierziwszy blask świata i tronu,  
Skończył dni w murach świętego zakonu.  
„Ale to było potem: — za mych czasów  
Król nie o furtach rozmyślał klasztornych.  
Zamek tam pękał od ciągłych hałasów  
Dziennych pijatyk i tańców wieczornych.  
Co było wyższych z bogactw i zaszczytów,  
Każdy rad nie rad kręcił się w tym wirze;  
A żaki ze szkół Ojców Jezuitów,  
Różnymi tony, na chropawej lirze,  
Sławili cuda królewskich splendorów.  
I tak ta wierszy mania uczona  
Objęła wszystkich: dworzan, senatorów,  
Mnie nawet w końcu; żem kilka wieczorów  
Skandował żale czułego Damona! —  
Dyabła to warte! — A jednak bywało,  
Kiedy się czasem z niechcenia, znienacka,  
Przy teorbaniu dumkę zaśpiewało:  
To jakby ogniem grała krew kozacka,  
A i łez czasem popłynęły zdroje! —  
Bo jak to mówią: gdzie bez kolców róże?  
Gdzie człek bez troski? — a paż tak ma swoje,  
Jak król i hetman. — Przy królewskim dworze,

Mieszkał w Warszawie jeden z kasztelanów.  
Starosta starostw bez liku, pan z panów,  
Możny, bogaty, jak mina Olkusza —  
A przytem dumna i pozioma dusza.  
Zasługi przodków mniemając swojemi,  
Na Ukrainie, w Litwie i Koronie,  
W całym królestwie — ba! na całej ziemi,  
Sądził się pierwszym pomiędzy pierwszymi,  
I tak się godnym czuł zasiąść na tronie,  
Jak — jak, rzec prawdę — każdy z polskich panów. —

„Lecz co w obliczu nas młodszych dworzanów  
Było przedmiotem i czei i zazdrości.  
To żona jego: — cud, anioł piękności!  
Ofiara dumnej rodziców przemocy,  
Przy boku starca, jako dzień przy nocy,  
Młodsza od niego lat najmniej trzydzieści,  
W pełni powabów i kraszy niewieściej,  
Wiodła dni w nudach i tajonych żalach.  
I kto ją widział na ucztach i balach:  
Blask jej klejnotów, i mgłę smutku w oczach,  
Bładość w jej licach, i perły w warkoczach:  
Równać ją musiał do królowej sadu,  
Gdy wiednie zgięta pod ziarnami gradu.

## V.

„Ja byłem wtedy — dziś to bez przechwalek  
Powiedzieć mogę, gdy trzy ćwierci wieku  
Dźwigam na barkach; — byłem tęgi śmiałek.  
Syn Ukrainy, nie kąpany w mleku,

Z odwagą w sercu, a próżnością w głowie,  
Żywy, wesoly: — nikt w czynie ni słowie,  
Czy to z paniątek, czy ze szlachty braci,  
Nie śmiał tak bardzo zejść w drogę Mazepie! —  
Gładkość też lica i giętkość postaci,  
Nim je wiatr zwarzył i schylił na stepie,  
Inaksze były niż dziś; — i na czole,  
Nim je zorały losu nawałnice,  
Była moc duszy; i oczy sokole  
Umiały ogniem sypać na dziewice! —  
Wszystko to przeszło! — prócz tej jednej mocy  
Co choć już może nie błyszczy jak wprzód,  
Nie zgasała przecież: — gdy wam w takiej nocy  
Jak dzisiaj, w lesie, wśród wrogów przemocy,  
Prawię me stare, miłosne przygody. —

„Lecz wracam do nich. — Piękność Izabeli —  
To było imię żony Kasztelana. —  
Zda się ją widzieć — cała zda się w bieli,  
Jak raz ostatni widziałem — ubrana,  
Spływa z powietrza i staje przede mną!...  
A jednak czuję, że chciałbym daremno  
Opisać w słowach jej postać i lice,  
A nadewszystko ten blask czarnych oczu,  
Te pełne, duże, głębokie źrenice,  
Co jak dwie gwiazdy w cichem wód przezroczu,  
Zdały się pływać w strumieniu łez jasnych,  
I topnieć we łzy — od promieni własnych!...  
Całe w miłości — na poły w omdleniu,  
Na poły w ogniu; — jakoby dwaj święci,  
Co już na stosie płomieniem objęci,

Wzrok wznosząc w niebo, trwają w dziekczynieniu,  
Jakby za rozkosz w śmierci i cierpieniu! —

„Czoło jej gładkie, jak przejrzysta woda,  
Gdy się w niej letnia odbija pogoda,  
A żaden powiew powierzchni nie zmaca,  
A na dnie tylko blask nieba i słońca! —  
Twarz jej i usta!... — Lecz co tu wyrazy?  
Dość — jam ją kochał! — kocham jeszcze teraz! —  
Dla niej to lata zniewagi, obrazy,  
Zniosłem cierpliwie; — złorzeczyłem nieraz  
Sobie, jej nigdy; — za nią, nie za siebie,  
Ha! wziąłem pomstę; — i oby sąd w niebie  
Mnie karał za nią! — Czem w świecie i w sobie  
Byłem i jestem — jej to wszystko dzieło! —  
Serce Mazepy twarde — lecz aż w grobie  
Zagaśnie chyba, gdy raz zapłonęło.

## VI.

„Jam kochał — wzdychał — spotykał ją w tłumie,  
Milezał — a jednak czuł, że mię rozumie. —  
Jest tysiąc tonów, tysiąc znaków myśli,  
Co każdy pojmie, choć nikt nie określi.  
Skry mimowolne wulkanicznej duszy,  
Co z chmur jej uczuć, jej burz i katuszy,  
Pryskają same — i jedna po drugiej,  
Tworzą ów łańcuch tajemniczy, długi,  
Co gdy raz tylko spoi duszę z duszą,  
Już go na wieki razem dźwigać muszą,  
A każde wzajem uczucie, myśl każda,  
Przebiega po nim — jak piorun lub gwiazda! —

„Jam kochał — milezał — z bojaźni czy sromu?  
Nie wiem; — i nawet, kiedym już jej w domu  
Częstym był gościem: ilekolwiek razy  
Chciałem przemówić — czułem jak wyrazy  
Krzepły mi w ustach; — aż przyszła godzina!“

„Jest gra — nie pomnę nazwiska — dziecinna,  
Prosta gra w karty; — do niej raz za stołem,  
Nie wiem jak, z czego, zasiedliśmy społem.  
Grałem nie myśląc; — ale być tak blisko  
Tej, co się kocha! — twarz w twarz, oko w oku!  
Każde jej tchnienie, każdy promień wzroku  
Chwytać, i w jedno zlewać jej ognisko!...  
O! to jest rozkosz, za którą miliony  
Przegraćby warto! — Myśmy o nie grali.  
Lecz widząc wzajem jej wzrok zamyślony,  
Jej twarz płonącą rumieńcem koralu:  
I natężenie, z jakim się zdawała  
Patrzeć na karty, choć nic nie widziała:  
I długość czasu gry naszej, do której,  
Tajemna, zda się, wiązała ją siła: —  
To gdy postrzegłem — jakby piorun z góry,  
Myśl nagła we mnie błysła — zaświeciła —  
I z ust, i z oczu, serca tajemnica,  
W łzach, iskrach, słowach, wybuchła zarazem!...—  
Ona słuchała; — błędna jej żrenica  
Utkwiła we mnie: — i choć nie wyrazem,  
Odpowiedziała! — i od tej już chwili,  
W sobieśmy tylko i dla siebie żyli.

VII.

„Kochałem — byłem kochany wzajemnie! —  
Lecz jeśli prawda, co powszechne zdanie  
Głosi o tobie, Najjaśniejszy Panie!  
Że dotąd nie znasz co miłość; — daremnie  
Byłoby kreślić dalsze mojej dzieje.  
To, na co we mnie cała krew goreje,  
W tobie pogardy może uśmiech wzbudzi. —  
Ale cóż czynić? — nie każdemu z ludzi  
Dano, jak tobie, woli majestatem  
Umieć panować nad sobą i światem! —  
Jam jest — lub raczej, jam też był hetmanem,  
Królem tysięcy; — z sercem niezachwianem  
Wiodłem je w ogień; — a przecież daremnie  
Chciałem zmódz słabość natury człowieczej,  
Zmódz serce moje! — Lecz wracam do rzeczy.

„Kochałem — byłem kochany wzajemnie! —  
Były to chwile najszcześniejsze w życiu!  
Codzień ją mogłem widywać w ukryciu,  
I żyłem tylko nadzieją tej chwili.  
Czas, świat i ludzie stali mi się niczem:  
Wschód mego słońca był przed jej obliczem,  
Noc mojej duszy — gdyśmy się dzielili!... —  
O! teraz jeszcze całą Ukrainę  
Oddałbym chętnie za taką godzinę,  
Za owe chwile — kiedy paż ubogi,  
Na całym świata obszarze, nie miałem  
Nie prócz jej serca — i nie mieć nie chciałem,  
Prócz, bym ją częściej widywał bez trwogi! —

„Wiem, że jest wielu, w których tajemnica  
Bronnej miłości, jej zapal podsyca.  
Jam tego nie czuł: nie było mi trzeba  
Tych sztucznych podniet: — ja oddałbym życie,  
By wobec świata, i ludzi, i nieba,  
Nazwać ją moją! — Przeczuwałem, zda się,  
Co mię już w bliskim spotkać miało czasie,  
Za to, że tylko mógł kochać ją skrycie!

VIII.

„Jak cień za szeptem idzie ludzka zawiść,  
W Warszawie, tłumy jej możnych ezeieli,  
Szeptali o mnie, lecz wierzyć nie chcieli.  
Jam drwił z ich dumy, nie dbał o nienawiść.  
I latem za nią jechał na Podole. —  
Tam tając imię, nieznany nikomu,  
W cichym szlachcica ubogiego domu,  
O miedzę z zamkiem mieszkałem przez pole.  
Aż trafił, czy zdrajca odkrył kroki moje.  
I dnia jednego, w zbrojnych dworzan kole,  
Kasztelan w gaju pojmał nas oboje. —  
„O! widzieć było gniew pana i męża,  
Gniew pychy jego! — Nie miałem oręża,  
Lecz choćbym w zbroi był od stóp do głowy,  
Musiałbym uleść tłuścieży i przemocy. —  
Było to w czerwcu — już na schyłku nocy,  
I nie sądziłem, bym ujrzał dzień nowy! —  
Znikąd odsiecz, a sędzia we wrogu! —  
Duszę więc w myślach polecivszy Bogu,

Czekałem śmiało mej śmierci wyroku,  
I drżałem tylko o los Izabeli. —  
Jaki był — nie wiem; wśród drzew, i w pomroku,  
Widziałem tylko miganie się bieli  
Szat i zasłony: gdy na wpół omdloną,  
Szybko, na rękach, do zamku niesiono! —  
Mąż został przy mnie — i jako złoczyńcę,  
Kazał wieść w zamku zewnętrzne dziedzińce:  
Kazał giestami — bo nie mógł już głosem,  
Drżąc cały z gniewu i pieniać się wściekle. —  
Król mógłby może pogodzić go z losem.  
Ale paż! — Czułem, że rażon tym ciosem,  
Kary dość dla mnie nie znalazłby w piekle! —

## IX.

— „Konia tu! konia!“ — spojrzę, aż prowadzą  
Czarta nie konia! — czterech masztalerzy  
Trzyma za uzdę — i rady nie dadzą.  
Wspina się, parska, grzywa mu się jeży,  
Żar iskrzy z oczu — z wściekłości i zgrozy. —  
Dzień ledwo temu, jak wzięty ze stada,  
Dziki syn stepów! — Przynoszą powrozy,  
Do grzbietu jego wiąże mię gromada.  
I nagle wszyscy, z przeraźliwym wrzaskiem,  
Siekąc biczami i strasząc ich trzaskiem,  
Zrozpaczonego puszczają na wolę. —  
Wypadł za bramę: — wiatr, strumień wezbrany,  
Grom nie tak szybki — jak on rozhukały,  
Ze mną na grzbiecie, pomknął się przez pole.



X.

„Lecim i lecim — na oślepi, przed siebie,  
Prosto jak strzała! — Brzask pierwszy na niebie  
Posrebrza chmury, lecz jeszcze nie świeci. —  
Noc, step przed nami! — koń leci i leci.  
Tehu brak mi w piersiach, patrzę nieprzytomnie,  
Wzrok mi się kręci: — i tylko wkoło mnie  
Słyszę świst wiatru; — a ostatnie głosy,  
Co długo za mną przeciągłemi echy,  
Ścięgały w stepie i biły w niebiosy:  
Były to wrzaski i szydercze śmiechy  
Zgrai mych wrogów! — Co krwi we mnie było,  
Zawrzała ogniem: — i z nadludzką siłą,  
Targnąwszy głowę, zerwałem ogniwo,  
Co kark mój z końską związywało grzywą.  
I wstecz, jak mogąc, zwrócony pół ciałem,  
Wzajem obelgi i klątwy miotalem.  
Bezsilne klątwy! — ale i te może  
Wiatr i pęd konia zagłuszył w ich uszach.  
I to mię boli: — bo chciałem w tej porze  
Ślad wzgardy mojej zostawić w ich duszach! —  
„Potem — ha! potem! — nie próżnemi słowy  
Jam ich odpłacił! — Podole i stepy  
Pomną obrazę i zemstę Mazepy!  
Ten gmach, te baszty, ten mur opasowy,  
Co mógł urągać wojska obleżeniu —  
Gdzież są? — nie został kamień na kamieniu;  
Na polach jego nie rośnie żdźbło słomy;  
Na gmach i pola spadł ogień Sodomy! —

Cegły, kamienie, w popiół się rozwiały:  
W ognistych kroplach, jako deszcz obfity,  
Stopniały dachów ołowiane szczyty,  
Co go przed zemstą zakryć nie zdołały!... --  
„Nikt z nich nie myślał o tym dniu odpłaty,  
Gdy na grzbiet koński, jako martwe drewno,  
Wiążąc mnie z wzdgarą — i na zgubę pewną  
Puściwszy -- szydząc wznosili wiwaty! --  
Nikt z nich nie myślał, że z tej samej błoni,  
Ten sam, na czele stu tysięcy koni,  
I stu tysięcy dzid, szabel, mołojców,  
Przyjdzie jak piorun — i nad głową zbójców,  
Sprawiedliwości i zemsty zarazem,  
Sąd czynić będzie — ogniem i żelazem!... —

„Bo czas nakoniec równa wszystkie rzeczy,  
I byle umieć jak korzystać z pory,  
Niema na świecie potęgi człowieczej,  
Coby ujść mogła przed zemstą — do której,  
Bodźcem jest pamięć krzywd takich — a celem,  
Tryumf przed światem nad nieprzyjacielem!

## XI.

„Tymczasem dalej i dalej, bez toru,  
Koń mój, jak wichur, jak błysk meteoru,  
Leci i leci: -- wsie, ziemia uprawna,  
W tyle za nami zostały już zdawna.  
Przed nami wkoło, jak oko zasięga,  
Step równy, pusty — w końcu widnokreśła,  
Przeze mgłę tylko widać — że jak pasem,  
Sinym po bokach otoczony lasem. —

Niedawno jeszcze ćma Krymskich Tatarów,  
Wracając z Polski z jeńcami i łupem,  
Dognana w pośród tych dzikich obszarów,  
Przestrzeń ich wkoło zasłała swym trupem.  
Oprócz ich mogił widzialnych zdaleka,  
Żadnego śladu, ni dzieła człowieka. —

„My lecim, lecim; — już przyszedł wschód słońca,  
Lecz dzień pochmurny i cisza dusząca.  
Słyszę świst w uszach — lecz nigdzie powiewu,  
By nim choć westchnąć; — a koń chrapiąc z gniewu,  
Leci i leci. — Mdłość głowy zawrotu  
Owładła członki; zimne krople potu  
Leją się ze mnie. — Chcę mówić modlitwy —  
Próżno! — Koń leci; — myślę, że się znuży,  
Że zwolni biegu; że takiej gonitwy  
Nad dwie, trzy godzin, nie wytrzyma dłużej.  
Próżne nadzieje! — ciężar ciała mego  
Był niezem — owszem, był bodźcem dla niego.  
A ruch mój każdy — skorom się odważał  
Poruszyć na nim — czułem, jak pomnażał  
Pęd, i strach jego, i gniew jego pychy. —  
Próbuję głosu: — słaby był i cichy;  
Lecz na dźwięk pierwszy, jak rażony strzałem,  
Koń drgnął, podskoczył, i z wściekłym zapalem  
Pędził tem chyżej — i na każde słowo,  
Wstrząsał się, jakby na trąbę bojową. —  
Powrozy w ciało coraz głębiej grzęzły,  
Aż krew przyskając zboczyła ich węzły;  
A jakby ognia żywego płomienie,  
Piersi mi i usta paliło pragnienie.

XII.

„Las tuż przed nami: — od brzegu do brzegu,  
Wszereż horyzontu step zda się przelega.  
Las drzew odwiecznych, których nawet czoła  
Huragan stepu uczylić nie zdoła.  
Lecz te gdzieś niegdzie: — a pomiędzy niemi,  
Gęstwa zarośli z gałęzmi wiotkiami,  
W całym bogactwie liści i zieleni  
Szat swoich letnich: — nim wichur jesieni  
Przyjdzie z za morza, i w dzikim poświęście  
Rozmiecie w stepie zczerwieniałe liście,  
Gdzie już z pod szronów, przy słońca zablýsku,  
Lśnią, jak krew skrzepła na pobojuwisku,  
Gdy je okrywysz cień nocy zimowej,  
Posrebrzy mrozem niegrzebane głowy,  
I tak je stwardni, że próżno dziób kruka,  
Z dzwoniącym echem, w zmarzłe twarze stuka! —  
„Była to ciemna, zielona dąbrowa  
Młodszych zarośli; — dąb, sosna masztowa,  
Z rzadka gdzieś niegdzie; — o! i gdyby nie to,  
Las tenby dla mnie ostatnią był metą! —  
Lecz wiotkie krzewy, nie szarpiąc zbyt srodze,  
Łatwo przed nami rozdały się w drodze. —  
Zamknąłem oczy, ku grzywie przypadłem,  
I więzom moim dzięki, że nie spadłem. —  
Koń mkał jak piorun: — bo z tyłu gromada,  
Ścigało wilków rozjuszony stado. —  
W stepie nas jeszcze zajrzeli przed lasem,  
I zewsząd z wściekłym opadli hałasem.

Koń przez ich środek przeleciał jak strzała,  
A ślad w ślad za nim biegła ruja cała. —

„Nie mogąc dojrzeć, z obudwu wciąż boków,  
Słyszałem w lesie trzask, szelest ich kroków;

I czasem tylko przez krzewy cieniste  
Migał grzbiet bury, lub oczy ogniste. —

Lecz gdy las rzednicę zaczynał ku błoni,  
I coraz bliżej brzmiał cwał ich pogoni,

Podniósłszy głowę, spojrzałem z obawą. —

O strzał zaledwo pędzili już ławą,

Jak stado owiec, a chyżej niż charty! —

Tak czy tak, czułem, że śmierć mię nie minie;

Lecz iść na pastwę bestyi rozżartej —

Myśl ta straszliwa, w tej nawet godzinie,

Wszystkie me włosy zjeżyła na czole:

I wszystkie inne obawy i bole,

Umilkły przed nią. — Całe me nadzieje

Były z początku, że koń mój zwolnieje,

Że padnie w końcu; — teraz tylko o to

Drżałem, by nie padł; — i głosem, i ruchem,

Cheiałem go, zda się, przeniknąć mym duchem,

I wzmódz mą siłą, i natchnąć ochotą,

By ujsć przed rują! — Lecz strach mój był marny!

Koń, zda się, z trwogą, wziął i chyżość sarny.

I z mniejszym pędem, pieniać się fala,

Z porohów Dniepru, w dół z góry się zwała,

Jak on wciąż pędził w niepojętej sile —

Aż las i wiley zostali się w tyle.

XIII.

„Lecim i lecim: — już blisko południa,  
A krew mi ścięło jakby zimno grudnia,  
I z nową mdłością przyszedł zawrót nowy.  
Zwisłem w dół głową jak potok zimowy.  
Brzemie mych cierpień złamało wytrwałość.  
I gdy dziś jeszcze przypomnę ich całość:  
Wstyd, wściekłość, rozpacz, strach i przerażenie,  
Więzy i nagość, ból, głód i pragnienie,  
I myśl o wrogach i mojej zniewadze:  
Dziwię się własnej mocy i odwadze,  
Żem zniósł to wszystko — a nie, że na chwilę  
Ciało duchowej nie sprostало sile.  
Wzrok mi się zaćmił, a członki bezwładne  
Zwisły ku ziemi; — zdało się, że spadnę,  
Ale nie! — mocno trzymały powrozy. —  
Czułem przez chwilę dreszcz śmiertelnej zgrozy.  
Ale wnet pamiętać, i myśl, i pojęcie,  
W jednym się mglistym zmieszwały odmęcie.  
Step, ziemia, niebo, i ja z niemi społem,  
Zdały się szybkim obracać się kołem:  
Aż wzrok mój ciemna powlokła zasłona,  
I w piersiach serca konwulsyjne drgania  
Ustały nagle. — Człowiek co już kona,  
Nie może mocniej czuć chwili skonania,  
Jak jam czuł wtedy. — Jak żeglarz w rozbiciu,  
Na kruchej desce, gdy huczająca fala  
Niesie go, miota, głuży i przywala,  
W głąb szedłem zda się; — czułem żem był w życiu,

Lecz życie było jak sen gorączkowy,  
Wąły, znikomy: a jednak się zdaje,  
Że w nim przytłacza głaz ciężki, grobowy,  
Co ni się ocknąć, ni spocząć nie daje. —  
Jeśli przy śmierci są takie męczarnie,  
Nie dziw, że przed nią natura się trwoży! —  
Przy śmierci nawet może jeszcze gorzej,  
Nim wieczność całkiem człowieka ogarnie. —  
Mniejsza! jam wtedy raz już oczy moje  
Oswoił z śmiercią — toć i znów oswoję.

#### XIV.

„Jak długo trwały te mdłości — nie zgadnę;  
Myśl z ciałem były zarówno bezwładne.  
Przytomność pierwsza wróciła. — Gdzież jestem?  
Czuję chłód jakiś: — serce się porusza,  
Krew uderzyła — ożywia się dusza:  
Słuch jakimś dziwnym napełnion szelestem.  
Otwieram oczy — oglądam się — ciemno!  
Koń parska — słyszę — lecz czy koniec jazdy?  
Nie czuję biegu. — Spojrzę, aż pode mną  
Woda — i w wodzie niebiosa i gwiazdy! —  
Zamknąłem — znowu otwieram powiekę:  
To nie sen! — rumak mój płynie przez rzekę. —  
Wzdęta i bystra! — a rozlana fala,  
Przed i za nami połyska się zdala;  
Głęb wre i szumi: a my wśród jej prądu  
Do nieznanego sterujem się-ład. —  
Chłód świeżej wody zbudził mię z omdlenia. —  
Koń silną piersią porze nurt strumienia,

Parska — a piana, jak płachtami śniegu,  
Posrebrza falę. — Dopływamy brzegu —  
Lecz cóż port dla mnie za różnicę czyni?  
Tamby śmierć w głębi, a tu śmierć w pustyni!  
A gdzieby prędzej, i jak lżej umierać:  
Anim pomyślał, anim mógł wybierać.

XV.

„Zmokły, zziajany, z dymiącymi boki,  
Trzęsąc się z zimna, koń na brzeg wysoki  
Wspiał się, wyskoczył. — Przed nami równina.  
Jak w nocy zajrzeć, zamglona i sina,  
I w lewo, w prawo, w mdłym świetle miesiąca.  
Zda się gdzieś w przestrzeń przedłużać bez końca!—

„My lecim, lecim. — Czasem w mgle poziomej  
Miga coś biało; czasem się coś czerni,  
Jak drzew gromada; — byłyżby to domy? —  
Nie dojrzeć pewnie nie da blask znikomy —  
Lecz sąż to sady, czy zarośłe cierni?  
Bo nigdzie żadne światelko zdaleka,  
Żaden głos zniskąd nie wróży człowieka.  
Ognik się nawet nie zerwie z pod ziemi,  
By choć urągać przed oczyma memi.  
Blaskby mi jego nowej dodał siły!  
Bo choćby nawet łudził mię — już dosyć  
Byłoby dla mnie, gdybym mógł choć wnosić,  
Że już tu przecie są ludzkie mogiły! —

XVI.

„Lecim wciąż naprzód; — lecz coraz i coraz  
Słabieje konia moc nieukrócona.



Robiąc bokami i piersią, raz po raz  
Utknie — i zda się upadnie, i skona.  
I znów się wzmaga. — Dziecię go w tej porze  
Wstrzymaćby mogło!... — Cóż mi to pomoże?  
Nie mam rąk wolnych — a choćby i były,  
Może już na to nie miałbym dość siły! —

„Ostatek jednak wyteżam — azali  
Nie zerwę więzów; — niestety! daremnie!  
Powrozy tylko wpijają się we mnie,  
I ból się zdwaja. — Koń dalej, i dalej,  
Pędzi — lecz czuję, że chwieje się w pędzie,  
Że musi upaść! — lecz cóż ze mną będzie?... —  
A już od wschodu, u brzegu przestrzeni,  
Pierwszy brzask świtu srebrzy się, rumieni —

Lecz jakże wschodzi powoli!  
Jak tu noc długa! jak leniwe słońce! —  
Wzywam go, czekam — jak mego obrońcę,

Jak kresu mojej niedoli! —  
I już, już coraz jaśniej i czerwieniej  
Wschód się zajmuje, i smugi promieni

Buchają na niebios sklepie; —  
I wnet krąg tarczy, napoły widomy,  
Wyjrzał nad ziemię — i blask jej poziomy  
Piorunem strzelił po stepie.

## XVII.

„Słońce pogodne — i tuman kłębami  
Zwija się, wznosi; — przed nami, za nami,  
Stepy, pustynia, równina jak morze!  
Końca nie dojrzeć! — lecz w całym przestworze,

Nigdzie człowieka ni ręki, ni śladu.

Powietrze nawet bez głosu i ruchu:

Nigdzie śpiew ptaka, nigdzie brzęk owadu,

Szmer nawet wiatru nie ozwie się w uchu.

Cisza i martwość! — Koń milę po mili,

Dyszając, że zda się pierś pęknie co chwili,

Pędzi, i resztą tchu robi bokami.

A wciąż jesteśmy — lub zdajem się sami. —

„Wtem jedną razą, rozległ się po błoni

Głos jakiś cudzy: — czy to rzenie koni?

Czy wiatr w gałęziach widomej dąbrowy? —

Nie, nie! to tętent — to tabun stepowy!

Widzę już, widzę, jak całe ich stado

Z lasu na pole wybiegło gromadą,

I w cwał, na przełaj, zabiega nam drogę! —

Chciałbym zawołać — próbuję — nie mogę. —

Ziemia się wstrząsa od echa ich biegu.

Pędzą, jak jazda w bojowym szeregu.

Lecz gdzież są jeźdźcy? — Wglądam się zdaleka:

Koni jest z tysiąc — żadnego człowieka! —

Z grzywami na wiatr, podjawszy ogony,

Chrupiąc nozdrzami, harują w przegony.

Rzędy po rzędach, na stepów przestworzu,

Czernią się, huczą, jak fale na morzu,

I w całym pędzie mkną ku nam przez błonia. —

Widok ich, zda się, wzmógł moc mego konia.

Pomknął się, zarżał — i jak martwe brzemie,

Zachwiał się — zarył — i runął o ziemię.

„Z dymiącem nozdrzem, tocząc piany białe.

Leżał — i nogi wyciągał zmartwiałe.

Skończył swój zawód pierwszy i ostatni! —  
Kołem go zewsząd obiegł orszak bratni.  
Patrzą się na mnie — zbliżają się -- stają,  
Parskną — odskoczą — i znowu wracają;  
Znać że się dziwią i boją zarazem. —  
A wtem — jak gdyby za danym rozkazem,  
Wszystkie za jednym — znać wodzem ich stada,  
Czarnym, roślejszym niż cała gromada,  
Chrapiąc, parskając, kopnęły z kopyta!  
W chmurach kurzawy, co z pod nóg ich wzbita,  
Z hukiem stu gromów, tłum w stepy ucieka,  
Jakby z instynktu przed twarzą człowieka! —

„Jam został jeden — z rozpaczą w mej duszy,  
Na martwym koniu, co już się nie ruszy,  
I chcąc się z niego odwiązać daremnie! —  
Chłód jego śmierci przenikał aż we mnie,  
Razem ze straszną pewnością, że społem  
Popiół mój z jego zmiesza się popiołem. —

## XVIII.

„I tak od rana do późnego mroku,  
Leżałem pastwą mych myśli natłoku;  
Żyjąc jak na to, by okiem gasnącem  
Z ostatniem mojem pożegnać się słońcem,  
I zejść z niem razem — tylko że na wieki! —  
Od wszelkiej ludzkiej pomocy daleki,  
W samej pewności strasznego losu  
Znalazłem siłę na zniesienie ciosu,  
Przed którym serce i natura ludzi  
Truchleją równie; — choć ich już nie ludzi

Świat; chociaż mdlejąc od pracy i znoju,  
Nie chcą innego szczęścia — prócz pokoju,  
Którego, wiedzą, że niema na świecie,  
Że w grobie tylko znaleźć go; — a przecie,  
Tak drżą przed grobem, i mijają kołem,  
Jakby grób tylko był zdradzieckim dołem.  
Co go się ustrzedz i uniknąć można,  
Byle roztropność i baczność ostrożna! —  
I śmierć — choć nieraz zwana głosem jęku,  
Nieraz szukana z krwawym mieczem w rękę,  
Śmierć, gdy się zbliży — w jakąkolwiek porę —  
Człowiek w niej zawsze obaczy potworę.

### XIX.

„A jednak dziwna! że nieraz piastuny  
Szczęścia, przepychu, zbytku i fortuny,  
Co z wiecznym śmiechem na czole i ustach,  
Godują w świecie i toną w rozpustach,  
Konają nieraz spokojniej i śmielej,  
Od tych, co tutaj nic prócz łez nie mieli! —  
Bo człowiek w szczęściu, któremu niczego  
Nie brakło nigdy, i który wszystkiego  
Słodczy i gorycz poznał po kolei,  
Cóż ma do żądy, i co do nadziei,  
Prócz chyba przyszłych, niezmiennych radości,  
Gdy mu je wiara zwiastuje w wieczności?  
A bez nadziei i żądy, cóż znaczy  
Życie na ziemi? — Nieszczęśnik inaczej.  
Wtrącony w przepaść, z wszystkiego obrany.  
On zawsze jakiejś spodziewa się zmiany,

Ulgi, pociechy; — i choćby dlań w świetle  
Śmierć była ulgą jedyną: — on przecie,  
Widzi w niej wroga, który mu w zawiezi  
Chee owoc szczęścia strząść z rajskiej gałęzi! —  
Jutroby może był panem dostatku,  
Otrząsł się z cierpień, podniósł się z upadku:  
Jutroby pierwszym być mogło ogniwem,  
W paśmie dni jego nowem i szczęśliwem,  
Nagrodą długich i mąk i wytrwania;  
Jutroby może dopiął panowania,  
Władzy, potęgi: zawistnych prześcignął,  
Starł nieprzyjaciół, przyjaciół podźwignął:  
Od jutra może spodziewać się tyle —  
Maż mu to jutro świtać na mogile? —

## XX.

„Zachód już blisko: — jam leżał jak z rana,  
Lecząc minuty, aż śmierć pożądana  
Przyjdzie ból skrócić i uśpić na wieki. —  
Przez gwałt ku niebu podniosłem powieki,  
I na powietrzu, między mną a słońcem,  
Ujrzałem kruką — jak skrzydłem świszczącym  
Krażył i krakał: — zdało się, że czeka,  
By razem z koniem mógł żreć krew człowieka.  
I coraz, coraz spuszczał się niżej,  
Coraz mię kołem oblatywał bliżej.  
W zmierzchu, widziałem, jak wisiał nade mną,  
Świszcząc skrzydłami; a gdy już wpół-ciemno  
Było na stepie — raz tak blisko z góry  
Śmignął koło mnie — że szorstkimi pióry

Rozwiał mi włosy i omusknął skronie.  
Byłbym go schwytał, gdyby wolne dłonie! —  
Lecz samo drgnienie przestraczu i zgrozy,  
I skrzyp, co przez nie wydały powrozy.  
I głos — jeżeli zwać głosem chrypanie,  
Com ledwo z piersi wydobyć był w stanie —  
Spłoszyły wreszcie krwiożercę. —  
Co dalej — nie wiem: — tylko jeszcze jedno  
Pomnę jak przez sen: — jakąś gwiazdkę błędną.  
Jakieś światełko w iskiecie:  
Co gdzieś, daleko, przed mglistem spojrzeniem,  
Migało bladym, niepewnym promieniem.  
I przyświecało aż w serce.  
I to, co w sobie w tej chwili doznałem.  
Czując niknącą moc woli nad ciałem:  
Jakąś mdłość, senność, lodowate mrowie.  
Jakiś ból w sercu, jakieś iskry w głowie.  
Coś nakształt trwogi dziecięcej:  
Coś nakształt myśli, że to jest konanie;  
I znów ból, zimno, konwulsyjne drganie.  
Westchnienie — i już nie więcej! —

## XXI.

„Budzę się — cóż to? czy jeszcze marzenie?  
Czy wzrok mój ludzkie spotyka wejrzenie? —  
Wkołoż mnie ściany wiejskiego mieszkania?  
Toż-li wezgłowie miękkiego pośłania? —  
Jestże śmiertelnym, ten wzrok tak promienny,  
Milszy mojemu od jasności dziennej,

Co tak z czułością wpatruje się we mnie? —  
Drzę, by się jeszcze nie ludzi daremnie.  
Wyteżam oczy, poglądam ciekawie —  
Nie! to nie mara! — nie! widzę na jawie.  
Młoda dziewczica, kształtna i wysoka,  
Siedzi opodal, nie spuszczać oka.  
I gdy ujrzała żem odzyskał zmysły,  
Czarne jej oczy jak ogniem zabłysły,  
I usta nagłym zadrgały uśmiechem. —  
Powstawszy, ku mnie przybiegła z pośpiechem.  
I widząc z ruchu ust moich, że chciałem  
Przemówić do niej, lecz głosu nie miałem:  
Palcem na ustach, i wstrząsając głową,  
Dała znak milczeć: bym niewczesną mową  
Strzegł się nadużyć wracającej siły,  
Ażby się same powoli wzmocniły.  
I rękę moją ujawszy swą dłonią,  
Drugą wezglowie podniosła pod skronią,  
I ledwo stopą dotykając ziemi,  
Poszła na palcach, krokami prędkimi,  
I stojąc w progu, przez drzwi wpół przemknięte  
Szeptala zeicha; — a słowa tłumione,  
Rajskimi dźwięki grały w mojem uchu. —  
Patrzałem na nią — a ona bez ruchu  
Postawszy chwilę — gdy widać uśpieni  
Ci, których zwała: — wnet sama do sieni  
Wyszła — lecz pierwej, wyraźniej niż słowy,  
Twarzą i ręką dała mi znak nowy,  
Bym był spokojny i czekał. — Gdy znikła,  
Taka mię żalność objęła niezwykłą,

Taka tęsknota: — że mi się zdawało,  
Że życie za nią przez pół uleciało.

## XXII.

„Wróciła z matką i ojcem kozakiem. —  
Cóż mówić więcej? — jako mię przed nocą,  
Znaleźli w stepie z nieżywym rumakiem,  
I z chrześcijańską śpiesząc się pomoceą,  
W dom swój przenieśli rękami własnemi —  
Mnie — com miał kiedyś hetmanić nad niemi! —

„Tak ów okrutnik, co w swej zemście ślepej,  
Chcąc zwiększyć boleść i męczarnie skonu,  
Myślał, że na śmierć posłał mię na stepy,  
Droge mi tylko otworzył do tronu! —  
Nikt z ludzi nie wie, co mu los przeznacza —  
Lecz też niech żaden darmo nie rozpacza!  
Co dziś złem zda się, na dobre wyjść może. —

„I byle prędzej ranne ujrzyć zorze,  
I konie nasze pokrzepić noclegiem:  
Wczas staniem jeszcze nad Dniestrowym brzegiem! —  
I wyznać muszę, że nigdy wśród spieki  
Jeleń się chciwiej nie kwapił do rzeki,  
Jak ja, by za nią ująć wrogów przemocy. —  
Lecz dość już bajać. — Bracia! dobrej nocy!“ —

Skończył — i dłonią ku słuchaczom skinął —  
Pogłaskał konia, burką się obwinał,



I na posłanie, dla niego nie nowe,  
Legł, o pień dębu opierając głowę,  
I zasnął wkrótce jak śród Ukrainy. —  
Lecz gdy się może dziwicie, dla czego  
Król nie mu nie rzekł o powieści jego?  
Przyczyna prosta! — Król spał od godziny.

# NIEBO I ZIEMIA

DRAMAT LIRYCZNY

LORDA BYRONA.



Treść niniejszego poematu oparta jest na następujących słowach Pisma Świętego, w księgach *Genesis*, w rozdziale VI:

„A gdy się ludzie poczęli rozmnażać na ziemi i zrodzili córki, widząc synowie Boży córki ludzkie, iż były piękne, wzięli sobie żony ze wszystkich, które obrali.

„A olbrzymowie byli na ziemi w one dni.

„A widząc Bóg, że wiele było złości ludzkiej na ziemi, a wszystka myśl serca była napięta ku złemu po wszystek czas, rzekł: Wygładzę człowieka, którego stworzył, z obliczności ziemi i t. d“.

Poema to liczone słusznie do najcenniejszych utworów swego autora, odznacza się nadto od wszystkich innych dzieł jego, oprócz może „*Manfreda*“, osobnym swym stylem i tonem; i to jest, co mię zwłaszcza skłoniło, że je do tłumaczenia wybrałem. Nie wiem jak czytelnicy moi, nawykli zapewne do okrągłego toku wiersza i śpiewnego odbijania rymów, zniosą w niniejszym przekładzie różną nieco jego budowę, i ciągle prawie w dyalogu zacieranie się tychże. Nie uprzedzając wcale ich sądu, winienem wszakże oświadczyć, iż jedno i drugie uważałem właśnie za główny warunek zachowania charakterystycznych cech oryginału.

## OSOBY:

RAFAEL, archanioł.

AZAZIEL, }  
SAMIASA, } aniołowie.

NOE.

SEM, }  
JAFET, } synowie jego.

IRAD, przyjaciel Jafeta.

ANAH, }  
AHOLIBAMAH, } siostry, z rodu Kaimitów.

CHÓR DUCHÓW. CHÓR LUDZI.

Rzecz dzieje się przed potopem.

---

## SCENA I.

Okolice górzysta i leśna w bliskości góry Araratu.  
(Północ).

*Wchodzi:* ANAH I AHOLIBAMAH.

ANAH.

Ojciec nasz usnął; — siostro! oto pora  
Gdy kochankowie nasi na obłokach  
Zstępują ku nam! — Patrz, jak dziś ta góra  
Nawisła mgłami! jaki szum w opokach!...  
Serce mi bije.

AHOLIBAMAH.

Kolej dziś na ciebie,  
Zaczynij wezwanie!

ANAH.

Siostro! ja się trwożę.

AHOLIBAMAH.

Ja też — lecz tylko gdy myślę, że w niebie  
Moc jaka wyższa zatrzymać ich może.

ANAH.

Aholibamah, siostro moja droga!  
Nie wiem dla czego głos się nie ośmiela  
Wyjść z piersi moich; — niepojęta trwoga  
Ziębi mnie dreszczem. -- Wiesz, Azaziela

Jak kocham — sestro! kocham więcej może  
Niż kochać wolno; — więcej niż — o! Boże!  
Cożem rzec chciała? — jaka myśl bezbożna!...

AHOLIBAMAH.

W czym jest bezbożność? — Miałaby być zdrożna  
Miłość aniołów? —

ANAH.

Lecz jest głos, co woła  
W głębi mej duszy; że mniej kocham Boga,  
Odkąd ujrzałam blask jego anioła! —  
Nie! to nie dobrze! — nie! Aholibamah!  
To nie jest dobrze! — i choć często sama  
Nie wiem w czym grzeszę — ten strach źle mi wróży.

AHOLIBAMAH.

A więc dla czego masz się dręczyć dłużej  
Związkiem z duchami? — raz jedno wybieraj!  
Jafet cię kocha — kochał od lat wiele —  
Idź zań! prządz, pracuj, ródz proch, i umieraj!

ANAH.

Nie! — jednak czuję, że Azaziela,  
Choćby był równie śmiertelnym — ja przecie  
Równiebym zawsze kochała! — choć lepiej,  
Lepiej że nie jest; — nie będę na świecie  
Płakała po nim! — Jak mię ta myśl krzepi!  
I gdy pomyślę, że przyjdzie czas, kiedy  
On nad mym grobem roztoczy swe skrzydła,  
I będzie wiecznie pomniał o mnie: — wtedy  
Śmierć traci dla mnie swą postać strasznydła,  
Chciałabym umrzeć — i tylko drzę o to,

Że końca jego nie będzie rospaczy,  
Że nieśmiertelną, jak on sam, tęsknotą  
Trawić się musi wiecznie!

AHOLIBAMAH.

Myśl więc raczej,  
Że znajdzie drugą, którą, nim też skona,  
Kochać jak ciebie będzie wiarołomnie.

ANAH.

Niechby tak było! byleby go ona  
Kochała wzajem: — wolę, niżby po mnie  
Płakać miał wiecznie.

AHOLIBAMAH.

Nie pojmuję ciebie!  
Gdybym tak miała myśleć o kochanku,  
Choćby sto razy był aniołem w Niebie,  
Dziśbym go jeszcze wzgardziła na wieki! —  
Lecz śpiesz się, siostró! — czuję woń poranku —  
Śpiesz się z wezwaniem — dzień już niedaleki!

ANAH.

Serafinie!  
W gwiazd krainie,  
Gdzie bądź skrzydło twoje wionie:  
Czy wespoły  
Z archanioły  
Przy Wiecznego czuwasz tronie:  
Czy w przestrzeni nieskończonej  
Jasných światów miliony  
Wiedziesz nynie:  
Serafinie!



Ja cię wzywam: — usłysz w Niebie,  
Pomyśl o mnie — ach! przynamnie:  
Żem choć niczem jest dla ciebie,  
Tyś, aniele, wszystkim dla mnie!

Ty nie czujesz — ach! i oby  
Nikt ich nie czuł, prócz mnie samej! —  
Tych łez trwogi i żałoby,  
Co tu ludzie wylewamy.  
Tyś syn chwały, co bez końca;  
Twoja piękność — promień słońca,  
Istność — duch nieskazitelný,  
Niezrodzony, nieśmiertelny! —  
Cóż równego znajdziesz we mnie,  
Prócz miłości — co daremnie  
Tłumiąc, czuję, że zuchwała:  
Jakiej żadna z córek ziemi,  
Ni doznała, ni oblała  
Jak ja łzami rzewniejszemi? —

Tyś stróż tronu Tego, który,  
Tak cię równie w blask swój odział,  
Jak pomiędzy swymi twory  
Mnie najlichszej łzy dał w podział! --  
Cierpię jednak, i nie winię  
Na me losy, Serafinie!  
Bo ty kochasz mię — pocieszysz,  
Usłyszysz mię, i pośpieszysz! —  
Pośpiesz, pośpiesz! bo czas płynie --  
Mnie, nie tobie, Serafinie!  
Mnie nie tobie chwila droga,

W której sercu grzech i trwoga  
W każdej chwili walczyć śmieją  
Z mą miłością i nadzieją! —

Lecz przebacz jęk boleści!  
Boleść jest żywioł ludzi.  
Rozkosz u was się mieści,  
Nas tylko sen jej łądzi. —  
Zstąp, zstąp! nim czas upłynie,  
Luby mój Serafinie!  
Rzuć gwiazdy! — gwiazdy w niebie  
Świecić mogą bez ciebie; —  
Ja biedna, ja nie mogę  
Żyć nawet; — lży i trwogę  
Twój chyba wzrok ukoj. —  
Zstąp, zstąp! niech tve przybycie,  
Chwilą wieczności twojej  
Moje rozjaśni życie!

AHOLIBAMA.

Samiaso! gdzie bądź w górze  
Dzierżysz władzę: czy gromami  
Zbrojny, toczysz bój z duchami  
Nieczystymi, co w oporze  
Śmia się mierzyć z Niezrównanym?  
Czy za światem oblakany  
Pędzisz w pogoń: co w przestrzeni,  
Za wskazany tór i krańce  
Wybiegł, i sam, i mieszkanie,  
Jak my na śmierć przeznaczeni,  
Lecą w przepaść wiecznej zguby?

Czy to łącząc głos z Cheruby,  
Których twoją gasisz krasą,  
Śpiewasz Panu, co na niebie?

Samiaso!

Wołam ciebie, czekam ciebie, kocham ciebie! —

Inni niech ci biją czołem,  
Ja nie będę; — lecz jeżeli  
Dość ci na tem — zstąp! i społem  
Duch twój z moim los niech dzieli! —

Chociem ja córka ziemi,  
Ty syn promieni,  
Jaśniejszych, niż któremi  
Wschód się rumieni:

Nie możesz mi nie dać więcej  
Prócz uczucia — ni goręcej  
Czuć, jak czuję ja! — bo we mnie  
Jest też promień, choć ukryty,  
Lecz zatłony tam, skąd i ty  
Blask swój wzięłeś! — I daremnie  
Śmierć, pierwszego grzechu córa,  
Grozi mi: ja się nie trwożę,  
Nie! — czuję w sobie moc, która  
Zwalczy śmierć! — Śmierć nas nie może  
Rozłączyć — bośmy oboje  
Nieśmiertelni! — W mojej duszy  
Czuję nieśmiertelność twoją,  
Potężniejszą od katuszy  
Wszystkich trosk i cierpień ziemi;  
W sercu mem, jak grom daleki,

Głos brzmi słowy proroczymi:

„Będziesz, musisz żyć na wieki!“ —

Lecz czy w szczęściu? — nie wiem tego,

Ani chcę badać wyroku,

Co skrył w tajemnic obłoku

Źródła dobrego i złego. —

On wie tylko, On, co w niebie! —

Lecz On sam nawet nie może

Zniszczyć nas: ni mnie, ni ciebie!

Nie może — bo dał nam z Siebie

To, co wszelką moc przemoże:

Duch swój! — we mnie skazitelnej,

Jak w Nim samym nieśmiertelny! —

Z tobą mogę bez bojaźni

Dzielić nawet wieczność kaźni,

Tak! boś ty się mógł ośmielić

Ze śmiertelną życie dzielić! —

I choćby mię żmije wkoło

Opasały: — choćbyś w żmiję

Ty się zmienić: — ja wesoło

Cierpiałabym, i na szyję

Twą upadłszy, sama w sobie

Śród mąk, czułabym rozkosze:

Że je za miłość ku tobie,

I razem z tobą ponoszę! —

Samiaso! wzywam ciebie,

Czekam cię! — Lecz jeśli mniemasz,

Więcej szczęścia doznać w niebie,

Niż tu sprawisz, i otrzymasz —  
Zostań!

ANAH.

Siostro! patrz do góry!  
Co za nagły blask!

AHOLIBAMAH.

To oni! —  
Pół nieba w zorzach się płoni! —  
Widzę ich, jak ponad chmury  
Jasnemi szybują pióry!...

ANAH.

Cóż, gdy ojciec blask zobaczy?

AHOLIBAMAH.

Pomyśli, że wschód księżyca,  
Co na klątwe zaklinaczy  
Wszedł dziś wcześniej i przyświeca.

ANAH.

Patrz, patrz! już są blisko ziemi!

AHOLIBAMAH.

Śpieszmy! — obym skrzydła miała,  
Na powietrzu jeszcze z niemi  
Spotkać się! —

ANAH.

Co za wspaniała  
Jasność! jak luna szkarłatu  
Nad zachodem gorejąca! —  
Patrz! nad szczytem Araratu,  
Tęcza, jakby z gwiazd tysiaca,  
Lśni, iskrzy, mieni się, pali,

Rozszerza się — jak na fali  
Wzruszona z dna morska piana,  
Ślad drogi Lewijatana,  
Gdy cały wzdłuż roztoczony .  
Igra sam po wód płaszczyźnie,  
I w przepaści niezgłębionej  
Tonąc, gwiazdom w oczy bryźnie! —  
Lecz patrz! patrz! już coraz w znierrchu  
Ślad ich émi się i zagasa —  
Patrz! już stoją na skał wierchu! —  
Azaziel!

AHOLIBAMAH.

Samiasa! (*Wybiegają*).

## SCENA II.

*Wchodzą: IRAD i JAFET.*

IRAD.

Nie płacz, bądź mężem! — po co między góry  
Milczeniem swoim mnożysz ciszę nocy,  
Lub tak ku gwiazdom wlepiasz wzrok ponury? —  
Gwiazdy ci żadnej nie dadzą pomocy.

JAFET.

Tak! lecz mnie cieszą. — Któż wie czy i ona  
Nie patrzy na nie teraz? — Mnie się zdaje,  
Że każda piękna istota stworzona,  
Patrząc na piękność, piękniejszą się staje,  
Na wieczną piękność rzeczy nieśmiertelnych. —  
O! moja Anah!

IRAD.

Wszak nie kocha ciebie.

JAFET.

Ach!

IRAD.

Znam ja gorycz uczuć niepodzielnych  
Mnie też jej siostra odpycha od siebie.

JAFET.

Wiem i boleję nad tobą.

IRAD.

Nie boleję!

Jeśli mię ona poświęca swej dumie,  
Moja też duma jej wzgardę znieść umie. —  
Z czasem i na nią przyjąć może też kolej.

JAFET.

Czy się tem cieszysz?

IRAD.

Ni cieszę, ni smucę.

Kochałem szczerze — kochałbym był szczerzej,  
Gdybym mógł mniemać, że wzajem ocucę  
Miłość w jej sercu; — lecz widząc że mierzy  
Wyżej — zostawiam ją jej przeznaczeniu,  
W które snąć wierząc, ludzi siebie sama.

JAFET.

W co wierząc?

IRAD.

Wnoszę, czytam w jej spojrzeniu  
Że kocha.

JAFET.

Anah?

IRAD.

Nie! Aholibamah.

JAFET.

Kogo?

IRAD.

Ja nie wiem; znasz, czy ją kto zbada! —

JAFET.

Anah to chyba kocha Boga w niebie;  
O to spokojny jestem.

IRAD.

Cóż ci nada,  
Kogobądź kocha? dosyć że nie ciebie.

JAFET.

Prawda, lecz ja ją Kocham.

IRAD.

Jam też kochał.

JAFET.

Jestżeś szczęśliwszym, żeś przestał, jak mniemasz?

IRAD.

Czyliż nim byłbym, gdybym jak ty szlochał?

JAFET.

Żałuję ciebie.

IRAD.

Mnie? — Czemu?

JAFET.

Że nie masz

W sobie już tego, co mnie w rozpacz wprowadza.

IRAD.

Dziwnyś! — w tych słowach znać szal jej przemawia. —  
Wierz mi, Jafecie! za żadne nagrody



Czuć, co ty czujesz, nie chciałbym na chwilę;  
 Nie, choćbyś wszystkie ojca mego trzody  
 Zważył, i za nie dał mi syklów tyle,\*)  
 Owego kruszczu potomków Kaima,  
 O którym plemię ich tak wiele trzyma,  
 Że nas chce przezeń wciągnąć w handel z niemi: —  
 Jakby za podły piasek, wyrzut ziemi,  
 Za żółty proszek, co z wierzchu migoce,  
 Warto dać w zamian chleb, wełnę, owoce,  
 Lub inne rzeczy, któremi nas praca  
 Rąk naszych, albo natura zbogaca! —

Lecz pójdź, Jafecie! dość patrzeć na chmury.  
 I przeraźliwie wdychać, jak wilk, który  
 Patrząc na księżyc całą noc wyć gotów. —  
 Ja idę spocząć.

JAFET.

Szczęśliwy, kto może! —

Bądź zdrow!

IRAD.

Nie wracasz ze mną do namiotów?

JAFET.

Nie! — pójdę jeszcze do jaskini w górze,  
 Przez którą, mówią, że duchy z pod ziemi  
 Wychodzą zwykły na świat.

IRAD.

Cóż ci do niej?

JAFET.

Miejsce to zgodne z myślami mojami:  
 Żal dziki w dzikiej zmniejsza się ustroni.

\*) Waga dawna hebrajska.

IRAD.

Ale czyż nie wiesz, jakie o tej dobie  
Widma, jak mówią, wstępu do niej strzegą? —  
Ja pójdę z tobą.

JAFET.

Zostań, dzięki tobie!

Nie mam złych myśli, nie boję się złego.

IRAD.

Ale złe duchy tem więcej ci mogą  
Szkodzić, żeś nie jest z nimi. — Weź mię z sobą,  
Lub zostań ze mną! — nie gardź mą przestroga!

JAFET.

Nie! sam iść muszę.

IRAD.

A więc pokój z tobą! (*odchodzi*).

JAFET (*sam*).

Pokój! — szukałem go gdzie znaleźć mogłem,  
W miłości — sercem, co jej warte było.  
Cóż stąd? — daremnie siły duszy zmogłem,  
Serce osłabło, w myślach się zaćmiło:  
Dni nieprzebyte, nieuśpione noce,  
Oto są całe mych starań owoce! —

Pokój! gdzież pokój? — w martwości zniszczenia?  
Czy w ciszy lasu, co od dnia stworzenia  
Stopą nietknięty, innego odgłosu  
Niezna prócz burzy, gdy go ta druzgota?  
Bo w nich jest wierny obraz mego losu,  
Gdy mię żal tłoczy albo rozpacz miota. —

Świat zabrnał w zbrodnie; — głuchy na głos Boga,  
Nie wie o gniewie Jego, ni o zmianach

Strasznych a bliskich; — daremna przestroga  
Grózb i złowieszczych wrózb! — O! moja Anah!  
Gdy przyjdzie straszna godzina, że morze  
Jak lew ryczący wyprze się z łożyska,  
I wpadnie na świat: — jakbyś ty w tej porze  
Ujść mogła zguby! i ponad zwaliska  
Świata, objęciem mojem osłonią,  
Po świat niszczących bujać oceanach!  
Świat mój byłby w twem sercu, a obrona  
Twoja, w miłości mojej! — Moja Anah!  
Gdybyś ty chciała być moją! — Daremnie!  
Serc snąć i losów nikt zmienić nie może.  
I moje wiecznie krwawić musi we mnie,  
Teraz i wtedy, gdy już ty... — O! Boże!  
Nad nią przynajmniej zmiekczyć srogość wyroków!  
Bo ona czysta pomiędzy grzesznymi,  
Czysta jak gwiazda, co choć w mgłę obłoków,  
Nie gaśnie jednak, ni spada ku ziemi! —

O! gdybyś była moją! lub przynamnie,  
Gdybym cię wolną od twych ojców winy,  
Jedną przynajmniej zbawić mógł! — nie dla mnie —  
Nie! — byleś żyła: — gdy ocean będzie  
Mogiłą ziemi, i ci, co dziś żywi  
Pchną ją do zguby: — a jego jedyny  
Pan i mieszkanię, niewstrzymany w pędzie,  
Nie spotykając ni skał, ni mielizny,  
Sam Lewijatan z przestraczem się zdziwi  
Nieskończonością swych państw i ojczyzny!

(*Odchodzi*).

SCENA III.

*Wchodzą: NOE I SEM.*

NOE.

Kędyż jest brat twój Jafet?

SEM.

Wyszedł w pole,  
Zejsć się, jak mówił z Iradem... Lecz pewnie  
Błądzi, jak co noc, w swem zaklętym kole,  
Wkoło namiotu Anah, kwiląc rzewnie,  
Jak ptak nad pustym gniazdem; albo może —  
Z czem, wiem, że nie rad powierzać się bratu —  
Poszedł, jak nieraz, o północnej porze  
Dumać w jaskini wśród skał Araratu.

NOE.

Po co on do niej? Na całym złym świecie,  
To miejsce jest najgorsze; bo w niem duchy  
Gorsze od ludzi goszczą. — O! Jafecie!  
Czemużeś wybrał, na głos ojca głuchy,  
Niewiastę, której, choćbyś był kochany,  
Pojąćbyś nie mógł? — Ach! serce człowieka!...  
Gdy syn mój własny, wraz ze mną wybrany,  
Znając złość świata i los co go czeka,  
Mógł tak daleko zabrnąć i niepomnie! —  
Pójdźmy go szukać.

SEM.

Ojcze! nie idź dalej!

Ja go sam znajdę.

NOE.

Nie lękaj się o mnie!

Kogo Pan wybrał, nad tym nie uczyni  
Nie moc piekielna! — Będziem go szukali.  
Pójdź!

SEM.

Do obozu sióstr?

NOE.

Nie! do jaskini. (*Odchodzi*).

#### SCENA IV.

Góry — jaskinia — skały Araratu.

JAFET (*sam*).

Dzikie pustynie! lochy, co się zdacie  
Bez dna i granie! i wy dumne góry!  
Tak niezachwiane w swych skał majestacie,  
I tak wspaniałe w swej krasie ponurej:  
W płaszczech z mgły białej, lub w zielonej szacie  
Drzew, jak wy wiecznych, i jak wy nad chmury  
Czołom wiejących! Któżby waszej sile  
Nie ufał? w wieczne nie zawierzył trwanie? —  
Przecież za kilka dni — może za chwilę,  
Może w tej chwili — cóż z was pozostanie?  
Gruz! — czeze igrzysko wód! co te otchłanie,  
W piekiel aż zda się idące głębiny,  
Po brzeg wypełnią, i gdzie swe posłanie  
Miał lew, skaczące naniosą deltiny! —  
A ludzie — ludzie! bliźni, bracia moi!  
Któż z was zostanie, eoby nad szerokim,  
Jednym was wszystkich grobem — gdy was w swojej

Głębi pochłonie morze — z łzawem okiem  
Wspomniał przynajmniej o was? — Przyjaciele!  
Ziomkowie moi! jestem ja tak wiele  
Lepszy lub gorszy od was, że koniecznie  
Przeżyć was muszę — wszystkich! — ach! i wiecznie  
Tęsknić i płakać po was? — O! ty świecie!  
Czyliż cię poznam, gdy po tylu zmianach  
Wyjdiesz znów z grobu? — Gdzież wtedy będziecie  
Miejsca rozkoszne! gdzieś marzył o Anah,  
Gdym się spodziewał serca jej: lub one,  
Dzikie, lecz niemniej miłe mojej duszy,  
Jaskinie, lasy, gdzieś łąy niedzielone  
Lał na jej srogość, lubując w katuszy? —

*(Patrząc ku górze).*

Być-że to może, aby ten szczyt skały,  
Gdzie chmury niegdyś skrzydła swoje dały,  
Co sam jak gwiazda lśni wśród gwiazd — by wały  
W głąb go zbić mogły, i w swych wirach starły:  
Że jutro może zadziwione słońce  
Próżno go jasnem szukać będzie okiem,  
By jak dziś, naprzód na jego wysokiem  
Czole, zwyciężać noc i jej mgły śpiące:  
Lub przed zachodem, wieniec swych promieni  
Zawieszać na nim: by nad światem wzbity,  
Jak lampa świata świecił się w przestrzeni,  
I zstępującym aniołom swe szczyty  
Dzierżył za pierwszy stopień, gdy zesłani  
Schodzą na ziemię lub w przepaść oteblani?—  
Być-że to może, ażeby te słowa,

Straszne, okropne słowa: „już go niema!”  
Tyczyć się miały tego skał olbrzyma,  
I wszystkich rzeczy — prócz tych, co Jehowa  
Rozkazał w arce zbawić ojcu memu? —  
Możeż on zbawiać co chce? a jaż czemu  
Nie mógłbym zbawić jednej — co bez zmayı,  
Co najpiękniejsza z wszystkich córek ziemi?...  
Nie miałbym zbawić jej — gdy sprośne płazy,  
I zjadłe żmije z towarzyszymi swemi  
Ujść mają zguby — by i przyszlą ziemię  
Tchem swym zarażać, i na ludzkie plemię  
Syczeć i kasać, i w grząskich bagniskach  
Czołgać się, które na świata zwaliskach  
Długo stać będą i dymić — aż w końcu,  
Z zgnilizny tego, znów jaki świat nowy  
Wyjdzie, i wyschnie, i stwardnie na słońcu,  
Razem mogiła i pomnik grobowy  
Świata przeszłego: gdzie dziś jeszcze tyle  
Mirjad żyje — a jutro, za chwilę,  
Tyle mirjad umrze? — O! ty świecie!  
Tak piękny i tak młody! w pełnym kwiecie  
Życia i krasy! Jak ja kocham ciebie!  
Jak mi żal ciebie! gdy co dnia, co nocy,  
Liczę twe kwiaty, twe gwiazdy na niebie,  
I krótkie chwile twoje! — Nie mam mocy  
Ratować ciebie, jak i jej nie mogę,  
Jej — co najbardziej wiąże mię do ciebie:  
Lecz jak syn prochu twego, żal i trwogę  
Czuć tylko muszę — jakich od stworzenia  
Żaden nie doznał i doznać nie może,

Prócz mnie, co jeden z mojego plemienia  
Wiem straszną przyszłość, i sam w lada porze,  
Jeden, mam płakać na wszystkich pogrzebie! —  
O! Boże! mógłżeś?... —

*(Łoskot w jaskini i śmiechy. — Duch przelatuje).*

JAFET.

W imię Jego!

Kto tu?

DUCH *(śmieje się)*.

Cha, cha, cha!

JAFET.

W imię Wszechmocnego!

Mów, ktoś jest?

DUCH *(śmieje się)*.

Cha, cha!

JAFET.

Przez potop i ziemię,  
Co ma być pastwą morza! przez głąb, z której  
Morze się wyprze! przez niebo, co brzemię  
Chmur swoich zrzuci i zaleje góry!

Przez Tego, który  
Stworzył i zniszczy świat ten poziomy!

Ty nieznajomy!

Ty niewidomy!

Duchu nieczysty! mnie nie ustracha  
Śmiech twój szydery! — Czego się śmiejesz?

DUCH.

Czego łyzy lejesz?

JAFET.

Nad ziemią, i nad jej dziećmi.



DUCH (*odlatując*).

Cha, cha, cha!

JAFET.

Jak duch nieczysty uraga z rozpaczy  
I żalu mego! jak się cieszy z końca  
Nieszczęsnej ziemi! — nad którą krąg słońca  
Wejdzie, i nigdzie życia nie zobaczy! —

Jak cicho wkoło! — Ziemia śpi — i ludzi,  
I wszystkie twory sen objął — jak cichy,  
Jak snąć spokojny! — i może ich ludzi  
Długą przyszłością szczęścia, chwały, pychy!...  
Cóż, gdy się zbudzą i ujrzą śmierć?...

(*Łoskot w jaskini*). Kto tu?

Kto? mów! co w nocy czając się zakryciu,  
Szepcesz i migasz tylko jak śmierć w życiu? —  
Mów! bo się twego nie boję łoskotu!

(*Duchy wylatują z jaskini*).

JAFET.

Co za szum!  
Z dołu i z góry,  
Co za tłum!  
Lecą jak chmury!

CHÓR DUCHÓW.

Radość nam!  
Ohydne plemię,  
Z rajskich wygnane już bram,  
Że dało zwieść się nam,  
Że chciało zrównać nam,

Mądrością bez naszej mocy:

Traci nynie  
I tę ziemię,  
I tej nocy  
Całe plemię  
Zginie, zginie!  
Radość nam!

Nie czas ich, nie nędza, nie mór, nie żelazo,  
Nie troska po jednym wydusi;

Wszyscy za jedną razą,  
Co żyje, zginąć musi! —

Świat i lud  
W głębi wód!

Dziś ich ostatni wschód! —  
Cha, cha! tak chce On sam!  
Tryumf nam!

Ocean z swoich tam  
Wyjdzie i zajmie glob,  
Ich świat, ich tron, ich grób,  
Jak oni, trup! —

Cha, cha! będziem słyszeli,  
Ich jęk, i ryk topieli,  
Lecącej z wszystkich stron:  
Cha, cha! ujrzym ich zgon!  
I dzień, gdy ich nie będzie! —  
Śmierć wszędzie!

I nigdzie technienia, prócz wiechrów zhukanych,  
I nigdzie ruchu, prócz fal rozdąsanych,  
I nigdzie nawet wierchołka skał,  
By ku nim anioł zstąpić gdzie miał,

By pomoc dał:  
Cha, cha! niechajby chciał!  
Lub niechby tam sami z rozpaczą się wdarli,  
By widzieć, co wszędzie  
Na ziemi:  
By widząc jak drudzy, jak wszyscy wymarli,  
Przeczuwać, co będzie  
I z niemi!  
Cha, cha! mieć będziem dość!  
Potop — śmierć — czezość —  
To świata gość!  
Z południa na północ, z zachodu na wschód,  
Nie prócz wód!  
Od końca do końca, od dołu do szczytu,  
Nie oprócz obłoków i fali błękitu!...  
Świat barw, pstry w różny wzór,  
Kwiat łąk, cedr gór,  
Dąb, i skał zrab,  
Pochłonie głąb! —  
Któż widząc zgadnie  
Co znikło na dnie  
W jej toni?  
Komu da dociec,  
Albo odsłoni,  
Ten co sam władnie,  
Co będzie po niej:  
Świat? złom? —  
Kto się ośmieli  
Na jej topieli  
Wzniesć dom?

JAFET (*występując*).

Mój ojciec!

On z swą rodziną! —

Nie ludzkie plemię,

Żli tylko zginą,

Co każą ziemię:

To Pański sąd! —

Słyszycie? precz więc stąd!

Sprośni szatani!

W przepaść otchłani

Precz w wieczną noc!

W Nim, nie w was moc

Karać za grzechy

Świat nasz i nas;

Czcze wasze śmiechy!

Waszej pociechy

Nie przyszedł czas! —

Precz więc, precz do swych jam!

Aż was i tam,

Potop dosięże,

I jako węże

Na wierzch wypławi:

Byście noszeni

Wiatrem w przestrzeni,

Czuli moc Pana,

Co starł szatana,

A nas choć skarał — wybawi!

DUCH.

Synu Noego!

Gdy ty z rodziną,

Jedni z całego  
Rodu waszego  
Ujdziecie żywi,  
Gdy wszyscy zgina,  
Będziecież lepsi albo szczęśliwi? —  
Nie! — nowy świat i ludzie,  
W grzechu i trudzie  
Jak dziś żyć będą: lecz pośledniejsi,  
Słabsi i mniejsi  
Od tych olbrzymów, co dziś zuchwale,  
Dumni w swej chwale,  
Depcą tę ziemię:  
Aniołów plemię  
Z matek ziemianek; — wy ich dziedzice,  
Prócz tej różnice,  
Weźmiecie tylko po nich — trosk brzemię.  
Czyż się nie będziesz rumienić,  
Sam jeden na wszystkich grobie,  
Jeść, pić, zalecać się, żenić,  
I płodzić proch równy sobie?  
Z sercem tak nizkiem, z tak bezwstydnem czołem,  
Że na sam obraz takiego zniszczenia,  
Nie masz dość męztwa ni żalu, by społem  
Chcieć zginać raczej niż szukać zbawienia!  
Któżby chciał przeżyć wszystkich braci swych?  
Kto? prócz głupich lub złych? —  
My nienawidzim was,  
Bo ród nasz różny od siebie:  
Lecz patrzaj! każdy z nas  
Wyrzekł się tronu w niebie,

Raczej, niż żeby obojętny świadek,  
Patrząc na braci upadek,  
Lękał się z nimi podzielać męczarnie! —  
Idź, nędzny! żyj i giń marnie!  
A gdy świat potop ogarnie,  
Tak, że on nawet spojrzawszy na ziemię,  
Wzdrygnąć się musi nad woli swej czynem:  
Gardź ojcem swoim, że przeżył swe plemię,  
I sobą, żeś jego synem!

CHÓR DUCHÓW (*wylatując z jaskini*).

Śpieszmy się, cieszymy!

Dziś nasz czas!

Śmiertelnik podły

Swojami modły

Nie spłoszy nas!

Nie będzie cześć,

Proch, pył!

A my, co nigdy nie czcili

Tego, co tak chce cześć,

Że zwłokę jednej chwili,

Wiecznością kary mści:

My, my obaczym wyparcie się toni,

Aż jeden żywioł czynić będzie dzieło

Wszystkich w chaosie. — A oni, a oni!

Czcze zlepkę gliny, dumni z swej nicości,

Którym się niebo osiągnąć pragnęło,

Zgina! — a wiatrem rozwiane ich kości,

Bielić się będą po mrocznych przepaściach,

Po niedostępnych gór i skał urwiskach,

Gdzie głąb w swych coraz srożejając napaściach,  
Ściągać ich będzie w ostatnich łożyskach;  
Gdzie nawet dzikie bestye w popłochu  
Zbędą srogości, jak w pierwszych dniach świata,  
I przy jagnięciu tygrys w tymże lochu  
Kryjąc się legnie, jakby obok brata,  
I zginą razem; — aż znów wszystkie rzeczy  
Będą jak były: martwe, niestworzone,  
Prócz niebios w górze! — którym niech zlorzeczy  
Ten, co zostanie: gdy z nim przymuszone  
Zawrze sojusze śmierć; — śmierć, co ocali  
Tę bląhą resztkę dawnego stworzenia,  
Na przyszły zasiew żniw swych; — i gdy słońce,  
Z osiadłych mułów potopowej fali,  
Wypicze nowy świat: — z tego nasienia  
Wzejdą dla czasu nowych lat tysiące,  
Nowe istoty, i dawne cierpienia,  
Zazdrość, nienawiść, praca i niewola.  
Aż póki... —

JAFET (*przerywając*).

Przedwieczna Wola

Nie wytłómaczy ludziom snu tego,  
Powikłanego dobrego i złego;  
I pod wszechmoonej skrzydło opieki,  
I wszystkie wieki,  
I wszystkie rzeczy,  
I ród człowieczy,  
Wziąwszy, odkupi — i moc piekielną  
Zwalczy na wieki!  
I pokutniey, ziemi skruszonej,

Jej pierworodny wdzięk przyrodzony.

Raj nieskończony,

Wróci, z litości nad skazitelną;

Gdzie człek, czcząc w sobie duszę nieśmiertelną,

Nie zdoła więcej jak niegdyś przewinić,

Gdzie zły duch nawet będzie dobre czynić!

DUCH.

Cha, cha! i kiedyż to cudo nastąpi?

JAFET.

Gdy Zbawca zstąpi!

Naprzód w ubóstwie,

A potem w chwale. —

DUCH.

Tymczasem w mnóstwie

Nędz swych, zuchwale

Klnąc tylko na nie, cierpiecie niktzemnie,

Aż świat wasz w proch się rozwieje!

Walcicie z sobą, i z niebem, i z piekłem — daremnie,

Aż niebo poczerwienieje

Od krwi dymiącej z waszych bitew pola! —

Zmieniają się czasy, rzeczy, kraje, ludy,

Lecz pozostaną bez nowej pociechy,

Też same grzechy,

Łzy, troski, trudy,

Zbrodnie — i matka ich: wasza zła wola! —

Też same burze

Serc, jak w naturze

Wichry i gromy,

Szaleć w was będą: i ten poziomy



Świat wasz i plemię  
Pochłona — jak potop ziemię! —

CHÓR DUCHÓW.

Cieszymy się, duchy!  
Śmiertelny! bądź zdrów! —  
Słyszym już, słyszym, jak wałów szum głuchy  
Wzmaga się, rośnie, jak ryk głodnych lwów.  
Wichry, jak orły, podnoszą swe pióra,  
Każda swe źródła napelniła chmura,  
W dole i w górze,  
Niebo i morze  
Otworły swoje upusty; — a ludzie!  
Ślepi jak byli  
Od pierwszej chwili,  
Trwają w ułudzie!  
Nie widzą znaków złowieszczych; nie słyszą  
Co my słyszymy: ponad ziemską ciszą  
Gromadzących się gromów; jak z obłoku  
W obłok przechodzą, i hasła wyroku,  
Na wpół zatlone, czekają, i drzemią.  
Płacz, płacz! o! ziemio!  
Grób twój jest bliższy, niż niedawna jeszcze  
Kolebka twoja! — Drżycie! o! wy góry!  
Chwila wybija — gdy morze i deszcze  
Szczyt wasz zaleją; a morskie potwory,  
Poziome płazy, i konchy ślimaków,  
Czepiać się będą, gdzie dziś króle ptaków  
Gniazda swe ścielą! — O! jakże zakraczą  
Z żalem, z rozpaczą!

Spłoszone same, i próżno do góry  
Zwąc swe piskłeta nieodziane pióry.  
I słysząc tylko z ich krzykiem pospołu  
Szum fal rosnących! — a człowiek od dołu  
Patrzając na nie, zazdrościć im będzie  
Skrzydeł szerokich — niezdatnych im na nic!  
Bo gdzież je zwiną? kiedy tylko wszędzie  
Śmierć i grób — woda — bez dna i bez granic?

Cieszymy się! tryumf nam!

Z przepaści jam

Do chmur,

Radośny wzniesmy chór,

Nad ruiną

Świata tego! —

Wszyscy zginą!

Prócz jednego,

Szczepu Seta pokolenia,

Zbawionego od zniszczenia,

Na cierpienia!

Lecz ród Kaima,

Olbrzym w olbrzym,

Lecz córki jego, chlubne urodą,

Zalegać będą martwe pod wodą,

Lub na wznak na niej — z rozpuszczonemi

Włosy długimi,

Martwem obliczem będą się żalić

Na srogie nieba: co ich ocalić,

Co nie raczyły mieć w swej obronie,

Istot tak pięknych nawet po zgonie! —

Darmo! On, Przeznaczenie,  
Co rzekł, nie przeinaczy;  
I po ogólnym jęku rozpaczy,  
Ogólne śmierci milczenie  
Ogarnie łąd! —

Nam czas, czas lecieć stąd!  
Świt się już bieli,  
Mgły nocne bladną.  
Lećmy weseli!  
Nim słońce strzeli,  
Ujrzym, jak zbladli  
Iść będą na dno  
Wścieklej topieli! —  
Myśmy upadli,  
Oni upadną!  
Lećmy weseli!

*(Duchy wznoszą się w górę i znikają).*

JAFET (*sam*).

Bóg sam obwieścił przeznaczenie ziemi,  
Enoch niem groził w księgach, \*) których słowa,  
Jak gromy w chmurze, grzmiały ponad grzesznymi;  
I rady ojca mego, i budowa  
Arki Przymierza, i same złe duchy,  
Czyniące z naszych klęsk uragowiska,  
Głoszą je światu - a świat jak był, głuchy,  
Wprost leci w przepaść; co choć już tak bliska,

---

\*) Księgi Enocha, zachowane u Etyopezyków, miane są przez nich za przedpotopowe.

Tak nieuchronna: — zatwardziałej duszy-  
Ludzi nie wzrusza -- jak jęk ich nie wzruszy  
Sprawiedliwości Boga, i wylewu  
Wód, spełniających dzieło jego gniewu! —

Jak cicho wkoło! na całej przestrzeni  
Nie widać jeszcze żadnych groźnych znaków;  
Brzask, jako zwykle, tli się, i rumieni  
Chmury, strzegące swoich zwykłych szlaków.  
I słońce wkrótce po nad dniem zniszczenia  
Wejdzie — jak weszło w czwartym dniu stworzenia,  
Gdy Stwórca rzekł mu: „świeć!“ i zaświeciło —  
Nie ludziom jeszcze — ale obudziło

Słodszy od głosu ludzkiego, głos ptaków:  
Co jak anioły, swobodnemi pióry  
Wznoszą się w niebo, i jak oni sami,  
Łącząc swe pieśni w napowietrzne chóry,  
Dawcę dnia, codzień witają przed nami! —

I oto chwila — gdy śród chmur i lasu  
Pieśń ich wnet zabrzmiał; i jasny krąg słońca  
Wejdzie, nieświadom tak bliskiego końca  
Istot, które ożywia, ani czasu  
Który im mierzy! — Ptaki z wdzięcznym głosem,  
Nucąc, zapadną w głąb bez dna i brzegu;  
Słońce, po jasnym krótkich dni obiegu  
Ha! wejdzie! — ale nad czem? — nad chaosem,  
Co był przed czasem, i dziś przed obliczem  
Słońca odrodzon, czas znów czyni niczem. —  
Bo czas bez życia, cóż jest? — nicość! sprzeczność!  
Czas dla stworzenia jest tem, czem jest wieczność  
Dla Stworzyciela — co sam nieskończony!

Wieczność bez Niego, stałaby się czezością;  
Czas bez człowieka, dla niego stworzony,  
Kona z człowiekiem; — i równie wiecznością  
Pochłonię zginie — jako ludzkie plemię  
W bezdennej głębi wód chłonących ziemię! —

Ktoś idzie? — ludzie, czy niebieskie duchy? —  
Jak piękne! twarze nie widzę — lecz ruchy,  
Lecz ich postaci na tle czarnej góry! —  
Idą w mgle, jakby płynęły! — Po sprośnych  
Duchach, co wiążąc swe piekielne chóry,  
Z łez mej boleści, szyderczymi śmiechy,  
Tryumfowały w urąganiach głośnych:  
Widząc ich, czuję jak promień pociechy! —  
Któż wie czy nawet — o com razy tyle  
Błagał za światem: — czy nie niosą może  
Wyroku łaski, zwłoki — choć na chwilę —  
Na chwilę skruchy i żalu? — O! Boże!  
To Anah!

## SCENA V.

*Wchodzą: SAMIASA,\*) AZAZIEL, ANAH I AHOLIBAMAH.*

*ANAH (postrzegając Jafeta).*

**Jafet!**

*SAMIASA.*

**Adamita!**

*AZAZIEL (do Jafeta).*

Po co,

Skąd tu przyszedłeś? sam, tak późną nocą,  
Gdy bracia twoi śpią wszysecy?

\*) Czyt. *Samijasa*.

JAFET.

Aniele!

Cóż mi odpowiesz, gdy się wzajem ciebie  
Twojemi słowy zapytać ośmielę:  
Po coś jest tutaj, gdyś powinien w niebie?

AZAZIEL.

Cóż to? nie pomnisz? nie wiesz, że w podzielu  
Na nas przypadło, mieć w straży twe plemię  
I świat?

JAFET.

Nie dzisiaj! — gdy występna ziemię,  
Nietylko dobre duchy, co ją strzegły,  
Ale złe nawet z przestachem odbiegły,  
Wiedząc o strasznych i bliskich jej zmianach.  
Wy tylko jedni... — Anah moja! Anah!  
Tak próżno, chociaż tak długo i stale  
Kochana przez mnie! po coś ty tu z niemi,  
Gdy żaden dobry duch nie jest na ziemi? —

ANAH.

Jafecie! nie śmiem mówić — ale, ale...  
Przebacz mi!

JAFET.

Obyć przebaczone w niebie,  
Gdy już przebaczać nie będą nikomu! —  
Bo w błąd cię wiodą.

AHOLIBAMAH.

Dość! precz stąd do domu,  
Dumny proroku! nie chcemy znać ciebie.

JAFET.

Przyjdzie czas może, że mię poznasz lepiej,  
A siostra twoja pozna, jakim byłem  
Dla niej, i dla was: — bo głusi i ślepi  
Posłyszają — ujrzą — pojną, co mówiłem.

SAMIASA.

Słuchaj mię, synu Patryarchy! który  
Czysty był zawsze przed Bogiem! Skąd w tobie  
Gniew, jakby ku nam, i żal tak ponury?  
Czemeśmy mogli, ja lub on, w tej dobie  
Krzywdę ci zrobić?

JAFET.

Krzywdę! ach! i jaką! —  
Ale nie! — Czuję, że choć równie ze mną  
Stworzona, równie śmiertelna: wszelako  
Nie wart jej byłem, i nigdy wzajemną  
Miećbym jej nie mógł. — Anah! bywaj zdrowa!  
Nieraz z ust moich słyszałaś te słowa,  
Lecz dziś ostatni raz słyszysz. — Anieli!  
Lub ktobądźkolwiek jesteście! o jedno  
Pytam was tylko: czy będziecie chcieli,  
Czy macie władzę, przed zgubą niezbędną,  
Zbawić ją — zbawić obie?

AZAZIEL.

Jaką zgubą?

JAFET.

Cóż to? nie wiecie? Czyliżbyście mieli,  
Dzieląc grzech z ludźmi, dzielić też ich grubą  
Ślepotę i jej karę? lub przynamnie  
Smutek mój? —

SAMIASA.

Smutek? — Mógłżem wróżyć sobie,  
By proch miał mówić zagadkami dla mnie?

JAFET.

Jeśli ich Pan twój nie rozwiązał tobie,  
Biada wam! i im z wami!

AHOLIBAMAH.

Niech tak będzie!

Jeśli kochają, tak, jak są kochani,  
W nas znajdują niebo — byle z nami wszędzie,  
Jak my je z nimi znajdziem — choć w otchłani!

ANAH.

Ach! siostró, siostró! nie mów tak!

AZAZIEL.

Dla czego? —

Boisz się przy mnie? —

ANAH.

Ach! o ciebie tylko!

Bo chętnie resztę szczęścia śmiertelnego,  
I życia oddam, byle smutną chwilką  
Nie zaćmić nigdy twej wieczności koła!

JAFET.

Toż więc dla niego? tak jest! dla anioła,  
Zrzekłś się, widzę, serca Adamity! —  
Ale to mniejsza! — byleście, on i ty,  
Wzajem dla siebie nie zrzekli się Boga!  
Bo przed Nim związki duchów z śmiertelnymi  
Nie znajdują łaski; bo cel nasz i droga  
Różne są od ich: — nam praca na ziemi,



I śmierć; im niebios gwiazdziste pobyty,  
Rozkosz i wieczność! — Biadaż! jeśli niemi,  
Wzgardzą dla prochu! a proch w dumę wzbity,  
Dla nich, zalśniony promieniem ich czoła,  
Zapomni Boga! — Lecz jeśli cię może  
Anioł ten zbawić: — zostań z nim w tej porze.  
Gdy moc niebieska chyba zbawić zdoła.

ANAH.

Ach! on nam wróży śmierć!

SAMIASA.

Śmierć? — nam śmierć wróżyć,  
Lub tym co z nami? — Gdyby nie łzy twoje,  
Śmiertelny! śmiać się musiałbym, nie trwożyć.

JAFET.

Śmiej się! — O siebie ja też się nie boję,  
Ani nad sobą płaczę! — jam bezpieczny:  
Nie dla mych zasług — lecz dla cnót rodzica,  
Co prosty w drogach życia, i stateczny  
W wierze przed Panem, sprawił, że prawica  
Jego dziś z nami. — Lecz oby wam dano  
Moc zbawiać drugich!... lub gdybym zamianą  
Życia mojego za Jej — która sama  
Wiąże mię tylko do życia — mógł dla Niej,  
Najniewinniejszej z wszystkich cór Adama,  
Okupić miejsce w arce, gdy wybrani  
Synowie Seta wejdą w nią!...

AHOLIBAMAH.

Zuchwały!

Toż więc śmiesz mniemać, że my, krew Kaima,

Pierworodnego w raju, że my córy.  
Takiego ojca: że mybyśmy chciały  
Mięszać się z wami? ze krwią Seta? który  
Ostatni owoc skrzepłej krwi rodziców,  
Dziedzie ich tylko tułactwa i chory,  
Tak z ojcem naszym nie wspólnego niema,  
Jak raj z tym światem: jak wdzięk naszych liców  
Z wdziękiem cór waszych: albo jak postaci  
Młodzieńców naszych, z wzrostem twoich braci?  
Nie! nigdy, nigdy! chociażby od tego  
Zależać miało ocalenie świata! —  
Ród nasz był zawsze zdala od waszego:  
Wszystko nas dzieli — strach pewno nie zbrata.

JAFET.

Aholibamah! przecz się wzruszasz gniewem?  
Nie z tobą mówię. — Zbyt wiele z Kaima  
Wzięłaś z krwią jego, coć tak w pychę wzdyma,  
Jakby ją wślawił bratniej krwi rozlewem! —

Ale ty, moja Anah! — Zwę cię moją,  
Choć nią nie jesteś! — ach! bo z tym wyrazem  
Rozstać się wtedy — gdy z tobą zarazem  
Rozstać się muszę — nie śmiem; — lecz na twoją  
Litość się spuszczam, że mi to przebaczy. —  
O! moja Anah! ty, którąby raczej  
Zwać córką Abła; takeś niepodobna  
Do cór Kaima; chyba, że nadobna  
Licem jak one!

AHOLIBAMAH.

Dość niewczesnej mowy!  
Chcesz jak wąż w raju, pochlebnemi słowy

Przelać w jej duszę jad, co płonie w twojej. —  
Ja, gdybym miała podzielać twe zdanie,  
Gdybym myślała, że w niej, siostrze mojej,  
Jest coś z krwi Abła!... — Lecz precz stąd, szatanie!  
Kusisz mię! --- kłótni szuka twoja zawiść.

JAFET.

Córko Kaima! zazdrość i nienawiść  
Kaim wszczał pierwszy.

AHOLIBAMAH.

Kaim nie był wrogiem  
Ojca twojego; nie zabił mu synów.  
Przecz chcesz być sędzią innych jego czynów,  
Które są tylko między nim a Bogiem? —

JAFET.

Prawda! zbłądziłem. Pan go sądzić będzie. —  
Anibym mówiąc wspomniał, że przewinił,  
Gdybyś się sama, w gniewnych słów zapędzie,  
Nie zdała chełpić z czynu, co uczynił;  
A nawet... —

AHOLIBAMAH.

On jest ojcem ojca mego,  
Syn pierworodny sił ludzkiej natury,  
Przed jej upadkiem; miałażbym się jego  
Wstydzić? lub zaprzecć rodu mego, który  
Wszystko czem słynie, po nim odziedziczył? —  
Patrz! któż śmie z nami stanąć w porównanie:  
Z pięknością w twarzach? z wzniosłością w posta-  
Z długością naszych dni? [ciach?

JAFET.

Pan je policzył!

AHOLIBAMAH.

Niech i tak będzie! lecz póki ich stanie,  
Chłubić się będę w ojcu mym i braciach!

JAFET.

Ród Seta w Bogu tylko szuka chluby. —  
A ty, o! Anah?

ANAH.

Co bądź Bóg przeznaczy,  
Bóg jeden nad wszystkimi — wiem, że trzeba  
Znieść bez szemrania — oby bez rozpaczy! —  
Lecz gdybym mogła w dniu powszechnej zguby,  
Co ma przyjść, mówisz, prosić o co Nieba:  
Jedyną prośbą byłoby. bym sama  
Nie pozostała w życiu: gdy nikomu  
Z mego plemienia, rodziny i domu,  
Pan nie przepuści. — O! Aholibamah!  
Cóżby był dla mnie świat, lub inne światy,  
Lub sama wieczność? bez miłej przeszłości —  
Bez ciebie, ojca; bez waszej miłości,  
I bez tych wszystkich rzeczy, co jak kwiaty,  
Rozkoszną ziemię stroiły przedemną;  
Albo jak gwiazdy, świecące w noc ciemną,  
Ciągnęły oczy by w niebo spozierać? —  
Ach! jeśli dla nas niebo nie z kamienia,  
Siostro! proś, módl się! błagaj przebaczenia! —  
Śmierć tak jest straszna — gdy ty masz umierać!

AHOLIBAMAH.

Cóż to? czyż słowa płonnych marzycieli,  
Co swoją arką siebie tylko straszą,  
Zachwiały ciebie? — Patrz! czyż nie anieli  
Czuwają przy nas? dzielą miłość naszą? —  
A nawet bez nich — czyżby już innego  
Nie było środka, jak u stóp Noego  
Zebrzeć o życie? Wolałabym raczej!... —

Lecz po co wznawiać dzikie jego mary,  
Twór niewzajemnych uczuć i rozpaczy,  
Albo wyziewów tej mrocznej pieczary? —  
Patrz! któżby z posad wzruszył te opoki,  
Tę całą ziemię? albo te obłoki  
W ocean zmienił? albo z ziemi morze  
Podniósł ku niebu? — Patrz! zważ! kto to może?

JAFET.

Ten, co to wszystko jednem słowem stworzył.

AHOLIBAMAH.

Kto słyszał słowo to?

JAFET.

Świat co niem ożył. —  
Śmiejesz się? — spytaj twojego obrońcy!  
Jeśli jest anioł — stwierdzi prawdę Jego.

SAMIASA.

Aholibamah! to Bóg wszechmogący!

AHOLIBAMAH.

Jam zawsze czcila Boga — stwórcę mego:  
Boga miłości, nie smutku.

JAFET.

Niestety!

Czyż miłość sama nie jest także smutkiem?  
Nie tylko miłość męża i kobiety,  
Trwająca krótko w życiu naszym krótkiem:  
Lecz sam Przedwieczny, gdy w łonie miłości  
Swojej świat począł: czyż nie miał przyczyny  
Smucić się w krótee: gdy na jego syny  
Wzniósł — bo wznieść musiał — miecz sprawiedliwości?

AHOLIBAMAH.

Tak powiadają.

JAFET.

Tak jest bez wątpienia.

## SCENA VI.

Ciż, NOE I SEM (*wchodzą*).

NOE.

Tużeś, Jafecie! i w jakiej potrzebie  
Przebywasz społem z dziećmi zatracenia? —  
Drżyj! by ich wyrok nie dosięgł i ciebie.

JAFET.

Ojcze! czyż grzechem byłyby me chęci.  
By dźwigać z grzechu dzieci wspólnej ziemi? —  
Patrz! nie chodziły między występniemi,  
Kiedy je strzegą aniołowie święci.

NOE.

Święci? — czy raczej nie z tych, co swe chóry,  
I jasny niebios rzuciwszy przybytek,

Zehodzą, zwabieni licem Kaimitek,  
Synowie niebios, pojąć ziemi córy?

SAMIASA.

Tyś rzekł.

NOE.

O! biada! biada! trzykroć biada.  
Podobnym związkom! — Czyż Bóg nie zakreslił  
Granic niebu i ziemi? nie obmyślił  
Ludziom i duchom, gdzie którym posada? —

SAMIASA.

Tak! ale czyliż nie na obraz Siebie  
Stworzył człowieka? Czyż go nie miłuje  
Sam, i nie każe drugim? — Pytam ciebie:  
Możeż być winnym, kto Go naśladowe?

NOE.

Jam tylko człowiek; Pan mię nie postawił  
Sędzią nad ludźmi — cóż nad syny swemi? --  
A wszakoż z tego, co mi Sam objawił,  
Wiem, że te zejścia na padły ziemi  
Duchów niebieskich — i to jeszcze w chwili  
Skarania świata — nie są dobrem wcale.

AZAZIEL.

Co? nawet wtedy, gdybyśmy zstąpili  
Zbawiać?

NOE.

Archanioł w całej swojej chwale,  
Nie zbawi, kogo Pan zgubić umyśli —  
A zaś, gdybyście za Jego rozkazem  
Jako snąc mówisz, ludzi zbawiać przyszli:

Litośćby wszystkie objęła zarazem,  
Nie te dwie tylko; co choć niezrównane  
Licem — są równe grzeszne, i skazane  
Na śmierć.

JAFET.

Ach! ojcie! nie mów tak! .

NOE.

Jafecie!

Jeśli cię trwożą wina i zatrata:  
Zapomnij o nich! — o nich, i o świecie,  
Że był i zginął; -- ty, przyszłego świata  
Dziedzic wybrany!

JAFET.

Obym zginąć raczej  
Mógł z *tym*, i z *temi*!

NOE.

Wartbyś za to słowo;  
Lecz Pan obietnic swych nie przeinaczy.

SAMIASA.

Przecześnieby nad twą i nad jego głową  
Bóg czuwał więcej, niż nad temi, które,  
On, syn twój własny, przenosi nad siebie?

NOE.

Zapytaj Tego, który twą naturę  
Uczynił wyższą od mojej, a ciebie  
Wyższym odemnie: a zarówno obu  
Poddał Swej woli, i nie dał sposobu  
Zbadać jej przyczyn! — Lecz patrz!... goniec Jego! —  
W proch, w proch przed Panem! słuchajmy co powie.



SCENA VII.

Ciż i RAFAEL ARCHANIOŁ.

RAFAEL.

Pokój sprawiedliwemu! — Aniołowie!  
Przecześnieście zesli z oczu Przedwiecznego?  
Aza nie wiecie, że ziemia bez stróża  
Ma dziś być przed Nim? — Lecz jeszcze czas skruchy!  
Wam tylko, duchy!  
Wam tylko dany. — Wielka jest moc Boża!  
Tam, u podnóża  
Stolicy Jego, ukorcie się społem  
Z Siedmiu wielkimi! — Czołem Panu, czołem!

SAMIASA.

O! najpiękniejszy! największy z niewielu!  
Cześć Panu w tobie! — Lecz odkądże wzbronił  
Duchom zstępować na świat? — Rafaelu!  
Tyś zstąpił po nas; — On Sam czyż nie skłonił  
Nieraz oblicza i stóp swych ku ziemi?  
A ile razy skrzydły pośpiesznemi  
Nas wysłał ku niej: mów, cóżeśmy, jeśli  
Nie miłość Jego i nie dary nieśli:  
Wielbiąc Go w każdym jej tworze: bo każdy  
Tchnął Jego mocą i miłością dla niej;  
Ciesząc się blaskiem tej najmłodszej gwiazdy,  
Mającej kiedyś zwalczyć noc otchłani;  
Lub strzegąc, aby ród, co ją dziedziczy,  
Nie śmił jej światła łaski tajemniczej? —  
Cóż dziś? że smutek nad nią w twym spojrzeniu?  
Że w ustach twoich mowa o zniszczeniu? —

RAFAEL.

Biada wam, że nie wicie! — O anieli!

Gdybyście oba z pobratnimi chóry,

Czystością śmieli,

Nieśli dziś Panu hołd czci i pokory:

Tambyście w ogniu żyjącym wyrzute,

Nad Jego tronem, i na Jego czole,

Czytali sami sądy Jego skryte,

Pojęli wolę;

Nie jej szukali we słów moich echu. —

Lecz niewiadomość towarzysza grzechu,

A dumą nawet ćmi się duchów wiedza:

Bo zaślepienie upadek poprzedza.

O! zaślepieni! przeczżeście się dali

Uwikłać w sidła żądzы skazitelnej?

Niepokalani! jakżeście skalali

U stóp śmiertelnych swój blask nieśmiertelny!

Lecz litość Jego bez granic! — Słyszycie?

Wróćcie i czcicie!

Tam! — bo gniew Jego straszliwy! — Raz jeszcze

Wróćcie! — lub drżycie!

Bo gniewu Jego wyrok wam obwieszcę.

AZAZIEL.

Straszny gniew Pana! — Lecz ty, coś osądził

Nas, żeśmy winni: mów, czyżes nie zbłądził

Sam, żeś tu z nami?

RAFAEL.

Pan mną rozporządził;

Zstąpiłem po was. — Słowem wszechmogącym,

I w imię Jego; sercem kochającym,  
W imię miłości mojej: Samiaso!  
Azazielu! wołam was ku Niemu!

Tak! przyszedł koniec rodzajowi złemu.  
Występna ziemia, z całą swoją krasą,  
I z ludźmi, zginie! — Lecz czyż przy ostatku,  
Jak przy początku, ma, jakby koniecznie,  
Niebieskie duchy ciągnąć do upadku,  
Których jak istność, każn musi trwać wiecznie? —

O! bracia! wyście jeszcze nie upadli,  
Lecz przypomnijcie szatana, jak w chwale  
Stał po nad nami; a którzyż nie zbladli  
Widząc, czem stał się: gdy wołał zuchwale  
Wyzwać moc Pańską, niż uznać w pokorze?  
A czyż mu człowiek — że go łatwo skusi,  
Rozkoszą złego nagrodzić dziś może  
Niebo, co stracił, i pamiętać musi? —

Jam go miłował; — bo i któż nad niego  
Był, oprócz Pana, co w nim szukał chluby?  
Archaniołowie przed obliczem jego  
Gaśli jak gwiazdy przed słońcem; Cheruby  
Cześć mu śpiewali; aż sam w swojej pysze,  
Wstydząc się, zaparł, że jest tworem Boga. —  
Stało się! upadł; — lecz wam, towarzysze!  
Z upadku jego niech będzie przestroga! —  
Od was zawisa wieczność z nim, lub z Panem! —  
On was nie kusił; bo mu nie jest danem  
Kusić niebieskie duchy; lecz niestety!  
Człowiek usłuchał jego — wy kobiety:  
Pięknej zaprawdę, lecz w której uśmiechu

Kryje się urok zdradniejszy od węża:  
Bo wąż zwyciężył proch — ona zwycięża  
Was, duchy Niebios, i wiedzie do grzechu.

O! uciekajcie, dopóki czas macie,  
Wy nie możecie umrzeć: ale one  
Jak cień przeminą; a żal po ich stracie  
Truć będzie wasze lata nieskończone!  
Zważcie! jak istność wasza ich plemieniu  
Nie jest podobna w niczem — prócz w cierpieniu;  
Przeczę je tylko chcecie dzielić z niemi? —  
Poczęte w grzechu, w boleściach zrodzone,  
Żyjące w troskach i łzach, przeznaczone  
Na pastwę śmierci — królowej ich ziemi:  
Chociażby nawet Pan, tchem Swego gniewu  
Dni ich nie skrócił: przeszłyby za chwilę,  
Jak nagły zakręt mglistego powiewu,  
Proch i łzy tylko zostawując w tyle.

AHOLIBAMAH,

O! tak! uchodźcie! bo jak w jego mowie,  
Słyszę w mej duszy głos, co nie omyła,  
    Że przyszła chwila,  
Że musim umrzeć — nie tak, jak ojcowie:  
Gdy jako nowy ocean, chmur brzemię  
    Spadnie na ziemię,  
A wały morskie, jak obłoki z ziemi  
Wzniosą się w górę, i spotkają z niemi. —  
O! siostro moja! są, co ujdą zguby,  
Jako się zdaje, lecz nie z krwi Kaima.  
Nie! próżne nasze modlitwy i śluby!

Bóg nas Adama za dzieci swe nie ma!  
Po cóż go trudzić daremnie? — O! raczej,  
Zrzeczymy się same, co ma być wydarte —  
Miłości naszej! — a bez niej, cóż znaczy  
Życie śmiertelne lub śmierć? — Gińmy warte  
Ojca i rodu swego; bez rozpaczey,  
Gdy nie bez żalu; płacząc, nie nad sobą,  
Lecz po nad tymi, co zostawszy sami,  
Śmiertelni czy nieśmiertelni, obaczą  
Ziemię-pustynię, okrytą żałobą,  
I płakać będą nad miryadami,  
Co mrąc płakały — lecz już nie zapłaczą! —

O! Samiaso! śpiesz, uchodź co prędzej,

Z padołu nędzy

W sfery niebieskie! gdzie już nie dosięga  
Wieher, ni woda, ni śmierci potęga!  
Nasz wyrok, umrzeć; wasz, jest żyć bez końca.  
Lecz co lepszego? czy wieczność żyjąca  
Czy martwa? — na to On chyba odpowie,  
On, Pan życia i śmierci. — Aniołowie!  
Bądźcie posłuszni! jak i my będziemy;

Nie że musimy,

Nie! lecz że nie chcę żyć dnia ni godziny  
Wbrew woli Jego; tak, jakbym nie chciała,  
Nawet za wolność od kary i winy,  
Co ma być dana dla Seta rodziny,  
By kara nasza i na was spaść miała.

Śpieszcie nim minie czas!

Lecz gdy nad chmury

Jasnemi pióry

Wzbici spojrzycie

Na świat i nas:

O! Samiaso! pomnij, że me życie

Duch mój przeżyje; i gdziekolwiek będzie

Żył swoją wieczność: miłość twoja wszędzie

Trzymać go będzie wyższym nad rozpaczę.

Patrz! nawet teraz nie płaczę,

Bo płacz nie przystał wybranej anioła. —

Żegnam was! —

Teraz, przyjdź śmierci! dotrzymam ci czoła.

ANAH.

Ach! czyż koniecznie trzeba

Umrzeć? — Azazielu!

Nicze nie zmiękczy nieba? —

Umrzeć, i stracić ciebie!... —

Siostro! czyż Bóg nasz w niebie

Zgubi razem tak wielu?

O! serce, serce moje!

Nie próżne snąć twe były

Trwogi i niepokoje;

Teraz wiem, co wróżyły.

Boże! dodaj mi siły

Znieść — co wiem, że nie minie! —

Lecz ty Serafinie!

Uchodź, śpiesz! jeśli bezkarnie

Zostać nie możesz! — Lecz czyli?.. —

Nie, nie! śpiesz! — Moje męczarnie,

Choć straszne — skończą się w chwili;

Twoje — trwałyby bez końca:

Gdybyś mnie nędznej obrońca,  
Gniew Pana ściągnął na siebie:  
I z tronu chwały na Niebie,  
Jak ów, co w nasze rodzice  
Tchnął żądzę wiedzy, wyzuty  
Z swej archanielskiej stolice,  
Spadł w kraj nieznanej pokuty! —

Nie, nie! i tak już zbyt wiele  
Ważyleś dla mnie, aniele!  
Czas, bym ofiarą wzajemną,  
Zrzekła się ciebie — dla ciebie! —  
Uciekaj! nie płacz nade mną! —  
Ach! nawet chciałbyś daremno!  
Łzy, udział dzieci Adama,  
Nie ulżą duchów rozpaczy. —  
Uchodź! zapomnij więc raczej  
O tej, dla której śmierć sama,  
Mniej straszna, niż to rozstanie! —  
Lecz uchodź, uchodź! nie zwlekaj!  
Nie bacz łez moich! — uciekaj!  
Bez ciebie, śmierć mi się stanie  
Ulga, nie kara.

JAFET.

Nie mów tego, Anah! —

Ojczy mój! Archaniele!

Czyż ten łagodny pokój na twem czele  
Nie wróży łaski? — Patrz! możesz — zmiekczyć dla niej,  
Dla niej i dla mnie — zmiekczyć wyrok i Sędzie:  
Niech w arce z nami, ujdzie wód otchłani,  
Lub ja z nią razem niech zginę w bałwanach!

NOE.

Przestań, niebaczny! przecz w żalu zapędzie,  
Jeśli nie sercem, usty bluźnisz Pana? —

Skąd ci moc dana

Sądzić sąd Jego? — Żyj, póki dozwoli,  
Umrzyj, gdy każe: lecz wbrew Jego woli  
Nie szemrz, jakobyś skarżył Pana w niebie! —  
Niebaczny! chceszże, by się Bóg dla ciebie  
Grzechu dopuścił? — bo grzechem byłoby,  
Gdyby dla krótkiej, dla ziemskiej żałoby,  
Zmieniał przedwieczne sądy swoje Boże. —  
Bądź mężem, synu! i znoś, chociaż boli,  
Co ród Adama znieść musi — i może! —

JAFET.

Ojcze! a kiedy zostaniem

Sami nad głębią siną:

Gdy i kraj miły, co był nam mieszkaniem,  
I cała ziemia, z wszystkim co ją krasi,  
I milsi stokroć bliźni, bracia nasi,

Wszystcy w niej zginą:

Kto wstrzyma wtedy łzy swe i jęczenia,  
Lub znajdzie pokój w ciszy spustoszenia? —  
Boże! bądź Bogiem! zbaw! — któż ci zaprzeczy?  
Zbaw, póki pora! — Czyż rodzaj człowieczy  
Nie dość już poczuł sprawiedliwość Twoję  
Wygnanem z raju? — Lecz go tylko dwoje  
Składało wtedy: dziś jest na przestworzu  
Ziemi liczniejszy, niż fale na morzu,  
Niż krople deszczu, co ma zalać ziemię:



Krople mniej gęste, niżby na niej były  
Ludzkie mogiły,  
Gdyby choć groby mieć mogło ich plemię! —

NOE.

Szalony! przestań! w każdym twojem słowie  
Brzmi rozpacz dumy, co gniew Pana budzi.  
O! Archaniele! przebacź!

RAFAEL.

Aniołowie!

Żal i namiętność mówi z ust tych ludzi.  
Lecz wy! wy czyści, lub coście być niemi  
Powinni, bracia! postrzeżcie się w błędzie,  
Wracajcie ze mną!

SAMIASA.

Zostaniem na ziemi,  
I znosić będziemy, cośmy zasłużyli.

RAFAEL.

Azazielu?

AZAZIEL.

On rzekł; niech tak będzie!

RAFAEL.

Oba? — A więc od tej chwili,  
Z mocy niebieskiej obrani,  
Z miejsc, któremiście wzgardzili,  
Z przed Boga, coście zdradzili,  
Bądźcie wygnani!  
Biada wam!

JAFET.

Gdzież się podzieją? —

Lecz przebóg! w przepaściach góry,  
Co za ponury,  
Co za straszliwy szum, łoskot, hałasy!  
Skały i lasy  
Wstrzęsły się, szumią — jakby czuły przyjście  
Wichrów łamiących, choć jeszcze nie wieją;  
A wszystkie liście  
Drżą zda się, chwieją;  
Kwiaty wędnieją,  
I opadają; — wschód już się zaciemnia;  
A cała ziemia,  
Jak pod ciężarem, jęczy w swych wnętrznościach! —

NOE.

Słyszysz? Krzyk ptactwa morskiego! jak w chmury  
Ucieka, i na szczyt góry  
Kędy w najsroźszych morza nawałnościach,  
Uchodząc fali wzbijać się nie śmiało,  
Ulata krzycząc — jakby przeczuwało  
Nawałność sroźszą od wszystkich, wśród której,  
Ten szczyt im tylko może być zachroną —  
Aż i ten fale pochłoną! —  
O! biada, biada ziemi! —

JAFET.

Słońce! słońce!

Wschodzi — lecz jakie! jak przerażające,  
Jak krwawe! — Jak wśród płomieni  
Miedź — błyszczący, lecz bez promieni;  
A ciemność, jak czarna tęcza,  
W kształcie obręcza,

Wkrąg je otacza; — słońce i noc razem!

Jakby obrazem

Być chciały życia i śmierci, w tej chwili,

Ostatniej świata! — Biada tym, co byli

Warci, by jej dożyli,

By ją przeżyli! —

NOE.

Ha! błyskawica, grom! — hasło zniszczenia!

Stało się! Pan nie odmienia

Wyroków swoich: — wielka jest moc Boża! —

Słyszysz? szum deszczu, ryk morza!

O! biada, biada dzieciom zatracenia!

Przyszła godzina! — My śpieszmy na wzgórza,

Gdzie arka nasza; — z której jeszcze wczora

Szydzili dumni, a dziś k'niej ramiona

Wyciągać będą, widząc, że nas ona

Zbawia jedynie! — Śpieszmy, póki pora!

JAFET.

Ojcie! stój chwilę! zlituj się! przyjm do niej

Anah! — niech w zgubnej nie zaginie toni.

NOE.

Czyż w niej nie zginą wszyscy? — Pójdź!

JAFET.

Nie mogę.

NOE.

A więc giń z niemi! głuchy za przestrogę

Ojca i Boga! — Patrz na te złowieszcze

Niebo i znaki! będziesz-li śmiał jeszcze

Checieć zbawiać kogo z rodzaju, na który,

Wszystkie potęgi stworzonej natury,  
Ze słusznym gniewem Stwórcy, co go karze,  
Powstały razem? —

JAFET.

Razem? — O! mój ojcze!

Możesz iść wściekłość ze słusnością w parze? —

NOE.

Błuznisz! — w tej chwili!... — zuchwały młójcze!  
Drżyj!

RAFAEL.

Patryarcho! pohamuj się w gniewie!  
Boleść i rozpacz usty jego władnie,

Lecz serce nie wie

O tem, co mówi; -- i on nie upadnie,  
Jak ci synowie niebios; i nie zginie,  
Jako te córki ziemi; lecz gdy minie  
Szał namiętności, będzie godnym ciebie.

AHOLIBAMAH.

O! co za burza! — Na ziemi i niebie,  
Wszystko się łączy ku naszej zagładzie. —  
Panie! nierówna walka między nami!  
Chcesz, a zginiemy; bo któż w równi kładzie  
Moc naszą z Twoją?

SAMIASA.

Moc nasza jest z wami!

Pod skrzydłem naszej opieki,  
W świat jakiej gwiazdy dalekiej  
Uniesiem was, aż ujdziecie  
Świat wasz niszczącej topieli.

A tam bezpiecznie — jeżeli,  
Przystając na naszych losach,  
Przez miłość dla nas, będziecie  
Mogły zapomnieć o świecie,  
My zapomnim o niebiosach.

ANAH.

A mójże ojciec! a mój kraj rodzinny!  
A mojeż pola, i góry, i lasy,  
Gdzie mi tak słodko szedł mój wiek dziecinny!  
Zdołamże kiedy zapomnieć ich krasę,  
I pieszczot ojca, i sióstr mych ziemianek,  
Gdy je pochłonie głąb? — Któż w mojej duszy  
Zatrze ich pamięć? kto me łzy osuszy?

AZAZIEL.

Ja, twój kochanek! —  
Nie bój się! chociaż wygnaniec  
Z nieba — w przestrzeni bez granic,  
Są światy godne anioła,  
Skąd mię nikt wygnać nie zdoła! --

RAFAEL.

Duchu występny! jakżeś stał się lichy,  
Jak ciemny! jeśli samego już ludzi  
Kłamstwo twej pychy.  
Czyż miecz, co z raję wygnał pierwszych ludzi,  
Czyż piorun, w przepaść co strącił szatana,  
Przed tronem Pana  
Dotąd nie błyszczy? —

AZAZIEL.

Piorun nie zniszczy,

Miecz nie zabije nas! — Proch strasz zniszczeniem,  
Ciało orężem: nie nas nieśmiertelnych!

RAFAEL.

Doznasz za chwilę sił twoich tak dzielnych.  
Aza cię zbawia przed Jego ramieniem?

Biada ci! grzech ściga kara,  
Moc cię twoja omamiła:  
Nie wiedziałeś, że nią była  
Pokora twoja i wiara.

### SCENA VIII.

CIŻ I CHÓR LUDZI,

*(wbiegających zewsząd i szukających schronienia).*

CHÓR LUDZI.

Niebo i ziemia, obłoki i morze,  
Łączą się razem na zgubę nas biednych!  
Cóżemy winni? — O! Boże nasz, Boże!  
Słuchaj, wysłuchaj! nie nas tylko jednych.  
Pola i lasy brzmiały bestyi rykiem,  
Wyciągających ku niebu swe szyje:  
Ptastwo świst wichrów zagłusza swym krzykiem;  
U stóp nam syczą wijące się żmije,  
Jakby chcąc wsparcia, o które my sami  
Zebrzem cię, Panie! płaczem i jęczeniem.  
Zmiłuj się, zmiłuj! nie tylko nad nami,  
Lecz nad naturą i wszelkiem stworzeniem!

RAFAEL.

Żegnam cię, ziemio! — Wy, dzieci jej gliny!  
Nie śmiem, nie mogę — choć chciałbym was wspierać.

Pan sprawiedliwy — musicie umierać;  
Pan miłosierny — śmierć odkupi winy. (*Ulatuje*).

AZAZIEL.

Pójdź, Anah! rzućmy ten chaos żywiołów,  
Ani się lękaj łoskotu ich waśni;  
    Pod tarczą skrzydeł aniołów,  
    Uleż bezpieczna i zaśnij,  
Jak orle niegdyś w macierzyńskim gniaździe! —  
    Na słońcu jakim, lub gwiazdzie,  
Znajdziem świat lepszy od ziemskich padołów,  
I życie wartsze anielskiej natury! —

Czarne te chmury

Nie są jedynem niebem! —

(*Azaziel i Samiasa ulatują, unosząc z sobą Anah i Aholibamah*).

JAFET (*patrząc za niemi*).

Ulecieli! —

Znikli w zamecie skazanego świata! —  
I czy z nim razem zaginę w bałwanach  
    Wścieklej topieli:

Czy żyć gdzie będą nieskończone lata —  
Stało się! nigdy nie ujrzę już Anah! —

CHÓR LUDZI.

O! synu Noego! miej litość nad nami,  
    Nad ludźmi, nad braćmi twojami!  
Czyż dasz nam zaginać w zapasach z falami,  
    Sam w arce bujając nad niemi?

MATKA (*podając dziecie*).

Zbaw, zbaw to dziecie!  
W bólach mych wzięło życie,

Lecz ach! ileż pociechy,  
Gdy się z swemi uśmiechy  
Tak do mych piersi tuliło!

Na cóż się urodziło?

Czem przewiniło

Niemowlę moje, by ściągnąć gniew Boży?

Czy z piersi moich ssało takie grzechy,

Że za nie ziemia i niebo się sroży

Na moje dziecię?

Zbaw je! zbaw, o! Jafecie!

Lub bądź przeklęty — ty, i twa rodzina!

I On!...

JAFET.

Niebaczna! stój — toż jest godzina

Przekleństw nie modłów?

CHÓR LUDZI.

Modłów?! — Gdzież te modły

Zwrócim? — Do niebios? co się tak obwiodły

Chmurami od nas? — Czy do chmur? co same

Buchają morzem? — Czy do morza? które

Rwie swoją tamę

I wzdyma się w górę,

Że piaski pustyn mienia się w odmetry? —

Nie, nie! — Przeklęty

Pan twój i zbawca! — Wiemy, że daremnie

Kłać Go, jak błagać; — lecz mamyż niktzemnie

Hymny Mu śpiewać, lub podłemu kolanem

Czołgać się przed niezbлагanym,

By nas odepchnął na dno zgubnej toni?... —



Jeśli On stworzył ziemię — niech się płoni,  
Że świat stworzył na męki! — Ha! już ryczą,  
Już lecą, widzimy rozhukane wały!

Gonią za nami, jak lew za zdobyczą.  
Głęb ich czarna jak otchłań — a ich biały  
Szczyt zapieniony, jak śnieżyste góry

Piętrzy się w chmury,  
I z chmur jak potok, jak wzdęta kaskada,  
Rzuca się naprzód — zlewa!... —  
Biada nam! biada! —

Lasy i drzewa,  
Rówienne z rajem — nim złudzona Ewa  
Zerwała owoc wiedzy i niedoli,  
I Adam wydał pierwszy jęk niewoli —  
Tak niebotyczne, z tak jeszcze zieloną

Liści koroną,  
Nikną — i wszędzie tylko siność fali! —

Głęb coraz wyżej

Rośnie, i dalej,

I coraz chyżej

Ku nam się wali!... —

Biada nam!... — Synu Noego!

Śpiesz, uchodź! i tam w swej łodzi,

Przy boku ojca twojego,

Szydź z naszych łez i powodzi!

A gdy obaczysz na tle oceanu,

Trupy twych braci i wszego stworzenia:

Wznies twemu Panu

Hymn dziękczynienia!... —

JEDEN Z LUDZI.

Błogosławiony! kto w Nim ufność złożył,

I w Nim ufając żył!

Ginąc, nie będzie się trwożył,

Bo On mu doda sił

Cierpieć i znieść! —

Cześć Panu! cześć!

On dał mi życie — On bierze co dał.

Będeż się chwiał

Wrócić mu dar Jego ręki? —

Nie! — i nim wieczna noc wzrok mój zaciemni,

I nim śmierć wiecznie me usta oniemi,

Cześć jeszcze Panu, i dzięki!

Za to, co było,

Za to, co nynie!

Bo w Nim, jak żyło,

W Nim wszystko ginie,

Bo On początkiem i końcem wszystkiego.

Wszystko jest Jego!

Czas, przestrzeń, życie, świat — wszystko poczęte,

Pojęte i niepojęte —

Wieczność i nieskończoność — On uczynił,

On chce, i może zniweczyć! —

Ja proch — jaż będę go winił?

Ja grzesznik, śmiałym złorzeczyć

Panu i Bogu mojemu? —

Nie! żyłem ufając Jemu,

Umrę ufając! — ani się zachwieję,

Widząc runąć świat; ani się strwożę:

Bo wiem, kto w Nim ma nadzieję,  
Na wieki zginąć nie może.

CHÓR LUDZI (*uciekających przed falą*).

I gdzież się obrócim, gdzie znajdziem schronienie?  
Na skał-li tych wędrem się strop?  
Gdy wszędzie z nich lecą wezbrane strumienie,  
By morze napotkać u stop?  
Czy w dzikich, przed niemi, rozpadlin skróś ziemi  
Ukryjem się w sklepy kamienne?  
Taż powódź potopu, jak sięgnie do stropu,  
Napełni otchłanie bezdenne!

MŁODA DZIEWCZYNA (*biegnąc za drugimi*).

Nie opuszczajcie sieroty,  
Mnie nieszczęśliwej, mnie młodej!  
Ojciec, i ojca namioty,  
Bracia, i braci mych trzody,  
I pola, gdzie szły na paszę,  
I sady, i wszystko nasze,  
Wszystko zalano! —  
Dziś jeszcze rano,  
Ze wzgórza, idąc do źródłu,  
Spojrzałam — wszystko tak było  
Ciche! tak spało w pokoju! —  
Serce me błogosławiło  
Bogu, i miejscu lubemu. —  
A teraz!... — Czemuż, ach! czemu  
Było mnie nędznej rodzić się na świecie? —

JAFET.

By umrzeć! — umrzeć w lat kwiecie!... —

Szcześliwszaś wszakże! niż gdybyś tak jedna  
Skazaną była — gdy otchłań beze dna  
Pochłonie wszystkich — płakać nad wszystkimi!

I jak ja, na pustej ziemi,  
Żyć, nie chcąc; cierpieć, nie śmiać się użalać!... --  
Panie! gdy wszystkich tracisz, po cóż mnie ocalać?

*(Fale morza wpadają z łoskotem. Chór ludzi rozpierzcha się  
w różne strony po górach: wielu tonie zajętych falą. Jafet  
jeden zostaje na skale; w odległości ukazuje się arka, zmie-  
rzająca ku niemu).*



# CZCICIELE OGNI

POWIEŚĆ WSCHODNIA

TOMASZA MOORA.



## Wiadomość historyczna o Gwebrach.

---

Gweber, Giabir, i pochodzący stąd przez skrócenie wyraz Giaur, któremu dziś przez nienawiść na wzgardę, we wszystkich muzuhnańskich językach nadano obelżywe znaczenie: „niewierny;“ niegdyś oznaczał tylko wyznawców religii Zoroastra, czcicieli ognia, jak ich nazywano; sami bowiem zwali się Behendi, to jest prawowierni. Religia ta, podług rachunku pisarzy wschodnich, przed czterema tysiącami lat wprowadzona do Persyi, trwała w niej bezprzestannie, pomimo wszystkich zmian i wstrząśnień politycznych tego najpotężniejszego niegdyś na Wschodzie państwa, aż do najścia i podbicia go przez sąsiednich Arabów, Mahometanów, którzy z całym zapalem fanatyzmu prześladowając jako bałwochwalstwo religię Gwebrów, wytępiłi ją nakoniec, i w powszechną wzgardę podali.

Oto są główne punkta nauki Zoroastra, zawarte w świętej księdze Zenda-Vesta, którą on, podług podania pierwszych swych uczniów, sam w niebie, razem z ogniem świętym, z rąk Oromaza otrzymał i przyniósł na ziemię. „Bóg, mówi Zoroaster, jest jeden, przedwieczny, nieskończony, stwórca wszystkiego co jest. Lecz w świecie przez niego stworzonym, działają z woli jego dwie przeciwne sobie potęgi: dobra i zła. Pierwszą zowie Oromazem (Hormuzd), co znaczy: dawca wszelkiego dobra; drugą Arymanem, co znaczy: Pan albo wódz złego. Obadwaj mieli władzę stwarzania, i używali jej wspólnie, chociaż w przeciwnym kierunku; i stąd to miała pochodzić owa mieszanina dobrego i złego, jaka się daje widzieć we wszystkich rzeczach stworzonych. Z tem wszystkim sam tylko Oromaz był wiecznym, i miał kiedyś przeciwnika zwyciężyć. Światło było godłem Oromaza; ciemność godłem Arymana. Sam Bóg rzekł do Zoroastra: „Światło moje jest w tem wszystkim, co świeci“.



Na tych to właśnie słowach opiera się wprowadzona przez niego cześć ognia, palącego się na ołtarzu w świątyniach; na wolnem zaś powietrzu cześć słońca, jako najszlachetniejszego ze wszystkich światła niebieskich, przez które Bóg ożywia i utrzymuje całe swe dzieło stworzenia. Gwiazdy i planety uważane były za istoty żyjące, mające każda duszę nieśmiertelną. Oto są słowa Zenda-Vesty, które Anioł światła rzekł do Zoroastra, dając mu z woli Oromaza ogień święty: „Polecam opiece twojej wszystkie ognie na ziemi. Rozkaż kapłanom strzedz je i utrzymywać, i nie gasić ich nigdy ani wodą, ani ziemią. Rozkaż w każdym mieście wystawić świątynię Ognia, i na cześć jego przepisz uroczyste obrządki. Światło ognia pochodzi z Boga; a cóż jest piękniejszego jak ogień? Nie trzeba mu nic więcej, prócz drzewa i kadzideł. Niech je sypie stary i młody, a prośby ich wysłuchane będą. Wszyscy, co nie usłuchają słów moich, pójdą do wiecznych ciemności“.

Lecz nie sam tylko ogień, wszystkie inne elementa składające świat: ziemia, powietrze, woda, a nawet zwierzęta i rośliny, polecone zostały szczególnej pieczy Zoroastra, przez swych opiekuńczych aniołów. Anioł ziemi rzekł: „Ty, co masz być błogosławieństwem rodzaju ludzkiego, zachowuj ziemię od rozlewu krwi, od nieczystości i trupów. Każ niech je grzebią tam, gdzie żadna woda nie płynie, i żaden człowiek nie chodzi etc.“ Stąd poszedł zwyczaj u Gwebrów, że ciała zmarłych, zamiast grzebać w ziemi, kładziono na wierchołkach wież, zbudowanych na ten cel w miejscach odludnych, i gdzie żadna woda nie płynie; tam zostawiano je na pastwę ptakom; poczem dopiero pozostałe kości grzebano do ziemi.

Te były główne zasady religii Gwebrów. Przepisy życia zawarte także w Zenda-Vesta, tchnęły najczystsza moralnością; zgodne z naturą i prawdą, wiodły do cnoty i pracy. Z tem wszystkiem gdy te z kolejną wieków władzę nad umysłami ludzi straciły, pierwotna myśl prawodawcy, cześć jednego prawdziwego Boga, ustąpiła przesądom; duch religii, formie zewnętrznej. Ogień, słońce, w których Zaroaster wi-

dział tylko widome godła bóstwa, i jako takim cześć oddawać kazał, następni wyznawcy jego wiary wzięli za same bóstwo, i poprzestając na zewnętrznych ofiarach, zasługiwali istotnie na imię bałwochwalców, które im Muzułmańscy nieprzyjaciele nadali.

Imię to stało się z czasem dla Persyi źródłem tysiącznych klęsk i nieszczęść: powodem, a przynajmniej pozorem do wojny z Arabami, zakończonej, jak wiadomo, zupełnem podbiciem Persyi i przejściem jej na wiarę zwycięzców. Skoro bowiem religia Mahometa ustaliła panowanie swoje w ojczyźnie jego w Arabii, fanatyczny zapał i duma pierwszych zaraz po nim Kalifów, zwróciły naprzód oczy na sąsiednią Persyą, bałwochwalczą, podług ich mniemania: a więc, którą powinni byli na prawdziwą wiarę nawrócić; żyzną i bogatą: a więc, którą podbić pragnęli; osłabioną wewnętrznymi niezgodami książąt swoich i możnych Satrapów, a więc do podbicia łatwą.

Pierwsza napaść Arabów na Persyą, nastąpiła za Kalifatu Omara. Wojska jego, pod wodzą Abu-Obeyda, przeszły Eufrat, lecz porażone przez Persów, straciwszy w bitwie większą połowę ludzi, wpław przez rzekę uciekać musiały. Omar wystawił nowe wojsko, lecz i to w pierwszym spotkaniu się z Persami, nie lepszego doznało losu. Wkrótce jednak wytrwała biegłość arabskiego wodza, nazwiskiem Saad-Ben-Wakass, fanatyczny zapał żołnierzy, a nadewszystko niedbałość samychże Persów, i zbytne zabezpieczenie się po zwycięstwie, odmieniły całkiem los wojny. Persowie z kolei ponosili klęski po klęskach: wódz ich Mehran, poległ zabity; całe wojsko poszło w rozsypkę. Naród zamiast połączyć się w jedno, by wspólnego nieprzyjaciela odeprzeć: przypisując poniesioną klęskę niedołężności swoich monarchów, obrócił się przeciwko nim, i rozpadł się na różne stronnictwa. Dynastia Sassanitów, od czterech wieków zasiadająca tron perski, właśnie była wygasła; możni panowie rozrządzali tronem. Wybierano z kolei jednego po drugim, coraz to nowych panujących, których prędzej jeszcze mordowano,

lub zrzucano z tronu. Nieład i zamieszanie stały się powszechne na całej ogromnej przestrzeni ówczesnego państwa perskiego. Tymczasem Arabowie posuwali się coraz dalej w głąb kraju, umacniając się w zdobytych prowincjach i miastach. Nakoniec w roku 632 naszej ery, a 11 Hegiry, wyniesiony został na tron perski Jeżdidzird, ostatni, chociaż nie w prostej linii, potomek królewskiej rodziny Sasanitów; człowiek słaby, niezdolny do rządów, zwłaszcza w tak trudnem położeniu kraju: będący tylko narzędziem w ręku możnych Satrapów, którzy pokrywając swą dumę maską przywiązania do krwi panujących, na to go tylko królem nad sobą obrali, by sami tem łatwiej pod nim całym państwem zarządzili.

Pierwszym czynem Jeżdidzirda po wstąpieniu na tron, było wysłanie posłów do arabskiego wodza, by go wezwać do traktowania o pokój. Sam Saad-Ben-Wakass, w towarzystwie dwóch innych wodzów wojska swojego, przybył do obozu Persów. Wprowadzeni do królewskiego namiotu, gdy wskazane miejsca zasiedli, Jeżdidzird tak do nich przemówił:

„Wiecie, że wami gardziliśmy zawsze. Arabowie dotychczas tylko znani byli w Persyi, jako kupecy, lub jak żebracy. Pokarmem waszym są zielone jaszczurki, napojem woda słona, odzieżą skóry zwierząt lub gruba tkanina z ich sierci; dlatego gardziliśmy wami. Lecz od niejakiego czasu w większej coraz liczbie zaczęliście kraj nasz nawiedzać: zasmakowaliście w dobrem jadle, napiliście się wody słodkiej, nawykliście do wygod odzienia. Powróciwszy do swoich pustyń, opowiadaliście o tem braciom waszym, i oto przychodzicie tłumami, aby nam wydrzeć co nasze, i narzucić nam wiarę, której my znać nie chcemy. Podobni jesteście do lisa, w bajce naszego poety, który wkradłszy się w ogród, znalazł w nim obfitość gron winnych. Poczciwy ogrodnik pozwolił mu nasycić się niemi i myślał: „Plon winnicy mojej nie zmniejszy się przez to, że się jeden lis biedny pożywi“. Ale lis nie przestał na tem, że się sam do woli nasycił; naprowadził swych towarzyszy, tak, że się cała win-

nica napełniła lisami. Ogrodnik więc musiał drzwi zamknąć i lisów, co już weszli, zabijać, aby sam nie zubożał do szczytu. Ja jestem tym ogrodnikiem, mówił dalej Jeżdidzird. Wszakże mając wzgląd na wasze potrzeby i ubóstwo, gotów jestem przebaczyć wam wszystko; obładuję wielbłądy wasze pszenicą i daktylami, bylebyście natychmiast ustąpili z mych granic. Lecz jeśli gardząc szczodrobliwością moją, chcecie dłużej w Persyi pozostać, postąpię z wami jak ów ogrodnik, i nie ujdziecie słusznej zemsty mojej“.

Saad-Ben-Wakass, wysłuchawszy spokojnie tej mowy, malującej zarazem całą dumę i słabość perskiego monarchy, odpowiedział na nią w te słowa:


„Wszystko co powiedziałeś o dawnym stanie Arabów jest prawda. Jedli oni zielone jaszczurki; grzebali żywo nowo-narodzone dzieci płci żeńskiej; zabijali własnych rodziców; niektórzy nawet żyli trupami i poili się krwią ludzką. Nie znali co jest złe, a co dobre; co godziwe, a co występne. Ale Bóg zlitował się nad nami, i zesłał nam swego proroka, który dał nam księgę prawdziwej wiary. Księga ta nakazuje nam wojować niewiernych, obłąkanych nawracać, i zamiast dotychczasowego poniżenia i nędzy, obiecuje nam panowanie nad światem. Wzywamy więc ciebie, królu perski! abyście, ty sam i twój naród, przyjęli świętą wiarę naszą. Jeśli się na to zgodzicie, żaden Arab bez woli twojej granicy państw twoich nie przejdzie; będziecie tylko, równo ze wszystkimi wiernymi, płacić zwykłą na ubogich jałmużnę, dziesiątą część wszelkiego dochodu. Jeśli nie chcecie przyjąć wiary naszej, możemy jeszcze przestać na opłacie haraczu, jaki się nam od niewiernych należy. Lecz jeśli odrzucicie oba te warunki, gotujcie się do wojny!“

Jeżdidzird czuł się jeszcze nadto potężnym, aby przystać na tak zelżywe układy. Wszczęła się więc na nowo wojna, krwawsza i zawziętsza niż kiedy. Na płaszczyznach Kadessu (Kadeseah), stoczyła się pamiętna bitwa 638 r. 17 roku Hegiry, w której całe prawie set tysięczne wojsko Persów poległo, i tajemnicza chorągiew państwa wpadła w ręce

zwycięzców. Jeźdidzird u zedł do prowincyi Korasan, i zebrawszy 150 tysięcy nowego wojska, wystąpił znowu do boju. W otwartem polu pod miastem Nohavund spotkały się oba wojska: arabskie pod naczelnictwem nowego już wodza, nazwiskiem Noman. Dwa miesiące stały spokojnie naprzeciwko siebie oba nieprzyjacielskie obozy; żadna strona nie śmiała boju rozpocząć. Nakoniec pierwsi Arabowie uderzyli na szanice perskie, wprzód za przykładem wodza, poprzysięgłszy zwyciężyć lub zginąć. Zginął Noman, lecz Arabowie przemogli. Sto dziesięć tysięcy głów miała wynosić strata wojska perskiego; reszta rozpiezchła się w góry. Zaszła ta bitwa w r. 641. Hegiry 21. Cała Persya od Eufratu do rzeki Oxus wpadła w ręce zwycięzców. Jeźdidzird zginął zabity, gdy przebrany tułał się po kraju. Arabowie rozjątrzeni oporem Persów i gorliwi o rozkrzewienie swej wiary, prześladowali z niesłychanem okrucieństwem religią Zoroastra i resztę nieszczęśliwych Gwebrow, którzy schroniwszy się w góry Kermanu, nie przestawali jeszcze bronić swej niepodległości, i wiary. Wsie, miasta i całe prowincye, wycinano w pień bez różnicy płci i wieku. Świątynie ich i ołtarze obrócono w gruzy i popiół. Ognie święte zalewano krwią ich kapłanów, na urągowisko z przepisu Zoroastra, zakazującego gasić je wodą lub ziemią. Większa część mieszkańców Persyi, uchodząc śmierci lub prześladowania, przyjęła religią zwycięzców; inni nie chcąc uleść przemocy, rozpiezchli się po różnych krajach, tułając się w górach Kaukazkich, na dzikich brzegach Kaspijskiego morza, w Indyach, albo się ukryli wśród niedostępnych gór swojej ojezyny. Dziś jeszcze około zatoki Perskiej, w górach i stepach Kermanu, a mianowicie w prowincyi Jerd-Keram, znajdują się dawni Gwebrowie, Parsami zwani, wierni religii swych przodków, i z tej właśnie przyczyny zostający w powszechnej nienawiści i wzgardzie u swoich muzułmańskich współziomków.

*(Z historyi perskiej przez Malkolma).*

## PIEŚŃ PIERWSZA.

 Nad perskiem morzem księżyc w pełni świeci.  
Śpią mgłą owiane fale lazuruwe,  
I wkoło we mgle, jak w srebrzystej sieci,  
Skaliste brzegi i wyspy palmowe,  
Kąpią się w blasku miesięcznej pogody.  
Z brzegu odbity we zwierciadłach wody,  
Gród G o m b a r u n u marmurem się bieli.  
W nim gmach Emira góruje nad skały. —  
Przed chwilą trąby i wdzięczny dźwięk zeli,  
Z wież jego słońce gasnące żegnały: —  
Spokojne słońce! milej mu w dąbrowie  
Zanuci pasterz, albo słowik w sadzie,  
Gdy na szkarłatne zachodu wezgłowie  
Ogniste skronie do spoczynku kładzie! —  
Lecz teraz głucho na Emira dworze.  
Jak ziemia milczy nieruchome morze,  
Cisza w powietrzu, na polu i w grodzie.  
Wiatr choć gdzie westchnie, wnet uśnie w powiewie,  
Żadna się fala nie zmarszczy na wodzie,  
Żaden się listek nie wzruszy na drzewie.



Sam Emir nawet, śród nocnego chłodu,  
Tyran Iranu, \*) zasypia spokojnie.  
Choć nad nim cięży przekleństwo narodu,  
Choć wkoło zemsta porywa się zbrojnie  
Mścić krzywd i zniewag, które jego plemię  
Zlewa od wieków na Iranu ziemię:  
Twardej w nim duszy ni miękcza, ni trwożą,  
Ni łzy co płyną, ni miecze co grożą.  
On, czci Proroka zapaleniec dziki,  
Z rozkoszą patrzy na rzeź i płomienie,  
Mieczem swej wiary tępiąc przeciwniki,  
Mniema tem własne okupić zbawienie.  
Gotówby w pośród najzaciętszej bitwy,  
Uklęknąć we krwi przez siebie rozlanej,  
By wczas codzienne odmawiać modlitwy,  
Lub na skrwawionym mieczu wypisany  
Rozważać myślą jaki tekst proroka;  
Gotówby śledzić, bez zmrużenia oka,  
Po jakie słowo lub wiersz którą razą  
W piersiach swych ofiar utopił żelazo!

Wielki Allahu! o! jakiejże kary  
Nie wart przed tobą okrutnik zażarty,  
Co z ksiąg twych świętych ludzkości i wiary,  
Skrwawioną dłonią przewracając karty,  
Rozgłasza tylko bluźnierczemi usty  
Naukę mordów, zemsty i rozpusty?  
Jak owa zgubna Trebizondy pszczoła,

---

\*) Iran, imię ogólne Persyi.

Co oblatując kwieciste płaszczyzny,  
Z najśłodszych kwiatów, z najzdrowszego zioła,  
W szal wprowadzające wysysa trucizny!\*)

Nigdy sroższego potęgą i złością  
Satrapy Arab nie wsadził na państwo;  
Nigdy tak Iran pod jarzma ciężkością  
W mahometańskie nie گیاł się poddaństwo. —  
Wielkim był Iran — uczy dziejów księga —  
Bał się go mocny, błogosławił słaby.  
Cóż jest narodów wielkość i potęga?  
Czas, własne swary, i bliskie Araby,  
Przyniosły zmianę jego świetnej doli:  
Tron jego w gruzach, lud jęczy w niewoli.  
Świątynie nawet — o! wstydzie bez miary!  
Gdzie płonął Mitry ogień nieskażony,  
Poszły skalane na łup cudzej wiary:  
A w nich niewolnik, mieczem nawrócony,  
Cześć bałwochwaleczą składając na progu,  
Złorzeczyć musi ojców swoich Bogu! —

Ale są dusze, co czują zniewagę,  
Co pomną przeszłość, i mają odwagę.  
Są serca tehnące zemstą i nadzieją:  
Serca podobne do drogich kamieni,  
Co raz przesiąkłe od słońca promieni,

\*) W okolicach Trebizondy znajduje się gatunek rododendronów, których kwiat cheiwie jest poszukiwany przez pszczoły, a miód z nich wyssany ma własność, że ludzi wprowadza w szaleństwo.



Śród nocy jeszcze blaskiem dnia jaśnieją.  
Są i ramiona, co i chcą, i mogą,  
Serc tych natchnienia wypełniać statecznie. ---  
Dozna ich wkrótce, i przypłaci drogo,  
Ten, co w tej chwili zasypia bezpiecznie,  
Jak gdyby mniemał, że nad jego łóżem  
Niebo anioła postawiło stróżem! —

Śpij, śpij, tyranie! nie dla twoich oczu  
Świecą te gwiazdy na niebios przeźroczu,  
Błyszczy zwierciadłem lazurów morze:  
Śpij, śpij, tyranie! jakbyś nie nie winien!  
W tak pięknej nocy, w tak rozkosznej porze,  
Nikt prócz kochanków czuwać nie powinien! ---

I oto, patrzaj! — na tej nagiej skale,  
Co się tak stromo wznosi ponad fale,  
I wkoło po nich ściele cień ponury:  
Widzisz tę wieżę z krużgankiem u góry?  
Widzisz to okno? skąd wzdłuż białej ściany,  
Dziewieczych włosów warkocz rozwiązany,  
Spływa potokiem wdzięcznego nieładu:  
Czarny i lśniący, jako czaple pióra,  
Co zdobią turban monarchy Bagdadu!\*) —  
W tem oknie czuwa Emirowa córka —  
Anioł dobroci, wdzięków, niewinności,  
Co choć z takiego i ojca i rodu,

---

\*) Królowie wschodni noszą czaple pióra po prawej stronie turbanu, jako oznakę swojej godności.

Jest jak promienna Fontanna Młodości,  
Co z gór najdzikszych wypływa z pod lodu \*). —

O! jak uroczą, świętą. tajemniczą,  
Jak młoda piękność, przed światem ukryta,  
Co tylko blaskiem skromnego oblicza  
Samotnie w domu rodzicielskim świta,  
Zdala od wzroku natrętnego ludzi!  
Kwiat na dnie morza kwitnący głębokiem,  
Którego nawet blask słońca nie zbrudzi,  
Nie tak jest czysty przed Allaha okiem —  
Tak dotąd Hildy i serce i lice,  
Jak na ołtarzach święte tajemnice,  
Były w zamknięciu haremu strzeżone.  
Stokroć szczęśliwi! komu los przeznaczy,  
Że z nich dziewiczą uchyli zasłonę,  
Że je najpierwszy pozna i obaczy!  
Jak ów, co znagła na bezdrożnej toni,  
Zaczarowany raj ziemski odkryje,  
I sam technie całem upojeniem woni,  
Którą wprzód usta nie technęły niczyje! —

Piękne są, piękne, arabskie dziewice,  
Gdy w lekkim tańcu depcą smug zielony!  
Jak gwiazdy błyszczą ich pełne żrenice,  
Gdy patrzą z okien przez cienkie zasłony. —  
Piękne są, piękne, małżonki Arabów,

\*) Źródło, albo Fontanna Młodości, podług tradycyi Mahometanów, płynie gdzieś między najdzikszymi górami na Wschodzie.

Białe jak jaśmin, co we włosach noszą;  
Pierś ich miłości oddycha rozkoszą,  
A rozkosz nowych dodaje powabów:  
Gdy w swych altanach, gdzie w letnim upale  
Cień liści czyni słońce łagodniejsze,  
Przed zwierciadłami pędzą czas niedbale,  
I z każdą chwilą stają się piękniejsze! —  
Lecz próżno szukać w Arabii całej,  
Od Beduinki do żony sułtana,  
Coby się mogły, coby nawet śmiały,  
Równać w piękności z córką Al-Hassana! —

Piękna jak anioł, gdy we snach dziecinnych  
Roztoczy w górze cień skrzydeł strażniczych:  
Promienna blaskiem swych uczuć niewinnych,  
Kwitnąca w pełni powabów dziewiczych.  
Samo spojrzenie — gdyby z tem spojrzeniem  
Spotkał się zbrodniarz, płakałby z rozpaczą,  
Alboby musiał uciekać ze drżeniem  
Jak wąż, gdy połysk szmaragdu obaczy: \*)  
Tak jest spokojne, tak czyste — a razem  
Tak gore ogniem i czucia wyrazem,  
Że rzekłbyś tęcza zmieszanej jasności  
Niebieskiej chwały i ziemskiej miłości:  
Promień jej duszy, wpół boskiej istoty,  
Gdzie tylko ziemską czułość i tęsknoty  
Są jakby cienie — wśród których tem milej,

---

\*) Utrzymują na Wschodzie, że gdy wąż wpatrzy się  
w blask szmaragdu, natychmiast ślepie.

Jaśniej s<sup>ł</sup>wiatł<sup>ość</sup> z<sup>ł</sup>agodzona wiary:  
Jak promień s<sup>ł</sup>ońca, gdy w pogodnej chwili  
Przez drzew cieniste wciska się konary,  
I takie s<sup>ł</sup>wiatł<sup>o</sup> rozkoszne rozlewa,  
I tak łagodnie swym blaskiem ogrzewa,  
Że wątpić trzeba, czy tych liści cienie  
Nie milsze dla nas, niż same promienie! —

Taką jest Hilda — co na swym krużganku,  
Bezzsenne we łzach opuściwszy ł<sup>o</sup>że,  
Duma samotnie czekając poranku,  
I patrzy smutnie na błękitne morze. —  
Ach! nie tak kiedyś — ach! nie tak ze łzami,  
Nie tak z westchnieniem — w swych progach rodzin-  
Patrząc na niebo zasiane gwiazdami, [nych,  
Z jasnymi w duszy jak one myślami,  
Marzyć lubiła za lat swych dziecinnych! —  
Jakież dziś smutku przyczyny być mogą?  
Czy co straciła? czy bojąc się żąda?  
Czemu w noc czuwa? czemu z taką trwogą  
Ku przepaścistym skałom tym spogląda,  
Co najeżone u góry podnóża,  
Ponurym cieniem plamią jasność morza?  
To niepodobna! ażeby tą drogą  
Mogła, lub śmiała spodziewać się kogo! —

Tak myślał Emir, gdy jej na tej skale  
Kazał zbudować ów ganek na wieży,  
Gdzieby po skwarnym letnich dni upale  
Mogła oddychać nocy powiew s<sup>ł</sup>wieży;

Tak myślał Emir, gdy to jej mieszkanie  
Z tej strony całkiem zostawił bez straży. —

Śpij więc bezpiecznie, i nie patrz, tyranie!  
Na co się miłość młodzieńcza odważy!  
Miłość, co rosnąc wśród niebezpieczeństwa,  
W walce z niem szuka rozkoszy i chluby,  
Której najmilszy ten wieniec zwycięstwa,  
Co go zerwała nad przepaścią zguby!  
Śmielsza od łowca pereł lub koralu,  
Co nie wprzód w morskiej pograża się fali,  
Aż się o cichej zapewni pogodzie.  
Miłość, choć piorun, choć ocean ryczy,  
Tę tylko perłę za skarb sobie liczy,  
Którą ułowi w najburzliwszej wodzie! —

O! i w tej chwili — choć stroma opoka,  
Choć skały śliskie, i przepaść głęboka:  
Jest przecież taki, córko Al-Hassana!  
Co byle ujrzeć blask twojego oka,  
Co byle dotknąć twoich ust szkarłatu:  
Wdarłby się nawet tam — gdzie niedeptana  
Ścieżka prowadzi na szczyt Araratu!\*)

Słyszysz? szum wiosła! — Patrz! łódka bez żagli,  
Pędzi jak strzała w niezachwianym biegu,  
Tak szybko wiosłarz do pędu ją nagli.  
Przed nią i za nią, w księżycu promieniu,  
Wre biała piana podobna do śniegu: —

\*) Góra ta uważana była powszechnie za niedostępną.

Łódź coraz bliżej — już znikła w skał cieniu —  
Piasek zaskrzypiał — stanęła u brzegu.

„To on!“ — bledniejąc Hilda zawołała,  
I na poręczach ganku pochyłona,  
Na dół otwarte wyciąga ramiona,  
Jakby mu w pomoc rękę podać chciała.  
Tak owa w pieśniach poetów sławiona,  
Białowłosego Zala narzeczona,\*)  
Gdy na jej ganek wdzierając się w nocy,  
Raz nad przepaścią zachwiał się jej luby:  
Rzuciła własny warkocz ku pomocy,  
By się go ujął, i uniknął zguby.

Ale zręczniejszy jest ów młodzian śmiały,  
Co przy mdłych tylko księżycu połyskach,  
Pnąc się w tej chwili po śliskich urwiskach,  
Jak dzika sarna arabskiej pustyni,  
Szybkimi kroki skacze z skał na skały —  
Już ujrzał Hildę — już blisko — już przy niej! --

Ona go kocha — lecz nie zna, i nie wie,  
Kto on? z jakiego plemienia i kraju? —  
Jak ów, co błądząc w indyańskim gaju,  
Cudnego ptaka obaczy na drzewie,  
Co wczoraj z wiatrem wiejącym od morza,

---

\*) Zal, sławny bohater perski, w pierwszych wiekach tego państwa, ojciec sławniejszego jeszcze od siebie Rustama, urodził się z białymi włosami. Zdarzenie wspomniane w tekście, sławne jest w poezjach perskich.

Przyleciał z wysep nieznanych nikomu,  
I nim jutrzejsza może błysnie zorza,  
Znów z tymże wiatrem odleci do domu: —  
Na cóż mu ptaka nazwisko posłuży,  
Kiedy się blaskiem jego piór zachwyca? —  
Wielki Allahu! spraw tylko, by dłużej  
Kochanka swego widziała dziewica! —

Było to w nocy, o tej samej porze —  
Noc była cicha i spokojne morze,  
I księżyc świecił na niebios przezroczu:  
Gdy po raz pierwszy, z okien swego gmachu,  
Nucąc przy arfie święty hymn poranku,  
Ujrzała nagle — o! srogi przestrichu! —  
Ujrzała dwoje płomienistych oczu,  
Patrzących na nią przez kratę jej ganku —  
I była pewną, że to oczy ducha,  
Co przez powietrzne przelatując drogi,  
Tu się zatrzymał, i pieśni jej słucha! —

Ta myśl tak umysł przenikła lęklivy,  
Że choć wnet z pierwszej ochłonawszy trwogi,  
Sama się własnem przekonała okiem,  
Że to był młodzian śmiertelny i żywy,  
Co uniesiony jej wdzięków widokiem,  
Wskoczył na ganek, u kolan jej klęczał,  
Całował usta, i miłość zaręczał: —  
Myśl ta w niej nieraz budzi się nanowo,  
Skoro z ust jego — jak się często zdarza —  
Usłyszysz dzikie, niepojęte słowo:  
Gdy oko jego gniewem się rozżarza,

I tak dokoła żywym ogniem ciska,  
Że go znieść wtedy niepodobna zbliska.  
Wtenczas drży znowu, zali jej kochanek  
Nie duch zwodniczy, lub jeden z aniołów,  
Co uwiedzeni wdziękami ziemianek,  
Jasne swe niegdyś rzuciwszy pobyty,  
Zrzekli się nieba za miłość kobiety,  
I dotąd błędzą wśród ziemskich padołów! —

Nie drżysz, dziewico! nie drżysz! — twój kochany,  
Ni duch zwodniczy, ni anioł wygnany;  
Ach! jest on tylko z owych synów ziemi,  
Co tak namiętni w miłości i gniewie,  
Jak gdyby tchnęli płomieńmi samemi,  
Lub czując w sercu piekielne zarzewie,  
Zgasić je tylko mogli w krwi rozlewie! —

Lecz dziś w nim życie jakby mgła owiała;  
Twarzy tak bladej, oczu tak ponurych,  
Nigdy w nim dotąd, nigdy nie widziała!  
Lecz takim bywał we snach jej, po których,  
Jedną jej ulgą w złowrogiej obawie,  
Było się budzić, i płakać na jawie.  
Bo sny to były, których cień i we dnie  
Zaczernia duszę — jak duch, co się jawi  
Niosąc śmiertelnym nieszczęść przepowiednię,  
Wszędzie gdzie stąpi, czarny ślad zostawi! —

„Jak pięknie“ — rzekła dziewica nieśmiało,  
Jakby ją brzmienie własnych słów lękało:



Tak długo mileząc obok siebie stali,  
 Patrząc na połysk wygładzonej fali. —  
 „Jak pięknie dzisiaj to światło księżyca  
 „Ową cienistą wysepkę oświeca!  
 „W moich marzeniach, jam nieraz żądała,  
 „Żeby ta wyspa ptaka skrzydła miała,  
 „I nas, siedzących pod cieniem swych gajów,  
 „Przeniosła razem gdzieś do pustych krajów,  
 „Lub gdzie na jakie nieżeglowne wody:  
 „Gdziebyśmy sami mogli żyć dla siebie,  
 „Żyć i umierać — bez ludzkiej przeszkody! —  
 „Gdzieby się tylko przez gwiazdy na niebie  
 „Oczy aniołów na nasz raj patrzyły! —  
 „Tego się tylko obawiam, mój miły!  
 „Czyby świat taki wystarczył dla ciebie?“ —

Rzekłszy, ku niemu spojrziała wesoło,  
 Pewna, że uśmiech wzajemny obaczy. —  
 On stał, ku ziemi opuściwszy czoło,  
 I tylko ku niej podniósł wzrok rozpaczy,  
 Co jak miecz w duszy kochającej tonie.  
 Zbladła dziewica, i klasnąwszy w dłonie:  
 „Nie patrz tak, nie patrz! już wiem, co to znaczy!“ —  
 Krzyknęła, dłońmi zakrywając skronie.  
 „Ach! te sny moje! te widma złowieszcze!... —  
 „Wiem, co mi wróżą! — Nic, nic nie pomoże!  
 „Ty chcesz, ty musisz rzucić mię — dziś jeszcze! —  
 „Ach! ja wiedziałam, że to trwać nie może!  
 „Jam od dzieciństwa przywykła do tego,  
 „Utracać wszystko, com tylko kochała!

„Nie było krzewu, ni kwiatu jednego,  
„By wnet nie usechł, gdym ja go wybrała.  
„Nie było ptaka, ni młodej gazeli,  
„Gdy już mię znała i jadła z mej dłoni,  
„Gdy igrać ze mną zaczęła już śmieiej,  
„Bym zaraz potem nie płakała po niej! —  
„I ty, mój luby! ty, coś moją duszę  
„Nauczył uczuć tak nowych, tak tkliwych:  
„Wiem, że i ciebie równie stracić muszę! —  
„Idź! nie dziel moich losów nieszczęśliwych!  
„Idź, i nie wracaj! — choć twoje przybycie  
„Niebem jest dla mnie; — lecz te strome skały!  
„To zdradne morze! — ach! a tyś tak śmiały!  
„Ty mógłbyś dla mnie narazić swe życie!... —  
„Idź, i nie wracaj! — lecz przyjmij na drogę  
„Łzy mej miłości i błogosławieństwo! —  
„O mnie się nie bój! — ja czuję, że mogę  
„Znieść łatwiej żalność po tobie, niż trwogę  
„Że cię narażam na niebezpieczeństwo!“ —

— „Niebezpieczeństwo! — chcesz, żebym się chlubił?“ —  
Krzyknął młodzieniec; — „cóż mi ono znaczy?  
„Co znaczy temu? kto raz wszystko zgubił,  
„Co wzrósł wśród nieszczęść, przywykł do rozpacz;  
„W którego uchu trąb wojennych dźwięki  
„Brzmia co minuta; — co we dnie i w nocy,  
„Śpiąc nawet, miecza nie śmie puścić z ręki,  
„By się nie ocknął w nieprzyjaciół mocy? —  
„Niebezpieczeństwo!“... —

— „Więc ty nie znasz trwogi?  
„Powrócisz do mnie? mój luby! mój drogi!“ —

— „O nie! tak nie patrz! — bo te oczy twoje!...  
„Ja się na świecie nie prócz nich nie boję! —  
„Jeśli są gwiazdy, co wpływem swym mogą  
„Popchnąć mię różną od obranej drogą:  
„Jeśli jest jaki talizman uroczy,  
„Coby mi przeszłość z pamięci wymazał,  
„Coby na przyszłość zapomnieć mi kazał:  
„Tym talizmanem — byłyby twe oczy! —  
„Lecz nie! — to próżno! — niema nam sposobu!  
„Wyrok mój jasny — dopełnić go muszę —  
„Musim się rozstać! — i z tej strony grobu  
„Już się nie ujrzym! — bo choć nasze dusze  
„Sam Bóg powiązał — świat wiecznie rozdziela. —  
„Słuchaj mię, słuchaj! arabska dziewico!  
„Wprzód gwiazdy razem ze słońcem zaświecą,  
„Niż ja się złączę z krwią nieprzyjaciela! —  
„Twój ojciec“... —

— „Nie kończ! — niech go Allah strzeże!  
„Wzrok twój mu zda się nieszcześciem zagraża.  
„Lecz ty go nie znasz — nie wiesz, jak on szczerze  
„Szanuje męstwo, i męźnych poważa! —  
„Dość niech cię pozna! — nikt pewno goręcej  
„Czcic cię nie będzie, ani kochać więcej. —

„Pomnę, w dzieciństwie, gdy w jego komnatach  
„Lubiłam czasem bawić się orężem,  
„On mi rokował, że w późniejszych latach

„Bohater jakiś być musi mym mężem.  
„I teraz nawet, gdy mu na wieczerzę  
„Przynoszę sorbet i owoce świeże,  
„A on nie smutny — jak się często zdarza —  
„Lub go nie trudnią rządowe zajęcia,  
„Pieszcząc się ze mną, z uśmiechem powtarza,  
„Że wojownika chce tylko za zięcia:  
„Bo mężne serce i chwała z oręża,  
„Są najdroższymi bogactwami męża“. —

„Ty się odwracasz? — ach! ty mój jedyny!  
„Ty zyskasz łatwo chwałę i wawrzyny!  
„Wstąp w jego szyki! — Wiesz, że się zuchwali  
„Gwembrowie znowu do buntu porwali... —  
„O! ja nieszczęsna! spojrzaleś tak srogo! —  
„Czyliż te rady obrażać cię mogą? —  
„Ach, nie! — w twym wzroku, co tak ogniem pała,  
„Błyszczy już przyszłe zwycięstwo i chwała.  
„Wstąp w jego szyki! — lecz śpiesząc na boje,  
„Hamuj w nich, proszę, zapal twego męstwa;  
„Pomnij, że miłość, i że serce moje  
„Czekać cię będą z nagrodą zwycięstwa! —  
„Wtenczas się o nie śmiało upominaj,  
„Gdy ci, którymi mój ojciec się brzydzi,  
„Bezbożne Gwebry“... —

— „Milez, milez! nie wspominaj

„Tego imienia! — twe słowa są gromy!“ —

Krzyknął z rozpaczą młodzian nieznajomy,  
I płaszczył swój rozkrył: — „Czy twe oko widzi

„Ten pas? znak Gwebra?\*) — Płacz więc, lub prze-  
„Jak nas twój ojciec klnie i nienawidzi! [klinaj!

„Tak! — jam jest z tego *bezbożnego* rodu,  
„Co choć nas ściga wasza zemsta sroga,  
„Wiernie w godzinach wschodu i zachodu  
„Wielbimy w słońcu tron żywego Boga!\*\*)  
„Tak! — jam jest jeden z tych nędznych tułaczy,  
„Wiernych ojczyźnie, zemście i rozpaczy,  
„Co klnąc Arabów, co nas w jarzmo wprzęgli,  
„Na krew poległych braci zaprzysięgli,  
„Dopóty walczyć ogniem i żelazem,  
„Aż lub kraj zbawim, lub zginiem z nim razem! —  
„Dziki twój ojciec... — Lecz nie drżysz o niego!  
„Kimbądź on dla nas — dawca życia twego  
„Świątym jest dla mnie, jak Mitry ołtarze,  
„Gdy na nich ogień ofiarny rozżarzę. —  
„Lecz wiedz, żeś jego szukał w owej nocy,  
„Gdy widząc światło na bezbronnej wieży,  
„Nadzieja zemsty dodała mi mocy:  
„Wdarłem się tutaj od morskich wybrzeży —  
„Wdarłem się z mieczem — z sercem krwi spra-  
[gnionem... —  
„Lecz ach! któż zbada tajnie przeznaczenia? —

---

\*) Dla odróżnienia się od bałwochwalców Indyjskich, Gwebrowie opasują się pasem skórzanym, i tak wielką do tego stroju przywiązują wagę, że bez niego chwili być nie mogą.

\*\*) Gwebrowie utrzymują, że tron Najwyższego jest w słońcu, i dlatego tylko cześć słońcu oddają.

„Chciałem zejść sępa w gniaździe zakrwawionem,  
„Znalazłem tkliwą gołąbkę zbawienia!... —  
„Tyś zwyciężyła! — Cel, co mię tu znęcił,  
„Wypadł z mej duszy; — twój grzech, jeślim winien,  
„Zem jedną chwilę miłości poświęcił,  
„Gdym tylko zemście wszystkie był powinien! —

„Obym ja nigdy, nigdy nie znał ciebie!  
„Lub mógł zapomnieć: jak byłem szczęśliwy,  
„Jakbyśmy byli szczęśliwi — jak w niebie!... —  
„Gdyby — o! Hildo! — nie ów los straszliwy,  
„Co wśród nas stanął - i nielitościwy  
„Tak nas daleko rozepchnął od siebie! —

„O! gdyby kraj mój był i twoim krajem!  
„Gdybyśmy w jednej wsi, o! moja droga!  
„Wzrastali razem, i jednego Boga  
„O szczęście swoje błagali nawzajem;  
„I połączeni węzłami świętymi  
„Wspomnień dzieciństwa i rodzinnej ziemi.  
„Radzi z ubogiej po ojcach spuścizny,  
„Kochali siebie miłością ojczyzny!  
„Gdybym z ust twoich, w pełnym westchnień głosie,  
„Usłyszał piosnkę o jej dawnym losie,  
„Kiedy nasz Iran wielkim był Iranem!  
„Gdybym w twych oczach, coby ogniem tłały,  
„Ujrzał blask święty jego dawnej chwały,  
„Lub w łzach twych litość nad dzisiejszym stanem!...  
„Wtenczas-to, wtenczas, mójby miecz zabłysnął —  
„I biada temu, co te łzy wycisnął!  
„Zmyćby je musiał morzem krwi wylanem!

„Lecz cóż nam dzisiaj, że nas miłość sprzęga,  
„Dziś — gdy nas wszystko na wiek wieków dzieli:  
„Wiara, ojezyzna, powinność, przysięga? —  
„Gdybyśmy sobie wiernemi być chcieli,  
„Musimy zdradzić krew naszą i Boga! —  
„Ojciec twój nami jak piekłem się brzydzi:  
„Ty sama może... — Przebac, moja droga!  
„Nie! — tak nie spojrzysz ten, co nienawidzi! —  
„Nie! — moja Hilda! — o! ja znam jej duszę!  
„Ona się losem Iranu rozculi:  
„Wyzwoli jeńców, odwróci katusze,  
„Pocieszy wdowy, sieroty przytuli!  
„A gdy w obronie nieszczęśliwej ziemi,  
„Ostatni nasi polegną rycerze:  
„Pomnij, że jeden z nich kochał cię szczerze —  
„Przez miłość dla mnie, zapłac nad wszystkimi! —  
„Lecz patrz!“ —

Tu umilkł i blednąc na twarzy,  
Ukazał tylko na odległe wały,  
Gdzie jak ogniki nad grobem żeglarzy,  
Błękitne światła przeze mgłę migają,  
I podwojone morskimi zwierciadły,  
Sypiąc iskrami, wzlatały ku górze:  
Że rzekłbyś gwiazdy, co do morza spadły,  
Lecą znów osiąść na niebios lazurze.

„Bądź zdrowa, Hildo! — to są hasła moje —  
„Puszczaj mię, puszczaj! — bo hasła złowieszcze. —  
„Chwila spóźniona — a zginiem oboje! —  
„Najmilsza moja! raz jeszcze! raz jeszcze!

„Żegnaj! — Ojczyzno! teraz jam twój znowu!“ —

Rzekł, i wprost z ganku skoczył w głąb parowu,

Jakby śmierć tylko pociechą rozstania. —

A ona blada, bez tchu, bez pamięci...

Wszystkie jej myśli, uczucia i chęci,

Zlały się w jeden zamęt obłąkania! —

Wtem w głębi woda zaplusnęła głucho.

Szmer ten jak gromem uderzył jej ucho —

Szmer ten jej zda się hasłem jego zguby! —

Podniosła ręce — na kraj ganku bieży,

Jak gdyby za nim w dół rzucić się z wieży:

„Idę za tobą! idę, o! mój luby!

„Niech nas przynajmniej w tej samej topieli

„Jedna śmierć razem oboje pogrzebie!

„Milej mi z tobą umierać, niżeli

„Żyć wieki wieków, daleko od ciebie!“ —

Lecz nie wybiła jeszcze ich godzina —

Bo łódź w tej chwili z cienia skał wybiegła,

I z szumem drogę pianistą przerzyna,

Tam, gdzie znów ognie błękitne postrzegła.

I uskrzydłona żaglem w pomoc wiosła,


Lekko, swobodnie ulata po falach:

Jakby wesołość tylko w sobie niosła,

I nikt na brzegu nie pozostał w żalach! —



## PIEŚŃ DRUGA.

 Nad perskiem morzem ranek świta blady.  
Coraz to jaśniej widać okolice:  
Widać palmowe Bareinu sady,  
I ambrozyjskie Kiszmai winnice, \*)  
I różnobarwne wysp kwiaty i krzewy.  
Tehnie brzeg arabski wonnymi balsamy:  
A z wód indyjskich łagodne powiewy,  
Wkoło świętego nadbrzeża Selamy, \*\*)  
Igrają z falą i z kwiatów wieńcami,  
Które z ziem różnych pobożni żeglarze,  
Z ziół swych ojczystych uwiwszy je sami,  
Płynąc tu, morzu poświęcili w darze,  
Na cześć wielkiego geniusza wody,  
Za wiatr przychylny i wierne pogody. —

\*) Barein i Kiszma, wyspy w Zatoce Perskiej.

\*\*) Selama, albo Sełemek, jest to właściwie nazwisko przyładowu, zwanego pospolicie Musseldom. Indyjanie płynąc około niego, rzucają w morze owoce i kwiaty, dla otrzymania szczęśliwej żeglugi.

Słowik się rozstał z różanemi krzewy,  
Skąd nucił w nocy niesłuchane śpiewy,  
I przed spojrzeniem jutrzeńki się chroni,  
Pod cieniem liści granatnych jabłoni,  
Co od jej blasku, na tle swej zieleni,  
Błyszcza jak tęczą ognistych kamieni,  
Oblane rosy tak czystej perlami,  
Że najlepszego oreża nie splami,\*)  
Że miecz nią zlany, wartby jeszcze z rana  
Uzbrajać ramię młodego sułtana,  
Gdy po raz pierwszy zasiądzie na tronie!

Lecz oto słońce ze wschodniej purpury  
Wzniosło promieniami uwieńczone skronie —  
I już świat cały ogniem życia płonie! —  
Słońce! — aniele światłości! ty, który,  
W dniu narodzenia świata i natury,  
Sam pierwszy, wiodąc jasne gwiazd gromady,  
Wszedłeś w ogniste Stworzyciela ślady!  
Gdzie są dni owe — świadku ich odwieczny!  
Gdy cały Iran, jako kwiat słoneczny,  
Z cześcią i miłością, o każdej dnia dobie,  
Okiem i sercem zwracał się ku tobie?  
Gdzie są ołtarze, co wzdłuż jego krajów,  
Jak dzieciom kazał przykład ojców stary,  
Płonęły ogniem twojej czci i wiary:

---

\*) Franklin, mówiąc o klimacie Szyrazu, powiada: „Rosa tak jest czysta, że najlepsza stał, przez całą noc zostawiona na dworze, nie zardzewieje od niej“.

Od orzechowych Samarkandy gajów,  
Do Bendemiru skalistych wybrzeży? —  
Gdzie są? — Zapytaj cieniów tych rycerzy,  
Co po jednym walcząc z tysiącami,  
Śród krwią oblanej Kadesu płaszczyzny,  
Wrogów ją swoich zasławszy trupami,  
Szczęśliwi! z chwałą polegli i sami —  
Nie czują więzów, ni krzywd swej ojczyzny! —  
Spytaj wygnańca, co w nędzy wygnania,  
Bez pocieszenia, bez politowania,  
W pustyniach życie prowadzi tułacze:  
Albo z wierzchołka gór wiecznie zimowych,  
Patrzy ku stronie Iranu, i płacze  
Po kraju słońca i cieniów palmowych!...

Lecz czyż Iranu chwała i ołtarze  
Na zawsze w Mitry zagasły pieczarze? —  
O nie! są jeszcze synowie w Iranie,  
Co nie napróżno Muzułmanom grożą:  
Co za swą wiarę, za krew swoich braci,  
Dopóty miecza i zemsty nie złożą,  
Póki ich słońce światłości nie straci,  
Póki im ziemi choć na grób zostanie!  
Młodzieńcze serca, w których siła ducha,  
Na lada krzywdę płomieniem wybucha;  
I dusze mężkie, w których mrocznej głębi,  
Gniew, jako ogień w przepaściach wulkanu,  
Tleje ukryty, lecz się nie wyziębi,  
Aż przy nim zemsty dojrzeją nasienia,

Aż jako palma olbrzymia Ceylanu,\*)  
Hukiem rozkwitu świat zbudzą z uśpienia!...

Lecz któż jest, który na Iranu brzegach  
Rozwija sztandar wolności i chwały;  
Przed czym mieczem, w złamanych szeregach,  
Arabskie hordy po polu pierzchały,  
A on spokojnie postępował dalej,  
Śród muru włóczni K e r m a ń s k i c h górali? —  
Są to ostatni wiary swej obrońce,  
Lecz umrzeć za nią każdy żąda pała:  
Jakby w ich sercach, jak w ich górach słońce,  
Cześć jego światła najdłużej jaśniała!

H a f e d ich wodzem; — imię to straszliwe,  
Jak złośliwego rym czarnoksiężnika;  
Dość je wymówić — drżą tłumy lękliwe,  
I najmężniejszych zimny dreszcz przenika. —  
H a f e d — o którym Arabowie w nocy  
Tak dziwne wieści prawią przy ogniskach,  
O jego wzroście i nadludzkiej mocy,  
O jego oczu rażących połyskach:  
Że nieraz strażę słuchając z uboczy,  
Z trwogą swój kaptur nasuną na oczy,\*\*)

\*) *Talpot* albo *Talipot*. Piękny ten gatunek palmy, rosnącej w głębi największych lasów, może się policzyć do najwyższych drzew, a gdy rozkwita, wydaje łoskot podobny do wystrzału z działa.

\*\*) Arabowie noszą odzież z kapturem, podobnym do kapturów mnisznych.

By się im H a f e d nie zjawił śród cienia,  
By ognistego nie spotkać spojżenia! —

Bo H a f e d, mówią, nie z ludzkiego rodu:  
Szczep tajemniczej rodziny T a m u r a ,\*)  
Co mu, gdy wojnę prowadził za młodu,  
Gryf S y m u r g z piersi dał zakłęte pióra,  
Które gdy szyszak jego okrywały,  
Miecz go nie ranił, nie dosięgły strzały.  
Te pióra dzisiaj zdobią hełm H a f e d a ,  
A sam Duch Ognia wspiera go przez czary:  
Bo przezeń wierze swojej upaść nie da,  
A chciałby zguby muzułmańskiej wiary.

Taka wieść o nim, którą Arab szerzy,  
I chcąc łżyć wroga, sam swój postrach wzmaga. —  
Lecz on, wódz młody Irańskich rycerzy —  
Talizman jego, jest miecz i odwaga;  
A te tak straszne Muzułmanom czary:  
Miłość ojczyzny, wolności i wiary!

Krew, co w nim płynie z bohaterów dawnych,  
Miła jest ziomkom i czczona w Iranie,  
Nie z długich wieków, lecz z dzieł synów sławnych;  
Jako ta rzeka na górze Libanie,

---

\*) Imię jednego z najdawniejszych królów perskich, którego dziwne przygody i bohaterskie dzieła słyną w poezjach wschodnich. Gryf Symurg, który go sam na pustyni wykarmił, dał mu na ozdobę kilka piór swoich, które go niezwyciężonym czyniły, i przeszły spadkiem do jego następców.

Co stąd jest tylko i świętą i głośną,  
Że święte cedry na jej brzegach rosną\*).

Nie z jego duszą, niktzemnem kolaniem  
Bić przed swym wrogiem, i przed Muzułmanem!  
Nie jemu miejsce w niewolników gronie,  
Co na sam widok turbanu na głowie,  
Blednąc na twarzach pochylają skronie,  
Jak nagłym wichrem pognane sitowie! —  
O! nie! — on uciekł w pustynie — tam woli  
Spotkać tygrysa, niż braci mordercę,  
Gdzieby mu każda łza ich nędznej doli  
Jak kropla ognia spadała na serce!  
Tam — jak kochanek, któremu zaświtał  
Pierwszy wzrok długo czekanej miłości:  
Tak on tam pierwszy blask miecza powitał,  
Gdy w rękę zemsty błysnął dla wolności! —

Lecz próżne męstwo! — próżno kwiat Kermanu,  
Gardząc mnogością Al-Hassana dziczy,  
Jak z chmur zesłany obrońca Iranu,  
Zstąpił z gór zerwać łańcuch niewolniczy!  
Próżno ognisty, jak sam Bóg ich, słońce,  
Zapał w ich sercach dzień zwycięstwa wróżył!  
Przeciw ich jednej, wróg miał strzał tysiące,  
Przeciw jednemu, co tysiąc położył  
Miryadami płynął tłum pohańczy:

---

\*) Rzeka ta, mówi Dandini, stąd tylko zowie się świętą,  
że płynie pomiędzy cedrami które są miane za święte.

Aż po daremnym morza krwi rozlewie,  
Zastęp ich zrzędnił — jak liście na drzewie.  
Gdy po niem chmura przeleci szarańczy. —

Jest niedaleko G o m b a r u n u miasta,  
Wysoka, stroma, przepaściasta góra,  
Wierzech jej skalisty nad morze wyrasta,  
I cięży nad niem, jakby wieczna chmura,  
Jakby wiszące ogniwo, co kończy  
Gór owych łańcuch, co bodąc obłoki,  
Od bram Kaspjskich do Perskiej zatoki,  
Dwa światy dzieli, i dwa morza łączy.  
Skały sterczące w krąg u jej podnóża,  
Zdają się nagie olbrzymy śród morza,  
Postrach i wrogi żeglarzów ciałniny;  
A z jej ostrego, najwyższego szczytu,  
Na tle pogodnym jasnego błękitu,  
Czernią się dawnej świątyni ruiny.  
Nieraz albatros w powietrzu drzemiąca, \*)  
Gdy o ich mury sennem skrzydłem trąca,  
Z krzykiem przestrachu zdumiona się budzi,  
Że i w obłokach są mieszkania ludzi.  
Pod stopą góry, jej wnętrza kamienne,  
Czas pobił w groty i lochy bezdenne,  
Gdzie fale morza z wściekłą wpadłszy mocą,  
Pienią się, ryczą, i wrzeniem bełkocą —  
A taki łoskot wkoło się rozlega.

\*) Ptaki te, podług dawnego mniemania, śpią na powietrzu, i są bardzo pospolite na Przylądku Dobrej Nadziei.

A taka straszna wieść po kraju biega  
O duchach, które tam się dręczą na dnie:  
Że żaden Arab, chociaż w boju śmiały,  
Za skarby świata, skoro mrok zapadnie,  
Nie zbliży łodzi do tej Gwebrow skały. —

Od strony lądu, te na szczycie wieże,  
Co je czas, zda się, jak swój pomnik strzeże;  
Od reszty świata, od ludzkiej napaści,  
Dzieli szeroki rów strasznej przepaści,  
Tak niezgłębionej, tak dzikiej, tak ciemnej,  
Że zda się bramą, skąd piekielne duchy  
Wychodzą na świat z otchłani podziemnej.  
Jako echo gromów, huk się tylko głuchy  
Wznosi z jej głębi: — lecz nie dojrzeć okiem,  
Czy to jest woda, co w łożu głębokiem  
Szumi wezbrana; czy gdzie w łonie ziemi  
Ogień tak huczy z wichry podziemnymi:  
Bo znać, że kiedyś w czasie zapomnianym,  
Cała się góra paliła wulkanem \*).

Lecz choć wiek dawny, gdy z jej wzniosłych szczy-  
Z owych jej świątyń — których same szczęty [tów,  
Cześć budzą jeszcze: — wśród niebios błękitów,  
Wieczny jak słońce, pałał ogień święty;  
Choć go kapłani i wierni czciciele,  
Krwia swą i łzami zaleli w popiele:  
Znowu — o! cudo niepojętej mocy! —

\*) Świątynie Gwebrow były pospolicie budowane w miejscach, gdzie się znajdują ognie podziemne,



Z gruzów tych Iran codzień widzi zdala,  
Jak w dzień słup dymu, a słup ognia w nocy,  
Wzbija się w niebo: — bo któż go zapala?

Tam H a f e d resztę odważnych w Iranie,  
Przed Muzułmanów zemstą uprowadził.

„Witam was — wołał — wy dzikie otchłanie!  
„Choćby w was Eblis tron piekieł osadził,  
„Wy rajem temu, kto w waszym pomroku,  
„Ujdzie niewoli i wroga widoku!“ —  
Rzekł, i po ciasnej, po jedynej drodze,  
Którą znał tylko on i jego wodze,  
Po wąłym moście nad głębią jaskini,  
Przeszedł ją z braćmi, i wszedł do świątyni.

„To miejsce, bracia! jedno nam zostało,  
„Gdzie mogę umrzeć, i zapłakać śmiało.  
„Lecz naszych widzieć wzrok nie będzie wroga,  
„Ani z nich jego urągać pochlebce!  
„Tu mogę umrzeć: — tu zuchwała noga  
„Muzułmanina naszych ciał nie zdepcze!  
„A choć konając obaczym, jak sępy  
„O skały na nas ostrzą dziób swój tępy;  
„Chociaż czuć będziem, jak z nas ząb tygrysa,  
„Albo hyena ciepłą krew wysysa:  
„Cieszyć się będziem wśród samej rozpaczey,  
„Że jej w nas tutaj Arab nie zobaczy“. —

Tak mówił H a f e d — a wtem ogień święty,  
Co na ołtarzu sam przed chwilą wzniecił,

Jakby tajemnym tchem duchów rozdęty,  
Wzmógł się w tej chwili, i twarz mu oświecił.

„Stało się!“ — kończył — co dłoń ludzka może,  
„Myśmy zrobili w obronie Iranu.  
„Lecz gdy sam Iran, w spodlonej pokorze,  
„Chce nieść hołd obcym i bogom, i panu;  
„Jeśli ci nawet — ci, których krew sama  
„Zwaćby powinna w ślady wielkich ojców,  
„Synowie plemion Z a l a i R u s t a m a ,\*)  
„Cześć widzą w pętach bisurmańskich zbójców;  
„Albo — o! hańbo! — gdy Mitry ołtarze  
„Zalały świeżo krwi kapłańskiej rzeki,  
„Oni, bezwstydni, padają na twarze  
„Przed ołtarzami oszukańca z Mekki!...  
„Niech więc przed wrogiem Iran gnie kolano,  
„Do całowania stóp jego niech drze się,  
„Aż więzy jego tak sprośne się staną,  
„Że najpodlejszy ich dłużej nie zniesie.  
„Aż wstyd, na który tak długo nie dbali,  
„Do rdzeni wewnątrz ich dusze przepali;  
„Aż łzy, gdy nawet i płakać zakazą,  
„Połknięte, pierś ich trucizną zarażą...  
„Wtedy — ha! wtedy znajdują się obrońce —  
„Z burzy i z nocy odradza się słońce! —  
„Lecz dziś, o! bracia! zostaliśmy sami,  
„Których dusz podłość, ni zdrada nie plami.

---

\*) Rustam, syn Zala, najslawniejszy bohater perski. Po-  
miedzy Gwebami są jeszcze ich potomkowie.

„Miejsce tych Araba technienie nie skalalo;  
„Tu więc zostanmy! — a choć nas tak mało,  
„Choć nam z ran jeszcze płynie krew gorąca —  
„Dość nam krwi jeszcze na zemstę zostanie!  
„Pójdziem, jak dziki lampart na Libanie,\*)  
„Czyhać na zbrojcow po zachodzie słońca,  
„I na kark z góry wskoczym niespodzianie!  
„A gdy się miecz nasz na ich czaszkach złamie,  
„Gdy już od rzezi omdleje nam ramię,  
„I dalszej pomsty nie znajdziem sposobu:  
„Wtedy, zmuszeni Bogu ją zostawić,  
„Wrócim tu sami do wolnego grobu,  
„Umrzeć za Iran — nie mogąc go zbawić!“ —

Rzekł — wszystkim wodzom lży z oczu wytrysły,  
Wszystkie ich miecze w powietrzu zabłyśły,  
Wszystkie skłonili ku gruzom ołtarza —  
Choć wkoło tylko pustka i zniszczenie,  
Choć sam gruz nawet upadkiem zagraża,  
A ze ścian między rozpadłe kamienie  
Bluszcz tylko zwisa, lub chwast szumi suchy:  
Tu, gdzie najświeższe owoce i kwiaty  
Lud niósł w ofierze, gdy niemi przed laty  
Mag żywił przodków wędrujące duchy; — \*\*)

\*) Lampart czatuje siedząc i czając się na drzewie,  
i z góry skacze na zdobycz. (Russel.)

\*\*) Pomiędzy innymi obrządkami, magowie na wierzchołkach swych świątyń kładli rozliczne owoce i kwiaty, którymi, jak mniemano, karmiły się Perie i dusze zmarłych bohaterów,

Choć teraz pusto — gdzie kapłanów rzędy,  
Świąteczne niegdyś sprawując obrzędy,  
Siały dym wonny z kadzielnicy brzękiem; —  
Choć teraz głucho — gdzie hymnów tysiące  
Witało codzień odrodzone słońce,  
I obraz jego grał cudownym dźwiękiem; — \*)  
Lecz Bóg ich dawnej nie stracił potęgi,  
Jak słuchał ojców, i synów usłyszysz —  
Gdy miecz podniósłszy, w imię towarzyszy,  
Wódz wyrzekł słowo najświętszej przysięgi:  
Że się pomściwszy czci i krzywdy bratniej,  
Tu wróćą umrzeć, i pożegnać słońce. —  
Oni! ostatni ojczyzny obrońce,  
Umrzeć na gruzach świątyni ostatniej!...

O! wielkie dusze! godne łez anioła,  
Łez uwielbienia i żalu, któremi —  
Oni nie wiedzą — że wśród wrogów koła  
Anioł-dziewica płakała nad niemi!  
O! piękna duszo! w której miłość budzi  
Tak tkliwą litość na cierpienia ludzi!

Życie jej dotąd, bez trosk i bez grzechu,  
Naksztalt spokojnej jasnych wód przeźroczy,

---

\*) „Każdego poranku Gwebrowie idą tłumem do świątyni składać cześć wschodzącemu słońcu; na każdym ołtarzu znajdują się poświęcone sfery, zrobione za pomocą czarów, wyobrażające okrąg i twarz słońca. Sfery te, gdy słońce wschodzić zaczyna, rozjaśniają się same przez się, i obracają się wkoło z wielkim łoskotem. Obecni mają wszyscy kadzielnice w rękę, i ofiarują kadzidła“. *Robbi Benjamin*.

Drzemało w niebios błękitnym uśmiechu:  
Aż w nie swój miłość talizman uroczy  
Rzuciła z góry, i wkrąg coraz dalej  
Rozwiodła drżenie poruszonej fali.

Niegdyś, Emirze, twa córka spokojna,  
Choć wkoło wrzały pożoga i wojna,  
Jedna w tym kraju z wesołem obliczem,  
Żyła nie myśląc, nie wiedząc o niczem;  
Jako na polu bitw perska lilia,  
Gdy krew wkoło niej płynie strumieniami,  
Kwiat jej tem bielej ku niebu się wzbija,  
Aż i jej samej kropla krwi nie splami. —  
Niegdyś szczęśliwa, że cię los ocalił,  
Nie czując innej trwogi ni boleści,  
Gdyś się po bitwach z krwi rozlanej chwalił,  
Nie słysząc, dzikich słuchała powieści.  
Sam nieraz myślą dręczony bolesną,  
Lub chodząc szybko w zapaleczywym gniewie,  
Sam nieraz kłąłeś wesołość niewczesną,  
Co się w jej słodkim ozywała śpiewie:  
Jak arfa w jasnej cherubina ręce,  
Której głos w piekle słyszą potępience. —

Dzisiaj! — o! gorzki słodkich uczuć skutek!  
Straszne nieszczęsnej miłości męczeństwo! —  
Jej dusza — płomień; jej spojrzenie — smutek,  
Ach! a myśl o nim — rozpacz i szaleństwo! —  
Słuch jej brzmi dotąd słowami strasznemi:  
„Przez miłość dla mnie, zapłacz nad wszystkiemi!“ —  
I gdy nieszczęsna każdego poranku,

O ległych w bitwie wczorajszej usłyszysz,  
Nie śmiąc, nie mogąc spytać o kochanku,  
Płacze go w każdym z jego towarzyszy.  
Nie ujrzy miecza, ni włóczni błyszczącej,  
By się nie zdało, że krew jego na niej:  
Nie ujrzy strzały w powietrzu lecącej,  
By nie zadrżała, że pierś jego zrani.  
Żadna ją siła na świecie nie skłoni,  
Gdy się jej ojciec uzbraja do bitwy,  
By mu jak dawniej, z cichemi modlitwy,  
Miecz ciężki z własnej podawała dłoni.  
I gdyby nie ta czarnych dusz ślepotą,  
Co jak mgła z bagnisk powstaje nad niemi,  
By się szlachetne uczucia i cnota  
Mogły bezpieczniej ukazać na ziemi:  
Gdyby ta jego nie zaćmiła wzroku,  
Wracając z boju, obaczyłby snadnie,  
Że się w tem dzikim, obłąkanem oku,  
Że się w tej twarzy, co tak drga i bladnie,  
Jakby się śmierci lękała widoku:  
Że się w tych słowach płaczących bezładnie,  
Straszliwa zmiana jej duszy objawia; —  
I zgadłby może — bo i któż nie zgadnie,  
Że taką zmianę miłość tylko sprawia? —

Nie owa miłość, pogodna, młodzieńcza,  
Co technie rozkoszą i weselem bawi;  
Co gdy się wzajem na ziemi zaręcza,  
Ludzie ją chwala, a Bóg błogosławi.  
Nie owa miłość, co od lat dziecinnych

Wzrosła i kwitnie pod rodziców okiem,  
I wszystkich uczuć najśladzszych — rodzinnych,  
Urok, z swym własnym złączyła urokiem; —  
Nie takie, Hildo! są twoje płomienie!  
Żywił ich, rozpacz i wieczne milczenie. —  
Bo twe nadzieje, straszne ci jak grzechy;  
Bo łzy twe, łzami zgryzot, nie pociechy.  
Namiętność twoja, jak skarb źle zebrany,  
Co pod zaklęciem w ziemi zakopany,  
Grobowym ogniem błyszczy tylko w nocy;  
Jak to bożyszcze czarnoksiężkiej mocy,  
Któremu czciciel nim cześć złoży własną,  
Czeka, aż wszyscy prawowierni zasną!

Siedem już nocy okrywało morze,  
Jak łódź jej Gwebra w mgłę dalekiej znikła:  
Lecz ona co noc o tej samej porze,  
Idzie na ganek, gdzie z nim bawić zwykła,  
I we łzach czuwa do świtu, i czeka,  
Czy go jak dawniej nie ujrzy zdaleka. —  
Lecz próżno czeka, próżno się spodziewa,  
I bystrem okiem po przestrzeni wodzi,  
Próżno się modli, i łzami zalewa —  
Niema i niema pożądaney łodzi!  
Gdzie niegdzie tylko między dzikie skały  
Nietoperz mignie, lub krwią ocieżyły  
Sęp załopoce; — gdzie niegdzie wśród ciszy,  
Z głębi puszczyka zabrmi śpiew grobowy,  
W cieniach przepaści błysną oczy sowy, —  
Oto jest wszystko, co widzi i słyszy.



Osmy dzień błysnął; — Al-Hassana czoło  
I oczy radość niezwykłą rozżarza;  
Usta mu nawet śmieją się wesoło. —  
Komuż to jakie nieszczęście zagraża? —  
Bo fal Herkendu iskrzenie się w burzy, \*)  
Kiedy je wichher przewraca aż do dna,  
Nie pewniej zgubę i rozbicia wróży,  
Jak jego uśmiech, albo twarz pogodna!

„Zbudź się, wstań, córko! — Kerna już zabrzmiała, \*\*)”  
„Głos by jej zmarłych obudził z pod ziemi,  
„A ty śpisz jeszcze! — Wstań! byś powitała  
„Dzień, co mię laury okryje nowemi,  
„Dzień, co mię wstawi i zbawi na wieki!  
„Bo nim na niebie świt zabłyśnie nowy,  
„Morze zrumienia krwi pogańskiej rzeki,  
„A na pal wzbite ręce, serca, głowy...  
„Ha! sam tej może pociechy dostąpię,  
„Że miecz, dłoń moja, w krwi się jego skąpie!“ —  
— „W krwi jego!“ — nagłym powtórzyła krzykiem —  
Bo dla niej tylko On jeden na świecie;  
Bo myśleć więcej nie umie o nikim! —  
— „Tak, tak jest, Hildo! — ciesz się, lube dziecko!  
„Mimo skał swoich i jaskiń, tej nocy  
„Bezbożnik Ha fed będzie w mojej mocy! —

---

\*) Morze to podczas burzy iskrzy się jak ogień.

\*\*) Kerna, gatunek trąby. Takich trąb używano w wojsku Tamerlana, których dźwięk, podług opisów, miał być dziwnie przerażający, i tak głośny, że się na kilka mil (angielskich) wkoło rozlegał.



„Dzięki niech będą Prorokowi świętych!  
„W moc go nam daje złota kiesa blaha;  
„Inaczej twierdze i złość tych przeklętych  
„Mogłyby długo urągać z Allaha!..  
„On to — poganin! co moją tu drogę  
„Usłał stosami ciał mych wojowników;  
„On to — syn piekła! co nawet był trwozę  
„Rzucił przez czary wpośród moich szyków!..  
„Ha! dzisiaj dozna, jak głęboko mogę  
„Wpędzić żelazo w serca buntowników,  
„Kiedy mi dobra zdarzy się pogoda,  
„Gdy zemsta natchnie, a Bóg siły doda! —  
„Wielki Proroku! na hełm Al-Mawasza,\*)  
„Co w bitwach zdobył twoją skroń zwyciężką,  
„Klnę się przed tobą: — gdy dziś zemsta nasza,  
„Twych i mych wrogów nasyci się klęską:  
„Za każdą kroplę krwi, co po mej ręce,  
„Co po mym mieczu z ich piersi popłynie,  
„Z min perskich kamień najdroższy poświęcę,  
„Na twych ołtarzach w Mecce i Medynie!... —  
„Nieba! ty mdlejesz! — córko! dziecię moje!..  
„Jak blade usta! jak szkliste spojrzenie! —  
„Nie! nie dla ciebie, widzę, krew i boje!  
„Żyć ci, jak żyłaś, w spokojnym Jemenie! —\*\*)  
„Anibym słabej płci twej nie wystawił,  
„Żebyś się miała trwożyć krwi widokiem,

---

\*) Mahomet miał dwa hełmy, jeden z nich zwał się Al-Mawaszach, co znaczy wieniec albo korona, i zdobył czoło Proroka w sławnej bitwie pod Ohod.

\*\*) Arabia szczęśliwa.

„Gdybym nie myślał, że za każdym krokiem  
„Tryumf mój tylko będzie wzrok twój bawił. —  
„Ja byłem pewny — i na to cię wziąłem —  
„Że Pers pokornem uderzy mi czołem,  
„Że się przed tobą, jak bóstwem pokłoni,  
„Że cię te hołdy ucieszą — a oni! —  
„Bezbożne plemię! — wzięli się do broni! —  
„Lecz się uspokój! — wiatr, co teraz wionie,  
„Chłodząc twe usta spalone i skronie,  
„Wnet żagle twego powrotu rozwinie;  
„I nim krew wrogów, co w nocy popłynie,  
„Skrzepnie na skałach, albo wsiąknie w ziemię,  
„Spoczniesz bezpieczna w rodzinnym haremie!“ —

Groźby Emira nie daremne były. —  
Na świętej górze, gdy oczy Hafeda  
Z dumą ostatnich braci swych liczyły,  
Mógłże on myśleć, że go z nich kto przeda? —  
Lecz ach! był Gweber, co swą duszę zmazał,  
Odstępca braci, ojczyzny, i wiary;  
Gweber, co drogę Arabom pokazał,  
Ów most tajemny nad głębią pieczary,  
Ostatnią twierdzę, i ufność ostatnich  
Obrońców wiary, mścicieli krzywd bratnich!

Śród nich raz walcząc z Arabami śmiało,  
Przemożon liczbą i okryty blizny,  
Został na polu — lecz nie umarł z chwałą;  
Słońce, co jego grób oświecać miało,  
Widzi go jeńcem — i zdrajcą ojczyzny! —

I gdy się bracia, co zdołali wrócić,  
Nad stratą jego nie przestają smucić;  
Albo o jego rozmawiając chwale,  
Nadzieją zemsty wspólne koją żale:  
On żył — i rękę po złoto wyciągał,  
Przedał krew braci, i słońcu urągał.

O! gdzież są słowa na przekłęcie zdrady!  
Co jak zaraza z piekieł wyzioniona,  
Padnie na mężnych odwagę i rady,  
Pomiesza serca, i zemdli ramiona?  
Gdzie godna kara nędznika — zbrodniarza,  
Co kupcząc przyszlę zbawieniem i cnotą,  
Błuźni na stopniach cudzego ołtarza,  
Krew braci swoich przedawszy za złoto? —

O! niech dlań zdrada będzie karą zdrady!  
Niech jej gorzkimi zaprawiony jady,  
Zdrój życia łzami do ust mu się leje!  
Niech sen jak zdrajca odbiegnie od łoża!  
Niech jego radość, pociechy, nadzieje,  
Jako owoce U marłego Morza, \*)  
Łudząc wzrok cheiwy i piersi spragnione,

---

\*) Jezioro Asfalt, znane pod tem imieniem, zawiera w sobie taką ilość soli, i tak szkodliwe wydaje wyziewy, że ani ryby w jego wodzie, ani zwierzęta na brzegach żyć nie mogą; przelatujące nawet nad wodą jego ptaki padają bez życia. Na brzegach jego znajduje się gatunek jabłoni, których owoce świeże i piękne na pozór, wewnątrz są pełne popiołu, jak purchawki.

W ustach się w popiół rozsypią jak one!  
Niechaj się w zbrodni uporem zatwardzi,  
Niech się nim dzieci i rodzice brzydzą,  
Niech go przyjaciel — nie! — sam wróg niech wzgardzi,  
A z nędzy jego najpodlejsi szydzą!  
Niech po pustyniach błądzi bez ochłody,  
Niech przed nim słońce łudzącymi blaski  
Mami go wiecznie morzem świeżej wody,  
A on niech coraz brnie w gorętsze piaski!\*)  
A gdy w rozpaczy końca mąk zażąda,  
I sam się musi dobić ręką wściekłą:  
Spraw, o! Proroku! niech na raj spogląda,  
A sam niech wiecznie — wiecznie cierpi piekło! —

\*) Znane są złudzenia oka na piaszczystych pustyniach, pochodzące ze drżenia przepalonego skwarem powietrza. Najmniejszy wzgórek, drzewo, lub jaki inny przedmiot, przybiera nieraz w oczach podróżnych kształt obszernego miasta, lasu, albo jeziora. Zjawisko to, zdarzające się niekiedy i na morzu, zowie się u naturalistów *Fata Morgana*.

## PIEŚŃ TRZECIA.

---

**D**zień bliski końca: — czarny i ponury  
Blask morskiej wody, choć leży uśpiona,  
Wyżej i niżej nad nią mgły i chmury  
Wiszą jak niebios podarta zasłona:  
A każda tylko lub nawalność wróży,  
Lub zda się szczątkiem przeminionej burzy. —  
Te z nich rozwiane po niebieskich sklepach,  
Jak końskie grzywy od wichru na stepach;  
Te w czarnych kłębach tocząc się nad ziemią,  
Zdają się pysznić, że w nich gromy drzemią;  
I wszędzie tylko widać na przestworzu,  
Tu obłok wstaje, a tam tonie w morzu.  
Rzekłbyś, że burza straszna, niedaleka,  
Chmur już matezyne rozszarpawszy łono,  
Z piorunem jeszcze narodziem czeka,  
Aż się zuchwałość jakiego człowieka  
Odważy puścić na wodę uśpioną.

Na brzegu jeszcze wszystko w martwej ciszy,  
Strasznej — straszniejszej niż huk nawalnicy.

Najstarszy majtek zwołał towarzyszy,  
By mocniej łodzie przywiązać do brzegu;  
Krzyk dziki ptastwa słysząc w okolicy,  
Gdy z morza w stadach, lub długim szeregu,  
Leci, po skałach szukając zachrony.  
W porcie już nieraz sternik doświadczony  
Wstrzymał przybory; i wątpliwem okiem  
Tocząc po niebie w dumaniu głębokiem,  
Na nowy rozkaz zdał się czekać jeszcze.

Tak wszystko było groźne i złowieszcze,  
Jak dola twoja, Arabska dziewico!  
Gdy się z bezpieczną rozstawszy kotwicą,  
Łódź twoja z portu szybkim poszła biegiem. —  
Nikt cię nie żegnał: — ni muzyki dźwięki, \*)  
Ni przyjaciele stojący nad brzegiem,  
Coby ci głosem, lub skinieniem ręki,  
Choć już nie widzisz, ni słyszysz w oddali,  
Jeszcze ostatnie pożegnanie ślali! —  
Nikt cię nie żegnał — nie było nikogo.  
Łódź twa samotna poszła dziką drogą,  
Cicho, jak barka korsarzy w złym celu,  
Przez straszną Bramę-Lez Babel-Mandelu \*\*).

---

\*) Mieszkańcy Wschodu puszczają się zwykle w podróż przy odgłosie muzyki.

\*\*) Nazwisko Bramy-Lez, nadane zostało cieśninie Babel-Mandel, z powodu niebezpiecznej żeglugi, i częstego w niej rozbicia okrętów w tem miejscu. Płynący przez nią uważani byli za zgubionych, tak dalece, że równo z ich odjazdem, kładziono po nich żałobę.

Gdzież był Al-Hassan, ów straszy bicz boży?  
Czyż ni na chwilę innych prac nie złoży,  
By dziecię swoje w drogę błogosławił? —  
Nie! — on samotny, zamknięty w haremie,  
To zwąc Proroka, to klnąc Gwebrów plemię,  
Bliskiej ich rzezi obrazem się bawił:  
Z rozkoszą sępa, gdy w stepach bez końca,  
Przez dzień za błędną goniąc karawaną,  
Zwietrzy, że zaraz po zachodzie słońca  
Świeże z niej trupy na żer mu zostaną \*).  
Podczas gdy jego córka nieszczęśliwa,  
Płacząc od brzegów Iranu odpływa,  
Jako gołąbka śnieżna Babilonu, \*\*)  
Co lecąc z wieścią nowych zwycięstw plonu,  
Choć ją z rąk krwawych zwycięzcy puszczałi,  
Żadna krwi skaza białych piór nie kali.

Lecz czyż nadzieja rodzinnego kraju  
Żadną jej serca pociechę nie darzy? —  
Tam wśród wonnego akacyi gaju,  
Co tyle razy we snach jej się marzy,  
Błądzić znów będzie; — tam, gdy się zatrzyma  
Na łąkach pełnych i róż i lilii,

---

\*) O tym dziwnym instykcie sępów, przeczuwających bliską śmierć ludzi i zwierząt, świadczy wielu podróżnych na Wschodzie. „Ledwo zwierz lub człowiek padnie trupem na polu, natychmiast zjawia się jeden lub kilka sępów, których przedtem nigdzie nie było widać”. *Pennat.*

\*\*) Gołębie babilońskie lub bagdadzkie, sławne są z przenoszenia listów, które się im przywiązują pod skrzydło.

Przyjdą się głaskać z jasnemi oczyma  
Młode gazelki, z dzwonkami na szyi! —  
Tam różnopióre, w napowietrznych klatkach,  
Ptaki ją przyjmą dawnemi piosenki;  
Tam całe w złotych oplecione siatkach  
Rybki na dzwonek przybiegną do ręki!\*)  
Tam znów, gdy zgaśnie dnia światło gorące,  
Będzie samotna w chłodniku z jaśminów,  
Liczy te gwiazdy coraz się mroczące,  
To swój różaniec z pereł i rubinów! —  
Ach! czyż te niegdyś tak miłe uciechy,  
Żadnej dziś sercu nie sprawią pociechy? —  
Nie! — ona smutna, od sług swych zdaleka,  
Siedzi i duma — jak gdyby już w sobie  
Czuła chłód straszny losu, co ją czeka,  
Siedzi i duma — piękna w swej żałobie,  
Jak smutny anioł na świętego grobie.

I niepamiętna na chmury i wały —  
Na Gwebrów tylko ponadbrzeżną górę,  
Której cień właśnie jej żagle mijały,  
Oczy i myśli zwróciła ponure. —  
Dzisiaj tam jeszcze — o! straszny obrazie!  
Z gór strumieniami popłynie krew wrząca,  
I dymić będzie na wrogów żelazie,  
Jako ostatnie kadzidło dla słońca!

---

\*) Żona cesarza Jehan-Guir, bawiła się zwykle karmieniem małych rybek w sadzawkach swego ogrodu. Niektóre z nich, aby nie rosły, kazała oplatać całkiem delikatną siatką, ze złota.



I on tam może!... — „O! strzeż go od zguby,  
„Strzeż go, Allahu!“ — zawoła w rozpacz. —  
„Mój nieznajomy! mój drogi! mój luby!  
„Tyś wróg nasz, Gweber! — lecz co mi to znaczy?  
„Co mi twe imię? — gdy między wszystkimi,  
„Tyś mi najwyższy, najmilszy na ziemi! —  
„Wielki Allahu! gdy to gniew twój wzrusza,  
„Kaź, niech mię zaraz to morze pogrzebie,  
„Wprzód niżli moja obłąkana dusza  
„Zapomni ojca, i wiary, i ciebie! —  
„Ratuj mię, ratuj! — wszak znasz serce moje,  
„Wiesz, jak go kocha; widzisz, jak się boję,  
„Aby dla niego nieba się nie zrzekło:  
„Bo raj bez niego, straszny mi jak piekło!“ —

Tak się modliła padłszy na kolana —  
Wzniesione oczy, i dłoń załamana.  
I choć jej usta, w dzikim uniesieniu,  
Grzeszą rozpaczą; choć z niebem się swarzy: —  
Niebieski promień jaśniej w spojrzeniu,  
Niebieska świętość oddycha z jej twarzy!  
Bo taka dusza — choć zbłądzi w pomroku,  
Jak anioł we mgle, nie zmieni postaci;  
Jak promień słońca, złamany w potoku,  
Choć zboczy z nurtem — jasności nie traci. —

Lecz tak się w myślach głębokich ponurza,  
Że choć się niebo zaćmiło jak nocą,  
Ona nie widzi; — choć gwałtowna burza,  
I przeraźliwy wichur z wściekłą mocą

Ciska okrętem: — nie to jej nie wzrusza.  
Nawet ów hałas tak nagły, tak dziki,  
Co nad jej głową huk gromów zagłusza:  
Te szczęki mieczów stąpania, i krzyki...  
Ona nie słyszy. — A wtem jednym razem,  
Okręt zaskrzypiał, zatrzeszczał tak nagle,  
Jak gdyby pokład, i maszty, i żagle,  
Jęknęły ciężkim przywalone głazem,  
Śród wrzasku majtków, i jęków rozpaczy! —  
Straszliwy łoskot! — Nieba! cóż on znaczy? —  
Nie głos to burzy — choć niebo i morze  
Grzmia jak grom jeden! — „O! przebacz mi, Boże!  
„Przebacz mi!“ — Hilda krzyknęła — i zbladła,  
Jakby szła stanąć przed sędziego tronem,  
Wpół martwych dziewic otoczona gronem,  
Podnosząc ręce, na kolana padła:  
„Allah! twa litość nad nami niech świeci!“ —  
A wtem znów z góry, raz drugi i trzeci  
Skrzyp się powtórzył — zapadły się deski,  
Jakby je piorun roztrzaskał niebieski,  
I pokład runął. — O! straszny widoku!  
Krew, woda, trupy, i ludzie w natłoku,  
Spadają, walczą — ci zemdloną dłonią,  
Jeszcze znać życia i łodzi swej bronią;  
Tamci z okrzykiem: „Za Iran i Boga!“  
Znać już zwycięzcy, zabijają wroga. —

Jakiż stróż-aniół strzegł wtedy jej życia?  
Czyja dłoń nad nią czuwając statecznie,  
Z pośrodku szaleństw rzezi i rozbicia,

Zemdloną, martwą, uniosła bezpiecznie?  
Ona niepomni; — nagle zimno deszczu  
Pierś jej ścisnęło — i blada leżała,  
Śród krwi i ruin, jak lilia biała,  
Zwiądła w wulkanów płomienistym deszczu. —  
Lecz ach! straszliwe obrazy i krzyki,  
Co tkwią w pamięci jak sen jaki dziki!  
Walący pokład — na deskach zachwianych  
Wależące tłumy! — i wyżej u góry,  
Podarte szmaty żagłów krwią zbryzganych  
Miotane wiatrem! — i ciemność i chmury!  
I błyski gromów, i miganie stali,  
I szczeł oręża, i ryk morskiej fali!...  
Rzekłbyś, że cała natura się wściekła,  
A rozdąsanych żywiołów szaleństwo  
Z człowiekiem w gniewie walczy o pierwszeństwo —  
Tak wrzało morze — tak krew ludzka ciekła!

Raz tylko — Allah! — sen-że to niebieski,  
Czy prawda była? — raz jednak się zdało,  
Nim przed oczyma wszystko pociemniało,  
Że nad przepaścią łamiącej się deski,  
Ujrzała postać duszy swej anioła;  
Że wtenczas nawet — miłości złudzenia! —  
We mgłach, śród burzy, nad sceną zniszczenia,  
Świecił pogodnym blaskiem swego czoła,  
Jak w pośród niebios burzliwych obwodu  
Gwiazda Egiptu: co pała tak jasno,  
Nieznana ludziom Białych Wysp Zachodu,\*)

---

\*) Jasny *Kanopus*, niewidzialny w Europie.

Że przy niej drugie jak przy słońcu gasną!

Byłóż to tylko przywidzenie, mara? —

Krzyk skonał w ustach — w oczach jakaś szara

Noc się rozwlekła: mdłość członki owładła —

Nie pomni więcej — bez życia upadła. —

O! jak uroczy jest uśmiech pogody,

Jak luba cisza, gdy szturm już przewionie,

I głośnie wichrów umilkną niezgody:

A rozjaśnione niebiosy i wody

Znów miłe słońce piastują na łonie!

Cała natura, tak piękna, tak świeża,

Zda się w tej chwili na nowo rozwija,

A niebo tęczą łaski i przymierza

Do snu zwaśnione żywioły spowija.

Kwiaty wróconą lubując się ciszą,

Lekko się z wiatrem łagodnym kołyszą,

I świeżej woni balsam tchną w niebiosy.

Na liściach deszczu burzliwego rosa,

Jako ów kamień spadły w nawałnicy,

Tli zda się ogniem gromów błyskawicy\*).

Tysiąc wietrzyków z murawą się pieści,

Tysiąc wietrzyków po liściach szeleści,

A każdy zda się innego stróż ziola,

Jego woń tylko roznosi dokoła.

---

\*) Drogi kamień indyjski, zwany u starożytnych: *Cera-nium*, gdyż jak mniemano, znajdowano go tylko w tych miejscach, gdzie piorun uderzył. Tertulian mówi, że się tak połyskuje z wierzchu, jak gdyby wewnątrz był ogień. Najpodobniej do prawdy że to jest opal.

A całe niebo blaskiem się uśmiecha,  
A cała ziemia wonnością oddycha,  
A całe morze usypia, ucicha —  
Fale się tylko gdzieś niegdzie podnoszą.  
Jak upojone miłości rokoszą  
Piersi kochanki — gdy za lubym wzdycha!

Taka nad światem godzina wesoła  
Świeciła wtenczas — świat w takiej był ciszy:  
Gdy Hilda z mdłości oekniona — dokoła  
Nie, oprócz wody pluskania nie słyszy,  
Co o brzeg łodzi bijąc zamiast wiosła,  
Zlekka ją dalej po głębinie niosła. —

Lecz gdzież jest ona? — patrzy obłąkana —  
Jestże to barka, co ją dzisiaj z rana  
We łzach uniosłszy od perskiego brzegu,  
Szybkie delfiny wyścigała w biegu? —  
Wszystko jej tutaj nowe i nieznane. —  
Gdzież jest jej łożo jedwabiem usłane,  
I nad niem namiot z kaszmirskiej purpury?  
Gdzie są dziewice, co strusiami pióry  
Powinny we śnie ochładzać jej czoło? —  
Gdzie są? — z przestrachem spojrzała wokoło.

Łódź z twardej sosny ciosana po prostu;  
Łożem jej zbite dwie deski pomostu,  
Grubo wojenną nasłane odzieżą.  
Nad głową na krzyż trzy włócznie się jeżą,  
Na nich skórzane pasy rozwieszone,  
Cieniem od słońca służą za zasłonę. —  
Przy sterze tylko, widać, ludzie zbrojni

Odpoczywają leżąc na pokładzie;  
Krwawe ich ręce, ich szaty w nieładzie;  
Smutni na twarzach — lecz wszyscy spokojni,  
Znać że na dzisiaj pracy dokonali. —  
Jedni po cichu prowadząc rozmowy,  
Coraz to ku niej rzuca wzrok surowy;  
Ów marząc patrzy po dalekiej fali;  
Ów dzielący wczasów towarzyszy,  
Klnąc nawpół głośno napowietrznej ciszy,  
Z gniewem na wiosła nieczynne spogląda,  
Jak gdyby użyć ich nie śmiał — choć żąda. —

Nieszczęsna Hildo! niech cię Allah broni! —  
W całym orszaku tych majtków-żołnierzy,  
Nie znać arabskiej broni, ni odzieży,  
Zawojów nawet nie widać na skroni! —  
Cała ich odzież, są żółte kaftany — \*)  
Barwa to Gwebrow! — jak pożarów łuna  
Straszna Arabom; — każdy w nią ubrany,  
Każdy wpół ciała nosi pas skórzany,  
I czarny kołpak z tatarskiego runa. —  
Tak! — drżysz nieszczęsna! — nikt ci wsparcia nie da —  
A to są Gwebry — tyś w mocy H a f e d a ! —

Ach! na to imię nadzieja jej znikła. —  
On, wróg jej wiary, jej ojca, jej rodu!

\*) Oprócz skózanego pasu, będącego charakterystyczną  
cechą Gwebrow, można ich jeszcze rozpoznać po ciemno-żół-  
tym kolorze ich szat, naśladującym ogień. Czapki Persów są  
ze skór owiec tatarskich.

Postrach jej ziomków! — on, co go od młodu  
Tak nienawidzić i bać się nawykła  
Jak syna piekiel: co przez nie nadany  
Wzrostem tak strasznym, spojrzeniem tak srogiem,  
By wszędzie wierne niszczyć Muzułmany,  
Rzucał cień między człowiekiem i Bogiem!...  
Dziś w mocy jego!... — wkoło dzika tłuszcza,  
Co krwi żadnego z brańców nie przepuszcza,  
Cóż krwi jej ojca — krwi ciemężyciela? —

Biada ci Hildo! — Lecz cóż ją ośmiela?  
Jakaż myśl nagle, lotem błyskawicy,  
Pierś jej przenikła i błyszczy w żrenicy —  
Gdy śmiało, bystro tłum dziki przegląda?  
Tak, że najśmielsi nawet wojownicy,  
Spuścili oczy przed wzrokiem dziewicy,  
Jak gdyby zgadli — kogo ujrzyć żąda. —

Próżne żądanie! — niema go! — przepadło  
To tak krzepiące jej duszę widziadło,  
Co błysło tylko, jak ów sen uroczy,  
Co przez dzień łzami zmordowane oczy  
Na chwilę drogą postacią omami:  
Obraz tęczowy, pół w świetle, pół w cieniu,  
Co na tle duszy, w smutku lub uśpieniu,  
Promień miłości maluje przed nami! —

Próżne żądanie! — lecz skoro ujrzano,  
Że ze snu oczy i głowę podniosła,  
Wnet, jakby tylko na znak jej czekano,  
Cała się rzesza rzuciła do wiosła;  
Morze wkrąg białą okryło się pianą,



I wre pod łodzią — lecz gdzież łódź ich niosła? —

Spojrzała Hilda — o! straszne zjawisko!

To skała Gwebrow! — już blisko, już blisko! —

Oni wprost pędzą, gdzie zamiast przystani,

Czerni się paszcza podziemnej otchłani. —

Wzrok się jej zaćmił — zamknęła powieki. —

Niegdyś bezpieczna z okien swego gmachu

W tę stronę spojrzeć nie mogła bez strachu,

Gdzie wieczne wrogi Jemenu i Mekki,

Leżą ukryci po skałach i grotach,

Jak skorpiony w zatrutych swych splotach, —

Cóż teraz? — czyjej zawezwie opieki? —

Z brzegów, słoneczną świecących pogodą,

Pod jasnem niebem, po nad jasną wodą,

Ta jedna tylko przepaścista góra,

Mroczy się ciemna, groźna i ponura:

Nad czołem tylko jeden kłęb obłoku.

Jak krew od słońca czerwono jaśnieje,

Rzekłbys, rozwita chorągiew wyroku

Wskazuje miejsce, gdzie się krew poleje. —

Gdyby Jej myśli nie zmieszala trwoga,

Gdyby spojrzała — w tejby nawet porze

Dziwić się mogła, jak się ludzka noga

Na wierzech tej skały tędy dostać może?

Bo dotąd Arab wie tylko że na nią

Jedna jest droga — przez most nad otchłanią. —

Lecz ach! jej myśli! — gdy nagły pęd wiru

Porwał łódź, skrecił, i niesie bez steru,



Wprost, gdzie z łoskotem piorunów tysiąca,  
Co chwila głośniejsz wro fala hucząca.

„Pospuszczać maszty! pozapalać głównie!  
„Prędko!“ — głos groźny zawołał z pośpiechem. —  
Runęły maszty z przeraźliwym echem,  
Błysnęły światła — a fala gwałtownie  
Zatrząsłszy łodzią i wzniosłszy do góry,  
Pchnęła ją w paszczę otchłani ponurej,  
Czarnej jak brama, przez którą z ohydą,  
Po strasznym sądzie, potępiency idą.

Choć z łodzi świecą głównią i pochodnią,  
Blask ich czerwony nie dosięga dalej,  
Jak pierwsze kręgi na tle czarnej fali,  
Co wro dokoła i pieni się pod nią.  
Płynęli cicho — każdy bez oddechu,  
Jakby oniemiał śród tego chaosu,  
Śród tego mroku — gdzie nawet dźwięk głosu  
Zdaje się mrocznym — i w dzikim skał echu  
Brzmi powtórzony wzdłuż sklepionych ciemnic,  
Jak straszny poszept grobowych tajemnic.

Nagle łódź w biegu wstrzymała się sama —  
Wstecz ją cofnęły fale zapienione:  
Znać niewidoma odparła je tama,  
Że nurt swój w inną obracają stronę:  
I trzeba było naprzec wszystkie wiosła,  
By wód gwałtowność łodzi nie uniosła. —

Lecz co za echo? — Ktoś widać zuchwał  
Z łodzi przez wodę skoczył między skały:

Dźwięki żelaza o głąz zabrzęczały,  
I już do brzegu przykuta łańcuchem,  
Drga łódź bezpieczna konwulsyjnym ruchem.  
I w tejże chwili, jako słup promienny,  
Smugiem od góry błysnął promień dzienny.  
Lecz nim dziewica dojrzała lub zgadła,  
Skąd i którądy ta jasność się wkradła,  
Dłoń czyjąś cudzą uczuła na skroni:  
I wprzód nim krzyknie, wprzód nim się uchroni,  
Oczy jej gęsta zakryła zasłona. —  
O! straszna chwilo! — przecucia ponure!  
Gdy ją wraz z łóżem wzniosłszy na ramiona,  
Ktoś wydał hasło — i poszli pod górę. —

O! blasku dzienny! jasności słoneczna!  
Ileż pociechy, szczęścia w twym promieniu!  
Oglądać codzień, i czuć je we tchnieniu,  
Jest rozkosz życia tak miła, stateczna,  
Że choćby wszystkie nadzieje zmyliły,  
Siedzieć na słońcu, i patrzeć po niebie,  
Człowieku! dość już byłoby dla ciebie,  
Abyś się ciemnej obawiał mogliły!

Tak Hilda, chociaż nie widzi i nie wie  
Gdzie ją prowadzi niebezpieczna droga:  
Ledwie dzień w ciepłym uczuła powiewie,  
Wnet w niej nadzieją rozświtała trwoga,  
Wnet przypomniała kochanka. — i Boga!

Krótką pociecha! bo droga ich znowu  
Spada w głąb zimną mrocznego parowu. —

Tehnie wkoło wilgoć podziemnego zmierzchu,  
Trzeszezą gałęzie, szeleści liść suchy,  
A tu i owdzie, z gór kamiennych wierzchu  
Głaz spadający szerzy łoskot głuchy.  
Echem tem zbudzon lampart wygłodniały,  
Myśli że przemknął kozieł, albo łani,  
I długo słychać, jak ze skał na skały  
Skaeząc, za głazem goni w głąb otehlani.  
I znowu cicho — nim znowu gdzie zdala  
Zabrzmi płaczliwe szeczekanie szakala,  
Albo hyena zawyje ponuro. —  
Szum tylko wody wciąż słychać w głębinie,  
Co gdzieś w przepaściach niedojrzana płynie,  
Jak owa Czarna rzeka, po nad którą  
Stoi Most Śmierci, otoczony chmurą.

Wszystko tu dzikie, okropne — a przecie,  
Choć miejsce straszniejszych nie znaleźć na świecie,  
Ujrzeć je, dla niej byłoby pociechą:  
Zgrozaby sama ulżyła bojaźni.  
Bo cóż wyrówna strachom wyobraźni,  
Rzuconej w ciemność — gdzie takie brzmi echo? —

Zadrżała nagle — czy ją sen znów myli?  
Czy strach obłąkał? — Nie! — słyszy w tej chwili  
Głos cichej, miły, jak arła cheruba:  
„Twój Gweber z tobą! nie bój się, o! luba!” —  
Nie! ona nie śpi — czuje całą sobą  
Ten głos, te słowa: „twój Gweber jest z tobą!” —  
To był głos jego! — dotąd pierś i uszy  
Brzmiały jego echem: — nie! sen jej nie łudził! —

Czyjżby głos inny tak trafił do duszy,  
Takie w jej sercu wzruszenie obudził? —

Ach! prędzej róża najmłodsza wśród krzewu  
Weźmie szmer wiatru za pieśni słowicze,  
Lub na głos ptaka gminniejszego śpiewu  
Rumiane z pączka wychyli oblicze,  
Niżli się miłość, w uniesienia chwili,  
Cudzem westchnieniem lub głosem omyli!


Lecz choć się dusza marzeniem uśmiecha:  
Że on jest przy niej, że on patrzy na nią,  
Że jego tchnieniem i ona oddycha,  
Że ją dłoń jego wstrzyma nad otchłanią:  
Znowu na straszne wspomnienie niewoli  
Nowa jej myśli ogarnęła trwoga. —  
Bo ach! czyż H a f e d okrutny pozwoli,  
By który z Gwebrow śmiał bronić krwi wroga,  
Krwi Al-Hassana? — w czyich dotąd rękach  
Żaden z ich braci jeńcem nie ocalał;  
Co się w ich dzikich rozkoszując mękach,  
Krwią ich kapłanów święte ognie zalał? —  
Cóż gdy dziś jeszcze, jak nocny zabójca,  
Przyjdzie ich wyprzeć z ostatniej ustroni!... —  
Któż ją przed zemstą H a f e d a zasłoni?  
Kto jej kochanka przed zemstą jej ojca? —

„Strzeż go, Allahu! — wszak wszystko w twej mo-  
Modli się w myślach: — o! strzeż go tej nocy! [cy!“ —  
„A jeśli kiedy przed twym tronem, miła  
„Serc grzesznych skrucha i ofiara była —

„Strzeż go tej nocy! — Na grób święty Mekki,  
„Na wszystko święte na ziemi i w niebie,  
„Knę się, przysięgam, że odtąd na wieki  
„Cała się tylko poświęcę dla ciebie!  
„Miłość, myśl o nim, nadzieje, wspomnienia,  
„Wyrwę z mej duszy, jako kwiat zatruty,  
„I żadnej myśli, żadnego westchnienia,  
„Żadnej łzy po nim — oprócz łez pokuty —  
„Żadnej pociechy nie chcę, nie zachowam.  
„A gdy tej jeszcze nie dosyć ofiary —  
„Zeslij mi, Allah! nędze, smutki, kary,  
„Lecz ocal jego! — ja znieść je gotowam.  
„Młodość przepędzę w żalu i pokucie,  
„Na starość pójdę na życie pielgrzymie,  
„Aż grzeszne w sercu wygaśnie uczucie,  
„Aż prócz w modlitwie, nigdy jego imię  
„Z ust mych nie wyjdzie! — bo modlić się muszę,  
„Za tę tak wielką — tę tak jasną duszę!  
„Modlić się będę — aż ją sam z ciemnoty  
„Głos twój ku światłu twej wiary powoła:  
„Aż znów tę gwiazdę obłąkaną cnoty  
„Osadzisz w jasnym wieńcu twego czoła! —  
„Zbaw go dziś tylko — nie dla mnie — dla siebie!  
„A będziem razem sławić imię twoje.  
„Bo ja bez niego nie chcę być w twem niebie —  
„I gdy on zginie — zginiemy oboje!“ —

## PIEŚŃ CZWARTA.

---

 Czyj wzrok nie we łzach, czyja myśl bez chmury,  
Komu żal świata piękności nie mroczy,  
Dziśby go, dzisiaj, ze szczytów tej góry  
U stóp jej obraz zachwycił uroczy!  
Te z niebem w dali zlane wód lazury,  
Zielone brzegi — i na wód przezroczy  
Rozsiane wyspy — wszystko się uśmiecha,  
Wszystko rozkwita, i wonią oddycha!  
Bo to jest jeden z tych cudnych wieczorów,  
Co po dniach burzy kraszą nieba wschodnie,  
Gdy słońce, dziennych dokonawszy torów,  
W promiennym wieńcu tęczowych kolorów,  
Złote zachodu podwoje odmyka:  
I nim w nie wstąpi, spokojnie, łagodnie,  
Lśni ławym blaskiem — jak wzrok pokutnika,  
Gdy wszystkie życia burzliwego winy  
Obmywszy żalem ostatniej godziny,  
Żegna świat okiem przez łzy rozrzewnienia,  
A w niem już świta pierwszy blask zbawienia.

Cisza wokoło; — wiatr, co w takiej sile  
Szumiąc po gajach Kermańskich się dąsał,  
I najdojrzalsze, najśłodsze daktyle  
Na ucztę biednym pielgrzymom otrząsał,\*)  
Umilkł — i ledwo ciche muśnie fale,  
Co się tak mienia w różanej pogodzie,  
Jakby się wszystkie perły i korale,  
Co leżą na dnie, rozplynęły w wodzie.  
A wokoło wyspy, palmami zielone,  
Na tle przejrzystej fali wyglądają,  
Jak na powietrzu czarem zawieszone  
Rajskie te sady, gdzie Perí mieszkają. —

Lecz próżno wszystkie te cuda obrazu  
Przed okiem Hildy błysnęły od razu,  
Skoro zasłonę odjęto z jej czoła: —  
Wzrok jej olśniony nie widzieć nie zdoła.  
I przerażona — jak ci, co na chwilę  
Nagle w swej ciemnej zbudzeni mogile,  
Ujrzą nad sobą iskrzący wzrok obu  
Strasznych aniołów, Zwiedzicieli grobu —\*)  
Z dziką rozpaczą spojrzała dokoła  
Na tłum swych wrogów — by z lic ich i wzroku,

---

\*) W okolicach Kermanu właściciele nie zbierają daktyli, które wiatr z drzewa otrząśnie, lecz zostawiają je dla podróżnych.

\*\*) *Monkir* i *Nadir*, dwaj straszliwi czarni aniołowie, zwani Zwiedzicielami Grobów. Obowiązkiem ich było przestrzegać dopełniania wszelkich przepisów wiary Mahometa, i karać nieposłusznych.

Wyczytać choćby treść swego wyroku —  
I po nad nimi i sobą u góry  
Ujrzała ruin czerniące się mury,  
Mroczone — jak gdyby cieniem swego zmierzchu  
Jasnemu światu urągały z wierzchu. —

Ale napróżno w nadziei i trwodze  
Wygląda za tym, co ją w strasznej drodze  
Pokrzepiał głosem łagodnej słodyczy;  
Próżno! — na nowo zniknął sen zwodniczy,  
Co jak zły anioł żał jej tylko drażni. —  
Dziś jej, dziś jego potrzeba przyjaźni!...

Lecz ach! nieszczęsna! — jakież hałas dziki  
Zabrzmiął, i echem o niebiosą bije? —  
Zdała radosne wzniosły się okrzyki:  
„Nasz wódz! nasz Hafed! niech żyje! niech żyje!“ —  
„Niech żyje!“ — bliższe głosy zawołały. —  
Idzie — krok jego powtarzają skały. —  
Idzie — już blisko... — Nieszczęsna dziewczyna!  
Tehu brak jej w piersiach, ciemno przed oczyma —  
Wnet ją uderzy oczu błyskawica,  
Której najśmielszy Arab nie wytrzyma;  
Wnet nad nią zagrzmi głos dumny i srogi,  
Co gdy się ozwie w szykach Muzułmana,  
Całe się hufce rozpierzchają z trwogi,  
Jak na pustyni kupców karawana,  
Gdy wkoło źródła leżąc w nocnej ciszy,  
Ryk spragnionego tygrysa posłyszeli! —



Bez tehu, bez ruchu, wpół martwa z bojaźni,  
Z oczyma na dół, jako posąg stała:  
Drżąc przed tym wzrokiem — co w jej wyobraźni  
W tej chwili nad nią jak meteor pała;  
Czekając głosu — jak ten, co już słucha  
Rychło nań zagrzmie trąba archaniola,  
I pomnąc grzechy, wie że próżna skrucha,  
Gdy hasło sądu strasznego zawoła!...

Ale on mileczy; — wkoło tylko zcicha  
Brzmiać coraz dalej odchodzących kroki. —  
Poszli — on został; — słychać, jak oddycha.  
Lecz ach! okropność tej ciszy, tej zwłoki!.. —

A wtem! — o! zgrozo! — przybliżył się do niej,  
Ujął jej rękę — i ścisnął w swej dłoni,  
I głos znajomy łagodnie zawołał:  
„Hildo!“ — nie więcej wymówić nie zdołał.  
Lecz ach! to dosyć, dosyć! — z ust dziewicy  
Krzyk nagły wydał resztę tajemnicy.  
I drżąca z trwogi, z podziwu, z radości,  
Raz tylko wzniosła zapłonione skronie,  
Rzuciła tylko jeden wzrok miłości,  
By wnet łzy ukryć na kochanka łonie! —

Onże to, H a f e d? — ów postrach rycerzy,  
On, co jak tygrys krew arabską pije;  
On, co gdy krzyknie, gdy wzrokiem uderzy,  
Głosem osłabi, spojrzeniem zabije:  
On, jej kochanek? — piękny i łagodny,  
Jakim był w chwili pierwszego widzenia,  
Gdy na jej myśli i senne marzenia

Rzucił z swych oczu promień tak pogodny,  
Że mniema, anioł przed nią się objawił,  
I jasność niebios po sobie zostawił?

Są chwile w życiu — i ta jest z nich właśnie —  
Jak zabłysek słońca w zaćmie huraganu,  
Gdy dzień dokoła w chmurach piasku zgaśnie;  
Jak krzak murawy nad głębią wulkanu,  
Co się sam jeden na brzegu zniszczenia,  
Na zgorzeliskach życiem rozzielenia!  
O! takie chwile! — im głębszą ciemnicą  
Przeszłość! i przyszłość, i los je otoczy:  
One tem jaśniej, same w sobie świecą,  
Blask ich tem milej rozwesela oczy! —

On nawet, H a f e d! — choć wszystkie z kolei  
Zgasły mu gwiazdy chwały i nadziei,  
Do zemsty nawet brak sił i sposobów:  
Kochany jego Iran obrócony  
W kraj pogorzelisk, lub pustynię grobów:  
On sam — niezgięty, lecz życiem znużony,  
Z orężem w ręku pory tylko czeka,  
By umrzeć śmiercią wielkiego człowieka: —  
W tej chwili jednak — bez trosk, bez zgryzoty,  
Niepomny losu, co się przed nim mroczy,  
Dzieląc kochanki niewinne pieszczoty,  
Patrząc w kochanki promieniste oczy:  
W których jej miłość, tak szczera, tak tkliwa,  
Co sama ziemię z niebem porównywa,  
Tęczą pociechy we łzach się maluje: —  
Ach! on w tej chwili uczuł i pojmuje,

Jak jest gorącą iskra uniesienia,  
Co w burzy nieszczęść jak meteor pryśnie;  
Jak jest uroczą kropla upojenia,  
Co w łoż puharze jak perła zabłyśnie! —  
Cóż, że z tej iskry może grom wypadnie?  
Cóż, że w puharze jest trucizna na dnie? —

I ona wzajem patrząc w jego oczy,  
Co jak dwie perły w jasnych wód przezroczy,  
Zwolna w jej duszy coraz głębiej toną:  
Patrząc w twarz, wielkiem uczuciem natchnioną:  
Nie pomni trwogi, smutku, i niewoli,  
Lub czuje tylko, jak nędzarz w uśpieniu,  
Gdy się w rozkosznem radując marzeniu,  
Śmieje się przez sen — łkając mimo woli! —

Mroczna ruina, w pośród której stali,  
Wielkim wyłomem patrzy w stronę fali,  
Co jak zwierciadło, jak niebo bez chmury,  
Jasna, błękitna, błyszczy u stóp góry. —  
Tłum drobnych łodzi, co dziś przez dzień cały  
W bezpiecznych portach lub na brzegu stały,  
Buja w zatoce — i choć wiatr nie sprzyja,  
Zmoczone żagle na masztach rozwija.  
Tak orły, dżdżysta gdy już przejdzie chmura,  
Susząc przed słońcem rozciągają pióra. —

Tłumne obłoki — choć już okoienne  
Zdawna zasnęło za Larskimi góry,  
One tak jeszcze ogniste, promienne —  
Że rzekłbyś, dzisiaj sam anioł światłości,

By wynagrodzić światu dzień ponury,  
Odchodząc do snu, z niezwyklej szczodrości —  
Jak młody sultan najmiłszego z gości —  
Przyodział zachód szatą swą purpury!

Terazto spojrzeć kochanków spojrzeniem!  
Pod nimi morze gra cichem westchnieniem,  
Nad nimi niebo goreje płomieniem! —  
Ach! a ich dusza, w zachwyceniu cała,  
Gra jak to morze, jak to niebo pała!...

Szczęśliwa chwilo! — ubiegła zbyt chyża. —  
Zadrżała Hilda — noc coraz się zbliża:  
Coraz to węższa luna na zachodzie,  
Coraz to szerszy krąg cienia na wodzie,  
Coraz obłoki, lśniące barwą jasną,  
Jedne po drugich sinieją i gasną. —  
Bystro po niebie spojrzała wokoło,  
I nagle dłońmi zakrywając czoło:

„To noc już! przebóg! — mój drogi! mój luby!  
„Uchodź stąd, uchodź! — pół chwili nie zwlekaj! —  
„On przyjdzie w nocy — on pragnie twej zguby —  
„On nie przebaczy! — Zguby swej nie czekaj!  
„Uchodź! — O! nieba! słyszysz? — to szczęk broni,  
„To echo kroków! — oni to już, oni! —  
„Uchodź, mój luby! uchodź, póki pora! —  
„Mówił, że w nocy... — choć noc nie nastąpi —  
„Lecz ja znam jego! — wiem, jak zemstą pała —  
„Nie będzie nawet czekał do wieczora!“... —  
I przerażona, bezprzytomna, zbladła,  
Łkając na piersi młodzieńca upadła.

— „Biedna dziewico! — o! któż mi przebaczy  
„Te łzy, tę boleść, ten szal jej rozpaczy? —  
„Jam to odepchnął jej anioła stróża,  
„Jam ją zaplątał w mojem przeznaczeniu! —  
„Srogo mię ściga jakaś pomsta Boża!  
„Każde wnet szczęście gaśnie w mojem cieniu.  
„Los mój, jak powiew z Umarłego-Morza,  
„Kto nim raz westchnął, śmierć połknął we tchnie-  
„O! ja niebaczny! mógłżem się ośmielić, [niu!... —  
„Cień na nią rzucić, los mój z nią podzielić? —  
„Lecz czemuż, czemu na burzliwej wodzie  
„Zbłąkane nasze spotkały się łodzie? —  
„Czemu, przysięgłszy — gdym wśród krwi i tłoku  
„Obaczył z góry twe omdlone wdzięki,  
„I niewidomy stanąwszy przy boku,  
„Odwracał od nich ciosy zbójczej ręki —  
„Czemu, przysięgłszy strzedz się twego wzroku,  
„By próżno wspólnej nie powiększać męki:  
„Słaby nikezemnik! złamałem te śluby,  
„By cię pożegnać nad przepaścią zguby?... —  
„Ale się nie bój! nie drżij, moja droga!  
„Łoskot co słyszysz, jest to szum strumieni.  
„Tu nas nie sięgnie moc żadnego wroga;  
„Tu, na tych skałach, nad światem wzniesieni,  
„Stoim bezpieczni — spokojni, jak w grobie!  
„A choćby ziemia i piekło złączone  
„Przyszły ostatnią wydrzeć nam zachronę:  
„Ty zaśnij śmiało! — ja czuwam przy tobie;  
„Gwiazd tych anioły strzedz cię będą we śnie.  
„A skoro błysną porankowe zorze,

„Powrócisz jutro“... —

— „Nie! — to być nie może!“ —

Krzyknie dziewica. — „Jutro już niewczesnie!

„Ach! ty nie ujrzysz jutra, mój jedyny!

„Lub uchodź zaraz! uchodź tej godziny! —

„Jesteś zdradzony! — Nikczemny niecnota,

„Który w te miejsca znał drogę tajemną —

„Co? ty nie wierzysz? — przez gwiazdy nademną!

„Prawdę ci mówię — zdradził cię dla złota!

„Krew twoję sprzedał zemście Al Hassana! —

„Wierzaj mi, wierzaj! — On sam dzisiaj z rana,

„Sam mi to mówił — i patrzył tak srogo,

„Śmiał się tak dziko, żem drżała z przestachu:

„I tak gwałtownie wkrąg stąpał po gmachu,

„Jakby twe piersi nadeptywał nogą! —

„Ja nie wiedziałam, że on tobie groził,

„Że straszny H a f e d — jesteś ty, mój luby! —

„Lecz strach o ciebie krew mi w sercu zmroził. —

„Sam to Bóg może, nie chcąc twojej zguby —

„Tak! — Bóg mię zesłał dla twojej przestrogi.

„Nie gardź nią! — uchodź! — korzystaj z tej chwili! —

„Zniszcz jeśli można — lub każ strzedz tej drogi! —

„Lecz śpiesz się! śpiesz się! by jej nie przebyli! —

Zimniej niż wieher, co tchem jednym ścina  
Źródła przed chwilą słońcem gorejące,  
Stokroć ach! zdrady braterskiej nowina  
Zimniej przeraża serca ufające!  
On tego doznał. — Jak rażony gromem,  
Z blademi usty, z okiem nieruchomem,

Stał, bez oddechu, nie podnosząc głowy; —  
Rzekłbyś, zakłęty posąg marmurowy,  
Co w skamieniałym Iszmonii grodzie,  
Skamieniał myśląc o strasznej przygodzie\*).

Lecz rychło wnętrza minęła katusza —  
Wzniósł nagle czoło, i spojrział — ze łzami.  
A w tem spojrzeniu wielka jego dusza  
Wszystkimi swymi błysła promieniami! —  
I nigdy nawet w dniach zwycięstw i chwały,  
Lot myśli jego nie szedł tak wysoko,  
Jak gdy w tej chwili, spokojny i śmiały,  
Z dumą ku gwiazdom wniósł iskrzące oko,  
Jakby w nich hasła bliskich bojów witał,  
Lub pożądane przepowiednie czytał!

Przyszła więc, przyszła godzina męczeństwa!  
Ramienia jego Bóg już nie chce dłużej.  
Dni jego dotąd wśród niebezpieczeństwa  
Przeszły i znikły — błyskawicą w burzy;  
Lecz śmierć za wiarę, na laurach zwycięstwa,  
Śmierć, jaką sobie serce jego wróży:  
Ta imię jego w przyszłych lat kolei,  
Rozpali w gwiazdę chwały i nadziei!...  
Góra ta, jego pomnik i grobowiec,  
Stać będzie świętą przed ziomków oczyma;  
I z ziem dalekich nieznany wędrowiec,

---

\*) W podróżyach wschodnich, Perrego, znajduje się opis Iszmonii, miasta skamieniałego w wyższym Egipcie, gdzie jeszcze dają się widzieć skamieniałe postaci mężczyzn i kobiet.



Poeta, rycerz, pod szatą pielgrzyma,  
Przyjdą, na gruzach tych zwalisk usiedą,  
Przywiodą dzieci, i uczyć je będą:  
Jakim był Iran — jak cierpiał, jak słynał!  
Jakim był Hafez — jak walczył, jak zginął!  
I na tej skale, krwią jego oblanej,  
Ukląkwszy razem nagiemi kolany,  
Każą im w obec ojczyzny i Boga.  
Zaprzysiądz zemstę pokoleniu wroga,  
Zaprzysiądz wzgardę wierze Muzułmanów:  
Póki w ich piersiach żywe serce bije,  
Dopóki piętno arabskich kajdanów  
W morzu arabskiej krwi się nie obmyje!... —

Temi myślami wrzał w duszy młodzieniec,  
Tych myśli dumą tchnęły go rysy.  
I nie radośniej na męczeński wieniec  
Spoglądał niegdyś wielki prorok Issy:\*)  
Jak on w tej chwili, spojrzawszy ku niebu,  
Patrzy z uśmiechem: gdzie od morskiej strony,  
Blaskiem z ołtarza na wpół oświecony,  
Lśni stos wysoki — stos jego pogrzebu!  
Z suchych gałęzi i drzew tchnących wonią,  
Sam on go z braćmi własną złożył dłonią,  
Aby gdy chwila przeznaczeń uderzy,  
Gdy już ich zemstę zmoże przemoc wroga,  
Tu z resztą wiernych wierze swej rycerzy,  
Umrzeć na łonie swego Ognia-Boga.

---

\*) Po persku Jezus.



I każdy przysiągł, gdy nadzieja minie,  
Sam się we wspólnej zagrzebać ruinie;  
I dla każdego stos, co go wyzwoli  
Z rąk nieprzyjaciół i z jarzma niewoli,  
Tak jest powabny, święty, — jak to łoże,  
Na którem Prorok ich w latach dziecinnych  
Usnął na stosie — gdy Bóg, stróż niewinnych,  
Płomienie pod nim w kraśne zmienił róże! \*)

Długo nań z trwogą patrzyła dziewica:  
Skąd mu ta w oczach gniewu błyskawica?  
Skąd ten płomienny rumieniec na twarzy? —  
Cóż on układa? co myśli? co marzy?  
Ach! czyliż jeszcze waha się i czeka,  
Gdy czas tak krótki, śmierć tak niedaleka?... —  
„O mój H a f e d z i e!“ — i łzami zalana,  
Mówiąc to, przed nim padła na kolana —  
„O! mój H a f e d z i e! mój drogi, mój luby!  
„Jeśli mię kochasz, jak przysiągłeś nieraz —  
„Błagam jak Boga — teraz tylko, teraz,  
„Chciej mię wysłuchać — nie pragnij swej zguby!  
„Uchodź, uchodźmy! — ratunek w twej mocy.  
„Łódź co nas tutaj przyniosła, wnet może —  
„Daj tylko rozkaz! — pod zasłoną nocy,  
„Unieść nas znowu na szerokie morze.  
„Na wschód, na zachód — byle stąd daleko —

---

\*) Gwebrowie utrzymują, że gdy Abraham, wielki ich Prorok, rzucony został w ogień z rozkazu Nemroda: płomienie zamieniły się w róże, na których on usnął spokojnie.

„Gdzie chcesz, gdzie każesz, pójdę z tobą wszędzie.  
„W burzach, w pustyniach, pod twoją opieką  
„Nie mię nie strwoży, nie smucić nie będzie!  
„Twój wzrok, twój uśmiech — ach! dosyć mi na tem;  
„Cały świat dla mnie będzie rajskim światem!  
„Pójdziem, osiadziem gdzie w kraju nieznanym,  
„Gdzie nie grzech kochać, ani być kochanym;  
„Lub gdy jest grzechem — gdziebyśmy przynamnie  
„Płakać go mogli, klęcząc obok siebie:  
„Ty do Allaha modliłbyś się za mnie,  
„Ja — do jakiego chcesz Boga, za ciebie!“ —

Słowa te z dzikiem rzekłszy obłąkaniem,  
Zwiesiła głowę, i z wstydu płakała.  
Łkając gwałtownie, jakby z każdym łkaniem  
Struna się życia w jej piersiach zrywała.  
Gdy on! — on młody, on kochany tyle! —  
Któż go obwini? — jeśli mu na chwilę  
Zemsta, przysięga, zamiary i chęci,  
Sam Iran — wszystko wypadło z pamięci:  
Gdy najpiękniejszą, najmiłą, w rozpacz  
U nóg swych widzi; — któż mu nie przebaczy?  
Jeśli blask nagły nadziei młodzieńczej  
Duszę mu zalśnił, i jak łukiem tęczy,  
Jasnych dni pasmem w przyszłość jego strzelił —  
Dni najszcześniejszych, gdyby je podzielił  
Z tą, co tak kocha! — gdyby się ośmielił!...

Nie! — lzy gorące, co po licu zbiegły,  
Gdy się ku lubej, chcą ją podnieść, skłonił:  
Łzy tak mu nowe — one go ostrzegły,

Jak mglisty obłok duszę mu przesłonił.  
Zadrżał — i dumnie spojrzawszy dokoła,  
Łzy te niemeżkie otarł z swego czoła.  
Jak ów, co rano wychodząc na boje,  
Ociera z rosy swój oręż i zbroję,  
Co je przyćmiła, lecz splamić nie zdoła.

Lecz choć już słabość minęła niegodna,  
W stłumionym głosie i łzawej źrenicy  
Tchnie jeszcze czułość tak miękka, łagodna:  
Że w sercu tkliwej, strwożonej dziewczicy,  
Na nowo słodka zakwitła otucha,  
Że go jej prośba, jej rada nakłoni;  
I cała w oku, patrzy nań i słucha,  
Gdy dłoń jej wzięwszy, z cicha mówił do niej:

„Tak, moja luba! tak, otrzyj łzy twoje!  
„Wiem ja kraj jeden — nieznany, daleki,  
„Gdzie szczera miłość znajdzie swą nagrodę,  
„Gdzie wolno kochać! — tam ja cię powiodę —  
„Nie płacz! — tam będziemy szczęśliwi oboje,  
„Będziem się wzajem kochali na wieki!“ —

Jeszcze nie zgadła, czy ta słodycz głosu,  
Czy jej te słowa źle czy dobrze wróżą;  
Gdy młodzian szybko zbliżył się do stosu,  
Gdzie zawieszoną widać konchę dużą \*).

---

\*) Koncha zwana *Siiankos*, pospolita w Indyach, w Afryce, i na brzegach Śródziemnego morza. Używano jej zamiast trąby do dawania hasła, gdyż głos jej jest niezmiernie mocny i donośny.

Zdjął ją, i zadał — a dźwięk jej odgłosu  
Zabrzmiął po skałach, jak piorun przed burzą:  
Jak piorun zabrzmiął w towarzyszków uchu. —  
Sam nawet Hafez, blady i bez ruchu,  
Drżał zda się z echem niknącem powoli.  
Straszne to hasło! każdy wie co znaczy —  
Znak umówiony trwogi i rozpacz;  
Znak, że się zbliżył kres ich nędznej doli,  
Że musi umrzeć — kto chce ująć niewoli! —

Konchę tę sami, w lepszej niegdyś chwili,  
Na swym pogrzebnym stosie zawiesili,  
By gdy czas przyjdzie, słyshał Iran cały  
Ostatnie hasło męczeństwa i chwały;  
By dźwięk jej straszny — jeśliby zasnęli —  
Nowych w Iranie obudził mścicieli. —

Przyszli na hasło, z oczyma ku ziemi,  
Przyszli rycerze, kroki powolnemi.  
Jakże ich mało, gdy w okrąg stanęli! —  
Cała to reszta tych synów Iranu,  
Tych sług ojczyzny, tych słońca czcicieli,  
Co tak niedawno na błoniach Kermanu,  
Gdy przy trąb, bębnów, i cymbałów dźwięku,  
Czas na wojennem spędzali igrzysku:  
Goniąc do celu z długą spisą w rękę,  
Czuli nadzieję w jej każdym połysku;  
Lub gdy się z wiatrem puścili w przegony —  
Długie, za końmi wiejące ogony,\*)

---

\*) Największą ozdobą konia w Persyi, jest sześć długich, białych, powiewnych ogonów bawolich (od białych in-

Sami na siodłach schyleni ku ziemi,  
Szaty ich wiatrem rozdęte nad niemi —  
Rzekłbyś, gdy rzędem lecieli po błoniach,  
Że geniusze na skrzydlatych koniach!

Jakże dziś różni! — ich smutek przeraża.  
Jak każdy blady! gdy promień z ołtarza  
Twarz przechodzących z kolei oświecał.  
Jaka posępność w każdego spojrzeniu!  
Gdy święty ogień mijając w milczeniu,  
Każdy w nim swoją pochodnię rozniecał.  
A wszyscy milczą; — wódz jeden układa  
Co czynić mają: — a lepiej niż słowa,  
Każdy mu wzrokiem tylko odpowiada,  
Że cierpieć, walczyć i umrzeć gotowy! —

I była chwila uroczystej ciszy,  
Śród której Hilda, z twarzą zadziwioną,  
Nie oprócz serca uderzeń nie słyszy,  
I patrzy z trwogą na milczące grono. —  
Hafed rzekł słowo; — starsi z towarzyszy  
Wyszli, i łoże okryte zasłoną,  
Liśmi usłane, na znak jego dłoni,  
Niosąc w milczeniu, złożyli koło niej.

Zbliżył się Hafed z smutnemi oczyma,  
Sam ją umieścił na miękkim posłaniu;  
Spojrzał — i patrzy; wziął jej dłoń — i trzyma...  
Ach! to ściśnienie ręki przy rozstaniu!

---

dyjskich bawolów), złączonych z sobą u góry i przymoco-  
wanych z tyłu do siodła.

Ach! ten ostatni wzrok przy pożegnaniu!  
Gdy ten, co żegna, wie, co ono znaczy! —  
Wie — gdy wzrok zmruży, gdy dłoń puści z ręki,  
Znikną wnet przed nim ukochane wdzięki,  
I już ich nigdy, nigdy nie zobaczy! —

Lecz ona nawet z tych pieszczot boleści  
Czerpie nadzieję, dobrą przyszłość wróży.  
Ten długi uścisk, co jej rękę pieści,  
Zda się jej wróżbą wspólnej z nim podróży;  
W milezeniu widzi zbytek rozrzewnienia,  
W spojrzeniu miłość, czułość, zapewnienia —  
Ach! wszystko, wszystko — oprócz rozłączenia! —

„Śpieszmy się! — rzekła — śpieszmy! czas uchodzi!  
„Byśmy przed nocą zdążyli do łodzi.  
„A jutro — jutro, mój luby! o świcie,  
„Z tobą, jak w niebie, na tych wód błękiecie,  
„Będziemy słońce witali promienne,  
„I znów się jutra nadzieją cieszyli!  
„A jeśli wspomnim o dzisiejszej chwili,  
„Wspomnim ją chyba jak marzenie senne,  
„Co straszmem widmem, dobro zapowiada.  
„A ty!“... — Lecz cóż to? — nikt nie odpowiada? —  
Spojrzała wkoło. — Niema go! — O! biedna!  
On ją opuścił! — ach! czyż sama jedna  
Musi iść dalej w drogę swego losu?... —

W tej chwili właśnie niosący ją, znowu  
Schodzą w głąb ciemną mglistego parowu,

Gdzie tak niedawno dźwiękiem jego głosu,  
Mimo ech strasznych, co dokoła brzmiały,  
Wszystkie jej myśli, wszystkie czucia grały:  
Jak na dźwięk arfy Izrafila w raju,\*)  
Brzmiały wszystkie liście Edeńskiego gaju. —  
Lecz teraz, teraz!... — cóż jej łzy pomogą?  
Przed nią noc, zgroza — a przy niej — nikogo!

„O! mój Hafedzie! usłysz prośby moje!  
„Jeśli żyć nie chcesz, jeśli umrzeć wolisz,  
„Czyż mi i tego nawet nie pozwolisz,  
„Abyśmy razem umarli oboje?  
„Ach! pozwól, pozwól! niech z ostatniem tchnieniem  
„Raz jeszcze jeden błogosławię tobie;  
„Niech cię ostatniem pożegnam spojrzeniem,  
„Niech nas w tym samym pochowają grobie! —  
„Ty może myślisz, że się śmierci boję? —  
„Ach! ja — by tylko słyszeć twe wyrazy,  
„By choć raz jeszcze spojrzeć w oczy twoje —  
„Gotowam umrzeć sto tysięcy razy! —  
„Wy też — wy bracia mojego Hafeda!  
„Błagam was, stańcie! — On mię kochał tyle!  
„On mię usłyszy! on mi cierpieć nie da! —  
„Ach! stańcie, stańcie! — Musiał zostać w tyle,  
„Lecz wnet dogoni! — Stańcie choć na chwilę! —  
„O! mój Hafedzie“... — I tak drogę całą,  
Zebrząc litości, woła nieszczęśliwa.  
Imię Hafeda echo powtarzało,

---

\*) Anioł Izrafel, ze wszystkich stworzeń Boskich mający najwdzięczniejszy i najwięcej harmonijny głos.

Lecz próżno, próżno! H a f e d nie przybywa. —  
Biedna dziewico! — nie pójdzie on z tobą!  
Umrzeć wam było, gdyście się żegnali! —  
Teraz tam chyba Bóg was złączy z sobą,  
Boście się tutaj na zawsze rozstali! —

Biedny młodzieńcze! — On te jęki słyszy.  
Rzucił na chwilę grono towarzyszy,  
I sam, ciemności osłoniiony mrokiem,  
Długo szedł za nią, niewidziany od niej;  
I nad wąwozem, z rozognionem okiem,  
Stanął, i patrzy na blaski pochodni,  
Przy których bracia, w milezeniu głębokiem,  
W dół, jak do grobu, kroki pośpiesznemi,  
Unoszą wszystko, co kocha na ziemi! —  
Patrzy — tak smutny, tak blady na licu,  
Jak młody majtek, w nocy, przy księżycu,  
Gdy zwłoki brata, w tej mu właśnie chwili  
Ze łzami drudzy do morza rzucili:  
A on, stojący na moście okrętu,  
Pogląda jeszcze załamawszy dłonie,  
By jeszcze dojrzeć choćby fal zakrętu,  
Gdzie luba postać coraz głębiej tonie —  
A okręt płynie po spokojnej fali. —  
Tak H a f e d patrzył — oni poszli dalej. —

Wtem zadrżał nagle, jak ze snu ockniony. —  
Trąby i kotły, i wściekle okrzyki,  
W poprzek przepaści, od lądowej strony,  
Zabrzmiały razem!... — Co za hałas dziki!



Rzekłbyś ryk piekieł, szyderczy i mściwy,  
Albo że wszystkie i Gole i Diwy, \*)  
Co tam w ciemnościach od wieków się kryły,  
Na hasło wojny z wściekłością zawyły —  
Tak był ten okrzyk głośny i straszliwy.

„Przyszedł więc, przyszedł Muzułman zuchwały!“  
Zawołał Hafed — a gniewem wrzał cały,  
A oczy jego jak ogniem pały. —  
„Teraz to, teraz, wy duchy walecznych,  
„Duchy swobodne w mieszkaniach słonecznych!  
„Patrzcie! jak dusze bratniego płomienia,  
„Do zemsty za was, waszym pójdą torem,  
„Albo w męczeńskim wieńcu przeznaczenia,  
„Polecą z waszym połączyć się chórem!“ —

Rzekł — i jak tygrys do zgłodniałych dzieci,  
Biegł, gdzie czekają bracia zgromadzeni.  
Przybiegł — w ich oczach żywy ogień świeci,  
A miecze naksztalt słonecznych promieni  
Błysły w powietrzu — stoją niewzruszeni.

Wtem znowu — słyszysz! — okrzyk zabrzmiał znowu;  
Głośniej już, bliżej — z tej strony parowu. —  
Stało się! przeszli drogę niestrzeżoną!... —

O! piękny widok! ktoby mógł w tej chwili  
Widzieć to szczupłe wojowników grono:  
Jak z mieczem w górze, z twarzą rozognioną,  
Wkrąg wodza, bystro na niego patrzyli,

---

\*) Gole, Diwy, nazwiska perskie złych duchów.

Jakby pytając: co myśleć powinni,  
Że wróg tak blisko — a oni nieczynni?

Wódz zgadł ich myśli, i sam je podziela. —  
„Cóż to? o! bracia! gdy się wróg ośmiela  
„Nachodzić twierdze, co nas przed nim kryją:  
„My z mieczem w rękę, wobec tych płomieni,  
„Czekać go będziem z nachyloną szyją,  
„I umrzem sami — umrzem niepomszczeni!  
„Jakby nam brakło piersi Muzułmana,  
„Aby w nich nasza szabla zmordowana,  
„Spoczęła wiecznie, jak w pochwie schowana?... —  
„Nie! — wy obrońcy ojczyzny i wiary!  
„Bóg nasz spodłonej nie przyjmie ofiary!  
„Pójdźmy! uderzmy! — niech krwią złane skały  
„Imieniem Gwebrów zabrzmią na świat cały,  
„Aż tron Kalifów drzeć będzie przed echem,  
„Gdy je Behendi powtórzy z uśmiechem!\*) —  
„Za mną, waleczni! — Kto wróci ostatni,  
„Stos go ten święty zbawi od kajdanów.  
„Lecz ten wart chwały, wart zawiści bratniej,  
„Kto śród pobitych legnie Muzułmanów!  
„Za mną, waleczni! —

Wszyscy w jednej chwili,  
W dół z wierzchu góry za nim się rzucili:  
Każdy nadludzką ożywiony siłą,  
Każdego oko jak ogniem się tliło,  
Każdego serce jak w płomieniach biło!...  
Pędzą bez drogi — gdzie z wściekłymi krzyki,

---

\*) Behendi, prawowierny.

W cieniach arabskie gromadzą się szyki,  
I przy pochodni świetle wpół zamglonem,  
Długim się hufcem wiją po dolinie —  
Jak wąż Golkondy, gdy się wzdłuż rozwinie,  
I z gniewu błyska iskrzącym ogonem\*). —

Gwebry bez światła pędzą przez urwiska —  
Znana im droga, i oni tu znani!  
Poznał ich tygrys, wyrzawszy z łożyska —  
Wstał, i znów przyległ — choć wzrok żądzą błyska,  
Wie, że nie trwożni — i niepokonani. —

Przed górą jeszcze jest parów w nizinie,  
Straszny, głęboki — wróg go nie ominie;  
Miejsce przydatne obrońcom, gdzie snadnie  
Przed jednym tysiąc napastników padnie. —  
Zdroje z gór dzienną wzdęte niepogodą,  
Po pas dno jego napełniły wodą;  
Po obu stronach, strome i ponure  
Wznoszą się skały i głazy, przez które  
Ta jedna droga prowadzi na górę. —

Wszereż jej, ostatni z Irańskich mścicieli,  
Na czas przed wrogiem nad głębią stanęli,  
I za głazami czają się bez ruchu,  
Słuchając kroków, co już brzmiały w ich uchu,  
Tak, że nie słyszą, jak skrzydły ciężkimi  
Złowrogie sępy łopocą nad niemi. —

Przyszli — plusk wody wydał rzezi hasło.  
Okrzykiem Gwebrow tysiąc ech zawrzaskło.

---

\*) Wąż ten sławny w powieściach „Tysiąca nocy“ gdy się ruszy, wydaje z siebie elektryczną jasność.

Teraz to, Gwebry! — oto wróg morderca! —  
Czy miecz wasz ostry, czy odważne serca,  
Teraz, niech teraz wasza dłoń dowiedzie! —

Biada hufcowi, co brodził na przedzie! —  
Sto mieczów razem błysnęło z nad brzegu,  
Sto głów od razu upadło w szeregu;  
Na dno skrwawione nie poszły tułowy,  
Gdy już stu innych powitał cios nowy.  
Jedni po drugich, zgrają niezliczoną,  
Tłoczą się, brodzą, padają, i toną. —  
Trwa rzeź — aż w końcu, choć krwi jeszcze łaknie,  
Gronu H a f e d a sił już coraz braknie;  
Aż z dłońmi, z których krew strumieniem ciecze,  
Zwisły ku ziemi zmordowane miecze. —

Drżysz, Al-Hassanie! — Nigdy klęski sroższej  
Nie doznał Arab, głębszej nie czuł blizny;  
Nigdy miecz zemsty, libacyi droższej  
Nie rozlał u stóp skrzywdzonej ojczyzny! —  
Patrz wzdłuż parowu! — przy świetle gasnących  
Smolnych pochodni i główni iskrzących,  
Co z rąk wypadłe, nad zgęszczoną falą  
Pływają wkoło i we krwi się palą; —  
Patrz wzdłuż parowu — jak strasznym obrazem  
Śmierć, mord, pożoga, łączą się tu razem!

Bezgłównie ciała, zdeptane w przechodzie,  
Stosami do dna w krwawej leżą wodzie.  
Tu płynie głowa w płonącym zawoju;  
Ówdzie sam przez się, miecz zgubiony w boju,  
Gdy ciżba trupów rękojeść mu ściska,

Ostrzem się w górę podnosi i błyska.  
A wkoło ranni — ów z szatą w płomieniu  
Od bliskich głów — sam brodząc w strumieniu,  
Niezdolny w ciżbie zaczerpnąć ochłody,  
Kona w męczarniach płomienia i wody;  
Ów bliski brzegu, sam dotąd bez rany,  
Rozpaczłą ręką tonących porwany,  
Napróżno siły dobywszy ostatniej,  
Żywy, wraz z trupem, w krwi topi się bratniej!... —

Ale napróżno sta, tysiące legły —  
Nowe sta, nowe tysiące nadbiegły.  
Jak na pochodnię, gdy w nocy zaświeci,  
Ćma nocna chmurą coraz gęstsza leci,  
Aż samą ginąc, blask światła zamroczy:  
Dzień napędzona przez parów się tłoczy.  
Aż ich trupami zawalon po brzegi,  
Jak mostem nowe podźwiga szeregi;  
Aż po ich głowach, przez krwi własnej strugi  
Po konających, przeszli na brzeg drugi.

Biada wam, Gwebry! — nie ich już nie wstrzyma! —  
Już są wpół góry — już przed ich oczyma  
Święty wasz ołtarz niedaleko pała. —  
Wściekli, doznawszy jak dłoń wasza śmiała,  
Wstydzą się, widząc, jak was garstka mała!  
Biada wam, Gwebry! — Ci rzezią znużeni  
Legli, gdzie stali; ci w krwi swej zbroczeni,  
Błdzi na licu, chwiejący się w kroku,  
Walczą, i giną przy H a f e d a boku. —

On, choć już ręka wznieść miecz ledwo zdolna,

Z twarzą ku wrogom, ustępuje zwolna.  
I jak lew, nagłym J o r d a n u wylewem  
We śnie bezpiecznym z łożyska porwany,  
Ryczy, i w oku wściekłym iskrząc gniewem,  
Z unoszącymi łamie się bałwany; \*)  
Tak on na braci silnym woła głosem.  
Tak gniewny walczy z przemocą i losem!

Lecz dokąd teraz? — Znikł przed okiem dziecizy! —  
Czyż już tak bliskiej nie ujmą zdobyczy? —  
Pod mieczem Gwebrów legł zdrajca przewodni,  
Wiatr zgasił resztę niesionych pochodni;  
Noc, głazy, rowy, i łoża potoków,  
Tamują postęp ścigających kroków.  
Lecz nie śmie stanąć motłoch niewolniczy.  
„Naprzód! i naprzód!“ — sam Al-Hassan krzyczy.  
„Gdzie są brytany? — pospuszczać ze sfory!  
„Niech nam szczekaniem wskażą Gwebrów tory!“ —  
Spełniono rozkaz — zgryja idzie skorzej. —  
Śmierć im niestraszna, bo żyć dla nich gorzej. —  
Złudzeni światłem, co z Gwebrów ogniska,  
Od skał odbite, w inną stronę błyska,  
Zboczyli z drogi — i w cieniach zbłąkani,  
Nie widzą bliskiej, bezdennej otchłani —  
Widzą — już późno! — już wrócić nie mogą!  
Brzeg się piaszczysty załamał pod nogą.

---

\*) W lasach nad Jordanem znajdują się rozmaite gatunki dzikich zwierząt, które nagle wezbrana rzeka często porywa i unosi. To podało Jeremiaszowi myśl tego porównania; „Przyjdzie na was wróg wasz, jako lew niesiony falą Jordanu“.

Próżno się drudzy wstrzymują nad brzegiem:  
Jak szli, spadają — szereg za szeregiem.  
Kto został w tyle, gdy jęki usłyszysz,  
Śpiesząc na pomoc, wepchnął towarzyszy;  
Ledwie głęb ujrzał, już ciżba rosnąca  
Pcha go samego, i w przepaść potracą. —  
Darmo z przestrachem, z wściekłością, z rozpaczą,  
Ci klną, ci jęczą, błagają i płaczą:  
Modły ni kłątwy nikogo nie wzruszą:  
Wepchnęli braci, i sami wpaść muszą! —  
Jedni wprost na dno lecąc bez przeszkody,  
Topią się w nurtach szumiącej tam wody;  
Ci na wpół żywi, na głazach sterczących  
Zawiśli — pastwa dla sępów krążących!  
A jękiem wszystkich brzmi przepaści echo. —

Słyszy je H a f e d, i słucha z pociechą —  
Głos to ostatni sercu jego miły!  
Gdy sam, w ciemnościach, bez tchu i bez siły,  
Na twardej skale leżał krwią okryty.  
Obok towarzysza — miecz krwawy, dobyty.  
Rzekłbyś, spoczywa po trudach zabawy:  
Pokój, pogoda, jaśnieją mu z czoła.  
Wie, że dość zrobił dla zemsty i sławy,  
Sam Iran więcej wymagać nie zdoła!

Jedna myśl tylko, jako promień z góry,  
Lśni w jego duszy przeze mgłę i chmury  
Bliskiego zgonu: — ona to jest, ona!  
Promienna gwiazda w życia jego burzy,  
Jedna, ostatnia, niezem nie przyémiona,  
Co go tu żegna, i blask niebios wróży!...



I nigdy dotąd, nigdy w jego oku  
Obraz jej w takim nie stawał uroku!  
Zda się, że myśli, co miłość ich émiły,  
Zda się, że trwogi, co serce ziębiły,  
Zniknęły wszystkie — i żadnej mgły ziemi,  
I żadnej chmury niema między niemi! —  
Widzi ją, widzi! — taki blask w spojrzeniu,  
Tak nowa piękność jaśnieje z jej lica,  
Jakby ją w niebios oglądał promieniu,  
Co już mu duszę przed zgonem oświeca! —

Wtem głos się ozwał. — Ha! któż się ośmiela?... —  
Głos to jest Gwebra, brata, przyjaciela,  
Co sam z H a f e d e m ocalał tej nocy. —  
„Zbierz siły, wodzu! — czyż w Arabów mocy  
„Umrzeć tu mamy? tu, gdy już tak blisko  
„Stos nasz gotowy i święte ognisko?“ —  
Ten głos ostatek życia w nim rozżarzył.  
„Co? wrógby jeszcze aż tu się odważył  
Zdeptać nas martwych, lub więzy narzucić?“ —  
Myśl go ta z martwych zdolnaby ocucić.  
„Pójdźmy!“ — Wstał z ziemi, i drżącym ramieniem —  
Wspierając brata, choć sam słaby niemniej,  
Poszli pod górę. Za każdym stąpieniem,  
Twarz coraz bledsza, w oczach coraz ciemniej —  
Boże Iranu! zbaw ich mocą twoją.  
Zbaw przed zniewagą! — śmierci się nie boją.

Śladem za nimi zdrój sączy się krwawy,  
Krwia ich jak rosą oblały się trawy.



Miecz twój, Hafedzie! — ha! i on ci skłamał —  
Pod wspartą dłonią na skale się złamał! —  
Idą — wrzask z dołu powiększył ich trwogę —  
Wrzask to tryumfu — wróg trafił na drogę!  
Coraz to głośniej brzmia wodzów rozkazy,  
Coraz to bliżej stał szczeka o głazy,  
I psów przeciągle rozległo się wycie. —  
Śpieszcie się, Gwebry! lub ujść nie zdażycie!  
Śpieszcie! krok jeszcze!... — Już są, dzięki niebu!  
Już są na górze! — widzą stos pogrzebu,  
Widzą świątynię, i blask swego Boga. —  
Lecz nim go doszli — towarzysz Hafeda  
Upadł zemdlony, i skonał u proga. —  
„Czyż razem nawet los nam umrzeć nie da? —  
Zawołał Hafed — „Maż tu pierś twą drogą  
„Wróg z urąganiem hardą zdeptać nogą,  
„Lub ją nیکczemnik obrażać żelazem? —  
„Nie! mężny bracie! — Bóg nas przyjmie razem! —  
„Klnę się na ogień, co przedemną błyska!“ —  
Tak rzekł — i z mocą, co nie z tego świata  
Być się już zdała, podniósł zwłoki brata,  
I na swych rękach niósł je do ogniska.  
Złożył na stosie — zdjął z ołtarza głównię,  
I stos podpalił — a płomień gwałtownie  
Buchnął wkrąg luną po morzu i niebie. —  
„Boże światłości! powracam do Ciebie!“  
Zawołał Hafed — i z dumnym uśmiechem,  
Sam na wierzch stosu rzucił się z pośpiechem;  
I wysilony, gdy celu dokonał,  
Wprzód nim go ognie ogarnęły — skonał!

A w tejże chwili — co za krzyk od morza  
Rozdarł powietrze? — Ach! krzyk ten pochodzi  
Z tej — snąć rzuconej bez wiosła i stróża,  
Na tle fal czarnych bielącej się łodzi,  
Gdy na nią z góry padła jasność stosu. —  
I znowu cicho — lecz dźwięk tego głosu!...

Łódź to jest — czemuż tak w drodze spóźniona,  
Tak bliska dotąd? — łódź biednej dziewicy,  
Zwierzona straży wybranego grona  
Sędziwych Gwebrów. — Dzielni wojownicy  
W latach za młodu; lecz wiek sił ich zbawił.  
Wiedział to Hafed, i w drogę wyprawił  
Nie powierzwszy strasznej tajemnicy.  
Myślał, że emir, gdy córkę zobaczy,  
Gdy się w nim serce ojcowskie rozrzewni,  
Nieprzyjaciołom w jej stróżach przebaczy,  
I szczerze starość spokojną zapewni. —

Tak nieświadomi arabskiej napaści,  
Chlubni z opieki, co im wódz ich zwierzył,  
Ledwie na morze łódź wyszła z przepaści,  
Gdy wrzask wojenny ich uszy uderzył.  
Złekli, zdumiali, z podjętymi wiosły,  
Wstrzymując oddech, ku górze słuchali;  
Niepomni łodzi, jak ją nurty niosły,  
Z lekka wzdłuż brzegu kołysząc na fali.  
Każdy sam w sobie, blady i ponury,  
Nie trwożąc braci, w złych domysłach tonął;  
A wszyscy patrzą, gdzie na wierzchu góry  
Spokojnie jeszcze święty ogień płonął. —

Lecz ty, o! Hildo! — próżno się wysili  
Najokropniejszy pędzel wyobraźni,  
By wydać w tobie uczucia tej chwili,  
Śmiertelne męki żalu i bojaźni!...  
Kto sam ich doznał, tenby ból ich wiedział,  
Lecz nikt nie przeżył, by drugim powiedział!

Nie jest to tylko ów stan smutnej duszy,  
Gdy ją los złamie, a cierpienie skruszy;  
Gdy, choć nie więcej do straty już nie ma,  
Trwoga o wszystko jak w pętach ją trzyma;  
Gdy, choć nadzieja umarła w jej łonie.  
Cień jej, jak widmo, jeszcze w myślach wionie: —  
Nie! — Można traciąc szczęście i nadzieję  
Nie umrzeć jeszcze, i przeżyć swe żale:  
Jak ów płaz w zimnej zasklepiony skale,  
Żyje, choć wszystko wkoło skamienieje.  
Lecz się w tem życiu pokój, cisza mieści,  
Straszna, grobowa — lecz szczęściemby była,  
W tej ostrej, gorzkiej, płomiennej boleści,  
Co się w jej skroniach, w jej piersiach paliła,  
W tych, jakby mękach tortur i konania,  
W tych dzikich, strasznych widmach obłąkania,  
Na których ulgę nie znaleźć sposobu,  
Nie znaleźć miejsca — prócz śmierci i grobu!

Morze spokojne — pod łodzią dokoła  
Błyskają gwiazdy — noc cicha, wesoła!  
Był czas, dziewico! gdy innej pociechy,  
Innej zabawy nie było ci trzeba,

Jak w takich nocach liczyć gwiazd uśmiechy,  
Gdy się po morzu rozsypały z nieba.  
Jak w takich nocach, w samotnej ustroni,  
Gubić się myślą w nadziei błękicie.  
I tchnąc balsamem świeżej, nocnej woni.  
Jak kwiat w swych piersiach czuć kwitnące życie,  
Czuć własne serce lśniące gwiazdy blaskiem! —  
Lecz dziś!... —

Wtem znowu przeraźliwym wrzaskiem  
Zabrzmiało echo. — Gwembry się porwali,  
Aż łódź w spienionej zaryła się fali —  
Błysnęli mieczem... — Ach! próżne nadzieje! —  
Nie czas już, nie czas na powrót wam płynąć!  
Włóżcie miecz w pochwę, niech wiecznie rdzewieje! —  
Ten, co tam bez was śmierć i postrach sieje,  
Wódz wasz, przyjaciel — bez was musi ginąć!

Próżno ze wzrokiem wzniesionym ku górze,  
Chcecie odgadnąć, skąd ten wrzask? co znaczy  
To hasło wojny? — w tem miejscu? — w tej porze? —  
Ona wie tylko — ona, co w rozpacz,  
Jak posąg z głazu, załamawszy dłonie,  
O maszt zroszony blade wsparła skronie,  
I w obłąkaniu patrzy ku ruinie —  
Ona wie tylko — ale, umrze raczej,  
Niż wyrzec zdoła — przez kogo on ginie! —

Patrz! światło błysło w ruinach na wierzchu!  
Wznosi się w górę — postępuje w zmierzchu —  
Patrząją wszyscy — lecz ach! wzrok dziewczycy!  
Całe się życie pali w tej źrenicy!...

Niedługa chwila — stos stanął w płomieniu,  
I wkrąg po morzu i niebios sklepieniu,  
Krwawa, posępna jasność łuny padła.  
I coraz dalej szerzy się i błyska —  
Gdy do wietrznego podobien widziadła,  
Ha f e d, stojący przed blaskiem ogniska,  
Ciemny, wysoki, wydawał się z dołu  
Jak duch płomieni śród swego żywiołu.

„To on!“ — dziewczica z rozpaczą wykrzykła —  
Lecz nim głos zabrzmiał — już pierzchno widzenie.  
Wyżej ku niebu wybuchły płomienie,  
Jej i Iranu — nadzieja już znikła!

Jeden krzyk tylko wyrwał się z jej łona,  
I w stos wlepiwszy nieruchme oko,  
Skoczyła w morze — i wznosząc ramiona,  
Patrząc nań, tonie — głęboko, głęboko! —  
Gdzie już jej ludzkie oko nie zobaczy,  
Gdzie już nie dozna żalu ni rozpacz! —

„Spoczywaj, spoczywaj, arabska dziewico!“

(Tak Peri pod morzem nucila): \*)

„Najczystsze się perły w swych konechach nie świecą,  
„Jak dusza twa w tobie świeciła!

„Kwitnęło twe serce jak lilia biała,

„Nim miłość je ogniem przenikła;

---

\*) Peri, duchy dobre; stopniem niższe od aniołów, ale równej piękności. Mieszkają na powietrzu i w wodzie, gdzie im się podoba; w zaczarowanych ogrodach lub kryształowych pałacach: żyją wonią kwiatów i rosą.

„Jak Samun po lutni, w twych piersiach powiała,\*)  
„I życia muzyka zanikła! —

„Lecz nieraz w arabskich dolinach i górach,  
„Kochankom przypomną poeci,  
„O tej, co śród pereł spi w morskich lazurach,  
„Gdzie nie prócz gwiazd morskich nie świeci\*\*).

„Gdy w zbiory daktyli, szczęśliwi, weseli,\*\*\*)  
„Zgromadzą się młodzi i starzy:  
„Usłyszą twe dzieje — i co się śmiać mieli,  
„Rozejdą się z łzami na twarzy.

„Pasterka-dziewica, na tańce, w dzień święta,  
„W kwiat strojąc warkocze trefione,  
„Przypomni o tobie — i żalem przejęta,  
„Kwiat płacząc odrzuci na stronę.

„I Iran cię w swojej uwieczni boleści,  
„I obraz twój piękny, uroczy,  
„Przy boku swojego rycerza pomieści,  
„I blaskiem swej chwały otoczy.

\*\*\*) Samun, wiatr południowy, tak rozstraja struny narzędzi muzycznych, że dopóki wieje, żadnego dźwięku wydać nie są zdolne.

\*\*\*), Największą osobliwością zatoki perskiej, jest ryba zwana Gwiazdą Morską. Kształt jej jest okrągły; a w noce tak jest błyszcząca, że się wydaje jak księżyc w pełni, otoczony promieniami.

\*\*\*)) Zbiór daktyli w Persyi, odbywa się z równą wesołością i uroczystościami, jak w niektórych krajach Europy winobranie.

„Spoczywaj! my Peri stać będziemy wkrąg łoża,  
„Morskimi je kwiaty okryjem;  
„Z najdroższych kamieni, co błyszczą w dnie morza,  
„Gwiazdzisty ci wieniec uwijem.

„Z konch, w których my same, w błękitach głębiny,  
„Przy świetle księżycy nocujem,  
„W najtkliwsze łzy ptaków, w najczystsze bursztyny\*)  
„Ozdobną ci grootę zbudujem.

„Przyniesiem najżywsze gałęzie koralu,  
„I gajem zasadzim nad tobą;  
„Żwir Złotej - Zatoki, co w iskrach się pali,  
„Jak gwiazdy rozsypiem nad tobą.

„Spoczywaj! niech łzami niebieskiej litości,  
„Mogilę tych zroszą anieli,  
„Co jak ty kochając, umarli z miłości,  
„Co jako on walcząc, zginęli! —

---

\*) Niektórzy naturaliści byli niegdyś tego zdania, że bursztyn jest skamieniałością łez ptaków.

# PERI I RAJ


POWIEŚĆ WSCHODNIA

TOMASZA MOORA.





## I.

 progu niebios gwiazdzistych podwoi,  
Wynanka Peri, zasmucona stoi\*).

I kiedy słyszy, jak zdroje żywota  
Rajskimi dźwięki harmonijnie brzęczą:  
I kiedy widzi, jak ich jasność złota  
Z bram na jej skrzydłach promieni się tęczą:  
Płacze dumając, że jej ród zuchwały  
Stracił dziedzictwo wiekuistej chwały.

„Szczęśliwi duchowie! co w wiecznych swobodach,

„Po gwiazdach niebieskich, po rajskich ogrodach,

„Bujają skrzydłami jasnemi!

„I ja mam ogrody na ziemi i w morzu,

„Mam sady wiszące w powietrzu przestworzu —

„Lecz możnaż je równać z rajskimi?

„Przeczysta jest woda jeziora Kaszmiru,

„I rzeki mu niosą dań złota, nie żwiru,

„I piękny cień wysp Sing-su-haju\*\*).

„Tam żyję ich wonią; tam w skwarność upału,

„Oddycham w ich głębiach, w pałacach z kryształu —

„Lecz cóż to jest wszystko przy rajcu?

---

\*) Peri, w mitologii wschodniej patrz str. 340.

\*\*) W Tybecie.

„Leć z gwiazdy do gwiazdy, od słońca do słońca,  
„W otchłani beze dna, w przestrzeni bez końca,  
„Gdzie krążą na wiecznych zawiesiech:  
„Zbierz wszystkie ich wszystkich rozkosze, radości,  
„I pomnóż przez wieki, przez lata wieczności —  
„Cóż one przy chwilce w niebiesiech?“ —

Tak gdy nucila, płacząc tem boleśniej,  
Anioł, stróż Raju, dosłyszał jej pieśni;  
I łza litości, w promienistym oku  
Błysła, jak kropla rajskiego potoku  
W kielichu kwiatów, co barwą błękitną,  
Mówią bramini — w raju tylko kwitną\*).  
„Duchu, cierpiący nie za swoje grzechy!  
Rzekł — „nie rozpaczaj, przyjm promień pociechy!  
„Jest jeszcze jedna nadzieja dla ciebie.  
„W księdze wyroków napisano stoi:  
„*Peri, co złoży u niebios podwoi*  
„*Dar godny nieba — może zostać w niebie*“. —  
„Leć więc i szukaj! — Nam, synom zbawienia,  
„Miło otwierać bramę przebaczenia“. —

Jak kometa ogniem tchnąca,  
W płomienisty uścisk słońca:  
Jak gwiazdziste owe groty,  
Co gdy sprośny duch ciemnoty  
Chce ku niebu wkraść się zbliżka,

---

\*) Błękitny kwiat *Champaka*, tak zwany w języku bra-minów, podług ich podań kwitnie tylko w raju.

Archanielska dłoń nań ciska:\*)  
Peri na dół spada z góry.  
I promienna zórz szkarłatem,  
Co wschód barwią tłem purpury:  
Błyszczącemi jak śnieg pióry,  
Ulatuje ponad światem.

Lecz gdzież się zwróci, by iść szukać daru  
Godnego niebios? — „O wiem ja — zawoła —  
„Wiem skarby w lochach ruin Czilminaru,\*\*)  
„Których znieść blasku żrenica nie zdoła.  
„Wiem, gdzie w bezdennych głębokościach fali  
„Są góry pereł i lasy koralu;  
„Gdzie w straży gnomów, pod ziemią ukryty,  
„Króla Dżamszyda puhar gwiazdolity,  
„Co zdrojem życia nad brzegi się pieni;\*\*\*) —  
„Ale dla niebios ofiara to błaha!  
„Cóż jest blask złota i drogich kamieni,  
„Przy gwiazdach u stóp stolicy Allaha?  
„A krople życia! — o! nicość nicości,  
„Przy oceanie niebieskiej wieczności!“ —

---

\*) Muzułmanie mniemają, iż spadające gwiazdy, są to ogniste pociski, którymi aniołowie odpędzają złe duchy, gdy się z nich który z przepaści ku niebu przybliżyć ośmieli.

\*\*) Tak Persowie nazywają miasto Persepolis. Według ich podań, był tam pałac zbudowany przez geniuszów, dla ukrycia w podziemnych jego lochach nadzwyczajnych skarbów, które tam się dotąd znajdują.

\*\*\*) Cudowny ten puhar, napełniony „żywiącą i gojącą wodą“, ma się także znajdować w ruinach Persepolis.

I gdy tak duma, a skrzydła jej płyną,  
 Ponad indyjską ulata krainą.  
 Gdzie cała ziemia, jest kwiat i zieloność,  
 Całe powietrze, jest jasność i wonność;  
 Gdzie morze razem, w przeźrocach swej fali,  
 Odbija błękit i dno swe z koralu;  
 Gdzie nakształt dziewic ubranych na gody,  
 Rzeki lśnią złotem przez rąbek swej wody;  
 Gdzie w górach, ogniem słonecznem dojęty,  
 Głaz się w gwiazdziste topi dyamenty;  
 A wonne lasy, wiecznym tchnące majem,  
 Sameby mogły być Perii rajem;  
 Tam ona w myślach posępnych ulata.  
 Żądza ku niebu, i niedola świata,  
 Tęskność i litość budzą w niej zarazem.  
 Bo kraj ten dzisiaj nie raju obrazem!  
 Wojna go niszczy: — krwi ludzkiej rozcieki  
 Zafarbowwały strumienie i rzeki,  
 Dym pogorzelisk zaćmił blask pogody.  
 O! kraju słońca! jakiż wróg zawzięty,  
 Kruszy twe bóstwa, obala pagody,\*)  
 Pomiaata twymi ludy i książęty?  
 To on, wódz z Gazny!\*\*) — nie syt krwi rozlewu,  
 Gdzie szedł, w jej morzu pływa kraj zniszczony;

\*) Świątynie indyjskie.

\*\*) Mahmud, sułtan Gazny, albo Ghisni, który spustoszył i podbił Indye na początku XI wieku. Psiarnia jego, którą prowadził za sobą, składała się z 400 ogarów, które, na urągowisko, kazał ubierać w klejnoty zdarte z bożyszcz indyjskich. Każdy z tych psów miał obrożę złotą, sadzoną dyamentami, i kapę do okrycia, naszywaną perłami.

Gdzie cisnął okiem, w ogniach jego gniewu  
Stopniały złote mocarzów korony.  
Tyran, a niebios prorokiem się mieni.  
I jako szatan uraga z niedoli!  
Psiarnie swe stroi w blask drogich kamieni,  
Zerwanych z piersi cór księżąt i króli.  
Morduje dzieci, dziewice znieważa,  
Kapłany rzeże u stopni ołtarza,  
I gruzem świątyń, runących w pożodze.  
Zdroje wód świętych zatrzymuje w drodze. —

Peri spogląda — i tuż niedaleko  
Od pola bitwy, po nad świętą rzeką.  
Widzi młodzieńca: — sam, nieustraszony.  
Stoi w émie wrogów; — w ręku miecz skruszony,  
I tylko strzała ostatnia w kołczanie.  
„Żyj! — woła Mahmud — „żyj, dzielny młodzianie!  
„Żyj! — i przyjm moją przyjaźń i opiekę!“  
Milcząc młodzieniec podniósł nań powiekę,  
Milcząc ukazał na skrwawioną rzekę,  
I za odpowiedź, ostatnią z kołczana  
Strzałę z cięciwy puścił na tyrana.  
Niestety! próżno! — grot cel swój ominął —  
Łupieżca żyje — a bohater zginął!

Peri dostrzegła, gdzie upadł w drzew cieniu;  
I gdy wróg dalej poniósł broń niszczącą.  
Zbiegła na rannym jutrzeńki promieniu,  
I od jej blasku jak rubin błyszczącą.  
Ostatnią kroplę krwi zebrała z rany,  
Krwii za ojczyznę i wiarę przelanej! —

„O! gdzież mi — zawoła — gdzie inszej ofiary,  
„Czyż świętszej gdzie szukać potrzeba?  
„Krew mężna, przelana dla kraju i wiary,  
„Lub będzie najmilszą dla nieba,  
„Lub niema mej męce ni granic, ni końca!“ —  
To rzekła, i całą radością świecąca,  
Wbiegła na niebo — po promieniach słońca.

„Droga“ — rzekł anioł, w dłoń swą promienistą  
Biorąc dar Peri: — „droga krew męczeńska,  
„Krew poświęcona za ziemię ojczystą!  
„Ale, niestety! patrz! brama Edeńska  
„Trwa nieruchoma. — Droższych darów trzeba.  
„Niż ta krew nawet, by ci wejść do nieba!

## II.

Tak, gdy ją pierwsza nadzieja zawiodła,  
Peri znów na dół pospieszyni pióry  
Spada, i między Księżycowe Góry, \*)  
W ziemi afryckiej, buja ponad źródła  
Rzeki Nilowej: — której ród tajemny  
Kryje się w puszczy i przepaści ciemnej,  
Gdzie tylko możne geniusze wody  
Weselne swoje wiążąc korowody,  
Cieszą się, patrząc modremi oczyma,  
Na wzrost rzek ziemskich króla i olbrzyma.

\*) *Montes Lunae*, w starożytności. U stóp ich mają być źródła Nilu, zwanego u Abissyńczyków *Abby* albo *Alawy*, co znaczy olbrzym.

Stąd ponad bujne Egiptu oazy,  
 Bezdenne groty i podniebne głązy,\*)  
 Peri wzdłuż Nilu po powietrzu płynię.  
 I to w rozkosznej Rozetty dolinie,\*\*)  
 Słucha turkawek gruchających chórem;  
 To ponad modrem Merisu jeziorem,\*\*\*)  
 Zwieszona, z góry przygląda się rada,  
 Jak białoskrzydłych pelikanów stada,  
 W miesięcznem świetle i mgle przeżroczystej.  
 Lśnią się jak gwiazdy na fali gwiazdzistej.  
 Czarowny widok! — cudniejszej krainy,  
 Śmiertelna nigdzie nie ujrzy żrenica! —  
 Lecz któżby, widząc te żyzne równiny,  
 Których plon dziwi, a piękność zachwyca:  
 Te hoże palmy, rok cały wiosenne,  
 Co gnąc z owocem swe kształty powabne,  
 Chwieją się z lekka, jak dziewice senne,  
 Gdy idą spocząć na łoża jedwabne;\*\*\*\*)  
 Te róże, z barwą i krasą jutrzeńki,  
 Co jak sułtanki w tajnikach haremu,  
 Stroją się nocą w coraz nowe wdzięki,

\*) O niezliczonych pomnikach i grotach, w górach Wyższego Egiptu, pokrytych całkiem hieroglificznymi napisami, mówi obszernie między innymi podróżnikami, p. Perry, w dziele swoim *View of the Levant*.

\*\*\*) Gaje w dolinach Rozetty, napełnione są turkawkami. — *Sonnini*.

\*\*\*\*) Savary wspomina o pelikanach na jeziorze Moeris.

\*\*\*\*\*) Wspaniała palma, „której szczyt schyla się z lekka, iak czoło pięknej dziewczicy, kiedy ją sen morzyć zaczyna“. — *Dafurd el Hadad*.



I w tejże chwili, z okolnych meczetów,  
Rozległ się w dali okrzyk muezzina.  
Porwał się chłopiec, i w kornej postawie  
Padł na kolana na wonnej murawie,  
I wznosząc w górę i oczy i ręce,  
Odmawiał ciche modlitwy dziecięce.  
Rzekłbyś, że małe anielskie pacholę,  
Upadło z nieba, i na tym padole  
Tęskniąc bez skrzydeł, w proszącej postaci  
Wyciąga ręce do starszych swych braci.

O! był to widok! — ta pora! to dziecię!  
Ten blask zachodu na niebios błękicie!  
Widząc go Eblis — samby w sercu swoim  
Czuł żal za rajem i serca pokojem!

I on go uczuł! — On, człowiek dzikości,  
I krwi, i pychy — wobec niewinności  
Zadrżał sam w sobie; i myślą odmienną  
Siegnął w swą przeszłość, jak w otchłań bezdenną:  
Gdzie żadna gwiazda, żaden promień z góry,  
Nie świecił przed nią; gdzie żadnej podpory  
Nie znalazł dla niej; aż sam z przerażeniem  
Cofnął się przed nią — i z ciężkiem westchnieniem:  
„Był czas — rzekł w sobie — był czas, lube dziecię!  
„Gdym i ja także, jak ty, na tym świecie  
„Igrał, i kochał, i wierzył — i nieraz,  
„Jak ty w tej chwili, modlił się; — a teraz!“...  
Opuścił głowę — obraz lat dziecinnych,  
Uczuć, nadziei i zabaw niewiunych,  
I dawna czystość, i obecny zakał,  
Stały w myśli — i on płakał, płakał!

Błogosławione łzy żalu za grzechy!  
Błogosławieni, którzy płaczą niemi!  
W nich jest jedyne uczucie pociechy,  
Jaką występpek czuć może na ziemi.

„Jest — rzekła Peri — tajemnicza rosa,  
„Co raz w rok tylko. litośne niebios  
„Spuszczają w skwary na Egiptu kraje,  
„A co gdy spadnie, zaraza ustaje\*).  
„Ach! czyliż nie tem dla duszy człowieczej,  
„Są łzy szczerego żalu i pokuty?  
„Niech ją owionie duch złego zatruty,  
„Niech ją rozrania sumienia wyrzuty,  
„Jedna łza taka — a wszystko uleczy!“

I patrz! już zbójca przy boku dziecięcia,  
Padł na kolana; rozpostarł objęcia.  
Wzniósł je ku niebu — co równie łagodnie  
Oświeca obok niewinność i zbrodnię —  
I hymn radości brzmi między niebiany,  
Witając powrót duszy obłąkanój!

Mrok już zaciągał od wschodu — a oni,  
Modląc się jeszcze, klęczeli na błoni;  
Kiedy wtem nagle, jak struga szeroka,  
Jasność niezwykła zabłysła z wysoka,  
I padła prosto na zbójcy oblicze,  
Zgięte ku ziemi; i na tajemnicze

---

\*) Nucta, albo „Cudowna kropla“, padająca w Egipcie  
w sam dzień św. Jana, w czerwcu, ma mieć jakoby wła-  
sność powstrzymania morowej zarazy.

Kona — i niema, ktoby mu przy boku  
Stanął na wsparcie, na ulgę cierpienia!  
Coby dla spiekłych ust jego ochłody,  
Podał mu choćby jedną kroplę wody,  
Co o krok przed nim chęć w nim tylko drażni;  
Coby choć jednym wyrazem przyjaźni,  
Współdzieląc boleść i łagodząc trwogę,  
Pokrzepił ducha na wieczności drogę!  
Nikogo niema! — i jedna pociecha,  
Co mu się jeszcze w tej chwili uśmiecha,  
Jest — że ta, którą jedynie, statecznie,  
Kochał kochany, od lat swych dziecięcych —  
Że ta w tej chwili spoczywa bezpiecznie,  
Spoczywa w ojca pałacach książęcych:  
Gdzie wód przezczystych bijące fontanny,  
I z drzew indyjskich ogień nieustanny,  
Tchną wkoło taką świeżością i wonią,  
Że rzekłbyś, skrzydła aniołów nad skronią  
Wiejąc, jej życie od zarazy chronią.

Ale patrz! któż to z pośpiechem i trwogą  
Daży od miasta? Anioł czy ziemianka?  
Przebóg! to ona! — nieomylną drogą  
Serce ją wiedzie za śladem kochanka.  
I już go widzi — jak w świetle księżyca  
Leży, półciałem wsparty o cień drzewa;  
I już jest przy nim — i lice do lica  
Tuli, i łzami twarz jego oblewa;  
I rozpuszczone pasma swych warkoczy  
Macza w jeziorze -- i dzierżąc na łonie,

Płonące niemi obwiązuje skronie,  
Całując usta, patrząc w jego oczy! —  
A on! — niestety! mógłże on to wróżyć,  
Że przyjdzie chwila, kiedy te uściski,  
Świetsze mu stokroć od pieszczot huryski,  
Będą go tylko przerażać i trwożyć:  
Jakby splot węża wkoło jego szyi,  
Jakby w tych ustach były jady żmii?  
W ustach, co teraz rozpaczą zuchwałe,  
Same się jego upajają tehnieniem:  
A niegdyś wstydem spłonęłyby całe,  
Gdyby się cichem zdradziły westchnieniem!

„Luby mój, drogi! przestań mię odpychać!  
„Patrz! czyż nie jestem narzeczoną twoją?  
„Pozwól mi, pozwól twem życiem oddychać,  
„Spełnić przysięgę i powinność moją:  
„Żyć razem z tobą, lub umrzeć dla ciebie!  
„Ach! tyś mię nie znał, jeśli mogłeś wierzyć,  
„Że cię w ostatniej opuszczę potrzebie.  
„Lub że cię zechcę — albo zdołam przeżyć! —  
„Nie, nie! mój luby! — Kiedy drzewo ginie,  
„Żyjąca z niego zielona jemiola  
„Ginać też musi. — Nie odwracaj czoła!  
„Przyjm uścisk pierwszy, w ostatniej godzinie!  
„Złącz usta z memi! — i dzielmy oboje,  
„Ty moje życie, ja skonanie twoje!“ —

Rzekła, i blednąc — jako lampa właśnie,  
Gdy w głębi lochów od wyziewów gaśnie —  
Chwieje się, padła; — blask oczu i krasa

W powiewie moru mroczy się, zagasa;  
I duch obojga, w jedno zlany technienie,  
Uleciał razem nad świat i cierpienie. —

„O! śpijcie! — Peri rzekła z łzą w żrenicy,  
Łowiąc ostatnie westchnienie dziewczicy,  
Co z ust w ostatnim wzleciało oddechu.  
„Śpijcie w niebieskiej harmonii echu,  
„W rajskich marzeniach i tchu rajskiej woni:  
„Milszej niż owa, co na ziemskiej błoni  
„Technie tylko wtedy, gdy ów ptak, syn słońca,  
„Syty samotnem życiem lat tysiąca,  
„W słonecznych ogniach zakłętego stosu,  
„Niknie w potokach wonności i głosu!\*) —

Rzekła, i technieniem ambrozyjskiej woni  
Z ust napełniła całą okolicę;  
I wstrząsłszy wieniec gwiazdzisty na skroni,  
Taką rozlała jasność — że ich lice  
Było jak świętych, co po trudach ziemi  
Śpią snem wiecznego pokoju — a ona,  
Na jasnych skrzydłach w równi zawieszona,  
Jak ich stróż-aniół czuwała nad niemi.

Ale już pierwsze jutrzeńki promienie  
Rumieniał chmury — i Peri w radości

---

\*) Podług podań na Wschodzie, ptak Fenix, po prze-  
życiu tysiąca lat, układa sam sobie stos z najwonnejszych  
gatunków drzewa, i pali się na nim ogniem słonecznym,  
wpośród najrozkoszniejszej woni i harmonii głosu, którą  
sam przed skonaniem wydaje.

Wraca ku niebu, unosząc westchnienie  
Czystej i samoofiarnej miłości.

Serce w niej drgnęło rozkoszy oddechem,  
Myśl w morzu szczęścia i nadziei tonie,  
Widząc jak anioł, stróż raj, z uśmiechem,  
Dar przyniesiony przyjmował w swe dłonie.  
I już przez bramę, nateżonem uchem,  
Słyszy dźwięk liści kryształnego drzewa,  
Wstrząsanych wiecznie, jakby żywym duchem,  
Tehem, co od tronu Allaha powiewa;  
I już nad brzegiem źródeł zwierciadlanych,  
Widzi błyszczące gwiazdziste puławy,  
Skąd naprzód dusze szczęśliwych wybranych,  
Nieśmiertelności czerpają nektary!...

Ale, niestety! nadzieja zwodnicza!  
Znów się, jak przedtem, brama tajemnicza  
Zamknęła sama; i z smutkiem w źrenicy,  
Anioł rzekł: „Święta jest miłość dziewicy!  
„Dzieje jej uczuć, ofiary i zgonu,  
„W gwiazdzistych słowach, u Allaha tronu,  
„Będą uczyły same duchy nieba,  
„Jak się poświęcać i miłować trzeba.  
„Ale patrz! Niebios zamknięte podwoje! —  
„Idź! droższym darem okup wnijście twoje!  
„Droższym, niż ziemskiej miłości westchnienie,  
„Lub dla miłości śmierć i poświęcenie“. —

---

### III.

Z różanych sadów, na zielone pola,  
Wieczorny wietrzyk teźnie woń Suristanu,\*)  
I słońce, jako wielka aureola,  
Wieńczy, zachodząc, świętą skroń Libanu:  
Co z wierzchu śnieżną oblezony szatą,  
Sędziwem czołem między gwiazdy świeci,  
A u stóp wiosna i zielone lato,  
Wiecznie ku niemu śmieją się jak dzieci.

O! ktoby kraj ten mógł oglądać z góry,  
Ten blask, to życie, tę piękność natury,  
Jakżeby cudnym uderzon obrazem,  
Dziwił się, wielbił i zachwycił razem!  
Te gaje cedrów, te równie bez końca,  
Te rzeki ogniem iskrzące od słońca!  
Te łąk nadbrzeżnych kobierce bogate,  
I te nad niemi, jak kwiaty skrzydlate,  
Roje motyli, i tłumy jaszczurek:\*\*)  
Co każda lśniąca jak brylantów sznurek,

\*) Suristan, *kraj róż*. Tak się nazywa Syrya, od nie zmiernej ilości tego rodzaju kwiatów, zwanych w języku krajowców: *Suri*.

\*\*) „Widzisz tam (w Syryi) nieprzeliczone mnóstwo osobliwszego gatunku motyli, których piękność kształtu i barwy, zjednała im nazwisko *panien*“. — *Sonnini*.

„Liczba błyszczących jaszczurek, którą widziałem na ruinach świątyni słońca w Balbeku, dochodziła do wielu tysięcy; ziemia, gruz, i stojące jeszcze ściany ruin, były niemi prawie okryte. — *Bruce*.

Jedna za drugą, po dawnych zwałiskach,  
 Weiż w zygzakowych migają się błyskach!  
 Te, na tle jasnych błękitów u góry,  
 Stada gołębi, z migotnemi pióry,  
 W jaskrawym blasku zachodniego słońca,  
 Rażące oczy tęczą barw tysiąca,  
 Lub z drzew zieleni, swych skrzydeł trzepotem,  
 Przełyskujące purpurą i złotem!\*)  
 A tenże ptasząt gwar, szczebiot wesoły,  
 Złączony z brzękiem palestyńskiej pszczoły,  
 Co lśnięć jak gwiazda, ssie kwiatów nektary!  
 I wdzięczne echo pastuszej fujary,\*\*)  
 I dzwonki trzody rozpierzchłej po łąnie,  
 I godne raju, twe brzegi, Jordanie!  
 I szmer ku tobie bieżących strumyków;  
 I twoje gaje, tak pełne słowików!..\*\*\*)

Peri spogląda — ale jak łąza oczy,  
 Tak mgła jej smutku wszystko przed nią mroczy,  
 Ach! sam blask słońca — co koroną jasną  
 Lśni nad świątynią — niegdyś swoją własną,\*\*\*\*)  
 Której skruszone olbrzymie filary,

\*) Gołębie syryjskie, latające ogromnemi stadami, odznaczają się osobliwszym blaskiem różnokolorowych piór swoich. — *Bruce*.

\*\*) *Syrinx*, albo piszczałka bożka Pana, jest dotąd pasterskim instrumentem w Syrii. — *Russel*.

\*\*\*) Brzegi Jordanu po obu stronach okryte są małymi, pięknymi gaikami, w których kryje się tysiące słowików. — *Thedenot*.

\*\*\*\*) Świątynia słońca w Balbeku.



Jeszcze po polach ścielą cień daleki,  
Rzekłbyś kompasy, co czarodziej stary,  
Czas, wbił, by po nich liczyć jego wieki.

Ale któż zgadnie, czy w tych lochach ciemnych.  
Skąd brzmiała niegdyś wyrocznia natehniona,  
Nie znajdzie jakich zabytków tajemnych,  
Ksiąg, talizmanów z krain ponadziemnych,  
Z wielkiem imieniem króla Salomona:  
By z nich wziąć światła promień pożądaný,  
Gdzie i jakiego daru szukać trzeba,  
Ażebý przezeń, duch grzechem skalany,  
Mógł się oczyścić i dostąpić nieba? —

W tych myślach Peri zmierza ku ruinie,  
Nim słońce jeszcze skryło się za wzgórze;  
I na rozkosznej Balbeku dolinie,  
Pomiędzy polne i rumiane róże,  
Widzi rumiane i dzikie, jak one,  
Małe pacholę: — zabawą znużone  
Leży na kwiatach, i patrząc wokoło,  
Śmiejąc się nóci piosenkę wesolą.

I w tejże chwili, na otwartem błoni, —  
Postrzega jeźdźca — na zziąjanym koniu,  
Pędzi ku brzegom bliskiego strumienia.  
Przypadł — i szybko zeskokczył z strzemienia,  
I padł na ziemię, i pił; — aż zdumiony,  
Ujrzawszy dziecię, ogniste źrenice  
Zwrócił ku niemu. — Chłopiec niestrwożony  
Patrzył nań wzajem: — choć to groźne lice,

Te dzikie oczy nasepione srogo,  
Najodważniejszych przejęłyby trwogą!

Z głębi ich dusza patrzała ponura,  
Z mroku i ognia, jak piorunna chmura,  
W której wzrok Peri mógł czytać dowodnie,  
Jakby wyryte najczarniejsze zbrodnie:  
Mord, zemstę, pychę, i Kaina zawiść,  
I wzgardę nieba, i ludzi nienawiść,  
I urąganie z prawdy i uczucia,  
I dzikość siły, i otchłan zepsucia.  
Wszystko wyraźne i czarne, jak one  
Głoski, któremi archanielskie pióro,  
Wszystkie na ziemi grzechy popełnione  
Wpisuje w księgę potępienia, którą,  
Na strasznym sądzie grzesznikom ukaże,  
Nim je łaza skruchy, albo litość zmaże.

Ale w tej chwili ów człowiek rozboju —  
Jakby ten obraz ciszy i pokoju,  
Co świecił przed nim w jasności zachodniej.  
Wszedł w duszę jego — w tej chwili łagodniej,  
Weselej, nawet z czułości wyrazem,  
Patrzył na dziecię; i za każdym razem  
Spotkał wzrok jego, patrzący nań śmiało.  
Tak blask pochodni, płonącej noc całą  
Przy jakim sprośnym obrzędzie, nad ranem  
Styka się z światłem jutrzeńki różanem.

Lecz patrz! już słońce z za gór jeszcze grzbietów  
Błysnąwszy, zgasło — modlitwy godzina!

I w tejże chwili, z okolnych meczetów,  
Rozległ się w dali okrzyk muezzina.  
Porwał się chłopiec, i w kornej postawie  
Padł na kolana na wonnej murawie,  
I wznosząc w górę i oczy i ręce,  
Odmawiał ciche modlitwy dziecięce.  
Rzekłbyś, że małe anielskie pacholę,  
Upadło z nieba, i na tym padole  
Tęskniąc bez skrzydeł, w proszącej postaci  
Wyciąga ręce do starszych swych braci.

O! był to widok! — ta pora! to dziecię!  
Ten blask zachodu na niebios błękiecie!  
Widząc go Eblis — samby w sercu swoim  
Czuł żal za rajem i serca pokojem!

I on go uczuł! — On, człowiek dzikości,  
I krwi, i pychy — wobec niewinności  
Zadrżał sam w sobie; i myślą odmienną  
Sięgnął w swą przeszłość, jak w otchłań bezdenną:  
Gdzie żadna gwiazda, żaden promień z góry,  
Nie świecił przed nią; gdzie żadnej podpory  
Nie znalazł dla niej; aż sam z przerażeniem  
Cofnął się przed nią — i z ciężkiem westchnieniem:  
„Był czas — rzekł w sobie — był czas, lube dziecię!  
„Gdym i ja także, jak ty, na tym świecie  
„Igrał, i kochał, i wierzył — i nieraz,  
„Jak ty w tej chwili, modlił się; — a teraz!“...  
Opuścił głowę — obraz lat dziecinnych,  
Uczuć, nadziei i zabaw niewinnych,  
I dawna czystość, i obecny zakął,  
Stały w myśli — i on płakał, płakał!

Błogosławione łzy żalu za grzechy!  
Błogosławieni, którzy płaczą niemi!  
W nich jest jedyne uczucie pociechy,  
Jaką występki czuć może na ziemi.

„Jest — rzekła Peri — tajemnicza rosa,  
„Co raz w rok tylko. litośne niebiosa  
„Spuszczają w skwary na Egiptu kraje,  
„A co gdy spadnie, zaraza ustaje\*).  
„Ach! czyliż nie tem dla duszy człowieczej,  
„Są łzy szczerego żalu i pokuty?  
„Niech ją owionie duch złego zatruty,  
„Niech ją rozrania sumienia wyrzuty,  
„Jedna łza taka — a wszystko uleczy!“

I patrz! już zbójca przy boku dziecięcia,  
Padł na kolana; rozpostarł objęcia.  
Wzniósł je ku niebu — co równie łagodnie  
Oświeca obok niewinność i zbrodnię —  
I hymn radości brzmi między niebiany,  
Witając powrót duszy obłąkanéj!

Mrok już zaciągał od wschodu — a oni,  
Modląc się jeszcze, klęczeli na błoni;  
Kiedy wtem nagle, jak struga szeroka,  
Jasność niezwykła zabłysła z wysoka,  
I padła prosto na zbójcy oblicze,  
Zgięte ku ziemi; i na tajemnicze

---

\*) Nucta, albo „Cudowna kropla“, padająca w Egipcie  
w sam dzień św. Jana, w czerwcu, ma mieć jakoby wła-  
sność powstrzymania morowej zarazy.

Łzy, co spadając kroplami bujnemi,  
U kolan jego błyszczały na ziemi.


Jasność tę zdala śmiertelnikby może  
Wziął za meteor lub polarne zorze;  
Lecz Peri łatwo odgadła wesoła,  
Że to był uśmiech, spojrzenie anioła,  
Znak wskazujący na łzy pokutnika,  
Że w nich jest siła, co niebo odmyka!

„O! szczęście bez miary! o! radość bez końca!  
Skończone me życie tułacze!  
Żegnajcie mi blaski księżyca i słońca,  
Ja światłość Allaha zobaczę!

„Żegnajcie mi ziemskie ogrody i kwiaty,  
Nietrwale jak ziemskie radości!  
Żegnajcie bez żalu! — ja lecę w te światy,  
Gdzie radość jest tchnieniem wieczności.

„Żegnajcie mi, ludzie! obyście wy chcieli  
Raz szczerze zatęsknić do nieba!  
O! jakby was chętnie życzliwi anieli  
Uczyli, jak szukać go trzeba!

„Żegnajcie, żegnajcie! pokutą i łzami  
Łagodźcie serc waszych rozpaczę;  
Ja lecę, gdzie chyba z litości nad wami,  
Przed tronem Allaha zapłacę“.



# DZIEWICA ORLEAŃSKA

TRAGEDYA ROMANTYCZNA

SZYLLERA

W PIĘCIU AKTACH, Z PROLOGIEM.





## WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA O JOANNIE D'ARC.

---

Zjawienie się Joanny d'Arc na scenie dziejów, jest może najwyraźniejszym, z tysiąca innych świadectw, świadectwem, o bezpośrednim wpływie woli i Opatrzności Boskiej na los narodów i pojedynczych ludzi; o czem i bez tego żaden prawdziwy chrześcijanin nie wątpi. Wszystkie jej czyny i dzieje od kolebki prawie do grobu, opisane po wielokrotnie przez naocznych świadków, roztrząsane pod rozmaitymi względami przez współczesnych i przez następnych, i nakoniec przez najslawniejszych teraz żyjących historyków francuskich, powtórzone z najdrobniejszymi szczegółami, podług nowo odkrytych autentycznych źródeł, nie zostawiają najmniejszej wątpliwości o jej cudownem powołaniu i posłannictwie, o czynach wyższą wolą i siłą natchnionych, i nakoniec o niepokalanej czystości i świątobliwości jej życia, które uczyniło ją godną stać się narzędziem łaski dla swego ludu, i można rzec, wybraną ofiarą odkupienia swego narodu.

Mając zamiar, jeżeli Bóg dozwoli, w osobnych kiedyś i obszerniejszych ramach, przedstawić ten wielki historyczny obraz, równie dla chrześcijanina jak i dla psychologa ważny: bo wyjaśniający nam niejako najświętsze i najtajniejsze stosunki pomiędzy niebem a ziemią, pomiędzy stworzeniem a Bogiem: tym razem poprzestanę tylko na skreśleniu kilku



główniejszych rysów, potrzebnych dla lepszego pojęcia i oceny sztuki Szyllera, której tu nowy przekład pod sąd czytelników przynoszę \*).

Na początku XV. wieku, Francya uwikłana w nieszczęśliwą wojnę z Anglią; szarpana wewnątrz krwawymi niezgodami dwóch potężnych stronnictw: Burgundzkiego i Orleańskiego, z których pierwsze, pod wodzą Filipa, księcia Burgundyi, połączyło się nakoniec z Anglią; w największym rozprzężeniu i nieładzie pod rządem obłąkanego na umyśle Karola VI, a raczej żony jego, Izabeli Bawarskiej, niewiasty sprośnych obyczajów i uczuć; Francya, mówię, ujrzała się nad brzegiem ostatniej i nieuchronnej zguby. Stanowcza klęska pod Azincourt (1415) i inne, przywiodły w końcu pamiętny a upokarzający traktat w Troyes (1520), mocą którego syn Karola VI, delfin Karol, ostatni szczepek królewskiego domu Walezycy, pomówiony przez własną matkę o nieprawność rodu, został przez własnego ojca wyzuty z prawa następstwa, i prawo to przeniesiono na osobę Henryka V, króla angielskiego, który poślubił tamże królowną francuską Katarzynę, i tymczasowo, do śmierci teścia, tytuł reagenta Francyi otrzymał. We dwa lata później (1422), obaj królowie: Karol VI. i Henryk V, pomarli; ostatni zostawiwszy w kolebce syna (Henryka VI.), który stosownie do traktatu w Troyes, zaraz po pogrzebie Karola V, w Saint-Denis, królem Francyi obwołany został. Delfin także ze swojej strony, pod imieniem Karola VII, ogłosił się królem w Poitiers, nie mogąc dostać się do Rheims, gdzie według uświęconego wiekami zwyczaju, odbywało się zwykle namaszczenie królów francuskich, nadające jedynie sankcyę w obliczu religii, prawa i narodu. Pomimo to, w oczach wszystkich dobrych Francuzów, Karol VII. był prawym

---

\*) Pierwszy przekład, wykonany przez Andrzeja Brodzińskiego, brata Kazimierza, drukowany był w Warszawie w r. 1821, nakładem Zawadzkiego i Węckiego, i po wielokroć wystawiany na scenie.

monarchą i wsparty ich gorliwą pomocą, z orężem w ręku bronił praw swoich i kraju przeciw złączonym angielskim i burgundzkim siłom, będącym w posiadaniu Paryża i większej części królestwa. Przez lat siedm toczyła się wojna z różnem szczęściem i ze wszystkimi okropnościami wojny domowej; aż nakoniec w r. 1429, rzeczy stały na tym stopniu, że podług wszelkich rachub polityki i rozumu, sprawa Karola VII. ostatecznie chyliła się do upadku. Zawiszi i intrygi własnych jego stronników, wzbudziły nań nowego wroga, w osobie najwierniejszego mu dotąd Konnetabla; inni opuścili go jawnie lub traktowali skrycie z Anglikami; nowe wojsko angielskie, pod wodzą hr. Salisbury, zdobyło wszystkie twierdze i miasta na północnym brzegu Loary, i nakoniec obległo miasto Orleans, od którego zdobycia lub utrzymania cały dalszy los wojny zależał. Obie strony czuły to dobrze: i dlatego też obie zároveň wyteżyły wszystkie swe siły, aby stanowczą tę walkę na swoją korzyść rozstrzygnąć. Kwiat francuskiego rycerstwa i najprzedniejsi wodzowie zamknęli się w tem mieście; wszystkie sąsiednie prowincye i miasta wyczerpywały ostatnie zasoby, aby je zaopatrzyć w pieniądze i żywność; wszyscy mieszkańcy wzięli się do oręża, kobiety nawet i dzieci dopomagały walczącym, już to podając kamienie, już roztapiając ołów albo smołę, którą z góry na szturmujących zlewano. Angliey odparci od szturmu, otoczyli miasto szanćcami i blokhauzami, aby je głodem do poddania się przymusić. Salisbury zginął ugodzony kamieniem z dział miejskich, ale następca jego, Suffolk, z niemniejszym natężeniem oblężenie popierał. Wysłany na odsiecz miastu ośmiotysięczny korpus, pod wodzą hr. Clermont, cofnął się przed garstką Anglików, porażony haniebnie pod Rouvrai. Głód straszliwy panował już w mieście. Przywiedzeni do rozpaczey mieszkańcy, chcieli już byli poddać je burgundzkiemu księciu Filipowi, ale gdy tę ofiarę odrzucili Angliey, ostatekiem jeszcze wysileniem rozpaczey z dnia na dzień przewlekali swą zgubę. Widocznem wszakże było każdemu,

iż prędzej czy później nie pozostanie nic innego Orleanowi, jak zdać się na łaskę Anglików; Karolowi, jak ująć za Loarę, do południowych prowincyi, a stamtąd na tułactwo do Hiszpanii lub Szkocyi; Francyi nakoniec, jak wyrzec się swej niepodległości i stać się prowincyą angielską. Wszystkie ludzkie sposoby i siły okazały się bezskuteczne, aby tę ostateczność odwrócić; wszystkie, nie już usiłowania, lecz same nawet nadzieje polepszenia losu, zdawały się być tylko szaleństwem w oczach ludzkiego rozumu. A przecież Bóg chciał inaczej — i wszystko się jak sen przemieniło.

Na zbiegowisku trzech granic: Szampanii, Burgundy i Lotaryngii, w małej wioseczce Dom-Remy, żyła prosta, uboga pasterka, córka poczciwych i bogobojnych rodziców, którzy wcześniej w tkliwe jej serce gorącą miłość Boga i głęboką swą wiarę przelali. Joanna d'Arc — to było jej imię — od samego dzieciństwa odznaczała się między rówieśnikami szczególną pobożnością i najbardziej chrześcijańskimi cnotami: pokorą, łagodnością, prostotą i najtkliwszą miłością bliźnich. Wewnętrzne życie duchowe pochłaniało ją całkiem, a wpływ jego, w oczach niepojmujących go nawet, otaczał ją tajemniczym urokiem; tak dalece, że nietylko poczciwe serca ludzi, a mianowicie dzieci, czuły ku niej niepojęty pociąg, ale same nawet ptaki powietrzne, podług słów współczesnego historyka, przytoczonych przez Micheleta: „przylatywały do niej, jak niegdyś do Świętych w pustyni, i brały pokarm z jej ręki, w zaufaniu Bożego pokoju“. Piękność jej porywała oczy, ale też razem przejmowała taką czcią i uszanowaniem, że wobec jej, najzuchwalsi nawet, przystojności ubliżyć nie śmieli. Chroniąc się od głośnych zabaw i tańców, szukała chętnie towarzystwa uczciwych niewiast dojrzałego wieku, a mianowicie dziatek i ubogich, którym z pokorą i miłością służyła. Pomimo przesądnych mniemań owego wieku, strzegąc ściśle nauki Kościoła, nietylko nie dopuszczała się sama żadnych zabobonnych praktyk, jak jej nieprzyjaciele potem zarzucali, lecz nadto miała je w obrzydzeniu i unikała

starannie wszelkich miejsc podejrzanych w tym względzie, z jakich dwa właśnie były w bliskości jej wioski: źródło, któremu przyznawano czarodziejską moc leczenia chorób i starożytny dąb, zwany „Drzewem wrózek“, gdzie co rok dla odpędzenia tych istot, pleban miejscowy mszę i nabożeństwo odprawiał. Kościół był dla niej najmilszym przybytkiem, modlitwa największą rozkoszą; i gdy jej zarzucano, że się nazbyt modli: rumieniła się tylko i milczała. — Taką była dziewczica, którą Bóg za narzędzie cudu swego upatrzył. Nieszczęścia kraju i króla, o których od dzieciństwa słyszała; klęski i okrucieństwa wojny, których nieraz wraz z rodzicami była ofiarą i świadkiem, napełniły wczesnie jej serce namiętą miłością ojczyzny i litością nad losem współziomków, tak, że dwa te uczucia stały się treścią jej życia, przedmiotem ciągłych jej modłów, które, zalewając się łzami, w samotności ku niebu wznosiła. I gdy krew tysiąca rycerzy, w ziemskim tylko ufających orężu; gdy łzy miliona rodzin, nad sobą tylko płaczących, nadaremnie płynęły, Bóg wejrzał na łzy jednej ubogiej pasterki, na łzy głębokiej wiary i miłości bliźnich, i ją samą do otarcia łez ziomków — ale też i do przelania za nich niewinnej krwi swojej powołał. Oto są własne jej słowa, które później, przed krwawym trybunałem swych wrogów, opowiadała sama to cudowne powołanie swoje \*).

„Dnia jednego latem, w samo południe — a mogłam mieć wtedy lat około 13-tu \*\*) — będąc sama w ogrodzie ojca, usłyszałam po prawicy mojej, od strony kościoła, głos — i stanęła przede mną postać, wielką otoczona jasnością. Postać ta miała rysy bardzo dobrego i cnotliwego człowieka; na barkach jej były skrzydła; ze wszystkich

---

\*) Słowa te, oznaczone cudzosłowem, wyjęte z procesu Joanny d'Arc, są przekładu p. Kazimierza Bujnickiego, przytoczone przezeń w artykule o Joannie d'Arc, umieszczonym w „Atheneum“, oddziale III, zeszytcie IV, z roku 1843.

\*\*) Joanna urodziła się w r. 1411.

stron okrażało ją światło; orszak niebieskich aniołów był przy niej, — aniołowie albowiem często nawiedzają chrześcijan, a ci ich nie postrzegają; jak to sama nieraz potem pośród nich widziałam. Postać ta, był to Archanioł Michał. Głos zdawał mi się bardzo poważny; alem podówczas młoda była dziecina; zatrwożyłam się więc bardzo przed postacią i wątpiłam, ażeby to był anioł. Za trzeciem dopiero ozwaniem się postaci, poznałam, że to był głos Jego. Nauczył mię i ukazał tyle rzeczy, żem mocno uwierzyła, iż to był On. Widziałam Jego i aniołów własnymi oczyma, tak wyraźnie, jak was tu, sędziowie, widzę; i wierzę w to tak mocno, jak wierzę w mękę i śmierć Pana naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa. Co mię zaś do takowej wiary pobudza, są to zbawienne rady, wsparcia i nauki, jakie zawsze odbieram od Niego.

„Anioł nauczał mię, abym przedewszystkiem była dobrą dziewczyną, prowadziła siebie uczciwie i chodziła pilnie do kościoła. Opowiedział mi potem o wielkiem zmiłowaniu Boga nad Francją i że powinnam iść w pomoc królowi mojemu. Powiedział mi takż, iż święte: Katarzyna i Małgorzata nawiedzą mię, a co mi rozkażą, to czynić mam; albowiem posłane są od Boga, aby mię wodziły i radą mię swoją wspierały, w tem co mam do sprawienia.

„Święte Katarzyna i Małgorzata ukazały się mnie, jak to był przepowiedział anioł, w wielkiej jasności i w promiennych wieńcach na głowie, i rozkazały mi pójść do Roberta Baudricourt, rotmistrza królewskiego w Vaucouleurs, skąd będę odesłana do króla i Orleans od oblężenia wybawie. Na to odpowiedziałam im, że jestem biedna dziewczyna, nieumiejąca dosiąść konia ani władać orężem. One zaś mi powiedziały, abym śmiało nosiła mój sztandar, albowiem Bóg mi dopomoże, a król mój odzyska napowrót całe swoje państwo i otrzyma przeze mnie królewskie swe namaszczenie w Reims. Święte rozkazały mi nie powiadać nikomu o tem zjawieniu; zostawiły mi wszakże do woli, zwierzyć się rodzicom moim lub nie; alebym tego za skarby świata

uczynić nigdy nie śmiała. Nadewszystko bałam się ojca, aby mi nie przeszkodził dopełnić rozkazu świętych. We wszystkim zresztą ojcu i matce byłam zawsze posłuszną, a że w tym razie bez ich zezwolenia odeszłam, nie poczuwam się do grzechu; uczyniłam to bowiem z rozkazu Boga, a skoro Bóg przykazywał, byłabym poszła, chociażbym miała sto ojców i sto matek, choćbym była króla jakiego córka“.

Zjawienia tego rodzaju, od pierwszego jej nawiedzenia, ponawiały się często w dalszym ciągu jej życia, już to krzepiąc ją swemi radami, już pocieszając w więzieniu i ośmiejając przed śmiercią. Oto jest, jak sama dalej naturę ich opisuje:

„Rzadko widuję me święte inaczej, jak otoczone jasnością i w promiennych wieńcach na głowie. Widzę ich twarze, ale czy mają odzież, włosy, ramiona i w ogólności widzialne członki, o tem nie z pewnością powiedzieć nie mogę. Często też, nie widząc świętych, słyszę tylko same ich głosy, które mówią do mnie i odpowiadają na pytania moje. Mowę ich doskonale rozumiem. Głos ich jest nadzwyczaj miły, łagodny i aż do łez rozrzewniający; mówią czysto i godnie w języku francuskim\*). Przed oswobodzeniem Orleanu i potem, zwały mię nieraz Joanną dziewicą i córką Bożą, zalecając mi przytem częste odbywanie spowiedzi. Święte przychodzą często niewezwane, a gdy ich długo nie widzę, proszę Pana, aby raczył przysłać je do mnie. Nigdy mię nie opuściły w potrzebie. Za każdym ich przyjściem doznaję niewymownej radości i oddaję im wszelką cześć, na jaką zdobyć się mogę: chociaż czuję, że nie potrafiłabym nigdy ucześć ich dostatecznie,

---

\*) „Przez to rozumieć trzeba, że Joanna w tym języku, jako jej oczystym, słowa świętych rozumiała, nie zaś aby one koniecznie po francusku mówiły. Dziewica w zachwyceniu ducha, widziała, słyszała i pojmowała duchownie, co jej duchowe objawiały istoty. Zmysły nie tam zapewne do czynienia nie miały“.



bo wiem, że oni to są, którzy mieszkają w Królestwie niebieskiem. Gdy odejdą, całuję ziemię gdzie stali i nieraz płakałam z żalości, że mię z sobą nie wzięli. O nie nie prosiłam ich nigdy, jedno względem mojej wyprawy i aby Bóg dopomógł Francuzom; dla siebie nie żądałam nigdy innej nagrody, oprócz zbawienia mej duszy. Od pierwszego razu, jakem usłyszała głos świętych, ślubowałam Bogu dobrowolnie pozostać czystą dziewicą, na duszy i na ciele, jeśli w tem będzie święta Jego wola; zaczęłam mi święte przyrzekły, że mię wprowadzą do raju, jak tego od nich żądałam“.

Dziewica w swoich zeznaniach nie mówi nic o walkach wewnętrznych, między wielkiem jej powołaniem a słabością dziecinnego serca; musiały jednak być trudne i długie, kiedy aż w pięć lat dopiero po pierwszym usłyszeniu anielskiego głosu, rozkaz jego odważyła się wypełnić; w dniach zaś największej swej chwały, słyszano ją nieraz powtarzając ze łzami: „iż wolałaby stokroć prząść kądziel przy biednej swej matce, niż czynić, co czynić musi, ponieważ Bóg jej przykazał“.

W r. 1429, za przewodnictwem rodzonego stryja, który pierwszy w jej postannictwo uwierzył, Joanna d'Arc opuściła nakoniec dom rodzicielski i udała się do Vaucouleurs, do Roberta Baudricourt, oświadczając mu, iż przychodzi od Boga, aby oswobodzić Orlean i króla do Reims na namaszczenie wprowadzić; przyczem żądała, aby ją zaraz do obozu królewskiego odesłał. Baudricourt wziął ją za obłąkaną i zamiast do obozu, chciał ją odesłać do ojca. Nieustraszona tem Joanna, oświadczyła stanowczo, iż musi być przed Środopościem u króla, „choćby miała nogi schodzić po kolana“ \*). Jakoż przykładna jej świętobliwość, w czasie krótkiego w Vaucouleurs pobytu, i zapewne tajemniczy wpływ ożywiającego ją ducha, wzbudziły ku niej wiarę w okolicznych mieszkańcach, i jeden z nich,

---

\*) „*Dussé je user mes jambes jusqu'aux genoux*“.

niejaki szlachcie Novelompont, obiecał ją zaprowadzić do króla. Co nadto jeszcze pomagało jej w umysłach ludu, to znajoma powszechnie od wieków stara przepowiednia Merlina, iż Francya wtrącona w przepaść przez kobietę, przez kobietę też wybawioną zostanie. Pierwsza część tego pro-roctwa spełniła się już była przez królowę Izabellę, lud więc widział wszędzie i witał w Joannie obiecaną spełni-cielkę drugiej. Ona sama nie wątpiła o tem bynajmniej, tem bardziej, iż pytając o to swych świętych, otrzymała od nich odpowiedź, iż ona jest ową wybraną. Gotując się w podróż do króla, przywdziała po raz pierwszy strój męski, który odtąd aż do śmierci nosiła, i przybywszy szczęśliwie do obozu pod Chinon, po trzech dniach namy-słu i wahania się króla, otrzymała nakoniec pozwolenie stawienia się przed nim. Król przyjął ją otoczony całym swym dworem, w gronie przeszło trzystu rycerzy, i sam, by ją doświadczyć, wstał z miejsca i ukrył się w tłumie. Dziewica weszła z pokorą, jako uboga wieśniaczka; nie zmieszła się jednak bynajmniej i za pierwszym rzutem oka wokoło, poznała króla, chociaż go nigdy nie widziała przed-tem, i ugiąwszy przed nim kolano, rzekła: „Najszlachetniej-szy mój panie, Delfinie! Król niebios ogłasza ci przeze mnie, iż będziesz namaszczoney i ukoronowany w Reims, i będziesz namiestnikiem Jego w królestwie francuskiem, które jest Jego, nie twoje, ale które ci On jako zakład poruczy“. Po-czem wzięwszy króla na stronę, wymieniła mu treść taje-mnej jego modlitwy, której nikt, prócz Boga, nie słyszał. Inna jeszcze okoliczność podniosła wiarę obecnych w cu-downe jej posłannictwo. Gdy szła do króla, jakiś pijany rycerz urągał jej bezbożnemi słowy. „Ach! mój Boże! — rzekła Dziewica — ty bluźnisz, a nie wiesz, że śmierć twoja jest tak blisko ciebie“. Za chwilę potem, tenże rycerz wpadł przypadkiem do wody i utonął. Pomimo to, zdania dwo-rzan były podzielone; lękano się nadewszystko, aby na-tehnienie jej nie było dziełem szatana. Dla lepszego więc wybadania prawdy, odesłano ją do Poitiers, gdzie biał uni-



wersytet, parlament i wielu uczonych doktorów kościoła. Król sam udał się za nią ze swym dworem. Arcybiskup z Reims, kanclerz Francyi, zwołał wszystkich profesorów teologii i przedniejszych, jacy byli, kapłanów, i zlecił im wybadanie Dziewicy. Doktorowie badali ją ściśle, chociaż łagodnie. Jeden z nich rzucił uwagę, że jeśli Bóg chce zbawić Francję, nie potrzebuje żołnierzy. „Ach! mój Boże! — odpowiedziała z żywością — żołnierze będą wojować, a Bóg da im zwycięstwo“. Inną razą, gdy jej chciano dowodzić cytacyami z różnych autorów, iż niepodobna było wierzyć jej opowiadaniu; „Słuchajcie! — rzekła spokojnie — więcej jest rzeczy w księgach Pana mego, niż w waszych. Nie umiem ani A, ani B, ale to wam powiadam, że jestem posłana od Boga, aby oswobodzić Orlean i króla zaprowadzić do Reims“. Te i tym podobne odpowiedzi, zmusiły do milczenia rozumujących doktorów; czujący uwierzyli wraz z ludem. Wszyscy oświadczyli zgodnie, że można śmiało przyjąć pomoc Dziewicy.

Tu zaczyna się wojenny zawód Joanny. W lekkiej zbroi, na czarnym koniu, z tajemniczym mieczem przy boku — który sama za radą swych głosów, kazała przynieść sobie ze składu dawnej broni w kaplicy św. Katarzyny z Fierbois — i z białym sztandarem w ręku, stanęła na czele wojska; prosta pasterka na czele najdumniejszych rycerzy; ośmnastoletnia dziewczica, na czele rozpasanego w ciągłych wojnach żołnierstwa. A przecież jedni i drudzy ulegli przed nieziemską jej mocą! — Pierwszem jej usiłowaniem było wytepić rozwiąłość i ożywić pobożność w swem wojsku, z którem na odsiecz Orleanu iść miała. Przykład jej działał silniej niż słowa. Przed wzniesionym na polu ołtarzem, kapelan jej odprawiał codziennie mszę świętą; wodzowie i całe wojsko odbyło razem z nią spowiedź i przyjęło Przenajświętszy Sakrament. Na czele hufców szli księża ze świętą chorągwią, śpiewając *Veni Creator* i inne psalmy kościelne. Dnia 29 kwietnia 1429 r. weszła do Orleanu, wprowadzając wojsko i żywność, i nie doznawszy, jak była

przepowiedziała, żadnego oporu Anglików, a to z powodu nadzwyczajnej mgły, która im to wejście zakryła. Nazajutrz rano chciała zaraz szturmować ich szanice, a gdy jej to odradzano, i w ogólności, w dalszym ciągu działań wojennych, gdy nie ufając całkiem jej natchnieniom, wahano się w wypełnieniu jej woli, lub chciano ją podstępnie uchylić: „Rada Pana mojego, odpowiadała z żywością, lepsza jest od wszystkich rad waszych; ona tylko jest mądra i pewna, i ona się jedna utrzyma. Wiercie mi, że chcąc mnie oszukać, w rzeczy tylko oszukacie siebie“. Raz nawet oburzona tym fałszem, pogroziła hrabiemu Dunois, że go natychmiast ścigać każe, jeśli prawdę przed nią zatai. Jakoż w każdym zdaniu skutek, jakkolwiek z nieprzewidzianych często okoliczności wynikły, przekonywał na koniec, że jej rada była najlepsza, i że się wszystko tak stało, jak była przewidziała w natchnieniu. Przykład jej odpowiadał słowom. Najpierwsza wszędzie, gdzie niebezpieczeństwo groziło, chociaż sama nie zabiła nikogo i sam widok krwi ją przerażał, przecież w natłoku bitwy, ze sztandarem tylko swym w dłoni, torowała drogę najśmielszym, narażając się na tysiące śmierci. Głos jej jak dźwięk trąby wojennej dolatywał do ostatnich szeregów i zapalał żołnierza odwagą. Przy tem wszystkim litościwa i ludzka, płakała widząc tyłu chrześcijan bez spowiedzi poległych; sama opatrywała rannych i z narażeniem się własnem ocalała jeńców angielskich od zapamiętałości żołnierstwa. Przewidzenie, że musi być ranna, nie osłabiło jej męstwa. Pierwsza wdarła się na szanice angielskie. Wszakże odniósłszy już ranę, płakała; aż ją święte przyszyły pocieszyć. Naówczas wyrwała sama strzałę, tkwiącą na wylot w jej ramieniu, i nie chcąc być, jak mówiła, uleczoną przeciw woli Boskiej, oddaliła ze wstrętem żołnierzy, którzy chcieli zamawiać jej ranę; poczem kazawszy ją tylko obwiązać, odbyła spowiedź, i powróciła do boju. W trzech krwawych wycieczkach i bitwach, najgłówniejsze szanice angielskie wpadły w ręce Francuzów. Po ostatniej, poprzedzonej uroczystą spowiedzią Joanny i całego woj-

ska, Talbot i Suffolk, wodzowie angielscy, zwołali w nocy radę wojenną, i dnia 8 maja o świcie, odstąpili od oblężenia. Dziewica zakazała ich ścigać; ale gdy jeszcze byli na widoku, rozkazała wzniesć ołtarz na tem miejscu gdzie stali, przed którym całe wojsko, wraz z ludem, Bogu hołd dziękczynień składało.

Od tej to cudownej odsieczy, współcześni nadali Joannie imię Dziewicy Orleańskiej, które odtąd zachowała w dziejach. Odgłos niespodziewanego zwysięstwa rozniósł jej sławę w całym chrześcijaństwie. Strach paniczny przejął Anglików, Francuzi uwierzyli w pomyślność. Joanna za powrotem do króla, nastawała koniecznie, aby natychmiast przedsięwziąć wyprawę do Reims dla dopełnienia obrzędu namaszczenia. Przedsięwzięcie to zdawało się niepodobnem do wykonania. Na przestrzeni blisko 80 mil drogi, wszystkie miasta, twierdze i przeprawy były w ręku nieprzyjaciela. Rozumowa roztropność radców, z politowaniem słuchała Dziewicy. Ale Dziewica była nieugięta. „Nie długie moje trwanie — mówiła — rok, albo mało co dłużej; trzeba umieć ze mnie korzystać“. — Jakoż usłuchano nakoniec. Wojsko w początkach czerwca wyruszyło z obozu, i dnia 11 zdobyło warowne miasto Jargeau, gdzie się Suffolk zamknął ze swym ludem, i w niewolę pojmany został. Dziewica pierwsza wdarła się po drabinie na mury, gdzie ugodzona kamieniem, spadła w fosę i miano ją za umarłą. Ale w tejże chwili powstała, i ukazawszy się swoim, przechyliła szalę zwycięstwa. Lordowie Talbot i Fastolf, nie mogąc już pośpieszyć ku odsieczy miastu, zaszli Francuzom drogę pod Patay (29 czerwca). Oba wojska nie wiedząc wzajem o sobie, zeszyły się na zarosłej małym lasem równinie. Jeleń spłoszony przypadkiem, wpadłszy oślep na wojsko angielskie, odkrył pierwszy Francuzom zbliżanie się wroga, i przednie jego czaty pomieślał. Dziewica zapowiedziała zwycięstwo. Anglicy porażeni, pierzchnęli. Fastolf uciekł; lordowie: Talbot, Scales i Hungerford stali się jeńcami Dziewicy. Zostawało jeszcze do zdobycia po drodze warowne miasto Troyes. Joanna wbrew zdaniu

całej Rady wojennej, rozkazała iść prosto do szturm, idąc sama, jak zawsze, na czele. Postrach ogarnął załogę; miasto poddało się na łaskę. Król dnia 15 lipca wszedł z wojskiem zwyciężkiem do Reims, i tamże dnia 17 w niedzielę, uroczyste namaszczenie otrzymał. Dziewica ze sztandarem swym w ręku, stała przed ołtarzem przy królu, i w chwili dokonania obrzędu, ze łzami do nóg jego upadłszy, dziękowała gorąco niebu za szczęśliwie spełnione dzieło. „Wszyscy co ją wtenczas widzieli — powiada kronika współczesna — „uwierzyli więcej niż kiedy, iż była posłaną od Boga, a nie od złego ducha, jak głosili Anglicy“.

Ale tu był kres posłannictwa Joanny. Co było niepodobnem dla ludzi, Bóg cudownie przez nią wypełnił; resztę ludzie mogli dokonać. Ona sama czuła to dobrze, i wśród powszechnej radości i uwielbienia, dręczona wewnątrz przeczcuciem bliskich swoich cierpien i śmierci, prosiła usilnie króla, ażeby jej dozwolił wrócić do rodziców. „Oni tak będą radzi mię widzieć! — mówiła. Będę znowu pasła ich trzody i czyniła co mi rozkażą. Wola Pana mojego spełniona“. — Ale król nie dał się zmiękczyć. Jak gdyby na okazanie, jak rozum ludzki działa w odwrotnym stosunku z natchnieniem ducha Boskiego, wahano się powierzyć jej wojsko, gdy tego z woli Boga żądała; a wbrew jej woli zatrzymano wtenczas, gdy jej to głos wewnętrzny odradzał. Jakoż od tej chwili Joanna przestaje być przewodniczką natchnioną, i jest tylko wybraną ofiarą, którą na śmierć męczeńską prowadzą. Nie uczy już co czynić potrzeba, ale wypełnia z pokorą co jej pan ziemski rozkaże. W życiu swem równie bogobojna i skromna, w bitwach równie poświęcająca się i mężna; ale już ich losem nie rządzi. Sam tajemniczy ów miecz świętej Katarzyny, godło rycerskiego jej posłannictwa, skruszył się w jej rękę przypadkiem, i pomimo usiłowań płatnerzy, nie dał się już więcej naprawić. Sztandar swój wraz z całym rynsztunkiem zawiesiła w kościele świętego Dyonizego, na grobie tego świętego patrona Francyi, na podziękowanie Bogu, Najświętszej Pannie i świętym Męczennikom, za oka-

zane jej łaski. Ostatniem jej dziełem wojennem było zdobycie miasta Pierre-le-Moutiers, gdzie sama jedna, opuszczona od wojska, pod murami twierdzy zostawszy, głosem swym przywołała uciekających, i pierwsza przebywszy fosę, bramy miasta zdobyła. Ale zbliżał się kres jej przeznaczenia. W maju 1430 roku, (w rok po oswobodzeniu Orleanu), weszła z wojskiem do miasta Compiègne, obleżonego przez wojsko burgundzkie, i zaraz nazajutrz rano przedsięwzięła wycieczkę. Szczęście z razu sprzyjało Francuzom, ale w końcu liczba przemogła. Joanna ostatnia w odwrocie, nie pierwszej wejść chciała do miasta, aż ostatniego ze swoich w bezpieczeństwie obaczy. Tymczasem poznana po stroju i oskoczona od wrogów, przy samem już wejściu do bramy, którą przed nią nagle zamknięto, w niewolę pojmaną została. Głos publiczny oskarżał dowódcę twierdzy, Wilhelma Flavy, człowieka głośnego w całej Francyi z okrucieństw swych i bezbożności, iż z góry już oblegającym krew Joanny zaprzedał i umyślnie ją w niebezpieczeństwie opuścił. Ona sama zdała się o tem wiedzieć z natchnienia. Tegoż albowiem dnia, przed wycieczką, spowiadając się i komunikując w kościele św. Jakóba, rzekła do licznie zebranych tamże mieszkańców i dzieci: „Dobrzy moi przyjaciele, i wy kochane dziatki! powiadam wam niewątpliwie, że jest człowiek, który mię sprzedał; jestem zdradzona i jeszcze przed świętym Janem będę wydana na śmierć. Módlcież się za mną do Boga, proszę was, bo wkrótce nie będę już mogła służyć memu królowi, i szlachetnemu królestwu Francyi“. Odtąd wszakże po swoim pojmaniu, nie obwiniąla nigdy nikogo, i we wszystkim co się zdarzyło, Boską tylko wolę widziała.

Pojmanie Joanny było prawdziwym tryumfem dla Anglików; we wszystkich zajętych przez nich miastach, odśpiewano z rozkazu Regenta, uroczyste *Te Deum*. Żeby zaś dać wyobrażenie, jak dalece byli na nią zawzięci, dość jest powiedzieć, iż spalili na stosie uczciwą obywatelkę Paryża, za to tylko, że śmiała utrzymywać publicznie prawdę Boskiego posłannictwa Dziewicy. To też żeby ją dostać w swe ręce,

(była bowiem jeńcem księcia Burgundyi), po wyczerpaniu wszystkich środków proźby i groźby, nie wahali się nakoniec zapłacić mu za nią 10.000 liwrów; sumę, jaką naówczas za wykup tylko króla albo panującego księcia płacono, a za którą najbogatszy naówczas w chrześcijaństwie książę, gorliwy opiekun dawnej instytucji rycerstwa, ustanowiciel orderu Złotego Runa, nie wzdrygał się sprzedać krew dziewczyny, krew jeńca. Takie były obyczaje wieku. — Ale nie sama tylko chęć zemsty zapalała Anglików tą nienawiścią Dziewicy; najwyższy wzgląd ich polityki wymagał zarówno jej zguby. Jeśli bowiem była od Boga, prawo ich króla do korony francuskiej musiało być niesprawiedliwe i płońne; przeciwnie, tenże sam zarzut spadłby na stronę Karola VII, gdyby można było przekonać, że wszystko mocą tylko czarów, a więc z natchnienia złego ducha działała. To miało być głównym celem procesu, którego przewodnictwo przyjął na siebie biskup francuski z Beauvais, nazwiskiem Cauchon, w nadziei otrzymania w nagrodę za to arcybiskupstwa w Rouen.

Do tego to właśnie miasta, gdzie się znajdował małoletni Henryk VI, wraz z opiekunem swoim, kardynałem Winchester, przywieziono nakoniec Joannę. Osadzona w wieży zamkowej, zamknięta w żelaznej klatce, okuta ciężkimi łańcuchy, wystawiona na urąganie i obelgi żołądactwa, miała stanąć przed trybunałem duchownym, którego członków sam Cauchon wybierał. Ale Bóg jej i tu nie opuścił. Święte nawiedzały ją codzień. Miejsce archaniola bitew, Michała, zajął, podług jej zeznań, Gabryel, anioł łaski i miłości Boskiej. Duchy cieszyły ją i ośmielały; uczyły być cierpliwą i śmiałą, wesoło znosić męczeństwo; obiecywały tryumf i królestwo niebieskie. I tych to swych Boskich przyjaciół i pocieszycieli, zmuszano ją zaprzeć się przed sądem! I te to cudowne widzenia, chciano, aby sama wyznała, że od złego ducha pochodzą! Ale wszystkie podstępny i groźby, wszystkie męczeństwa i przygotowania tortury, nie zachwiały ani na chwilę dziewiętnastoletniej dziewczyny. „Przyszłam posłana od



Boga; spełniłam co Bóg mi rozkazał; nie mam tu do czynienia nic więcej; odeszlijcie mnie do Boga skąd przyszedłam. Wolałabym umrzeć sto razy, niżeli odwołać to, com z rozkazu Bożego spełniła. Wiem dobrze, że Anglicy chcą mnie skazać na śmierć, myśląc, że potem łatwiej zdobędą królestwo francuskie. Ale choćby ich było sto tysięcy razy więcej jak teraz, nie odmienią co Bóg przeznaczył. Te i tym podobne odpowiedzi, przytoczone przez Baranta, nie dopuszczały zarzutu czarnoksięstwa; trzeba więc było szukać innego — i znaleziono zarzut herezyi. Powodem były jej tajemnicze widzenia. Dziewica wierzyła w nie, równie jak w Boga. Kazano jej, aby swą wiarę pod rozwagę Kościoła poddała. „Kocham Kościół, i chciałabym go wspierać z całej siły; ale z dobrych dzieł, które spełniłam, winnam tylko zdać rachunek Bogu, który mnie posłał. Bóg a Kościół to jedno“. Natenczas powiedziano jej, że trzeba rozróżnić: że jest Kościół tryumfujący w niebie, to jest Bóg, święci i dusze zbawione i Kościół wojujący na ziemi, to jest papież, duchowieństwo i dobrzy chrześcijanie, i że temu to ostatniemu poddać się powinna. „Wierzę, odpowiedziała, że święty nasz Ojciec, biskupi, i inni mężowie Kościoła, postawieni są od Boga stróżami wiary chrześcijańskiej, i że powinni karać tych, co przeciw niej grzeszą. Ale ja nie zachwiałam się nigdy w tej wierze. Przyszedłam do króla Francyi od Boga, od Najświętszej Maryi Panny, od świętych Pańskich, od Kościoła tryumfującego, i temu Kościołowi poddaję siebie i wszystko, co uczyniłam, albo jeszcze uczynię“. — „A Kościołowi wojującemu?“ — „Nie na to nie odpowiem więcej, nad to, co już powiedziałam“. — I to to wzbranianie się Dziewicy, poczytano jej za największą zbrodnię, za dostateczny dowód herezyi; a przecież był to tylko skutek najczarniejszego podstępu jej wrogów, skutek jej najniewinniejszej prostoty. Jeden z sędziów, zausznic Cau-chona, ksiądz Mikołaj l'Oiseleur, pod maską duchownego jej ojca, przychodząc niby skrycie do więzienia, potrafił wkraść się w jej ufność, i wmówił w nią, że poddać się

Kościółowi, jest to uznać nad sobą prawo sądu, który ja sądził. Tenże l'Oiseleur stał się po tem jej spowiednikiem, i w całym ciągu procesu, same jej tylko zgubne odpowiedzi doradzał. Podczas zaś gdy z nią rozmawiał, ukryci po za drzwiami biskup z Beauvais i hr. Warwick, jeden z pierwszych lordów angielskich, chcieli spisywać wszystkie jej słowa, tylko, że przywiezieni razem notaryusze, okazali się szlachetniejszymi od nich i odmówili upadłającej posługi. Ale przecież i w gronie sędziów znaleźli się nakoniec ludzie, których litość i sumienie ruszyło. Trzej z nich udali się do jej więzienia, i starali się jej wytłómaczyć prawdziwe znaczenie wojującego Kościoła; że go składają właściwie papież i święte sobory, i że im śmiało poddać się i zaufać może. Jeden z nich nawet, brat Isambert, nie lękał się radzić jej publicznie przed sądem, aby się odwołała do powszechnego koncylium w Bazylei. „Co to jest koncylium?“ spytała. — „Jest to ogólne zebranie Kościoła, — odpowiedział Isambert — gdzie będzie tyluż kapłanów z twojej strony, co i ze strony Anglików“. — „O! kiedy tak, to się chętnie poddaje“. — „Milcz do stu tysięcy dyabłów!“ wrzasnął na Isamberta rozgniewany Cauchon, i odpowiedzi Dziewicy do protokołu wpisać zabronił. — „Niestety! rzekła łagodnie, wpisujecie przeciw mnie wszystko, a odrzucacie wszystko, co może być za mną. Wszakże niech będzie wola Boska nie moja“. Zaczny Isambert i towarzysze jego, zagrożeni przez Anglików, że ich do Sekwany wrzucić rozkażą, usunęli się z grona sędziów; inni też, korzystając z pozoru, zaczęli uciekać tłumnie od tego dzieła nieprawości, tak, że ze stu zasiadających z początku, trzydziestu ledwie w końcu zostało. Ale i tym nie dowierzał Cauchon. Sam, z kilku tylko zaufanymi, ułożył akt oskarżenia, którego drugim głównym artykułem, było noszenie przez nią męskiego ubioru. Pytana o przyczynę, odpowiedziała, że czyni to za radą swych głosów; widocznem jednak było, że miała i inne powody, których jej wstyd dziewiczy nie dozwalał wymienić, a sędziowie zgadnąć nie chcieli. Wystawiona na samotność rozbe-



stwowego żołnierstwa, z których trzech stało ciągle w jej izbie; strój ten był dla niej jedyną rękojmnią bezpieczeństwa. Jeden nawet z młodych lordów angielskich, zapewne z dozwolenia starszych, usiłował ją gwałtem znieważyć, i nie mogąc, uderzył w policzek. Skromność nie dozwoliła jej nawet uskarżać się na tę zbrodnię przed sądem, i tylko ją przed śmiercią na spowiedzi odkryła. Cauchon omylony w nadziei uczestnictwa ogółu sędziów, szukał upoważnienia swych kroków w zdaniu prawników świeckich, których rady niby zasięgał. Najznakomitszy z nich, Jan Lohier, nie wahał się oświadczyć, że cały proces, tak w zasadzie jak w formach jest całkiem zły i nieprawny, i że należy naprzód dodać obwinionej obrońcę. Dawca tej rady musiał ująć aż do Rzymu przed zawziętością Anglików. Cauchon zwrócił się więc do uniwersytetu w Paryżu i do kilku biskupów utrzymujących stronę angielską, i przesłał im fałszywy swój akt oskarżenia. Tym razem otrzymał co żądał. Wszyscy uznali Dziewicę winną herezy i odszczepieństwa. Zguba jej była już pewną; gdy zaś w tym czasie zapadła niebezpiecznie na zdrowiu, użyto wszelkich środków, aby ją uleczyć\*). „Za skarby świata, mówił hr. Warwick, król nie chciałby, aby umarła śmiercią naturalną; nie na to zapłacił za nią tak drogo“. Ozdrowiała, i wyrok zapadł; wyrok wyłączający ją z grona wiernych i z pod opieki Kościoła, i przekazujący ją władzy świeckiej, dla wymierzenia zasłużonej kary. Ale trzeba było jeszcze Anglikom, ażeby wprzód sama niejako sprawiedliwość tego sądu uznała. Udano się więc znowu do podstępu, i przygotowano straszliwą scenę, aby zatrwożyć obwinioną, a przynajmniej publiczność omamić. Dnia 24 maja 1431 roku, na placu przed kościołem św. Owena, wzniesiono dwa rusztowania: na jednym zasiadł kardynał Winchester,

---

\*) Podeczas tej choroby, czując się bliską zgonu, prosiła aby ją po śmierci ubrano w suknie niewieście; a kiedy ją pytano o przyczynę tej prośby, dodała za całą odpowiedź: „Błagam tylko, aby ta suknia była bardzo długa“.

Cauchon, i pozostali sędziowie, na drugie wprowadzono Joannę. U stóp jego stał wózek kata, mający ją niby odwieźć na spalenie na stosie. Jeden z doktorów w długim kazaniu nakłaniał ją do uległości. Dziewica słuchała cierpliwie. Ale gdy wspomniał króla Karola VII i nazwał go heretykiem: „Nieprawda! przerwała z żywością. Mów o mnie, a nie o królu. Mogę przysiąc pod karą śmierci, że król jest najlepszym chrześcijaninem, kochającym najbardziej wiarę i Kościół, a nie takim, jak go nazywasz!“ — „Każ milczeć tej dyablicy!“ krzyknął zapamiętały Cauchon. Po kazaniu mowca oświadczył jej, że musi podpisać abjuracyą. „Co to jest abjuracya?“ spytała. Wytlómaczono jej, iż jest to akt poddania się Kościołowi. „Jeżeli tak, to podpiszę“, rzekła. Ale nie o to chodziło. To, czego od niej żądano, było uznanie sprawiedliwości wyroku. Lecz w tem Dziewica była nieugięta. Anglicy zebrani na placu, sądząc, że ją chcą zbawić, zaczęli krzyczeć i ciskać kamieniami; Cauchon groził jej torturami i ogniem; l'Oiseleur, jako spowiednik, namawiał; inni szczerze poruszeni jej losem, błagali prawie ze łzami, ażeby się zgodziła podpisać, obiecując, że będzie uwolniona z więzienia Anglików i przejdzie pod dozór duchowny. Przeczytano jej krótką formułę w kilku wierszach, w której to tylko było wyrażono, że widzenia swoje i czyny poddaje pod zdanie Kościoła, a siebie pod pokutę kościelną, i że wyrzeka się męskiej odzieży. Nieszczęśliwa uległa nakoniec. Natychmiast podano jej inny papier, zawierający długie wyznanie, że wszystko co mówiła, było kłamliwem, oraz prośbę o przebaczenie jej zbrodni. Jeden z sekretarzy królewskich ujął jej rękę i podpisał znak krzyża u spodu. Naówczas Cauchon odczytał przygotowany już wyrok, skazujący ją „na chleb boleści i na wodę pokuty“, i wbrew poprzedniej obietnicy, do dawnego więzienia odesłał. Anglicy, i sam hr. Warwick, obwiniali Cauchona o zdradę. „Nie bójcie się, rzekł im z uśmiechem, wkrótce złapiemy ją znowu“.

Jakoż zajęto się niezwłocznie wynalezieniem powodu, aby wznowić poprzedni wyrok. Zostawiono umyślnie ubiór

męski w więzieniu, ażali go przywdziać nie zechce. W tymże czasie podwojono srogość i brutalstwo, zakuto w cięższe łańcuchy, i nie zaniedbano niczego, aby ją przywieść do rozpacz. Widząc wreszcie, że się nie daje pojmać w zastawione sidła, zabrano jej podczas snu suknie niewieście i zostawiono tylko strój męski. „Panowie! rzekła budząc się do żołnierzy, ja tego odzienia nie włożę; wiecie, że mnie to zabroniono“. Sprzeczka trwała aż do południa; nakoniec, po daremnych błaganiach, musiała wstać i odziać się czem mogła. Anglicy na to tylko czekali. „Złapana!“ wołał uradowany Warwick. Cauchon pośpieszył do więzienia i wyrzucając jej popadnięcie w herezyą, zapytał z urąganiem, żali nie słyszała znowu swych głosów. „Tak jest, zawołała z zapalem i Bóg oznajmił mi przez nie, że to był żal, dla ocalenia życia podpisywać waszą abjuracyą. Uczyniłam to przez bojaźń ognia; ale wolę sto razy umrzeć, niżli kiedykolwiek odwołać, że głosy me były od Boga“. W tych słowach był wyrok jej śmierci.

Dnia 30 maja, w tydzień po owem podpisaniu abjuracyi, wstąpiła na stos męczeński. Kapłan, który ją wyspowiadał w więzieniu, i zacny ów brat Isambert, szli obok przy wózku katowskim, na którym ją w szatach niewieścich na plac egzekucyi wieziono. Ośmiuset Anglików w pełnej zbroi, otaczało ją wkoło. W drodze modliła się tak rzewnie, i żaliła się tak łagodnie, że wszyscy Francuzi płakali. Sam nawet l'Oiseleur, ów fałszywy spowiednik, przedarł się przez tłum do wózka, wyznał swój grzech i błagał o przebaczenie. Anglicy chcieli zabić go za to.

Na wielkim rynku przed ratuszem, wzniesiono znowu dwie galerye: na jednej był kardynał i biskupi, sędziowie świeccy i duchowni na drugiej. Joannę stawiono przed nimi. W głębi placu wznosił się stos, przerażający swą wysokością, a to w tym celu, aby dłużej cierpiała. Po wysłuchaniu wyroku śmierci, Dziewica upadła na kolana, i w rzewnych słowach polecała swą duszę Bogu, Najświętszej Pannie i Świętym, przebacząc wszystkim i prosząc o przebaczenie; na-

dewszystko zaś błagając księży, aby odprawili mszę za jej duszę. Głos jej tak był przenikający, że nikt od łez wstrzymać się nie mógł. Tymczasem zgromadzeni Anglicy niecierpliwił się tą zwłoką; wściekłe okrzyki wzniosły się na placu. Słudzy sądowi sprowadzili ją na dół. Natychmiast rozjuszony żołnierstwo porwało ją i wlokło do stosu. Widok ten był tak przerażający, że biskup z Noyon i wielu sędziów, porwali się z miejsc swoich, i łkając głośno, zbiegli z rusztowania i schronili się do domów. Ona wszakże, krzyż przyciskając do piersi, i nie przestając się modlić, szła na śmierć spokojnie i cicho; żaden wyraz rozpaczyny skargi nie wyrwał się z jej serca. Wstąpiwszy na wierzch stosu, i przywiązana do pala, nad którym był napis w języku francuskim: „*heretique, relapse, apostate, idolatre*“, poglądając na miasto zawołała: „Ach! Rouen, Rouen! boję się, abyś za śmierć moją nie ucierpiał!“ Ujrzawszy w tej chwili Cauchona, który się śmiał zbliżyć do stosu, rzekła doń głosem łagodnym: „Biskupie! umieram przez ciebie! Gdybyś mnie zamknął w więzieniu duchownem, nie byłoby to nastąpiło. Apeluję od ciebie do Boga, do wielkiego sędziego krzywd i niesprawiedliwości, które nademną spełniono“. W tej chwili kat podłożył ogień. „Jezus!“ krzyknęła z przestachem i prosiła o wodę święconą. Spowiednik jej jeszcze był przy niej. Bojąc się oń, zmusiła go, aby zstąpił natychmiast. „Ale stój blisko na dole, rzekła, i podnieś krucyfiks wysoko, abym go mogła widzieć do końca“. Gdy już płomienie gorzały, zawołała donośnym głosem: „Tak jest, głosy moje były od Boga; wszystko uczyniłam przez Boga!“ I gdy już ją ogień ogarnął, słyszano jeszcze głos jej modlitwy, i ostatnie jej słowa były: „Jezus, Jezus, Jezus!“

Jęki i łkania rozległy się na placu; niektórzy tylko Anglicy przymuszali się do uśmiechu. Jeden z nich w zapamiętaniu, przysięgał był, że własną swą ręką głównię do jej stosu dorzuci. Jakoż spełnił swą obietnicę; lecz w tejże chwili padł twarzą na ziemię i zemdlął. Było to właśnie, gdy Dziewica konała. Przywrócony do zmysłów, przysięgał

publicznie, i tegoż dnia na spowiedzi wyznał przed bratem Isambertem, iż widział z ostatniem technieniem wylatującą z ust jej białą gołębicę. Inni widzieli imię Jezus, napisane ogniem nad stosem. Kat także, z wielkim przestachem, spowiadał się tegoż wieczora, rozpaczając o przebaczeniu Bożem. Jeden z sekretarzy angielskiego króla, nie lękał się zawołać głośno: „Wszystko stracone! spaliliśmy świętą!“ — „Tak jest, woła w uniesieniu historyk francuski Michelet, w obliczu religii, w obliczu ojczyzny, Joanna d'Arc była świętą!“ Papież Pius II, zowie ją w pismach swoich natchnioną duchem Bożym, (*afflata spiritu divino*). W kilka lat później, oprócz miasta Calais, noga angielska nie pozostała na ziemi francuskiej\*).

Taką była Joanna d'Arc w historii; rzecz naturalna, że nie mogła pozostać obojętną dla sztuki: będąc najwyższą poezją ludzkości, uosobieniem najwyższych światowych i religijnych ideałów średniego wieku: Dziewica, Rycerka, Natchniona i Męczennica. Stos jej też, można powiedzieć, był zarazem pogrzebnym stosem i ostatnim odbłyśkiem poetyckich idei wieków średnich; od ostygłych jego popiołów, zaczynają się wieki nowożytnie. Blask jego w historii, będzie zawsze sygnałem, wołającym na drogę wiary dusze błądzące w mroku wątpliwości lub w labiryntach ziemskiego rozumu. Czuł to zapewne Wolter, i będąc się potęgi tego niezaprzeczonego świadectwa wyższych objawień, wobec własnego narodu, który chciał omamić: obrócił przeciw niemu broń bluźnierczego szyderstwa i śmieszności. Inni poeci francuzcy, Chapelain, Astezano i t. p., nie dorównali talentem wysokości przedmiotu. Szekspir, w stroniczej dzikości, w tragedyi swej „Henryk VI“ wystawia Joannę jak czarownicę. Dopiero Robert Southey, usiłował

---

\*) Wszystkie powyższe szczegóły i słowa Joanny, wzięte są z „Historyi Książąt Burgundzkich“ przez Baranta, i z „Historyi Francuskiej“ przez Micheleta, którzy je czerpali z akt jej procesu i dwukrotnej jego rewizyi w latach następnych.

naprawić krzywdę poprzednika, i poświęcił na cześć jej całe poema bohaterskie. Nikt wszakże nie oddał jej piękniejszego hołdu jak Szyller. Odstąpił on wprawdzie od szczegółów historycznych, zewnętrznych, ale nigdzie od prawdy duchowej faktu. Joanna w sztuce jego jest taką, jaką była w istocie. Celem poety była nie sama tylko osobista historia Joanny, ale też razem historia natchnionego ducha w człowieku, we wszystkich swych najważniejszych epokach. Epoki te w sztuce jego są: Powołanie: światło łaski zstępujące z wysoka; siła ducha gromadząca się wewnątrz; wyrzeczenie się ziemi dla nieba. Działanie: moc cudowna nad wypadkami i ludźmi; pokorna bierność woli i natury ludzkiej. Doświadczenie: pokusa (Czarny Rycerz), ułomność serca bez uczestnictwa woli; żal i pokuta. Zlitowanie: powrót łaski i mocy, jak rzeczywiście w Joannie przed męką; i nakoniec Ofiara, potwierdzająca prawdę; i nagroda wszystkiego — po krótkiej boleści na ziemi, wiekuista radość w niebiesiech.

~~~~~

## OSOBY :

KAROL VII, król francuski.

KRÓLOWA IZABELA, jego matka.

AGNIESZKA SOREL.

FILIP, zwany Dobrym, książę Burgundyi.

HRABIA DUNOIS, poboczny syn księcia Orleanu.

LA HIRE.

DU CHATEL.

ARCYBISKUP Z REIMS.

CHATILLON, rycerz burgundzki.

RAOUL, rycerz z Lotaryngii.

TALBOT, wódz naczelny Anglików.

LIONEL, }  
FASTOLF, } wodzowie angielscy.

MONTGOMERY, rycerz z Walii.

RADZCY MIEJSCY z Orleanu.

HEROLD ANGIELSKI.

TEOBALD D'ARC, zamożny wieśniak z Dom-Remy.

ANNA, }  
ANIELA, } jego córki.  
JOANNA, }

STEFAN, }  
KLAUDYAN, } młodzi pasterze z Dom-Remy.  
RAJMUND, }

BERTRAND, wieśniak.

RYCERZ CZARNY.

WĘGLARZ i jego ŻONA.

Żołnierze. — Lud. — Służba królewska. — Księża. — Marszałkowie. — Członkowie magistratu. — Dworzanie i orszak koronacyjny.

(Rzecz dzieje się w latach 1429—1431).



## PROLOG.

---

Teatr wystawia wiejską okolicę, w bliskości wsi Dom-Remy.  
Na prawo widać obraz Najświętszej Panny, w małej muro-  
wanej kaplicy, na lewo stary i wysoki dąb.

### SCENA I.

TEOBALD D'ARC, ANNA, ANIELA, JOANNA (*ostatnia zbiera  
kwiaty i wiąże je w wieniec*), STEFAN, KLAUDYAN, RAJMUND.

TEOBALD.

Tak jest, sąsiedzi! dziś jeszcze się zwiemy  
Synami wolnej, francuskiej ojczyzny;  
Dziś jeszcze swoim nazywać możemy  
Kraj ten, krwią ojców i znojem ich żyzny.  
Ale któż zgadnie, jakich jutro panów  
Znosić nam przyjdzie? — Zewsząd od Loary,  
Tratując końmi plony naszych łąnów,  
Anglik zwyciężkie potrząsa sztandary.  
Niewierny Paryż czei go śród swych progów,  
I Dagoberta, dotąd nieskażoną,  
Świątą, odwieczną, rycerską koroną  
Wieńczy niemowlę z pokolenia wrogów.  
A król nasz prawy — o! hańbo i wstydzie!



Wnuk królów naszych, Pański pomazaniec,  
Lud swój o wsparcie próżno błagać idzie,  
W państwach swych własnych błądzi jak wygnaniec.  
A przeciw niemu, wpośród krwi i gruzów,  
Najbliższy z krewnych, najpierwszy z Francuzów,  
Ha! własna matka — potwór pełen zgrozy!  
Nieprzyjacielskie prowadzi obozy.  
Wioski i miasta jedną wielką łuną  
Świecą ich drodze; a dym i popioły,  
Kłębiąc się nakształt czarnej chmury suną,  
Ćmiąc kirem niebo i kraj nasz wesoly. —

A więc, sąsiedzi! zgodnie z wolą nieba,  
Dziś zabezpieczyć chcę i przedsięwziąłem  
Los córek moich; bo dziś to im trzeba  
Męża obrońcy; a dzielona społem  
Miłość, pomaga znieść wspólną niedolę.

*(Do pierwszego z pasterzy)*

Zbliż się, Stefanie! — wiem, że kochasz Annę.  
Z pastwiskiem mojem graniczy twoje pole;  
Wzrosłicie razem: — przywiązanie ranne  
Szcześliwe wróży stadło.

*(Do drugiego)* Klaudyanie! —

Cóż to? drżysz cały — i mojej Anieli  
Twarz, widzę, zbladła. — Skąd to nieufanie?  
Zaliż myślicie, że ojciec rozdzieli,  
Co Bóg połączył: dla tego, że łanu,  
Że skarbu nie masz równego jej wianu? —  
Któż dziś ma skarby? — Dom, stodoła, trzody,  
Są pastwą ognia, lub pierwszego wroga;  
Ale dłoń męża, śmiała na przygody,

Ale pierś męża, co nie zna co trwoga,  
To skarb, co żadnej nie boi się szkody,  
To puklerz lepszy niż zamki i grody!

ANIELA.

Ojcze!

KLAUDYAN.

Anielo!

ANIELA (*ściskając Joannę*).

Siostro moja droga!

TEOBALD.

Każdej z nich daję tyle, com zostawił  
Pola sam sobie, i trzodę w wyprawie;  
Dom i zagrodę. — Bóg mnie błogosławił,  
Z Bogiem, jak ojciec, ja was błogosławię.

ANNA (*do Joanny*).

Czyż i ty ojca nie zechcesz pocieszyć?  
Młodsza, z sióstr starszych niechby przykład brała.

TEOBALD.

Idźcie! — ślub jutro — potrzeba się śpieszyć.  
Gościem na godach będzie wioska cała.

(*Obie pary biorą się za ręce i odchodzą*).

## SCENA II.

TEOBALD, RAJMUND, JOANNA.

TEOBALD.

Joanno! czemu nie idziesz ich torem?  
Widok ich szczęścia cieszy starość moję;  
Ty, ty mię tylko trapisz swym uporem.

RAJMUND.

Dość, ojcze! przestań martwić dziecię swoje.

TEOBALD (*wskazując na Rajmunda*).

Oto jest młodzian, ozdoba wsi całej.  
Pilny, poczeiwy! — już to trzecie żniwo.  
Jak tając boleść, pokorny a stały.  
W sercu ku tobie żywi miłość tkliwą.  
A ty, ty zimna, zasklepiona w sobie.  
Ulżyć mu nawet nie umiesz cierpienia:  
Ani widziałem, by kto inny w tobie  
Obudził tkliwsze czucia lub wzruszenia.  
A jednak widzę, że piękność dziewczęca  
Zewsząd ku tobie ciągnie serca ludzi:  
Anielska słodycz twojego oblicza.  
Blask twego oka podziwienie budzi.  
Bóg cię obsypał, jako drzewo kwiatem.  
Dary swoimi; lecz czyliż dożyję,  
Że miłość kiedyś, jako słońce latem,  
Szcześcia twojego owoc z nich wywije?  
Bo serce zimne, nieczułe za młodu,  
Lub znaczy ciężką pomyłkę natury.  
Lub wbrew jej woli popełnia grzech, który  
Zwarzy je samo tchem własnego chłodu.

RAJMUND.

Krzywdzisz ją, ojcze! — Miłość twej Joanny.  
Nie jest to owoc powszedniego drzewa.  
Szybko, jak rozkwitł, przemija kwiat ranny,  
Co ma trwać wiecznie — powoli dojrzewa.  
Myśl jej dziś jeszcze, jak ptak na swobodzie,

Buja po świecie, po wysokiem niebie,  
Bojąc się zniżyć ku wiejskiej zagrodzie,  
Gdzie mieszka troska, myśląca o chlebie.  
Widzę ją nieraz, gdy na wzniosłych górach  
Idzie za trzodą; lub na skał urwisku  
Nawpół ukryta w mgły porannej chmurach,  
Duma, podobna wietrznemu zjawisku.  
Jest coś w jej twarzy, w postaci, w jej ruchach,  
Co mimowolną cześć i trwogę budzi,  
I mimowolna myśl o wyższych duchach  
Łączy ją z nimi, i wznosi nad ludzi.

TEOBALD.

I to jest właśnie, co mię trwoży o nią.  
Obca wśród swoich; smutna, gdzie się śmieją:  
Pospalne lasy, odludne ustronie,  
To jej zabawa. Nim kury zapieją,  
Zrywa się z łoża, i w strasznej godzinie,  
Gdy każdy człowiek rad szuka człowieka,  
Cóż ją tak ciągnie w najdziksze pustynie,  
Że jak ptak nocny od ludzi ucieka?  
I wiem, że nieraz na rozstajnych drogach  
Rozmawia z echem, czy z wiatru powiewem;  
I niepamięta o ojca przestrobach,  
Godziny trawi pod tem zgubnem drzewem,  
*(wskazując na dąb)*  
Gdzie przed wiekami swe krwawe ofiary  
Święcił Druida: a dziś nikt z sąsiadów,  
Za skarby świata nie siadłby w mrok szary.  
Bo któż nie słyszał od ojców i dziadów  
Strasznych powieści i podań? — kto nie wie,

Jakie tu szatan widziadła i mary  
Wywodził nieraz: lub jakie na drzewie  
Słyszano głosy? — Mógłbym nie dać wiary:  
Leez sam — pamiętam — gdym był jeszcze młody.  
Wracając tedy — ja, ja sam widziałem,  
Widmo-niewiastę — olbrzymiej urody.  
Cała okryta jakby płótnem białem,  
Stała pod drzewem, i skinieniem dłoni  
Zwała mię k'sobie: — leez ufałem w Bogu.  
Szybko, nie patrząc, przebiegłem koło niej.  
I napół martwy padłem na mym progu.

RAJMUND (*wskazując na kaplicę*).

Leez skąd wiesz, ojeze! że ów obraz święty,  
Źródło niebieskiej łaski i otuchy,  
Nie ma dla córki twej większej ponęty,  
Niż to złowrogie drzewo z swemi duchy?

TEOBALD.

Nie, nie! niestety! — długo tak mniemałem.  
Leez sen mi odkrył prawdę tajemnicy. —  
Trzykroć się zdało, że ją w Reims widziałem  
Zasiadającą na królów stolicy.  
Siedm gwiazd jej skronie otaczało kołem.  
A z berła w ręku, trzy lilije białe,  
Jak z pnia żywego wykwiwały społem.  
Biskupi, wodze, wojsko zda się całe.  
Ja — sam król nawet, bili przed nią czołem.  
A okrzyk ludu ogłaszał jej chwałę.

Skądże to? — czyliż spodziewać się mogę.  
By w mej lepiance taki blask się zjawił? —

Nie! — Bóg to we śnie zesłał mi przestroge.  
W widzeniu pychę myśli jej objawił.  
Wstyd jej niskiego stanu poniewierki,  
I że zbyt wiele wzięła z ręki Pana,  
Że się zna wyższą nad inne pasterki,  
Nie chce znać granic duma rozigrana.  
A grzech to przecież, co aniołów chóry  
Potrafił w przepaść, i najpierwszych ludzi  
Wygnał z bram raju: i aż do tej pory,  
Przezeń to szatan najłatwiej nas łudzi.

RAJMUND.

Mylisz się, ojcze! — bo w czemże jej pycha?  
Kto tu jej równy? — a przecież, znajdź drugą,  
Coby tak skromna, pokorna i cicha,  
Zdała się wszystkich najuboższych sługą!  
Kto z nas ją widział, by w pracy leniwa,  
Od powinności zraziła się trudem?  
Czyż pod jej ręką twe trzody i żniwa,  
Jakby widocznym nie mnożą się cudem? —  
W każdym jej czynie znać wpływ łaski Bożej,  
Co na nią zlewa szczęście niepojęte.

TEOBALD.

Tak, niepojęte! — i toć to mię trwoży.  
Nie wszystko bowiem nadludzkie, jest święte. —  
Lecz dosyć o tem! — Chciałżebym oskarżać,  
Ojciec swe dziecię? — lecz milczeć nie mogę.  
Nie! — jedno zawsze będę ci powtarzać:  
Pomnij na Boga, na ojca przestroge!  
Nie chodź tu sama ni we dnie, ni w nocy,

Nie błądź po polach przy księżycu blasku;  
Nie zbieraj nocnych ziół, nie śledź ich mocy.  
Ani kreśl znaków na wietrze, ni piasku! —  
Bo wiedz, o! córko! że ducha jaskini,  
Każda występna myśl nasza ośmiela.  
Nie stróż od ludzi! — pomnij, że w pustyni  
Szatan śmiał nawet zwodzić Zbawiciela.

### SCENA III.

CIŻ I BERTRAND *(wchodzi, trzymając hełm w ręku)*.

RAJMUND.

Patrz! Bertrand wraca! — Cóż to? z hełmem w dłoni?

BERTRAND.

Dziwno wam, widzę, że wracam tak zbrojny.

TEOBALD.

Skąd masz ten szyszak? — W spokojnej ustroni,  
Znakiem złej wróżby zda się godło wojny.

*(Joanna, która dotąd milcząc z obojętnością stała na stronie  
zbliża się i nagle słucha z uwagą).*

BERTRAND.

Słuchajcie! jest w tem jakby trochę cudu.  
Byłem w Vaucouleurs. — W mieście, na ulicy,  
Na rynku, wszędzie tłum i ciżba ludu: —  
Orlean bowiem napadli Anglicy,  
I kto mógł stamtąd ucieka w te strony.

Patrzając więc na nich, idę zamysłony;  
Aż na zakręcie, zjawia się przede mną  
Jakaś cyganka; urody olbrzymia,

Czarna, okryta jakąś płachtą ciemną,  
Idzie wprost do mnie, a hełm w ręku trzyma,  
I wzrok swój we mnie wlepiwszy, powiada:  
„Wiem, szukasz hełmu; — masz! tanio go przedam.“ —  
— „A mnież to na co? — rzekłem — co mi nada?  
„Jam, Bogu dzięki, nie żołnierz; — nie nie dam.“ —  
A ona znowu: „Bracie! czas wojenny;  
„Hełm dziś pewniejszą ochroną dla głowy,  
„Niż dach miedziany, albo mur kamienny!“ —  
I krok w krok za mną, z podobnemi słowy,  
Idzie przez miasto, i hełm swój podaje  
Zniecierpliwiła mię w końcu: — więc staję,  
Biorę go w ręce: myśląc, że jak zganę,  
Da mi już pokój; — lecz patrzę, robota  
Cudna, i kruszec, i droga pozłota —  
Rycerz go mógłby użyć za ubranie,  
Gdy go więc ważę i probuję dźwięku,  
Coś mi się nagle migło przed oczyma —  
Spojrzę — cyganki przede mną już niema;  
Szukam — napróżno! — hełm został w mym ręku.

JOANNA (*przystępując szybko*).  
Daj mi go!

BERTRAND.

Na co? — Blask wojennej stali  
Dziko odbija na dziewiczym czole.

JOANNA (*wyrywając hełm*).

Daj mi go! mówię. — Dla mnie go przystali!

TEOBALD.

Co tej dziewczynie?



RAJMUND.

Zostaw jej swą wolę!

Strój ten rycerski przystoi dziewicy,  
W której też piersiach tchnie serce rycerza. —

Któż nie pamięta w naszej okolicy,  
Jak dzieckiem prawie pokonała zwierza,  
Wilka-hyene, który tak bezkarnie  
Pustoszył nasze trzody i owczarnie?  
Z rąk młodzi naszej wypadała dzida  
Na widok jego; pierzchali — a ona,  
Jakby w nią z góry wstąpił duch Dawida:  
Dziewica, sama, lecz nieustraszona,  
Z pasterską tylko laską w słabej ręce,  
Puszcza się w pogoń za mordercą trzody,  
I młode jagnię, co już niósł w paszczęce,  
Beczając matce powraca bez szkody! —

O! czyjekolwiek hełm ten zdobił skronie,  
Godniejszych nie mógł!

TEOBALD (*do Bertranda*).

Cóż opowiadali

Ci z Orleanu? Gdzie król? w jakiej stronie  
Jest wojsko nasze?

BERTRAND.

Bóg się niech użali

Ziemi francuskiej! bo dłoń Jego kary  
Cięży nad nami. — Znowuśmy przegrali  
Dwie krwawe bitwy. — Anglik wzdłuż Loary  
Stanął obozem — rabuje i pali,  
I obległ zewsząd mury Orleanu.

TEOBALD.

Boże! strzeż króla!

BERTRAND.

Mówią, co widzieli,  
Że jak szarańcza, gdy padnie śród łąnu,  
Jak pszczoły w ulu — rój nieprzyjacieli,  
Nieprzeliczony — jak oko zasięga,  
Zaczernił wkoło równiny i wzgórza.  
Cała Burgunda zebrana potęga,  
Od gór szwajcarskich do zimnego morza;  
Ludzie różnego narodu i stanu,  
Różnych języków, zgromadzeni razem,  
Przysięgli, mówią, zgubę Orleanu,  
I chcą go zniszczyć ogniem i żelazem.

TEOBALD.

O! straszne czasy! gdy się brat krew brata,  
Ziomek krew ziomka przelewać ośmiela! —  
Mściwy Burgundzie!

BERTRAND.

Gorszy wzór dla świata!  
Matka królewska, dumna Izabella,  
Jest też z Filipem. — Konno, w pełnej zbroi,  
Przejeżdża szyki; błaga i zaklina  
Wszystkich o pomstę — niby krzywdy swojej —  
Matka! o pomstę przeciw swego syna!...

TEOBALD.

Oby skończyła jak owa, do której  
Tak jest podobną z pychy i imienia!  
Sprośna Jezabel!

BERTRAND.

Straszny Salisbury

Stoi na czele wojsk i oblężenia.

Przy nim Lionel, i tygrys niesyty

Krwi naszej — Talbot. Trzy wysokie wieże

Wzniesli przed miastem: — na jednej rozbity

Namiot ich wodza, z którego on strzeże

Poruszeń miasta; z dwóch drugich, dzień cały

Ogniste kule miota naksztalt gromów.

Półowę miasta gruzy zasypały,

Mieszkańcy giną pod zwaliskiem domów.

Sam katedralny ów kościół wspaniały

Najświętszej Panny, od gęstych wyłomów

Grozi upadkiem; — a prochowe miny,

Ten wymysł piekieł — podkopane wszędzie.

I nikt tam nie wie dnia ani godziny,

Gdy na sąd straszny powołany będzie.

*(Joanna słucha z natężoną uwagą i z wolna wkłada hełm na głowę).*

TEOBALD.

Lecz gdzież są nasi waleczni obrońcy,

La Hire i Santrilles, i niewyciężony

Dunois? — Gdzie są? że tryumfujący

Wróg tak się wdziera w nasz kraj opuszczony?

Gdzie król? — Czyż zawsze jako zimny świadek,

Patrzy na państwa, na miast swych upadek?

BERTRAND.

Król z dworem bawi w Chinon: — lecz śnać nie ma

Dość wojska z sobą, by wyjść przeciw wroga.

Lecz choćby wyszedł — czyż garstka dotrzyma

Pola tysiącom: gdy strach, jak od Boga,  
Jako zaraza powiał w serca ludzi,  
I w najmeźniejszych krew i zapal mrozi? —  
Próżno głos wodzów nadzieję w nich budzi,  
Ojczyzna błaga, i monarcha grozi.  
Jak trzoda owiec, gdy ją zwierz napadnie,  
Francuz niepomny swej sławy od wieka,  
Kupi się tylko i pierzcha bezładnie,  
Lub zgiąwszy szyję, na miecz wroga czeka! —

Jeden się tylko znalazł, jak słyszałem,  
Co zebrał kilka chorągwi konnicy,  
I w pomoc króla, z tym małym oddziałem  
Ciągnąc, po naszej błędzi okolicy.

JOANNA (*prędko*).

Jak imię jego?

BERTRAND.

Baudricourt. — Lecz czyli  
Zdoła się przerznać, i pogoń omyli?...  
Wątpię — bo zewsząd ściskają go wrogi.

JOANNA.

Wiesz gdzie on teraz?

BERTRAND.

O dzień ledwo drogi  
Od Vaucouleur'u.

TEOBALD (*do Joanny*).

Skąd ci to pytanie,  
W rzeczach, co wcale nie tyczą się ciebie?

BERTRAND.

Że wróg tak mocny, a król nasz nie w stanie

Dać nam odsieczy, ni wsparcia w potrzebie:  
W Vaucouleurs przeto dziś mają uchwalić,  
Że Burgundowi poddać się należy.  
Bo tak i miasto może się ocalić  
Od angielskiego jarzma i łupieży,  
I nam, z pod władzy pokrewnego księcia,  
Łatwiej powrócić do prawego pana,  
Gdy sytych wreszcie wspólnego zawzięcia,  
Złączy znów kiedyś zgoda pożądana.

JOANNA (*występując z zapalem*).

Żadnych układów! żadnego przymierza!  
Bo przyszła chwila, że wstanie obrońca.  
Pod Orleanem wróg kresu domierza,  
Dzień chwały jego chyli się do końca!  
Dojrzał na zgubę, jako plenna niwa,  
I już żniwiarka, z krwawym sierpem w ręce,  
Zbliża się, — przyjdzie — i z wzgardą pozrywa  
Z gwiazd, dumy jego rozwieszzone wieńce! —  
Nabierzcież serca, ludzie małej wiary!  
Bo nim ten księżyc dojdzie pełni swojej,  
Żaden angielski koń z nurtów Loary,  
Żaden krwią naszą wróg się nie napoi! —

BERTRAND.

Minął czas cudów!

JOANNA.

Nie! — przyszedł czas cudu!  
Biała gołąbka wzleci orła lotem,  
Spadnie na sępów, cheiwych krwi jej ludu,  
Skruszy Burgunda zdrajcę — i z Talbotem,

Bluźniercą nieba — i z owym ponurym  
Łupieżcą świątyń, dzikim Salisburym —  
I z tym Fastolfem — i z tymi wszystkimi  
Najeźdźnikami naszej pięknej ziemi,  
Łamać się będzie — i wszystkich wyżenie,  
Jako lew trzody, lub tygrys jelenie.  
Bo Pan z nią będzie: — bo jak wiatr pałacy,  
Duch Jego przed nią: — bo On jej prawicy  
Da siłę śmierci — i w słabej dziewicy,  
Okaze światu, że On wszechmogący!

TEOBALD.

Co za duch, przebóg! opętał dziewicę?

RAJMUND.

Hełm to w niej budzi ten zapal wojenny. —  
Ale patrz, ojcze! patrz na jej źrenice,  
Co w nich za jasność! co za blask promienny!

JOANNA (*z wzrastającym zapalem*).

Krajby nasz upadł? — kraj zwycięstw i chwały,  
Raj krajów świata, wybrany od Boga?  
Dzieci by jego wiecznie dźwigać miały  
Hańbiące więzy zamorskiego wroga? —  
Nie! — tu runęła moc poganów dzika,  
Krew męczenników oblała tę ziemię;  
Tu leżą prochy świętego Ludwika,  
Skąd odzyskano grób w Jeruzalemie!...

BERTRAND (*z podziwieniem*).

Któżby nie wierzył, że mówi natchniona? —  
Bóg ci, sąsiedzie! dał cudowne dziecię.

JOANNA.

Naszych że królów odwieczna korona  
Pójdzie w pogardę, lub zniknie na świecie? —  
Gdzie są królowie, by jej byli godni,  
Prócz królów naszych? — Rolnika obrońcy,  
Opiekunowie wszystkiego — prócz zbrodni:  
Dawce i stróże swobód: — panujący  
Z Bogiem po ludzku: — sędziowie łagodni,  
Straszni rycerze — lecz nienastający  
Na własć sąsiada, ni ludu szczęśliwość! —  
W cieniu ich tronu, trzy lilije białe  
Rozkwitły: — Wiara, Miłość, Sprawiedliwość.  
A woń ich święta tełnie na państwo całe!... —

Czyliż król, obcej wychowaniec ziemi,  
Którego przodków nie tu prochy leżą,  
Co dzieckiem z dziećmi nie igrał naszymi,  
Młodzieńcem z naszą nie kochał młodzieżą:  
Któremu słowa naszej pięknej mowy  
Cezym tylko dźwiękiem; pamięć wielkich czynów  
Przeszłości naszej, chwały narodowej,  
Nie zabrzmi w duszy jak pieśń cherubinów: —  
Będzie on ojcem swej ojczyźnie nowej?  
Lub czyż w niej dla się znajdzie miłość synów? —

TEOBALD.

Boże! zachowaj Francją i króla!  
Lecz nie nam dumać o losach mocarzy! —  
Wieśniak pilnuje swej chaty i pola,  
I czeka, komu Bóg zwycięstwo zdarzy.  
Bo losem bitew Boska rządzi wola,  
Bo los narodów Bóg w swej ręce waży.

Dla nas ten będzie pomazaniec Boży,  
Kto w Reims koronę królów naszych włoży. —  
Lecz czas do pracy! — W naszym niskim stanie,  
Dość myśleć tylko o jutrze. — Królowie  
I radcy królów, niech myślą o zmianie  
Przyszłości świata; — bo na ich to głowie  
Leży świat cały. — Mniejsza nasza troska.  
Co bądź się dzieje, my możemy spokojnie  
Patrzyć na przyszłość. — Bo ta ziemia Boska,  
Co nam uprawiać kazał: — choć ją zbrojnie  
Najdzie i zdepcze wróg; choć dom i wioska  
Ulecą z dymem: — ona znów nam hojnie  
Nagrodzi stratę; — bo gdzie szczerza praca,  
Gdzie ufność w Bogu — szczęście prędko wraca.

*(Odchodzą wszyscy prócz Joanny).*

#### SCENA IV.

JOANNA *(sama)*.

Góry wy moje, wy pola rodzinne!

Joanna wiecznie, wiecznie żegna was.

Przeszły jej lata, jej mary dziecinne,

Swobody serca przeszedł dla niej czas.

Z wami me były zabawy niewinne:

Tu mi z wiatrami mroczny śpiewał las;

Tu zdrój kryształę przetaczając płynne,

Dźwiękiem harmonii słodki zwabił wczas.

Tu łąk tych wonnym owiana oddechem,

Pieśnią z tych dolin rozmawiałam echem.



Kwitnijcie w ciszy i miłej pogodzie!

Mnie tam w kraj burzy i piorunów zwa.  
Trzody wy moje! igrajcie w swobodzie!

Pasterka wasza traci wolę swą.  
Innej ja teraz przewodniczyć trzodzie

Pójdę na pola — ludzką zlane krwią!  
Pehnie mię i ciągnie moc wyższego ducha,  
Nie żądza sławy, nie szczęścia otucha.

Bo Ten, co niegdyś ogniem na Horebie,  
W duszę Mojżesza swoją wolę tchnął,  
I Izajasza pacholę, do siebie

Wzniósł, i z przyszłości chmurę przed nim zdjął:  
On, Wszechmogący na ziemi i niebie,

On mnie pasterkę za swą sługę wziął;  
I z drzewa tego tchem wiatru rzekł do mnie:  
„Idź, i na ziemi daj świadectwo o mnie!

„Uzbrój twe serce, jak twą pierś dziewiczą,

„Piersi i serce w twardą odzież stal!

„A wzgardź miłością i ziemską słodyczą,

„Zamrzyj na ziemskie wesele i żal!

„Ani się chwałą daj unieść zwodniczą,

„Ale mnie tylko każdem dziełem chwal!

„Bo ja to będę, co sławy wojennej

„Na skronie twoje dam wieniec promienny.

„I gdy wróg hardy moc Francyi zetrze,

„Gdy zadrżą przed nim rycerze i król;

„Ty mą chorągiew roztoczysz na wietrze,

„Ty, jak żniwiarka plony bujnych pól,

„Zmieciessz ich wojska — a strach jak powietrze  
„Wejdzie w ich piersi; — pomścisz wstyd i ból  
„Ojczyzny twojej, i przez cię zbawioną,  
„W Reims króla swego uwieńczysz koroną!“ —

Bóg znak swej woli miał mi zesłać w porę;  
Hełm ten jest znakiem — On go zesłał mnie!  
Nie ziemski ogień we krwi mojej gore.  
Nie ziemskie męstwo w piersiach moich teźnie.  
Ty mi daj, Panie! stałość i pokorę.  
Bym mogła godnie spełnić dzieło Twe! —  
Głos trąb wojennych już słyszę w mem uchu —  
Stało się! wiedz mię, tajemniczy Duchu! (*odchodzi*).

## AKT PIERWSZY.

Obóz króla Karola pod Chinon.

### SCENA I.

DUNOIS I DUCHATEL.

DUNOIS.

Nie! zostać dłużej nie chcę i nie mogę.  
Opuszczam króla, co się sam opuszcza.  
Cóżbym tu czynił? — radę i przestrozę  
Obrazą tronu zwie dworaków tłuszcza.  
A we mnie serce zalewa się łzami,  
Widząc jak wrogi dzielą naszą ziemię;  
Jak ku nim miasta wychodzą z kluczami,  
Jak lud nasz cierpi — i jak tu król drzemie!  
Słyszę, że bliska zguba Orleanu —  
Rzucam się na koń; z brzegów oceanu  
Pędzę, przybywam — drżąc, zali już może  
Król nie zwiódł bitwy; pewny, że już stoi  
Na czele wojska; — a on tu, na dworze,  
Z trubadurami swoją arfę stroi!  
Śpiewa ballady — lub u stóp Agnieszki.  
Wzdycha, i świetne wyprawia biesiady,

Jakby na świecie nie było zamieszki!... —  
To nadto! — idę w Konetabla ślady.  
Opuszczam wojsko i kraj; — ale biada.  
Biada nam wszystkim!

DU CHATEL.

Cicho! król na progu.

## SCENA II.

CIŻ I KRÓL KAROL.

KRÓL.

Konetabl miecz swój odesłał, i składa  
Urząd swój w ręce nasze. — Dzięki Bogu!  
Mniej będzie jednym, co z całego świata  
Nieradzi, wszystkim mistrzowaćby chcieli.

DUNOIS.

Nie tak mnie małą zda się jego strata.  
Mąż taki dzisiaj wart tysiąc minstreli.

KRÓL.

Dunois! mówisz przez ducha przekory.  
Póki był z nami, waśniłeś z nim nieraz.

DUNOIS.

Prawda, że lubił i rad wszczynał spory.  
Nie wiedząc nigdy co wybrać: — lecz teraz,  
Wybrał najlepsze — i w czas się oddał  
Z miejsce, w których pobyt bez sławy i celu.

KRÓL (*urażony, z przekąsem*).

Dunois zawsze szlachetny! — wychwala  
Tylko za oczy. — Słuchaj. Du Chatelu!

Od króla René\* przybyli posłowie,  
Króla wesółych pieśni i pasterzy:  
Trzeba ich przyjąć: — wszyscy trzej bardowie,  
Każdemu złoty łańcuch dać należy.  
(*Do Dunois*) Czego się śmiejesz?

DUNOIS.

Że łatwo królowi  
Ze słów królewskich wiec złote łańcuchy.

KRÓL (*do Du Chatela*).

Cóż to?

DU CHATEL.

Niestety! gorzką prawdę mówi.  
Skarb twój, o królu! od dawna już suchy.

KRÓL.

To się postaraj skąd niebądź! — Śpiewacy  
Nie mogą od nas odejść nie uczczeni.  
Oni nam słodzą trud królewskiej pracy.  
Ich sprawą berło laurem się zieleni.  
Duch ich, sam twórcą swych wietrznych pałacy.  
Rządzi z nich sławą w czasie i przestrzeni.

\* René, zwany dobrym, hrabia Prowancyi, z domu andegaweńskiego (Anjou). Ojciec jego i brat byli królami neapolitańskimi, i on sam, po śmierci brata, rościł prawo do tegoż tronu, ale nie mógł dopiąć zamiaru. Wielki miłośnik starej prowanckiej poezyi i czasów rycerskich, usiłował w państwach swoich przywrócić jedno i drugie. Ustanowił, a raczej przywrócił tak zwany Trybunał Miłości (*Cour d'Amour*), na czele którego stał najwyższy sędzia, z tytułem Księcia Miłości (*Prince d'Amour*), rozstrzygający ostatecznie w rzeczach miłości i rycerskiej grzeczności dla dam. W tymże duchu romantyczności, oboje z żoną przebrali się za pasterzy i wiedli życie pasterskie.

Stąd się wieszcz z królem równać może śmieie —  
Obadwaj stoją na ludzkości czele.

DU CHATEL.

Królu i panie! oszczędzałem ciebie,  
Póki sam mogłem dać pomoc i radę;  
Lecz dziś wzgląd musi ustąpić potrzebie,  
Nie stać cię, panie! ach! nie na biesiadę,  
Nie na podarki — lecz na chleb powszedni!  
Niepłatne wojsko burzy się; — niejedni  
Broń już rzucili; — ledwie wiem co ranku.  
Jak dzień opatrzyć, twój i dworzan twoich.

KRÓL.

Obmyśl więc sposób; — zastaw w jakim banku  
Dochody celne, lub które z dóbr moich

DU CHATEL.

Cło na trzy lata zastawione z góry.

KRÓL.

Ziem przecież pięknych mamy jeszcze wszędzie.

DUNOIS (*z przekąsem*).

Tak! póki zechce Bóg i Salisbury.  
I niechno jeszcze Orlean zdobędzie —  
Wtenczas ci chyba z królem René w parze,  
Wziąć kijek w rękę — i grać na fujarze.

KRÓL.

Zawsze swój dowcip ostrzysz na tym królu,  
On przecież jeden pomni nas w złym czasie.

DUNOIS.

Mała pociecha! gdy zamiast wojsk w polu,  
Nasz sprzymierzeniec sam swe owce pasie.

KRÓL.

Jest to żart tylko, zabawa niewinna!  
Nęci go urok pasterskiej prostoty,  
Ich szczera radość, ich miłość niewinna.  
Chce sobie w życiu przypomnieć wiek złoty. —  
Lecz co prawdziwie wielkiego zamierza,  
To jest zwrot owych bohaterskich czasów,  
Gdy miłość była natchnieniem rycerza,  
A piękność celem i sędzią zapasów.  
W tych czasach starca żyje duch młodzieńczy,  
I jak je dawne pieśni przekazały,  
Chciałby je wskrzesić, wznieść jak gmach wspaniały,  
Z mgły przezroczystej i kolorów tęczy.  
Dwór swój uczynił tych wieków obrazem:  
Gdzie rycerz musi hołdować piękności,  
Gdzie piękność tkliwa i skromna a zarazem,  
A sąd osobny przestrzega wierności.  
Sąd ten dziś właśnie, za króla rozkazem,  
Śle mi dyploma na Księcia Miłości.

DUNOIS.

Któż jej potęgę czuć może nademnie,  
Com jest jej razem dowodem i czynem?  
Przez nią krew książąt płynie tylko we mnie,  
I Orleańskim nazywam się synem.  
Lecz w ojcu moim mam wzór, jak należy  
Skarbić jej łaski: — w ojcu moim, który,  
Jak serca niewiast — na czele rycerzy  
Umiał zdobywać nieprzyjaciół mury.

Jeśliż więc, królu, chcesz piastować godnie  
Nowy twój urząd: — ucz się jego czynów.

Wdziej hełm na skronie, a dłoń z sercem zgodnie  
Niech nam przypomną sławę paladynów!  
Bo jak czytałem — nie owiec pasterze —  
Jak ów król René — za okrągłym stołem,  
Lecz w twardych zbrojach i laurach rycerze,  
Z królem Arturem biesiadali społem. —  
Bo kto niewiasty obronić nie zdoła,  
Nie wart jej serca! -- Teraz czas, o! królu!  
Potrzeba nagli, i powinność woła:  
Wystąp jak rycerz, i na bitew polu,  
Wależ o tron przodków, o cześć twej ojezyny!  
A gdy ją zbawim i wroga pobijem:  
My sami wtedy twe znoje i blizny  
Otrzem laurami, i mirtem okryjem. (*Wchodzi paż*).

KRÓL.

Cóż?

PAŻ.

Z Orleanu przybyli posłowie.

Proszą o wejście.

KRÓL.

Wprowadź! — (*Paż odchodzi*).

Cheą pomocy.

Jakaż im damy? —

### SCENA III.

CIŻ I TRZEJ RADCY Z ORLEANU.

KRÓL.

Witam was, panowie!

Cóż nam niesiecie? Czy wrogów przemocy



Miasto się jeszcze opiera? czy zdoła  
Oprzeć się długo?

RADZCA.

Królu nasz i panie!

Miasto do ciebie o ratunek woła,  
W tobie ostatnie złożyło ufanie! —  
Zewnętrzne szanice runęły; załoga  
Przez pół zginęła na murach, lub w mieście  
Wymiera z głodu; a cała moc wroga  
Bije do szturmu dzień i noc: — że wreście  
Musim się poddać lub zginąć. — Wódz zatem,  
Rochepierre hrabia, łącznie z Magistratem,  
Weszli w umowę z wrogiem: której mocą,  
Jeśli w przeciągu całych dni dwunastu,  
Wojska nam, królu, nie przyslesz z pomocą,  
Lub skąd żywności nie opatrzysz miastu,  
Miasto się podda. (*Dunois wzdyga się z gniewem*).

KRÓL.

Czas krótki.

RADZCA.

O! panie!

Szlą nas ku tobie bracia i ziomkowie,  
By do twych uszu doszło ich wołanie,  
Byś w czas nieszczęsnej zabiegał umowie.

DUNOIS.

Jakże mógł Santrailles przystać na haniebną?

RADCA.

Póki żył Santrailles, ufano w orężu.

DUNOIS (z przerażeniem).

Santrailles nie żyje?

RADCA.

Leży śmiercią chwalebną

Za kraj i króla.

KRÓL.

Ach! w tym jednym mezu

Straciłem wojsko.

(Krycerz wchodzi i rozmawia cicho z Dunois, który porzuca się z gniewem).

DUNOIS.

Zdrajcy!

KRÓL.

Co się stało?

DUNOIS.

Wojsko się szkockie buntować zaczyna  
O żołd zaległy, i zapowiedziało,  
Że rzuci oręż. — Lord Duglas zaklina  
O prędką radę.

KRÓL (do du Chatela).

A więc jaka rada?

DU CHATEL.

Niestety! żadnej! —

KRÓL.

Nie zechcą! poczekać?

Przedam, zastawię wszystko.

DU CHATEL.

Nie nie nada!

Nie będą wierzyć: — bo cóż im przyrzekać?

KRÓL.

To są najlepsze ze wszystkich wojsk moich.  
Cóż pocznem bez nich?

RADCA (*na kolanach*).

Pomnij o nas, królu!  
W nas jest ostatnie przedmurze państw twoich;  
Jeśli upadnem — nie oprzesz się w polu.

KRÓL (*z rozpaczą*).

Co mam uczynić? Widzicie, słyszycie!  
Czyliż mi zboże wyrośnie na dłoni,  
Lub wojsko z ziemi? — Mam, i oddam życie,  
Lecz skąd wziąć złota, żołnierzy i broni?  
(*Postrzega wchodzącą Agnieszkę Sorel i z otwartymi rękoma  
rzuca się na jej spotkanie*).

#### SCENA IV.

CIŻ I AGNIESZKA SOREL (*ze szkatułą w ręku*).

KRÓL.

O! pójdz najmilsza! mój stróžu aniele!  
Pójdz! niech twe słowa mą rozpacz ukoją!  
Z tobą mi wszędzie pokój i wesele —  
Nie nie stracone, pókiś ty jest moją!

AGNIESZKA (*rzucając wołó pytającym okiem*).

Prawdaż to? mówcie! — prawdaż, co słyszałam?  
Wojsko się burzy?

DU CHATEL.

Niestety!

AGNIESZKA (*do Króla z godnością i żalem*).

Karolu!

Ja tobie serce, ja siebie oddałam,  
A tyś nie zwierzył twych potrzeb i bolu!  
*(do du Chatela, podając mu szkatułę)*  
Masz! tu jest złoto, tu drogie kamienie —  
Przedaj, stop wszystko — a zapłać żołnierzy!  
Mam jeszcze zamki, mam bogate mienie,  
Bierz, przedaj — śpiesz się, nim pora ubieżyć!

KRÓL.

I cóż wy na to, przyjaciele moi?  
Jestem ubogi, gdy takiego serca  
Miłość posiadam? Czyż jej nie przystoi  
Cześć, co mam dla niej? — Niejeden oszczerca,  
Wiem, szukał dumy w jej miłości ku mnie.  
Lecz godna rodem, wyższa sama sobą,  
Dość niechby tronu pożądała dumnie,  
Najpotężniejszych byłaby ozdobą.  
Lecz ona gardzi tronem; ziemskie dary  
Nogą pomiata: — i w tem jest jej pycha,  
Że wszystkie dla mnie podniósłszy ofiary,  
Wszystkie wzajemne, prócz serca, odpycha.  
I teraz — patrzcie! — na obronę moję  
Oddała resztę. *(do Dunois)* Czujesz wielkość w czynie?

DUNOIS.

Czuję to, żeście szaleni oboje.  
Ciebie nie zbawi — sama tylko zginie.  
W dom gorejący rzuca skarby swoje,  
Leje w bezdenne Danaid naczynie!...

AGNIESZKA *(do króla)*.

O! nie wierz jemu! — sto razy dla ciebie

Krew swą poświęcał: a na mnie się gniewa,  
Że ci strój błahy oddaję w potrzebie!  
Chce, bym bez ciebie być mogła szczęśliwa! —  
Nie, nie! Karolu! — Precz od nas blask zwodny,  
Precz miękkość zbytku, w niebezpieczeństw chwili!  
Daj wzór poświęceń, jeśli chcesz być godny  
By się za ciebie drudzy poświęcili.  
Dwór swój zmień w obóz! pierś odziej żelazem!  
Znoś głód i trudy! płac żywem i zdrowiem!  
Niech żołnierz widzi, że i król ich razem  
Wiatr ma przykryciem, a ziemię wezglowiem.  
Wtenczas w ich piersiach znajdziesz tarcz niezlomną:  
Dokażą cudów — bo siebie zapomną.

KRÓL (*z uniesieniem*).

Teraz pojmuje tajemnicze słowa,  
Com z ust natchnionej niegdyś prorokini  
Słyszał w Klermoncie: że mię białogłowa  
Zbawi — zwycięzcą i królem uczyni.  
Wierzyłem wróżbie — lecz do jej spełnienia  
Czekałem matki, aż swój gniew rozbroi. —  
Lecz tyś jest anioł mego przeznaczenia,  
Bóg mi zbawczynię dał w najmiłszej mojej.

AGNIESZKA.

Miecz twych przyjaciół przepowiednię ziści.

KRÓL.

W niezgodzie wrogów mam także nadzieję.  
Wiem, że oddawna żar skrytej zawiści  
W sercu Burgunda i Anglików tleje.  
La Hira przetoż wysłałem do księcia,

Azali, pomny na krwi naszej związki,  
Nie złoży z serca mściwego zawzięcia,  
I w dawne ku nam wróci obowiązki? —  
Co chwila nazad oczekuję gońca.

DU CHATEL (*u okna*).

Widzę go właśnie, jak pędzi do bramy.

KRÓL.

Tem lepiej! prędzej dowiemy się końca,  
Czego się lękać lub spodziewać mamy.

## S C E N A V.

CIZ I LA HIRE.

KRÓL (*idąc naprzeciw niemu*).

Witaj nam! jakież przynosisz nowiny?  
Jestże nadzieja?

LA HIRE.

Tak! w Bogu i w broni.

KRÓL.

Co? Burgund nie chce naprawić swej winy?  
Odrzuca zgodę? — Cóż powiedział o niej?

LA HIRE.

Przed wszystkim innem, nim dalszej umowie  
Nakłoni ucha — chce, byś Du Chatela,  
Co go zabójcą ojca swego zowie,  
Wydał mu w ręce.

KRÓL.

Ja dać przyjaciela  
Na zemstę wrogom! — Cóż, jeśli odmówię?

LA HIRE.

Układ zerwany.

KRÓL.

Nazbyt się ośmiela!

Czyżeś go wyzwiał, by jako mąż z mężem,  
Mimo krwi związków i stanu różnicę,  
Sam spór swój ze mną rozstrzygnął orężem?

LA HIRE.

Złożyłem przed nim twoją rękawicę,  
Mówiąc, że zstąpisz z wysokości tronu,  
By kraj swój przed nim swą piersią zasłonić,  
I choć niewinny ojca jego zgonu,  
Czci swej chcesz mieczem od zarzutów bronić.  
Lecz odpowiedział, że niema potrzeby  
Wieść bojów o to, czego jest już panem.  
Gdy zaś koniecznie chcesz tego, ażeby  
Walczyć z nim: znajdziesz go pod Orleanem.  
To mówiąc, usta przygryzał zawzięcie,  
I z tem do innych oddalił się gości.

KRÓL.

Żadenże za mną w moim parlamencie  
Nie wzniosł się czystej głos sprawiedliwości?

LA HIRE.

Głuszy go wściekłość stronnicza. Parlament  
Ród twój i ciebie pozbawił korony.

DUNOIS.

O! biedny kraju! gdzie ufny w praw zamęt,  
Gmin chce obalać i stanowić trony!

KRÓL.

Cóż matka moja? Byłżeś u niej?

LA HIRE (*po chwili namysłu*).

Panie!

Byłem w Saint-Denis, gdy przywłaszczyciela  
Święcono królem. — Strojni Paryżanie,  
Jak w dzień godowy, z okrzykiem wesela,  
Stali po drodze; a gminna hałastra,  
Śród muru włóczni i puklerzy stalnych,  
Ciągnęła powóz Henryka Lankastra,  
Pod cieniem łuków i bram tryumfalnych.  
Król-dziecko omal nie płakał z przestachu,  
Gdy lud z szalonym witał go zapalem.  
Angielskie wojska, przy kościelnym gmachu,  
Stały pod bronią. — Wszedłem, i widziałem,  
Jak siadł na świętej Ludwika stolicy.  
Po bokach stali dumni jego stryje,  
Bedford i Gloster; a u stóp lennicy  
Na klęczkach, kornie nachylając szyje,  
Hołd mu składali; — Burgund na ich czele!

KRÓL.

O! zdrajca!

LA HIRE.

Dziecię patrzyło nieśmiele,  
I wchodząc na tron, potknęło się w kroku.  
„Zły znak, zła wróżba!“ — szeptano dokoła;  
Śmiech nawet powstał; gdy wtem nagle z boku  
Matka twa, panie! weszła do kościoła —  
I...



KRÓL.

Mów!

LA HIRE.

I w pomoc podawszy mu dłonie,  
Sama go na twym posadziła tronie.

KRÓL.

O! matko! matko!

LA HIRE.

Widziałem — lud cały  
Wzdrygnął się na to; — i nawet Anglicy  
Spuścili oczy. Sam Burgund zuchwały  
Oblał się wstydem; a w każdej żrenicy  
Znać było zgrozę. — Zapewne dostrzegła.  
Wzrok jej zaiskrzył, i skinieniem ręki  
Dając znak, groźnem lud okiem przebiegła:  
„Francuzi! — rzekła — mnie składajcie dzięki,  
„Że w pień spróchniały waszych królów domu,  
„Zaszczepiam gałęź laurowego wieńca,  
„I tron wasz świetny ochraniam od sromu,  
„By na nim wami rządził syn szaleńca!“  
(KRÓL zakrywa twarz i odwraca się z boleścią. AGNIESZKA  
bieży ku niemu i stara się go pocieszyć. — Wszyscy obecni  
okazują wzgardę i przerażenie. Chwila milczenia).

DUNOIS.

Tygrzyca! potwór! — A! furja z piekła!

KRÓL (po pauzie do radców).

Widzicie sami w jakim rzeczy stanie.  
Śpieszcie, by próżno krew ludzka nie ciekła,  
Powiedzieć waszym braciom w Orleanie,  
Że ich uwalniam od wierności ku mnie,

I na Burgunda, radzę, by się zdali.  
Zawzięty na mnie, postępuje dumnie,  
Lecz zważ go Dobrym — on miasto ocali.

DUNOIS.

Jakto? czyż innych nie znajdziesz już środków?

RADCA.

Nie! słów tych, królu! nie odniesiem ziomkom.  
Sławę z wierności wzięliśmy od przodków,  
I nieskażoną zostawim potomkom.  
Ty nam swej tylko nie cofnij opieki,  
A zginiem raczej!

DUNOIS.

Nie wstyd-że ci, królu!  
Że wolisz hańbą okryć się na wieki,  
Niż oko w oko wrogom zajrzeć w polu?  
Że poniewierasz miast Francyi perłą,  
Co, jako ona, przodków twoich berło  
Zdobilo z wieków?...

KRÓL.

Dość już krwi płynęło!

Bóg snąć swą rękę ocieżył nade mną.  
We wszystkich bitwach wojsko me pierzchnęło,  
Najwaleczniejsi zginęli daremno;  
Parlament wyzuł mię z tronu; stolica  
Z bezwstydną pompą święci tryumf wroga;  
Najbliższy krewny — ha! własna rodzica,  
Zguby mej pragną; lud przejęła trwoga.  
Mamliż krew jeszcze, jak próżną ofiarę,  
Lać dla mej dumy? — Nie! ustąpmy raczej.

Opór daremny! — Przejdźmy za Loare,  
Czekać i znosić, co nam Bóg przeznaczy.

AGNIESZKA.

Nie dopuść Boże! byś spełnił twe słowa,  
Byś tak sam sobie i ojczyźnie skłamał!  
Nie! nie z twej duszy pochodzi ta mowa,  
Sprośny czyn matki twoją stałość złamał!  
Lecz wiem, że męska wnet wróci otucha,  
I znów, jak puklerz, moc twojego ducha  
Zostawisz losom.

KRÓL (*ponuro*).

Nie! dłoń przeznaczenia

Widna w tem wszystkim. — Bóg od mego domu  
Twarz swą odwrócił; — matki złorzeczenia  
Wzięły swój skutek! — Pasma klęsk i sromu  
Snuje się zdawna. — Ojciec mój w szaleństwie  
Wiek skończył; bracia pomarli w lat kwiecie;  
A ja! — Ach! próżno, próżno ufać w męstwie!  
Plemię Walezych upadło na świecie.

AGNIESZKA.

W tobie, Karolu! zakwitnie nanowo,  
Wierz tylko w siebie! — O! nie bez zamiaru  
Bóg cię ocalił, gdy i nad twą głową  
Wisiał cień śmierci; i z Jego to daru  
Dzierżysz to berło, co trzech pierworodnych  
Posiąść wprzód miało. — Bo On w duszy twojej,  
W uczuciach twoich słodkich i łagodnych,  
Opatrzył balsam — co kiedyś zagoi  
Rany ojczyzny i w sercach niezgodnych

Uśmierzy gniewy i zemstę rozbroi!  
Tyś jest wybrany, by w cieniu oliwy,  
Dźwignąć i wsławić swój naród szczęśliwy!

KRÓL.

Ja? — nie, niestety! W tej burzliwej toni,  
Z której ojczyźnie nie wyniść bez cudu,  
Ster jej silniejszej potrzebuje dłoni.  
Ach! i ja może byłbym ojcem ludu,  
Coby mię poznał — coby chciał mię wspierać,  
I miłość płacił miłością wzajemną!  
Ale nie umiem serc mieczem otwierać,  
Które nienawiść zamyka przede mną.

AGNIESZKA.

Lud dał się uwieść — namiętność go ludzi!  
Ale dzień bliski, że z mlekiem wyssana,  
W sercach się Franków nanowo obudzi  
Dziedziczna miłość dla prawego pana.  
Obudzi dawna dwóch ludów nienawiść,  
Co je na wieki, jak morze rozdziela,  
A dumnych wodzów niezgoda i zawiść  
Musi osłabić moc nieprzyjaciela.

Wytrwaj więc tylko, i nie cofaj kroku!  
Každy ślad wrogów niech krew ich naznaczy!  
A nadewszystko, jak żrenicy w oku,  
Strzeż Orleanu! — Popalić każ raczej  
Mosty i łodzie; poniszczyć przeprawy;  
Niżbyś swą hańbę i żywot tułaczy  
Niósł za Loarę — ten Styx twojej sławy!

KRÓL.

Com mógł, zrobiłem; — pojedynczym bojem,  
Rycerz z rycerzem chciałem spór mój skończyć,  
Pokój okupić chciałem życiem mojem.  
Lecz mamże darmo krew mych ludów sączyć?  
Mamże, jak owa nieprawdziwa matka,  
Dozwolić raczej, by wróg krwawym mieczem  
Płatał me kraje, niszczył do ostatka?  
Nie! — by się zbawić — sami się ich zrzeczem.

DUNOIS

Toż mowa króla? to zapal młodzieńca?  
To zamiar, który mężowi przystoi? —  
Najlichszy z gminu krew, życie poświęca,  
Zdaniu, miłości, nienawiści swojej.  
Strona jest wszystkim — gdy domowej wojny  
Sztandar powionął. Starzec i niewiasta  
Chwyta za oręż; rzemieślnik spokojny  
Kruszy swój warsztat; kupiec pali miasta;  
Rolnik swe własne zasiewy wyniszcza,  
By ci zaszkodzić, lub pomódz w potrzebie;  
Nikt nie oszczędza drugich, ani siebie,  
Walcząc za swoje bogi lub bożyszcza.  
A ty! król! miałbyś z litości niemiejskiej  
Praw się swych zrzekać? odrzucać nadzieje,  
By skrócić wojny nieuchronne kłeski? —  
Nie! — niech się wojna sama wyszaleje!  
Nie tyś ją zaczął; a że lud za króla  
Krew swą lać musi, w tem jest niebios wola,  
W tem prawo świata! — I biada narodom,

Coby swym królom, swej czci i swobodom,  
Krwi swej lub mienia szczędziły w ofierze!

KRÓL (*do radców*).

Próżno czekacie! Bóg was niechaj strzeże!  
Ja nie nie mogę.

DUNOIS (*z gniewem*).

Niechże Bóg zwycięstwa

Tak się na wieki odwróci od ciebie,  
Jak ty od kraju w dniach niebezpieczeństwa!  
Ale pamiętaj, że zgubisz sam siebie.  
Że cię nie Burgund, nie moc Albionu,  
Lecz własna małość strąca z ojców tronu!  
Francyi trzeba króla-bohatera.  
A ty! — Żegnam cię!

(*Do radców*).

Król się was wypiera —

Lecz ja, w tej ojca mojego dziedzinie,  
Idę się z wami zagrzebać w ruinie.

(*Chce odchodzić, Agnieszka go zatrzymuje*).

AGNIESZKA (*do króla*).

O! nie dopuszczaj, aby odszedł w gniewie! —  
Zbyt ostry w słowach — prawda! lecz któż nie wie,  
Jakim jest w sercu? jak w każdej potrzebie  
Ostatnią kroplę krwi odda za ciebie? —  
Pójdź, pójdź, Dunois! wyznaj, że w zapale  
Nadtoś powiedział! — a ty mu wspaniale  
Przebacz z prędkości niemyślane słowo! —  
O! pójdźcie, pójdźcie! niech złączę nanowo

Dłonie i serca wasze! — nim zawzięty  
Gniew je zajątrzy, i drobną dziś szparę  
Zamieni w przepaść!

*(Dunois patrzy na króla, zdając się oczekiwać na odpowiedź jego).*

KRÓL *(do du Chatela).*

Każ mój dwór i sprzęty  
Przenieść na łodzie! — Idziem za Loarę.

DUNOIS *(do Agnieszki).*

Żegnaj!

*(Odwraca się i odchodzi śpiesznie; za nim radcy).*

AGNIESZKA *(załamuje ręce).*

O! teraz, tośmy pozostali  
Jedni prawdziwie! — On był nam podporą.  
Idź, śpiesz, La Hirze! błagaj go, azali  
Nie da się zmieknąć? — i wróć go nam skoro.  
*(La Hire odchodzi).*

## SCENA VI.

KAROL, AGNIESZKA, DU CHATEL.

KRÓL.

Także to wielkiem dobrem jest korona,  
Iż by ją tylko utrzymać na czole,  
Znieść miałbym raczej, by nieukrócona  
Duma mi czyjaś krępowała wolę?  
Zdać się na łaskę zuchwałych wassali,  
By żyć, czuć, myśleć, gwoli ich skinieniu?  
O! to jest boleść, co rdzeń duszy pali,  
To ciężej, niżli uledez przeznaczeniu!

*(do du Chatela).*

Czyń, com rozkazał!

DU CHATEL *(padając na kolana).*

Panie!

KRÓL.

Przedsięwzięcia

Mego nie zmienię; ogłoś to na dworze.

DU CHATEL.

Królu! przejednaj burgundzkiego księcia!

To jeszcze jedno, co cię zbawić może.

KRÓL.

Ty mi to radzisz? a on twojej głowy

Żąda za pieczęć do naszej umowy.

DU CHATEL.

Masz ją, o! królu! — Krew mą nie dopiero

Jam ci poświęcił; i zarówno z chlubą,

Pod mieczem wroga, czy kata siekierą,

Umrę za ciebie — byleś moją zgubą

Ukoił księcia; bylebym w spuściznie

Zostawił pokój — tobie i ojczyźnie.

KRÓL *(z goryczą).*

Do tegoż przyszło, że ci, co mą duszę

Znają najbliżej — że ci hańby drogę

Śmia mi wskazywać? i mówią, że muszę

Iść nią — i myślą, że zechcę i mogę?

O! teraz czuję, że wszystko stracone,

Gdy i mój honor ufność ludzi stracił!



DU CHATEL.

Rozważ!

KRÓL.

Dość o tem! — za świata koronę  
Krwiąbym przyjaciół moich nie zapłacił!  
Idź, spełń com kazał! — Niech się niemieszkanie  
Gotują w podróż!

DU CHATEL.

Wola twoja, Panie!

*(Powstaje i odchodzi. Agnieszka płacze rzewnie).*

## SCENA VII.

KAROL I AGNIESZKA.

KRÓL.

Nie płacz, o! luba! wszak i tam za rzeką  
Francya jeszcze! — i milsze daleko  
Niebo i ziemia! — Tam na łonie twojem  
Odetchnę znowu szczęściem i pokojem.

AGNIESZKA.

O! dniu nieszczęsny! dniu żalu i sromu!  
Król z państwa swego ucieka przed wrogiem;  
Syn nie śmie bronić ojców swoich domu,  
Lub pod rodzinnym zagrzebać się progiem!...  
Stało się! — idźmy na życie tułacze! —  
Francyo moja! — już cię nie zobaczę!

## SCENA VIII.

CIŻ I LA HIRE.

AGNIESZKA.

Wracasz sam jeden? — nie dał się więc użyć?

*(Wpatrując się w niego)*

Lecz cóż to? — przebóg! La Hirze! co znaczy  
Ten wzrok twój dziwny? — Mów, co z niego wróżyć?  
Nowe nieszczęście?...

LA HIRE *(z zapalaniem)*.

Koniec nieszczęść raczej!

Minęła burza — słońce zajaśniało!

AGNIESZKA.

Co? jak? mów! błagam.

LA HIRE *(do króla)*.

Każ, by się wrócili

Posłowie orleańscy! —

KRÓL.

Cóż się stało?

LA HIRE *(z uniesieniem)*.

Stoczono bitwę — myśmy zwyciężyli!

AGNIESZKA.

My? — O! niebieska muzyko tej wieści!

KRÓL.

La Hire! Czyż prawda? — Czy nie czcza uluda? —  
Powtórz! — bo nie śmiem wierzyć twej powieści.

LA HIRE.

O! w większe wkrótce uwierzycie cuda!

*(Postrzegając wchodzącego arcybiskupa)*

Lecz arcybiskup sam ci o nich, panie!  
Opowie lepiej; z nim na pojednanie  
Dunois wraca.

AGNIESZKA.

O! piękne zarody

Zwycięstwa! z których tak rychło dostajem  
Owoców nieba: pokoju i zgody!

## SCENA IX.

CIŻ, ARCYBISKUP Z REIMS, DUNOIS, DU CHATEL.

I RAUL (*rycerz w zbroi*).

ARCYBISKUP (*łącząc ręce Dunois i Króla*).

Zgoda, książęta! podajcie dłoń wzajem!  
Nie dziś czas pomnieć o ziemskiej rozterce,  
Gdy Bóg nad wami czyni cuda swoje.

KRÓL.

Odmęt słów waszych pochłania me serce,  
Chciałbym uwierzyć — i wierzyć się boję.  
Co? jak się stało? — w krótkiej, jasnej mowie,  
Powiedzcie! — błagam, każę.

ARCYBISKUP (*wskazując na Raula*).

On opowie.

RAUL (*występując przed króla*).

Było nas wszystkich chorągwi szesnaście,  
Które szlachetny Baudricourt zgromadził,  
I odpierając angielskie napaście,  
Ku tobie, królu! na odsiecz prowadził.  
Lecz gdy przeszedłszy Vermatońskie wzgórza,  
Schodzimy w dolinę, gdzie się kręci Yonna,  
Patrzym — przed nami z lasu się wynurza  
Kolumna wrogów piesza, potem konna.  
Cheemy się cofnąć — aż widzimy, za nami,  
Drugie ich wojsko już wzgórza osiadło.  
Tak między dwoma zamknięci ogniami,

Najodważniejszym z nas serce upadło.  
Chcą złożyć oręż: — i daremnie wodze  
Szukają jeszcze rady, której niema.  
Gdy wtem — w powszechnym nieładzie i trwodze,  
Cud się nam dziwny jawi przed oczyma!  
Z gaju, wprost ku nam, wychodzi Dziewica,  
W błyszczącym hełmie, jak bogini wojny,  
Piękna jak anioł — choć groźne jej lica  
Tętnęły postrachem, a wzrok, acz spokojny,  
Gorzał jak ogniem; — wiatr włosy rozwiewał,  
A blask poziomy zachodniego słońca  
Dziwną jasnością jej postać odziewał. —  
Szła ku nam, naksztalt niebieskiego gońca,  
I głosem, który wskrósł wszystkich przeniknął:  
„Francuzi! — rzekła — próżno się boicie!  
„Dość już wróg wami pomiatać nawyknął,  
„Dziś jest kres jego! — wiercie, a ujrzycie!  
„Nie to, że okrył doliny i wzgórza:  
„Bóg cud obiecał, i cud wam uczyni!  
„Niech będzie silny, jako fale morza,  
„Niech będzie liczny, jak piaski w pustyni —  
„Naprzód! dziś z wami jest Bóg i Dziewica!  
„Duch Jego za was uzbroił jej ramię.  
„Za mną, Francuzi!“ — to rzekłszy, pochwycą  
Z rąk chorążego rozwinięte знамя,  
I z niem najpierwsza bieży w stronę wroga. —  
Co krwi w nas było, zawrzała płomieniem.  
Wszyscy, jak jeden, za posłanką Boga  
Lecim z orężem; — a wróg z podziwieniem  
Patrzy się na nas, stojąc nieruchomy.

Lecz wtem — jak gdyby głos trąb ostatecznych  
Posłyszał nagle: jakby niewidomy  
Anioł swym mieczem zmiotł wszystkich walecznych:  
Zachwiał się — widzimy — mięsza się i pierzcha,  
Broń i ryszunek miecąc po za siebie;  
Jedni na wzgórza, by dosięż ich wierzcha,  
Drudzy ku rzece; — a my ku potrzebie  
Sprawiwszy hufce, tu i tam za niemi! —  
Rzeź się prawdziwa, nie bitwa zaczęła.  
Tysiąc ich z górą poległo na ziemi,  
Nie licząc tego, co rzeka połknęła.  
Z nas ani jeden nie zginął. —

KRÓL.

Cud Boski!

AGNIESZKA (*do Raula*).

I cud ten, mówisz, stał się przez Dziewicę? —  
Któż? skąd jest ona?

RAUL.

Różne czynią wnioski.

Lecz ona sama swoją tajemnicę,  
Rzekła, że tylko królowi objawi.  
Natchnioną z nieba zowie sama siebie,  
I zapowiada, że Orlean zbawi,  
Wprzód nim się księżyc odmieni na niebie. —  
Wojsko, lud cały, wierzy w nią, i wszędzie  
Rwie się do broni.

(*Słychać za sceną dzwony, trąby, i szczęk oręża*).

KRÓL.

Cóż to? trąby? dzwony?

RAUL.

To ona z wojskiem! za chwilę tu będzie. —  
Lud jej jak świętej oddaje pokłony.

KRÓL (*do du Chatela*).

Każ ją wnet przyjąć!

(*Do Arcybiskupa*) Ty mię ucz, kapłanie!  
Co myśleć o tem? — Bóg cud swój okazał,  
Gdy cud już tylko zbawić nas był w stanie.  
Tegoby żaden człowiek nie okazał!  
Lecz mogęż wierzyć, że dla mnie to czyni?

(*Głosy za sceną*).

Chwała Dziewicy! Cześć, chwała Zbawczyui!

KRÓL

To ona! (*do Dunois*) Usiądź na miejscu królewskim!  
Obaczmy zali prorokować umie.  
Jeśli jest duchem natchniona niebieskim,  
Pozna naprawdę, i znajdzie mię w tłumie.

(*Dunois siada, Król staje przy nim po prawej ręce, obok Króla Agnieszka Sorel, dalej Arcybiskup i inni ustawiają się po obu stronach, tak, że środek sceny zostaje próżny*).

## SCENA X.

CIŻ I JOANNA

(*w towarzystwie Radców i wielu Rycerzy, którzy napełniają głąb sceny, ze szlachetną powagą postępuje naprzód i przegląda stojących wokoło*).

DUNOIS (*po długiem uroczystem milczeniu*).

Tyś to, cudowna?...

JOANNA (*przerzywa mu, z wyniosłością patrząc na niego*).

Synu Orleana!

Doświadczasz Boga! — Nie to miejsce twoje!  
Jam jest do tego wyższego posłana.

*(Idzie pewnym krokiem do Króla, ugina przed nim kolano i powstaje natychmiast. Wszyscy obecni okazują największe zdumienie. Dunois opuszcza krzesło).*

KRÓL.

Skąd mię znasz? pierwszy raz widzisz twarz moję.

JOANNA.

Widziałam ciebie, gdy cię nikt, prócz Boga,  
Nie widział więcej. — Pomnisz, przeszłej nocy,  
Gdy wiatr trząsał domem, a rozpacz i trwoga  
Walczyła w tobie z nadzieją pomocy:  
Upadłeś krzyżem, i w pokorze ducha  
Błagałeś Boga — a łez twych strumienie  
Zlały podłogę. — Każ, niech nikt nie słucho,  
A treść ci twojej modlitwy wymienię.

KRÓL.

Co zwierzam Bogu, przed ludźmi nie kryję.  
Wymień!

JOANNA.

Trojakie były twoje modły.  
Naprzód: — jeżeli dawne winy czyje,  
Królów czy ludu, na ten kraj przywiodły  
Zgubną tę wojnę: — ty, gdy tego trzeba,  
Oddać się za nie chciałeś na ofiarę,  
I o to tylko błagałeś u nieba,  
By twej ojczyźnie odpuściło karę.

KRÓL *(cofając się z przerażeniem).*

Kto? skąd ty jesteś? Istoto cudowna!

JOANNA.

Druga twa była modlitwa: — jeżeli  
Tak zechce niebios wola nieodzowna,  
Abyś utracił tron, i co dzierżeli  
Przodkowie twoi: — prosileś ziszczenia  
Trzech tylko życzeń, trzech dóbr na tym świecie.  
Za pierwsze kładłeś spokojność sumienia;  
Za drugie, szczerłość przyjaciół; za trzecie,  
Miłość Agnieszki.

*(Król zakrywa twarz, łkając gwałtownie. Największe poruszenie między obecnymi).*

JOANNA *(po pauzie)*.

Mamże mówić dalej?

KRÓL.

Dość, dość! już wierzę. — Tyś z Boga natchniona!

ARCYBISKUP.

Lecz kto? skąd jesteś? — mów, niedocieczona!  
Kto są szczęśliwi, co ci życie dali?

JOANNA *(do Arcybiskupa)*.

Wielebny ojcze! zowią mię Joanna,  
Ojciec mój, z włości królewskiej Dom-Remy,  
Ubogi wieśniak, pracą nieustanną  
Uprawia z Bogiem własny kawał ziemi.  
Tam ja z dzieciństwa pasąc jego trzody,  
Słyszałam nieraz, jak opowiadali  
O tych wyspiarzach, co przyszli z za wody,  
I kraj nasz cichy mieczem najechali.  
I jak ich nasza przyjęła stolica,  
Jak król ich naszą okrył się koroną,



Jak królów naszych prawego dziedzica  
Chcą wygnać z kraju! — To gdy mi mówiono,  
Nieraz w skrytości padłszy na kolana,  
I płacząc głośno, wołałam do Boga,  
By nam obcego nie narzucał pana,  
By nas uchronił od niewoli wroga.

A niedaleko od wrót naszej wioski,  
Stoi na wzgórzu niewielka kaplica,  
A w niej cudowny obraz Matki Boskiej,  
Gdzie trzykroć w roku, cała okolica  
Idzie pielgrzymką i składa ofiary.  
A tuż naprzeciw rośnie dąb sędziwy,  
O którym różnie i młody i stary,  
A wszyscy różne powiadają dziwy.  
Pod cieniem jego, sama nie wiem czemu,  
Tak mi swobodnie, tak rozkosznie było,  
Że serce gwałtem ciągnęło ku niemu.  
I ile razy czasem się zdarzyło  
Stracić gdzie w górach jagnię albo owcę:  
Jak skoro przyszłam spocząć w jego cieniu,  
Wnet mi sen między najdziksze manowce,  
Gdzie je mam znaleźć, wskazywał w widzeniu.

Jednego razu, gdy próżno w noc ciemną,  
Siedząc tak pod nim, marzyłam na jawie:  
Bogarodzica stanęła przede mną —  
Z chorągwią w ręku i z mieczem, lecz prawie  
Z kształtu i stroju podobna pasterce,  
I rzekła głosem, co mi poszedł w serce:  
„Jam jest, Joanno! — powstań, rzuć swą trzodę!  
„Pan cię opatrzył za narzędzie cudu!

„Sztandar ten wzniesiesz za kraju swobodę  
„Mieczem tym pomścisz krzywdy twego ludu;  
„Pokonasz wrogów, i przez cię zbawioną,  
„W Reims, króla swego uwieńczysz koroną!“ —  
Ja wszakże rzekłam: Cóż ja zdziałać mogę,  
Słaba pasterka, bez sił do oręża? —

A Ona na to: „Uspokój tę trwogę!  
„W czystości serca jest moc, co zwycięża  
„Bramy piekielne. — Tę tylko przestrogę  
„Pamiętaj: chroń się przed miłością męża!  
„Zresztą miej wiarę, i idź prostą drogą! —  
„Wszak i ja byłam pasterką ubogą!“ —

To rzekłszy, dłonią dotknęła mych oczu,  
I kiedy za nią spojrzałam do góry,  
Ujrzałam w niebios błękitnem przezroczu  
Nieprzeliczone Serafinów chóry,  
A każdy w ręku miał liliję białą,  
A dziwne echo na powietrzu brzmiało. —

Noc w noc trzy razy, przed jutrzeńką ranną,  
Miałam toż samo Najświętszej widzenie.  
Zehodziła z niebios, wołając: „Joanno!  
„Idź! zbaw twój naród! spełń tve przeznaczenie!“ —  
Lecz gdy raz trzeci stanęła przy drzewie,  
Wzrok jej był groźny, i rzekła mi w gniewie:  
„Wiedz, posłuszeństwo jest wyrok niewieści!  
„Cierpieć tu musi i być sługą wszędzie.  
„Ale się serce oczyszcza w boleści:  
„Kto się tu korzy, tam podwyższon będzie!“ —  
I gdy ostatnie domawiała słowa,  
Z ramion jej spadło pasterskie odzienie,

I w całym blasku, jak Niebios Królowa  
Stała przede mną: — błyskawic promienie  
Skoń jej wieńczyły; — i chociaż surowa,  
Litośne ku mnie zwróciła wejrzenie,  
I na złocistym wzniesiona obłoku,  
W krainie chwały znikła memu oku.

*(Wszyscy mocno wzruszeni. Agnieszka, łkając, ukrywa twarz  
na piersiach króla).*

ARCYBISKUP *(po długim milczeniu).*

Przed niepojętą wolą przeznaczenia,  
Rozum się ludzki uniża i korzy.  
Czyn jej już dowiódł prawdy objawienia —  
Zdziałać go przez nią mógł tylko duch Boży.

KRÓL *(wznosząc oczy i ręce ku niebu).*

Panie! jam grzesznik! jaż mogłem zasłużyć  
Na dar tak wielki, co z Twojej ręki biorę?...  
Uczę mnie teraz, jak mam łask twych użyć!  
Wszystkowidzący! ty znasz mą pokorę.

JOANNA.

Pokora serca prowadzi do Boga,  
Z wiarą w moc Jego, człek piekło przemoże.

KRÓL.

A więc mi wróżysz, że zwyciężym wroga?

JOANNA.

Francją całą pod twe stopy złożę.

KRÓL.

Orlean, mówisz, nie będzie stracony?

JOANNA.

Loara pierwszej cofnie się do źródła.

KRÓL.

I w Reims dostąpię mych przodków korony?

JOANNA.

Przez tysiąc przeszkód, ja cię będę wiodła.

*(Wszyscy obecni rycerze wstrząsają z łoskotem włócznie i tarczami, i okazują znaki zapału i odwagi).*

DUNOIS *(do Króla)*.

Postaw Dziewicę wodzem wojsku swemu!

Wzrok jej nam w trudach i bitew zapędzie,

Jak gwiazda królom do Jeruzalemu,

Do Reims i zwycięstw przewodniczyć będzie.

LA HIRE.

Wróg nie zaufa mocy tego świata,

Gdy moc niebieską obaczy widomie.

Jej zwierz twe wojsko! a trwoga skrzydlata

Uprzedzać będzie pogrom po pogromie.

*(Wszyscy rycerze uderzają tarczą o tarczę, i postępują naprzód przed króla).*

KRÓL.

Tak jest! ty, święta! ty wiedz wojska moje!

Książę i rycerz niech twej słucha woli! —

*(Biorąc w ręce miecz Konetabla).*

Oto miecz, którym od wieków na boje

Hetmanił Frankom namiestnik ich króli.

Dziś go Konetabl odrzucił od siebie,

Odtąd, natchniona! ty go dźwigaj w polu!

I niech się szerzej rozstawi przez ciebie

Mocą niebieską!

JOANNA.

Nie! Panie i królu!

Nie tem my ziemskiej wielkości narzędziem,  
Tak jak nieziemską potęgą i siłą,  
Lecz innym mieczem tryumfować będziem,  
Jak mi widzenie ducha objawiło.

KRÓL.

Gdzież on jest?

JOANNA.

Poszlij do miasta Fierbois!  
Tam pod kościołem świętej Katarzyny,  
Jest sklep, gdzie stosy oręża i zbroi  
Leżą z lat dawnych; — tam jest ów jedyny  
Miecz, w którym siła tajemna się mieści.  
Poznać go łatwo bo na rękojeści  
Ma trzy lilije nabijane złotem.

KRÓL (*do du Chatela*).

Śpiesz! i niech goniec orlim pędzi lotem!

JOANNA.

Chorągiew także każ mi zrobić białą,  
Z obrazem Niebios Królowej w obłoku,  
Z dzieckiem Jezusem; — a dziecię by miało  
Świat w swojej dłoni, a bóstwo we wzroku.  
A całe niebo aby się zdawało  
Jak z głów aniołów, skupionych w natłoku.  
Bo taki obraz jaśniał na znamieniu,  
Które Najświętsza trzymała w widzeniu.

KRÓL.

Wszystko się stanie.

JOANNA (*do Arcybiskupa*).

Teraz ty mnie, ojcze!

Błogosławieństwo daj w imię Kościoła!  
Dziewica, idę na dzieło zabójcze,  
Litość wstrzymuje — lecz powinność woła:  
Ono w tej walce będzie duch mój wspierać.  
*(Uklęka przed nim).*

ARCYBISKUP.

Córko! tyś przyszła dawać, nie odbierać  
Błogosławieństwa! — W kim jest Pańska siła,  
Nie potrzebuje pomocy grzeszników.  
*(Kładzie rękę na jej czole. Joanna powstaje).*

PAŻ *(wchodzi).*

Herold przysłany z obozu Anglików  
Chce wniknąć.

JOANNA.

Niech wnikdzie! Bóg go tu przysyła.  
*(Król daje znak przyzwolenia; Paż odchodzi).*

## SCENA XI.

CIŻ I HEROLD ANGIELSKI.

DU CHATEL.

Z czem i od kogo przychodzisz do króla?

HEROLD.

Mów, do hrabiego Ponthieu, do Karola. —  
Król wasz jest w naszym obozie.

DUNOIS.

Zuchwały!

Gdyby nie miejsce i nie szata gońca,  
Sprośny twój język, jak żmiję w kawały.....

KRÓL (*przerrywając*).

Przestań, Dunois! (*Do Herolda*) Mów, czekamy końca.

HEROLD.

Wódz nasz, żałując krwi, co nadaremnie  
Płynie i płynąć musi w Orleanie,  
Nim da znak szturm — raz jeszcze przeze mnie  
W spokojne z tobą chce wejść pojednanie.

KRÓL.

On ze mną?

JOANNA (*występując*).

Królu! ja na miejscu twojem  
Mówić z nim będę.

KRÓL.

Mów, natchniona z góry!  
Mów, i rządz sama wojną i pokojem!

JOANNA (*do Herolda*).

Kto mówi przez cię?

HEROLD.

Wódz nasz, Salisbury.

JOANNA.

Kłamiesz, Heroldzie! bo tylko żyjący  
Mówić przez żywych może, nie umarły.

HEROLD.

O! wódz nasz żyje! i zdrowiem kwitnący  
Na zgubę waszą, jako olbrzym karły  
Gromi swych wrogów.

JOANNA.

Żył, kiedyś odchodził.  
Lecz Pan go dotknął — olbrzym w prochu leży.

Wystrzał go z miasta dziś rano ugodził.  
Gdy je z swej średniej przepatrywał wieży.

Ty się uśmiechasz, że ci oddalone  
Rzeczy obwieszczam; — nie żądam twej wiary.  
Lecz wspomnij o mnie, gdy z pompą niesione  
Spotkasz w obozie pogrzebowe mary! —  
Teraz zdaj sprawę z polecenia twego.

HEROLD.

Jeśli tak wszystko przenikasz — bez tego  
Wiedzieć je musisz.

JOANNA.

Nawet nie chcę wiedzieć!

Ale ty słuchaj, co ja mam powiedzieć!  
Słuchaj! i w wiernej rzecz powtórz osnowie  
Tym coś przysłali: — bo do nich to mówię.

Królu angielski! księżęta Bedfordu  
I Gloucesteru! Bóg się upomina  
Rachunku od was z naszej krwi i mordu.  
Bóg sąd swój zaczął: — bo przyszła godzina!  
Przyszła Dziewica, której Pan poruczy  
Moc swą nad wami! — Ona do was mówi:  
Zrzecście się naszej korony, i kluczy  
Miast, i ziem naszych, i pokój ludowi .  
Naszemu dajcie — a idźcie w pokój!  
Albowiem biada, biada wam, wodzowie!  
I ludziom waszym biada! gdy do boju  
Stanie Dziewica! — Bo ja to wam mówię:  
Że Pan nie dla was Francją przeznaczył,  
Ani nas stworzył do wiecznej niewoli!



*(Wskazując na króla)*

Lecz on — on dziedzic, on wnuk naszych króli,  
Co go Bóg w próbach poznał i doświadczył,  
On siądzie z chwałą na ojców stolicy! —  
Idź, i te słowa odnieść twemu panu!  
Lecz nim pośpieszysz — już sztandar dziewicy  
Powiewać będzie z murów Orleanu.

*(Odchodzi, za nią wszyscy. — Zastona spada).*

## AKT DRUGI.

Okolica otoczona skałami.

### SCENA I.

TALBOT i LIONEL, wodzowie angielscy. FILIP, książę Burgundy. FASTOLF, CHATILLON, z wojskiem i chorągwiami.

TALBOT.

Tu w skał tych cieniu stańmy, i warowny  
Zatoczmy obóz; — azali nie zbierzem  
Wojsk, które popłoch, jako wiatr gwałtowny,  
Rozproszył wczoraj. (*Do Fastolfa*) Idź, osadź żołnierzem  
Szczyt i wąwozy skał! — Choć w tej ustroni,  
W tej ciemnej nocy — jeśli chyba skrzydeł  
Wróg mieć nie będzie — żartuję z pogoni:  
Przecież ostrożność! — Strach nie zna wędzideł,  
I lada powód, ima zwyciężonych.

(*Fastolf z żołnierzami odchodzi*).

LIONEL.

Dość o tem, wodzu! Krew się pali we mnie  
Słyszając to słowo. — Po tylu wstawionych  
Zwycięstwach naszych, pierzechnąć tak nikczemnie!

O! Orleanie! Orleanie! w tobie  
Grób chwały naszej! — Lecz czyż przyszłe wieki  
Uwierzyć zechcą? Kto wystawi sobie,  
Aby zwycięzey pod Azincourt, Crequi,  
Pierzchli — i przed kim? — przed jedną niewiastą! —  
Nie! musim zdobyć to przeklęte miasto!

FILIP.

To nas niech cieszy, że nie ludzka siła,  
Ale nas szatan przemógł z ludźmi w zмовie.

TALBOT.

Tak! szatan głupstwa! — Czyżby i wodzowie  
Dzielili wiarę, co gmin omamiła? —  
Nie! — przesąd nadto jest błahą pokrywą  
Tchórstwa wojsk twoich! — to bitwę przegrało.

FILIP.

Popłoch był wszędzie.

TALBOT.

Nie, nie! jako żywo!  
Wojsko twe naprzód zgubny przykład dało.  
Wpadliście do nas, wołając, że piekło,  
Że sam Lucyfer przeciw nam się wiąże.  
To nas zmieszało.

LIONEL (*do Filipa*).

Jużciż wyznaj, książę!  
Że skrzydło twoje najpierwej uciekło.

FILIP.

Bo na nie najprzód uderzyli wrogі.

TALBOT.

Wiedzieli dobrze kto im nie dostoi,  
I drugim jeszcze da przyczynę trwogi.

FILIP.

Co? więc przegrana ma być z winy mojej?

LIONEL.

Gdybyśmy swoje tylko wojska mieli,  
Orlean naszej nie widziałby klęski.

FILIP (*z goryczką*).

Tak! gdyż wybyście jego nie widzieli! —  
Kto wam w głąb kraju otwarł wstęp zwycięzki?  
Kto zjednał serca Franków, i w Paryżu  
Króla waszego osadził na tronie? —  
Jako Bóg żywy! gdyby nie te dłonie  
Wwiodły was tutaj: niktby z was w pobliżu  
Nie widział dymu z francuskich kominów!

LIONEL.

Gdyby dość było wielkich słów, nie czynów,  
Burgund sam jeden byłby panem świata.

FILIP.

Boli was, widzę, Orleanu strata,  
Lecz z czyjej winy? — Gdy mieszkańcy chcieli  
Mnie poddać miasto — kto z lichy zawiści  
Zerwał układy?

TALBOT.

Chciałbyś, byśmy leli  
Krew ludów naszych, dla twojej korzyści?

FILIP.

Gdybymże odszedł — coby z wami było?

LIONEL.

O! nie gorszego jak pod Azinkurem!  
Gdzie wojsko nasze samo poradziło

Z całem francusko-burgundzkiem — nad którem  
Tyś sam przewodził.

FILIP.

Jednak me przymierze  
Snać wam potrzebne było, gdy mi za nie,  
Rejent wasz tyle poświęcił w ofierze.

TALBOT.

Ha! nawet naszą cześć przy Orleanie!

FILIP (*wybuchając*).

To już za wiele! lordzie! to za wiele!  
Rozmowa taka — zostanie pamiętną. —  
Na tożem rzucił swoich, i na czele  
Mem nieskażonem wyrył zdrady piętno:  
By mi wróg w obec urągać mógł śmieie,  
A jam to znosił duszą obojętną?... —

Nie, nie! lordowie! — toć gdy los przeznaczył,  
Bym zawsze tylko służył niewdzięcznemu;  
Toć lepiej żeby brat bratu przebaczył,  
Bym wrócił służyć królowi mojemu.

TALBOT.

O! rzecz nie nową powiadasz nam, Książę!  
Wiemy żeś zaczął z La Hirem układy,  
Że skryty spisek przeciw nam się wiąże: —  
Lecz mamy sposób ustrzedz się od zdrady.

FILIP.

Ha! śmierć i piekło! — Idź, śpiesz, Chatillonie!  
Dziś jeszcze idziem ku naszej granicy.  
Każ zwijać obóz! — Niech ludzie i konie  
Stają do szyku! — Żegnam was, Anglicy!  
(*Chatillon odchodzi*).

LIONEL.

Szczęśliwa droga! — Nigdy miecz Anglików  
Nie słynał szerzej, jak kiedy w potrzebie,  
Bez pomocników i bez przewodników,  
Sami w swej sprawie walczyli za siebie.  
Bo na co kłamać zgodę przyjacielską,  
Gdy nas wstręt wieczny rozdziela, jak morze?  
Gdy czuję, że krew francuska z angielską,  
Z ran chyba w bitwach połączyć się może? —

## SCENA II.

CIŻ I KRÓLOWA IZABELA.

IZABELA.

Cóż to ja słyszę? co za wpływ złowrogi  
Gwiazdy nieszczęsnej pomieślał wam zmysły? —  
Toż czas do swarów? gdy zwyciężkie wrogi  
Jak grom spaść mogą na nas: a od ścisłej  
Jedności waszej, wśród powszechnej trwogi,  
Jedyne wojska nadzieje zawisły?...  
(*Do Filipa*) Nie książę! cofnij porywcze rozkazy!  
A ty, Talbocie! nie wstydz się przebłagać  
Gniew przyjaciela! (*Do Lionela*) Pójdź mi dopomagać,  
Przywrócić zgodę i zatrzeć urazy!

LIONEL.

Ja? — nie! Milady! — mnie to obojętnie,  
Czy się to zgodą, czy niezgodą skończy.  
Owszem, co z sobą trzyma się niechętnie,  
Najlepiej robi, kiedy się rozłączy.

IZABELA.

Ha! teraz widzę, że piekielne czary,  
Jak w bitwie na nas, i tu się sprzysięgły. —  
Kto wszczął najpierwszy te szalone swary?  
Skąd się te żmije w sercach wam wylęgły?  
(*Do Talbota*) Tyżbyś to, wodzu! niepomny korzyści,  
Co kraj twój jego powinien przymierzu,  
Chciał wzniecać iskrę dawnej nienawiści,  
I serce Franka oburzał w rycerzu? —  
Lecz cóż poczniecie bez jego ramienia? —  
On tron wasz dźwignął — i on w każdej porze,  
Samą potęgą swojego imienia,  
Byleby zechciał, obalić go może.  
Albowiem wiedźcie! niech Anglia cała  
Falami morza na Francją biegnie:  
Francya zgodna, dostoi jak skała,  
I sama siebie chyba w jarzmo zegnie.

TALBOT.

Któżby prawdziwej nie cenił przyjaźni?  
Lecz przed fałszywą strzedz się rozum każe.

FILIP.

Temu, w kim wdzięczność dumę tylko drażni,  
Nie trudno kłamać bezwstydną potwarze.

IZABELA.

Co? książę! tyżbyś twój rozum i serce  
Mógł tak poniżyć? tak zbyć uczuć syna?  
Byś ojca twego uściskał mordercę,  
Byś się powierzył przyjaźni Delfina? —  
Aza ci, myślisz, przebaczy w swej dumie,  
Żeś go był wtrącił i dźwignął z przepaści?

Aza nie będzie obmyślał, jak umie,  
By ci na przyszłość uszczuplić tej właści? —  
Nie, nie! Filipie! bądź księciem i synem,  
A będziesz wyższym od obrazy lichiej!

FILIP.

Nigdy nie myślał o zgodzie z Delfinem,  
Ale nie ścierpię cudzoziemców pychy.

IZABELA.

O! pójdź! zapomnij niebacznego słowa!  
Wczorajsza klęska serce wodza boli,  
A gorycz myśli, łatwo zdradzi mowa;  
Niesprawiedliwym być łatwo w niedoli. —

Ale dość o tem! — czas zgasić w iskieerce  
Zgubny ów pożar, nim go wiatr rozdmucha.

TALBOT.

Co mówisz? książę! — Gdzie jest prawe serce,  
Tam rozum chętnie zdrowej rady słucha. —  
Królowa mądrze dla nas obu radzi.  
(*Podając rękę*) A więc masz! zgoda zależy od ciebie.  
Uznanie błędu niechaj błąd zagładzi.

FILIP (*podając dłoń wzajem*).

Niech i tak będzie! — ulegam potrzebie.

IZABELA.

Zgoda! wodzowie! i niech uścisk bratni  
Świętsem niż dotąd spoi was ogniwem,  
By spór ten zgubny był odtąd ostatni!

(*Filip i Talbot ściskają się*).

LIONEL (*patrząc na nich; na stronie*).

Nietrwiała zgoda za furyi wpływem!



IZABELA.

Los bitwy wprawdzie ostał się przy wrogu,  
Lecz niech nas męska pokrzepi otucha!  
Napróżno Delfin, nieufny snąć w Bogu,  
Przyzywa w pomoc przekłętogo ducha.  
Straci swą duszę, jak swój kraj i władzę. —  
Niewiasta stoi na wojsk jego czele;  
Chcecie? — ja wasze wojska poprowadzę,  
I wzorem lepiej, niż czarem ośmielę.

LIONEL.

O! nie, nie! raczej wracaj do Paryża!  
Anglik w broń ufa, nie w sztuki niewieście.

TALBOT.

Tak, wracaj! — W wojsku przesąd się rozszerza,  
Że nam twa bytność przyniosła nieszczęście.

FILIP.

Widok twój tutaj osłabia żołnierza,  
I dla cię samej przyzwoliciej w mieście.

IZABELA (*patrząc na nich z podziwieniem*).

Cóż to ma znaczyć? Co te słowa wróżą?  
I ty, Burgundzie! przeciw mnie, jak oni?

FILIP.

Tak! żołnierz nie śmie ufać w pomoc Bożą,  
Póki rozumie, że twej sprawy broni.

IZABELA.

Czyście szaleni? — Ledwom między wami  
Zgodę zawarła — łączycie się na mnie.

TALBOT.

Jedź pani z Bogiem! Gdy zostaniem sami,  
Czarta się lękać nie będziemy przynamnie.

IZABELA.

Czyliż nie jestem przyjaciółką waszą?  
Czyż sprawa wasza nie jest także moją?

TALBOT.

Tak! — ale sprawa twoja nie jest naszą! —  
My toczym wojnę za ojczyznę swoją.

FILIP.

Ojciec mój poległ z naprawy Delfina,  
Synowska czułość moją zemstę budzi.

TALBOT.

Lecz twoja, pani! zawziętość na syna,  
Obraża Boga i oburza ludzi.

IZABELA.

Syna? — przeklęty niech będzie na wieki!  
On śmiał mię sądzić!

FILIP.

Mścił się ojca swego.

IZABELA.

On mię potępił! wygnał w kraj daleki!

TALBOT.

Prawo i naród domagał się tego.

IZABELA.

Ha! teraz skutku przekleństw mych doświadczy!  
I. niżbym miała wyrzec przebaczenie,  
Niżby miał osiąść tron ojców — niech raczej...

LIONEL (*przerywając*).

Wolisz poświęcić swą cześć i zbawienie!

IZABELA.

Wy, słabe dusze! wy czuć nie możecie  
Co jest za siła w matki nienawiści! —  
Co mi cześć świata? — Mój cel na tym świecie,  
Jest: niech się nad nim zemsta moja ziści!  
Lecz wy — wy drudzy, co go wojujecie!  
Co, prócz łakomstwa, dumy i zawiści,  
Dało wam oręż przeciw mego syna? —  
Skąd prawo wasze? W czym jest jego wina  
Przeciw bądkom, prócz mnie? — Obłudnicy!  
Chcecie świat mieć słowy barwionemi.  
Lecz czyż świat nie wie, że jak rozbójnicy  
Przyszłście dzielić łupy cudzej ziemi,  
Lać krew dla zysku? — Ha! a tenże książę,  
Co sobie imię D o b r e g o wyklamał!  
Z wrogiem na własną ojczyznę się wiąże,  
Ziomkom, królowi, Bogu wiarę złamał,  
Przez co? — Przez zemstę? — Nieprawda! — Przez  
[chciwość,  
Przez zazdrość tylko! — A słuchać was przecie:  
Co trzecie słowo w ustach sprawiedliwość,  
Choć czyn wasz każdy woła, że kłamiecie! —  
Ja — ja przynajmniej obłudą się brzydzę,  
I gardzę wami! — Lubię wolność moję.  
Mam krew, mam serce; kocham, nienawidzę —  
Lecz jaką jestem, wyznać się nie boję.

TALBOT.

Tej sławy, pani! nikt ci nie zaprzeczy.

IZABELA.

I nie przed wami będę się tłumaczył!

Uczucie dla was, jest słowem bez rzeczy. —  
Żegnam was! — oby nigdy nie zobaczyć! —  
(*Odchodzi*).

### SCENA III.

TALBOT, FILIP I LIONEL.

TALBOT (*patrząc za odchodzącą*).

To mi niewiasta!

LIONEL.

A teraz, czas drogi!

Radźcie, co czynić co przedsięwziąć mamy?  
Cofać się? — czyli ochłonawszy z trwogi,  
Iść wstecz, wczorajszej powetować plamy?

FILIP.

Nadtośmy słabi, popłoch nazbyt świeży!

TALBOT.

Popłoch ten powstał z płonnej wyobraźni;  
Lecz niech się z widmem oko w oko zmierzy,  
Żołnierz przesądnej wnet zbędzie bojaźni.  
Moja więc rada — dodawszy odwagi,  
Zgromadzić wojsko, i wieść do rozprawy.

FILIP.

Rozważcie tylko! —

LIONEL.

Co tu do rozwagi?

Gdy trzeba umrzeć, lub pomścić niesławy.

TALBOT.

Tak jest — stanęło! — Z pierwszych kurów pianiem  
Wrócim za rzekę, na spotkanie wroga.

Ja sam najpierwszy, z tem widmem szataniem  
Zmierzyć się muszę; — i z pomocą Boga,  
Czy się mnie czekać odważy szalona:  
Ufam, że skończy swe gusła i czary;  
Czy pierzchać będzie: wojsko się przekona  
Jak zabobonnej ulękło się mary.

LIONEL.

Nie, nie! — mnie wodzu! zostaw bój ten łatwy!  
A ja ci ręczę — bez dobytcia broni,  
Wobec wojsk obu, ten postrach dla dziatwy,  
Jak lalkę, żywcem uniosę w mej dłoni.

FILIP.

Wieleś obiecał!

TALBOT.

Ze mną pojedynek

Nie tak łagodne wróży jej uściski. —

Lecz czas, wodzowie! czas pójść na spoczynek!

O świcie w drogę — a świt już jest bliski.

*(Odchodzi).*

#### SCENA IV.

JOANNA z chorągwią i mieczem w ręku, w hełmie i pancerzu, zresztą po niewieściemu ubrana. DUNOIS, LA HIRE, RYCERZE i WOJSKO, ukazują się na wierzchołku skał; zstępują zwolna i zapełniają scenę.

JOANNA *(do Rycerzy, którzy ją otaczają)*.

Skały przebyte! — tu są ich obozy.

Na nic nam teraz noc i tajemnica!

Niech z trąb i z piersi, głos śmierci i zgrozy

Zbudzi ich! — Hasłem jest: Bóg i Dziewica!

WSZYSCY (*uderzając mieczami o tarcze*).

Bóg i Dziewica! (*Trąby i kotły*).

STRAŻE (*za sceną*).

Do broni! do broni!

JOANNA.

A teraz ognia! zapalić namioty!

Przy blasku łuny, gdy ich strach rozgoni,

Wpadną nam oślepi na miecze i groty.

Za mną!

DUNOIS (*zatrzymując ją*).

Joanno! uczyniłaś swoje!

Przewiodłaś wojsko niedeptanym szlakiem.

Nam teraz zostaw krwawe kończyć boje.

LA HIRE.

Przodkuj przed nami ze zwycięstwa znakiem,

Lecz nie bierz sama zabójczego miecza!

Los wojny ślepy i modłów nie słucha.

Dość nas, gdzie siła wystarczy człowiecza.

JOANNA.

Kto mi śmie radzić? kto wstrzymywać ducha,

Co mnie prowadzi? — W nim wasze zwycięstwo!

Strzała tam leci, gdzie ją wypuszczono:

Ja tam iść muszę, gdzie niebezpieczeństwo! —

Nie tu, nie dziś mi zginąć przeznaczono!

Póki wróg w kraju, a król nie na tronie,

Ten, co mię posłał, walczy w mej obronie.

(*Odchodzi, za nią rycerze i wojsko*).

LA HIRE (*odchodząc, do Dunois*).

Dunois! bądźmy blisko ku odsieczy,

I puklerz dla niej złożmy z naszych mieczy.

## SCENA V.

ANGIELSCY ŻOŁNIERZE uciekają przez scenę, potem TALBOT.

ŻOŁNIERZ PIERWSZY.

Śmierć, śmierć nam wszystkim! Dziewica w obozie!

ŻOŁNIERZ DRUGI.

To niepodobna! — Śród skał? o tej porze?...

ŻOŁNIERZ TRZECI.

Z obłoków spadła na ognistym wozie.

ŻOŁNIERZ PIERWSZY.

Nie walczyć z dyablem!

INNI ŻOŁNIERZE (*wbiegają krzycząc*).

Ratuj się, kto może!

(*Wszyscy uciekają*).

TALBOT (*wbiegając z mieczem w rękę*).

Stójcie! — Nie słyszają! — Strach pozbył wędzidła.

Stargany urok czci i posłuszeństwa!

Jak gdyby piekło swe wszystkie straszidła

Rzuciło w pogoń: jeden wir szaleństwa

Ogarnął wszystkich; — mężny i nikczemny

Pierzcha zarówno; — zniskąd do oręża

Garstki nie zebrać; — głos wodzów daremny.

Wróg bez oporu rani i zwycięża! —

Jaż tylko jeden pomiędzy wszystkimi

Zdrowe mam zmysły? Mnież jednego pali

Wstyd za ich wszystkich? — Uciekać przed tymi,

Cośmy w dwudziestu bitwach pokonali!...

I któż jest ona? nietknięta żelazem,

Niezwyczężona! na czyj wzrok Gorgony,

Najśmielsi nasi kamienieją głazem,  
A lwią odwagą technie Frank ośmielony? —  
Kuglarkaż cudów kłamanych obrazem  
Wydrze mi z ręki tylu zwycięstw plony?  
Moc bohaterów złamie czarownica?...

ŻOŁNIERZ (*wpadając zadyszany*).

Dziewica! — Wodzu! ratuj się! Dziewica!

TALBOT (*przebija go*).

Ha! nikiemniku! masz za twą przestrożę!

(*Wstrząsając mieczem do góry*).

I śmierć każdemu, co roznosi trwogę! (*Odchodzi*).

## SCENA VI.

Teatr przedstawia rozległy widok — widać obóz angielski  
w płomieniach. — Głos trąb — uciezka i pogoń.

MONTGOMERY (*wbiega z przestraczem*).

Gdzież się udam? nieszczęsny! jak ujdę pogoni?  
Tu wódz zapamiętały, z krwawym mieczem w dłoni,  
Grozi swoim, i gwałtem zwraca na miecz wroga,  
Tam ona! Niepożyta, jak mór i pożoga,  
Szerzy śmierć! — O! ja nędzny! o! na cóż mi było  
Iść za burzliwe morze! — Serce mię łudziło  
Nadzieją łatwej sławy na francuskiej wojnie.  
A teraz! — O! czemużem nie został spokojnie  
W domu moim rodzinnym! gdzie mię matka tkliwa  
Płacząc, zatrzymać chciała; gdzie mię próżno wzywa  
Marya moja!...

JOANNA (*ukazuje się w oddaleniu*).

Przebóg! to ona! — Z płomieni,



Na tle czerwonej łuny, wznosi się śród cieni,  
Jak z gorejących piekieł czarne widmo nocy! —

Ujrzała mię! — w mej duszy czuję wzrok jej  
Biada mi! — Nogi moje w pętach jej uroku [mocy.  
Wikłają się i mdleją; wzrok mój w jej widoku  
Utkwił zaczarowany. — O! straszne katusze!  
Bać się śmierci i wiedzieć, że ją ponieść muszę! —

*(Joanna postępuje nieco ku niemu i zatrzymuje się).*

Zbliża się! — Precz ode mnie nieszczęśliwa broni!  
Miecz mój jej nie pożyje, tarcz mię nie zasłoni;  
Moc piekieł walczy przez nią! — Lecz przecież ma duszę,  
Jest niewiastą: — w jej sercu może litość wzruszę.

*(Rzuca na ziemię miecz i tarczę i chce iść na spotkanie.*

*Joanna szybko zbliża się ku niemu).*

## SCENA VII.

JOANNA I MONTGOMERY.

JOANNA.

Zginałeś! krew angielska w żyłach twoich płynie.

MONTGOMERY *(padając na kolana).*

Wstrzymaj się! — jam bezbronny! — u nóg twych  
[jedynie

Chcę błagać ocalenia. — Widzisz młodość moję,  
Ulituj się! — Raz pierwszy wyszedłem na boje,  
Czeza chwała mię uwiodła. — Przebacz mej młodości!  
Weź mię jeńcem! — Mój ojciec, pan bogatych włości,  
W pięknym Walii kraju, nad brzegiem Sawerny,  
Da złota ile zechcesz, da okup niezmierny,  
Gdy się dowie, że żywy uszedłem pogromu. —  
Jam syn jego jedyny, ostatni szczep domu!

JOANNA.

Nieszczęsny! zły twój anioł dał cię w moje ręce!  
Prędejbys w krokodylej ocalał paszczęce,  
W szponach tygrysich; litość wyżebrał u lwicy,  
Dzieci jej wprzód zabiwszy! — Lecz kto miecz Dziewicy  
Ujrzał — ten zginąć musi. — Próżna twa otucha!  
Jam nie jest z tego świata; — wyższa wola ducha  
Rządzi mną, nieugięta; — nie może ujść żywy,  
Kogo mi raz w moc poda wojny bóg straszliwy.

MONTGOMERY.

Dzika jest mowa twoja — lecz słodycz oblicza  
Pociąga mię ku tobie; piękność twa dziewicza  
Nie wróży okrucieństwa. — Przez litość płci twojej,  
Zbaw mię, miej miłosierdzie!

JOANNA.

Nie wzywaj płci mojej,  
Nie myśl, żem jest niewiastą! — Jam jest duch bez ciała.  
Ślepe narzędzie woli, co mi iść kazała  
Krew przelewać na ziemi. — Żadna płeć nie moją! —  
Gotuj się umrzeć! — Serca niema pod tą zbroją.

MONTGOMERY.

O! przez świętej miłości wszechmogące prawo,  
Które Bóg wlał w nas wszystkich — cofnij dłoń  
[twą krwawą!

Jam zaręczony w kraju! — W pierwszej wiosnie życia,  
Piękna jak ty, anielska! mojego przybycia  
Czeka w domu kochanka. — O! jeśliś już może  
Doznała co jest miłość; jeżeli, jak wróżę,  
Pragniesz szczęścia przez miłość: — nie rozdzielaj srogo  
Dwojga serc, co bez siebie wzajem żyć nie mogą!

JOANNA.

Obeych mi wzywasz bożyszcz, których ja świętości  
Nie znam, ani potęgi. — Nie w imię miłości  
Ublągasz mię; — jej ogień byłby zbrodnią we mnie. —  
Walcz jak mąż, i umieraj! — bo żebrzesz daremnie.

MONTGOMERY.

A więc w imię rodziców zlituj się nad memi!  
W opustoszałym domu, laty sędziwemi  
Schyleni, tęsknią po mnie. — Ach! tyś sama pewnie  
Zostawiła rodziców, co cię płaczą rzewnie.

JOANNA.

Nieszczęsny! przypomniałeś, ile u nas matek  
Pozostało bez dzieci; ile małych dzieci  
Sierotami bez ojców; ile wdów strapionych,  
Ile łez nieotartych i serc zakrwawionych  
Miecz wasz u nas uczynił! — Ha! teraz doświadczą  
Żony wasze i matki, z jaką my rozpaczą  
Płakałyśmy nad krajem i braćmi naszymi!

MONTGOMERY.

O! jak ciężko umierać nie na swojej ziemi!

JOANNA.

Któż was wezwał na cudzą? by jej bujne łąny  
Kopytami tratować? by pod dach słomiany  
Nizkiej chaty rolnika, i w zamożne grody  
Nieść ogień i żelazo? i z naszej swobody  
Urągać się? i swoich narzucać nam króli? —

Myśleliście zuchwali! że jarzmo niewoli  
Zegnie nas i poniży; że kraj dawnej sławy,  
Przywiążecie jak łódkę do swej hardej nawy!  
Nie wiedzieliście, głupi! że nasz herb królewski

Tkwi u stóp tronu Boga; że wprzód sklep niebieski  
Z gwiazd wam obrać, niżeli jeden zagon żyzny,  
Jedną wioskę od naszej oderwać ojczyzny! —

Ale przyszedł dzień zemsty! — Żaden z was przez  
[wodę  
Wielkiego morza — które, jak wieczną przegrodę  
Bóg między nas położył, a wyście złamali —  
Żaden żywy nie wróci! — Broń się! muszę dalej.

MONTGOMERY.

Teraz czuję że umrę; — błagać cię daremnie!

JOANNA (*łagodnie*).

Tak! lecz umrzyj jak rycerz! Po co drzeć nikczemnie  
Przed śmiercią, przed konieczną? — Los nasz w ręku  
[Boga.

Patrz na mnie! któż ja jestem? Pasterka uboga,  
Słaba dziewczica; — dłoń ma nienawykła broni.  
Przecież z cichego domu, z samotnej ustroni  
Wyrwana — z łona ojca, z sióstr kochanych grona,  
Muszę tutaj — nie swoją wolą prowadzona,  
Wam na zgubę, i sobie nie na radość — muszę,  
Być jak widmem postrachu; zatwardzić mą duszę,  
Brodzić we krwi, i w końcu nie ujść śmierci grotu.  
Bo nie błysnie i dla mnie miły dzień powrotu  
Do mej strzechy rodzinnej! — Wiele jeszcze, wiele,  
Wdów na mnie płakać będzie; wielu z was uściele  
Łoże w zimnej mogile: — lecz i mnie dosięże  
Dłoń mego przeznaczenia. — Bierz więc swe oręż,  
Broń się! walcz! — Nie unikniesz, co ci Bóg przeznacza,  
Lecz biada nędznikowi, co drży i rozpacza! —

MONTGOMERY (*porywając się z ziemi*).

Ha! gdyś i ty śmiertelna, gdy cię dłoń człowieka  
Dosiądz może: — obaczym, czy dla mego miecza  
Bóg nie przeznaczył chwały posłać cię do piekła! —  
Ja teraz pragnę boju! — ja, furyo wściekła!  
Ja! i Bóg mi jest wsparciem! — W Nim moja otucha! —  
Ty broń się, i zwij w pomoc piekielnego ducha!  
(*Porywa miecz i tarczę. — Walcząc. — Montgomery upada.*)

### SCENA VIII.

JOANNA (*sama*).

Stało się! Przeznaczenie, nie jam go zabiła!  
(*Oddała się od niego i stoi w zamyśleniu. — Po pauzie*).  
Duchu! jakżeś ty straszny! jak twa dziwna siła  
Potężnie działa we mnie! — W dłoni mej, tyś męstwo;  
W sumieniu, tyś powinność; w sercu, okrucieństwo! —  
Dusza płacze z litości — dłoń drży, jakby miała  
Burzyć ołtarz w świątyni: gdy ze krwi i z ciała  
Stanie przed nią przeciwnik: a wiem, że upadnie,  
Że krew lunie mu z piersi, że twarz śmiercią zbładnie! —  
Sam błysk miecza mię trwoży, jak łyskanie nieba,  
Poprzednicze piorunu; — a jednak, gdy trzeba,  
Czuję w sobie moc cudzą, i w mej dłoni drżącej,  
Miecz zabija sam przez się, jakby duch żyjący.

### SCENA IX.

JOANNA I RYCERZ ze spuszczoną przyłbicą.

RYCERZ.

Ha! tużeś wreście, posłanko szatana!  
Tu kres twych guseł, i próżna ich siła!

Broń się, przeklęta! i do swego pana  
Idź po zapłatę, za złe, coś zbroiła.

JOANNA.

Szaleńcze! na śmierć idziesz w moje ręce. —

Lecz tyś nie Anglik! tyś syn naszej ziemi!  
Burgundzkie barwy i herby książęce!...  
Ostrz mego miecza schyla się przed niemi.

RYCERZ.

Ty mi pochlebiasz, piekielna Megero!  
Broń się! — Choć czuję, że za twe zakłęcia,  
Umrzeć ci raczej pod kata siekierą,  
A nie pod mieczem burgundzkiego księcia.

JOANNA.

Tyś więc ów książę?

RYCERZ (*podnosząc przyłbicę*).

Jam jest, na twą zgubę. —  
Gmin dotąd pierzchał przed twoim orężem,  
Lecz nie mnie zwiodą twoje kłamstwa grube —  
Mąż jest przed tobą!

## SCENA X.

Ciż, DUNOIS I LA HIRE wpadając nagle.

DUNOIS.

Mąż niech walczy z mężem,  
Nie z niewiastami!

LA HIRE.

Nim świętej Dziewicy  
Skroni dosięgniesz, nas wprzód zabić trzeba.

FILIP.

Nie ja się zleknę guseł czarownicy,  
Ni was, co dla niej zrzekliście się nieba! —

Lecz wstyd ci wieczny, synu Orleana!  
Wstyd ci, La Hirze! że swój miecz zwyciężki  
Czynicie tarczą sprośnych sztuk szatana,  
A z siebie giermków więdźmy czarnoksiężkiej!  
Pogardzam wami, i czekam. — Do broni!  
Z kim Bóg, ten w czarta nie będzie jasyrze.  
(*Wszyscy gotują się do walki. — Joanna staje w pośrodku.*)

JOANNA.

Stójcie!

FILIP.

Ha! nędzna! strach ci mojej dłoni!  
(*Naciera na Dunois*)

Broń się, bo zginiesz!

JOANNA.

Rozłącz ich, La Hirze!  
Dość już z stron obu bratniej krwi przelano,  
Dość! — lecz nie oreż tę walkę rozstrzygnie.  
Inaczej o tem w gwiazdach napisano!  
I biada temu, kto go pierwszy dźwignie!  
Kto nie uwierzy, i kto nie usłucha  
Z ust moich głosu wszechmocnego ducha!

DUNOIS.

Po co wstrzymujesz cios mój sprawiedliwy?  
Krew niechaj zdrajcy wstyd Francyi zmaże!

JOANNA (*rozłączając ich, staje znowu w pośrodku*).

Złóżcie broń! mówię, — Bóg, Pan litościwy,  
Nie chce krwi waszej — mnie z nim mówić każe.

(*Do Filipa*) Co chcesz? Filipie! zważ, i przeciw komu  
Stoisz z orężem w bratobójczej dłoni? —  
On, jak ty. księżę francuskiego domu,  
On jest twój ziomek, i towarzysz broni!  
Jam też nie obca — córka jednej ziemi.  
Wszyscy, na których następujesz głowę,  
Twoi są. — Powróć, stań pomiędzy niemi,  
A poznasz wszystkich! — Serca ich gotowe  
Kochać cię; ręce uściskać; kolana  
Zgiąć się przed tobą; — bo nawet w potrzebie,  
Święta nam w tobie krew naszego pana,  
Oręż nasz ostrza mieć nie śmie dla ciebie! —  
O! pójdź! wróć do nas! — Czyż dla cię bez ceny  
Są cześć i miłość — serc najdroższe dary? —

FILIP.

Dość, dość, obłudna! Śpiew zdrażnej syreny  
Insze w głąb piekła niech wabi ofiary!  
Mnie nie uludzą szatańskie mamidła,  
Przezorny rozum zatkał moje uszy;  
I oczu twoich zalotnicze sidła,  
Jak z gładkiej zbroi, zemkną się z mej duszy!  
Teraz my z sobą! — Dunois! do broni!  
Mąż z mężem walczy żelazem, nie słowy.

DUNOIS.

Złą snąc ma. sprawę, kto się prawdy chroni.  
Wysłuchaj pierwej! — Jam zawsze gotowy.

JOANNA.

Patrz wkoło, księżę! i sądz, czy nas trwoga,  
Czy nas potrzeba u stóp twoich zgina?



Jednem płomieniem gore obóz wroga,  
Trupem się jego zaskłała równina;  
Głos trąb wojennych, jako piorun Boga,  
Rozprasza resztę: — naszą jest godzina!  
Jako zwycięzcy, sławą i weselem  
Chcemy się z dawnym dzielić przyjacielem. —

O! wracaj do nas! Dość mściwej niechęci!  
Z nami jest słuszość i błogosławieństwo.  
Wy nie widzicie — lecz duchowie święci  
Walczą za nami! — Bóg nam dał zwycięstwo!  
Bóg ci przeze mnie swą wolę ogłasza,  
Przezemnie'ć Jego chce dźwignąć prawica. —  
Jako ten nasz sztandar, biała sprawa nasza;  
Godłem i hasłem jej — Bóg i Dziewica!

FILIP *(na stronie)*.

Umiem znać kłamstwa mamiące wykrety,  
Ale jej mowa prosta jest jak dziecka! —  
Czyżby i pozór niewinności święty  
Wyklamać mogła piekiel moc zdradziecka? —  
Nie słucham więcej! — Dunois! do broni!  
Ucho me, czuję, jest słabsze od dłoni.

JOANNA.

Zwiesz mię szatanką! Szatańskież to dzieło,  
Rozbrajać zemstę, koić serc trucizny?  
Piekłoż chce zgody? Onoż mię natchnęło  
Żądzą pokoju, miłością ojczyzny? —  
Lub się więc zmienił porządek natury,  
Że dobrą sprawę wspierać muszą piekła:  
Albo — jeżeli jest prawdą, com rzekła, —

Skąd me natchnienie, jeżeli nie z góry?  
Kto zstąpił ku mnie, ku biednej pasterce,  
I męstwo w piersiach dziewicy rozniecił?  
Nadludzki zamiar tchnął w dziecinne serce,  
I duszę światłem nadziemskim oświecił? —

Jam nie wzrastała przed królów obliczem,  
Obca mym ustom sztuka słów mamiąca;  
Przecież gdy trzeba — gdy tchem tajemniczym  
Duch mię owionie: jakby w blasku słońca  
Widzę przed sobą cały świat widomy,  
Wiem wszystkie rzeczy: — czuję mimowoli  
Przeszłość i przyszłość narodów i króli —  
A słowa moje wstrząsają jak gromy.

FILIP.

Co mi się dzieje? co za dziwna zmiana!  
Moc-że to czarów to wzruszenie budzi? —  
Nie! — ta mię postać, ten mię wzrok nie ludzi!  
Serce mi mówi: — tyś z nieba zesłana!

JOANNA.

On już wzruszony! stało się! wzruszony —  
Twoja w tem, Panie! a nie moja siła! —  
Chmura się gniewu we łzy roztopiła,  
Pogodą serea świeci wzrok natchniony! —  
Precz z tym orężem! — łączmy łzy ze łzami!  
On płacze! — Boże! dzięki Ci! — On z nami!

*(Miecz i chorągiew wypadają z jej dłoni; bieży do księcia  
i ściska go. — Dunois i La Hire rzucają również miecze,  
i spieszą uściskać księcia).*



## AKT TRZECI.

---

Obóz królewski w Chalons nad Marną.

### SCENA I.

DUNOIS I LA HIRE.

DUNOIS.

Jesteśmy bracia, towarzysze broni;  
Tyleśmy razem wspólnej krwi przeleli,  
Nierozzerwani w złej i dobrej toni —  
Nas-że dziś miłość kobiety rozdzieli?

LA HIRE.

Posłuchaj, książę!

DUNOIS.

Wiem, kochasz Dziewicę  
Idziesz twą miłość objawić królowi,  
Prosić go o nią. — Król ci nie odmówi;  
Król zna twą wierność, twą dzielną prawicę.  
Lecz ja — wiedz o tem! — wprzód niżli ją cudzą  
Ujrzę, La Hirze!...

LA HIRE.

Wysłuchaj mię, książę!

DUNOIS.

Nie wdzięki lica oczy moje łudzą,  
Nie płochy urok serce moje wiąże.  
Serce to w bojach zdziczałe od młodu,  
Ze strzał miłości urąga pod zbroją.  
Lecz ta cudowna zbawczyni narodu,  
Ta bohaterka — ta być musi moją!  
Przysiągłem sobie przed obliczem nieba.  
Bo siłę tylko zdoła pojąć siła;  
A w duszy mojej czuję, że jej trzeba  
Współczucia drugiej — coby równą była.

LA HIRE.

Któżby twych zasług był tak nieświadomy,  
Iżby śmiał z tobą stawać do zawodu? —  
Ale zważ, książę! czy stan jej poziomy  
Godzien jest twego imienia i rodu?

DUNOIS.

Mojego rodu? Ona jest dziecięciem  
Boskiej natury, wśród ziemskich padołów!  
Onażby równać nie śmiała się z księciem,  
Oblubienica niebieskich aniołów?  
Którą nad wszystkie ziemskich koron blaski,  
Otacza jaśniejszy promień łaski;  
Co wszelką wielkość, wszelką jasność ziemi  
Widzi poziomą pod stopami swemi? —  
O! tam, gdzie ona, na niedoścignionej  
Swej wysokości, świeci wśród gwiazd koła,  
Tam — weź za szczyble wszystkie świata trony,  
Dojść nie potrafisz — bez skrzydeł anioła!

LA HIRE.

Król więc rozstrzygnie.

DUNOIS.

Nie! jej własna wola. —

Ona, co wolność wróciła krajowi,  
O losie swoim niech sama stanowi! —

## SCENA II.

Ciż, KRÓL, ARCYBISKUP, AGNIESZKA SOREL, DU CHATEL  
I CHATILLON.

KRÓL (*do Chatillona*).

Sam więc przybędzie uznać mię za króla?  
Hołd mi swój złożyć?

CHATILLON.

Dziś jeszcze tu stanie.

Wysłał mię przodem, ażeby ci, panie!  
Niósł jego lenną cześć i pozdrowienie.

AGNIESZKA.

O! piękne słońce dnia co nam przynosi  
Pokój i zgodę, i krzywd przebaczenie!

CHATILLON.

Dwustu rycerzy składa orszak księcia,  
Z nimi przed tobą kolano uniży.  
Rozumie jednak, że gdy się już zbliży,  
Ty jak brat brata przyjmiesz go w objęcia.

KRÓL.

Niczego w życiu nie pragnę goręcej.

CHATILLON.

Książę też prosi, by o tem. co było,  
Teraz i nigdy nie wspominać więcej.

KRÓL.

Serce mu moje wszystko przebaczyło.

CHATILLON.

Przebaczyć równie raczysz wszystkim, którzy  
Z nim przeciw tobie śmieli podnieść broń.

KRÓL.

Francya wszystkim serce swe otworzy,  
Wszystkich jak dzieci przytuli na łonie.

CHATILLON.

Z matką też twoją, jeśli żądać będzie,  
Przyzwolić, panie! zechcesz na ugodę.

KRÓL.

Oby chęć syna mieć chciała na względzie!  
Ona to ze mną, nie ja z nią spór wiodę.

CHATILLON.

Dwunastu świadków z pierwszych mężów kraju,  
Z obu stron wspólne zaręczą przymierze.

KRÓL.

Niech i tak będzie.

CHATILLON.

A podług zwyczaju,

Gdy arcybiskup, przy świętej ofierze,  
Między was jedną hostyę rozdzieli,  
Sami przysięgą stwierdzenie układy.

KRÓL.

Niech mi tak święci pomogą anieli,

Jak w sereu mojem niema cienia zdrady! --  
Cóż jeszcze ksiązę żąda po mnie?

CHATILLON.

Panie!

Widzę tu męża, którego spotkanie  
Mogłoby zatrueć pierwszych wzruszeń chwile.

KRÓL.

Rozumiem. *(Do du Chatela)* Musisz odejść, du Chatelu!  
*(Du Chatel oddala się w milczeniu. -- Król przeprowadza go oczyma, nakoniec śpieszy za nim i ściska go).*

Nie miej mi za złe! -- Ach! ty mi nie tyle  
Poświęcić chciałeś, wierny przyjacielu!

*(Du Chatel odchodzi).*

CHATILLON *(podając zwój pergaminowy).*

Resztę warunków ten pergamin mieści.

KRÓL.

Przyjmuję wszystkie, nie badając treści.  
Zwrot przyjaciela coś godnie opłaci? --

*(Do Dunois i La Hire)*

Wy ze stem jeźdźców idźcie spotkać braci!  
Helmy swe kwieciami niech stroją żołnierze,  
A miasto postać godową przybierze:  
Podezas gdy święty głos dzwonów ogłosi,  
Że Burgund pokój Francyi przynosi! --

*(Głos trąb za sceną. — Paż wchodzi).*

Co to jest?

PAŻ.

Ksiązę burgundzki przybywa.

DUNOIS

Śpieszmy go spotkać! *(Odchodzi z La Hir'em i Chatillon'em)*

AGNIESZKA.

O! chwilo szczęśliwa!

KRÓL.

Ty płaczesz, luba! — Ach! i we mnie serce  
Ścisła się, myśląc, ile krwi rodzinnej,  
Ile łez przelać musiał lud niewinny,  
Nim on kres bratniej położył rozterce. —

Lecz nie dziś o tem! — Dzień po nocy błyska,  
Po burzy słońce i nam zajaśnieje.

ARCYBISKUP (*patrząc przez okno*).

Co za tłum! — Orszak ledwo się przeciska.  
Otóż i Filip! — Lud nakształt mrowiska  
Kupi się wkoło — z radości szaleje.  
Kłęczą przed koniem, podnoszą ramiona —  
Ha! cóż to? — z konia porwali na ręce!  
Niosą w tryumfie! — a kwiaty i wieńce  
Zaćmiły niebo jak chmura zielona.

KRÓL.

Dobry lud! jakże prędko zapomina  
Krzywd swych i kraju; krwi ojców i dzieci!  
Miłość się jego, jak gniew, ogniem nieci,  
Wszystkiem dla niego obecna godzina! —

(*Do Agnieszki*)

Dość łez, najmilsza! uzbrój serce w stałość,  
Wróc pokój twarzy! — bo wszystko w tej porze,  
Zbyteczna radość, jak zbyteczna żalność,  
Równie go zdrażnić jak zawstydzić może.



### SCENA III.

Ciż, FILIP, DUNOIS, LA HIRE, CHATILLON i dwaj inni  
rycerze z orszaku księcia.

*(Filip zatrzymuje się w miejscu. — Król porusza się ku niemu,  
ale go Księżę uprzedza, i w chwili, gdy chce ugiąć przed nim  
kolano, Król przyjmuje go w swe objęcia).*

KRÓL.

Pośpiech twój tylko uprzedził nas, książe!  
Chciałem cię spotkać; — lecz szybkie masz konie.

FILIP.

Nie dziw! do mojej powinności dążę.  
*(Ściska i całuje w czoło Agnieszkę).*

Wybacz, kuzynko! ale w mojej stronie,  
Jest to obyczaj, któremu bez sporu  
Piękność ulega.

KRÓL.

Podług naszych wieści,  
Na dworze twoim szukać trzeba wzoru  
Wdzięcznej godności i krasy niewieściej.

FILIP.

Ze wszystkich skarbów burgundzkiej krainy  
To jest najdroższe, czem ją niebo darzy.

KRÓL.

Lecz ty sam, książe! przyznaj się do winy,  
Albo się musisz oczyścić z potwarzy:  
Że lekceważąc miłość i jej wiarę,  
Nie wierzysz w wierność.

FILIP.

Najcieższą swą karę

Ma samo w sobie każde odszczepieństwo! —  
Błogo ci królu! żeś się w tem z natchnienia  
Pięknego serca, ustrzegł doświadczenia!

*(postrzegając Arcybiskupa)*

Witaj pasterzu! twe błogosławieństwo  
Niech stwierdzi węzły braterskiego związku! —  
Dawnom cię widział: — bo chcąc spotkać ciebie,  
Trzeba iść, widzę, drogą obowiązku.

ARCYBISKUP.

O! dniu radosny! teraz mię do siebie  
Pan niech powoła! — Cóżbym więcej żądał  
Widzieć na ziemi, gdym ten dzień oglądał? —

FILIP *(do Agnieszki)*.

Mówią, kuzynko! żeś swe dyamenty  
Przedać kazała, by mię ścigać zbrojnie. —  
O! nie wiedziałem, że duch tak zawzięty  
Mieszka w twem sercu. — Lecz już koniec wojnie!  
Wraca się wszystko, co było stracone:  
Pociechy serca, i ozdoby stroju. —  
Patrz! twe klejnoty są też znalezione!...

*(bierze z rąk dworzanina szkatułkę i podaje ją Agnieszce)*

Na wojnę ze mną były przeznaczone,  
Przyjm je ode mnie za godło pokoju! —  
*(Agnieszka waha się, spoglądając na Króla)*.

KRÓL.

Przyjm! jest to zakład podwójnej świętości:  
Braterskiej zgody, i szczerej miłości.

*(Agnieszka płacząc usuwa się na stronę. — Król i wszyscy  
mocno wzruszeni)*.

FILIP

*(spojrzawszy po kolei na wszystkich, rzuca się w objęcia Króla).*

Królu mój!

*(W tejże chwili trzech burgundzcy rycerze ściskają się z Arcybiskupem, Dunois i La Hirem. — Król i Filip pozostają przez czas niejaki we wzajemnych uściskach).*

FILIP *(po pauzie).*

Jaż cię mogłem nienawidzić?

Ja wroga twoją uwieńczyć koroną...

KRÓL *(przerywając).*

Dość!

FILIP.

Nie! — Występek powinien się wstydzić.

KRÓL.

Dość! — Wszystko przeszło — wszystko przebaczo-  
[no! —

Był to błąd losu — wpływ gwiazdy złowrogiej.

FILIP.

Naprawię wszystko, wierzaj mi, naprawię!

Francją całą złożę pod twe nogi:

Żadnej wsi, żadnej lepianki ubogiej

Nie będzie braknąć twych przodków dzierzawie! —

KRÓL.

Gdyśmy złączeni, któż nas zachwiać zdoła? —

FILIP.

Ach! nie wiesz, królu! jak ciężkie zgryzoty

Truły mi duszę śród twych wrogów koła!

*(wskazując na Agnieszkę)*

Czemuś mi tego nie przysłał anioła?

Samby jej widok wrócił mię do cnoty. —

Lecz teraz, teraz — żaden podstęp wroga,  
Żadna moc piekiel — nie nas nie rozdwoi!  
Tutaj się kończy moich błędów droga,  
Pokój mój, czuję, jest na piersi twojej! —

ARCYBISKUP (*stając pomiędzy nimi*).

A więc, książęta! pokój między wami!  
Francya znowu, jak feniks z popiołu,  
Wzniesie się — blizny zakryje laurami:  
Praca, i ziemia bogata darami,  
Wróćą zamożność i miastu, i siołu.  
Lecz ci, co przez was i dla was zginęli,  
Tysiące ziomków, czyż z mogił swych wstaną?  
Lecz lży, co przez was i dla was wylano,  
Któż je powróci tym, co je wyleli? —  
Zakwitnie może przyszłe pokolenie,  
Lecz przeszłe przez was było łupem zbójców;  
Pomyślność synów, nie wskrzesi ich ojców,  
Krew ich na wasze opadła sumienie! —

Obyż z niej przecie wyszła wam przestroga,  
By nim spór kiedy zaczniecie orężny,  
Pomnieli naprzód na ludzi i Boga!  
Bo wojnę łatwo rozkiełzna Potężny.  
Lecz wojna nie jest jako sokół, który  
Pojmawszy zdobycz, posłusznemi pióry  
Wraca do łowca na dzwonek mosiężny.  
Nie! sęp to dziki, co się krwią rozjada,  
I gardzi głosem człowieka; — i biada  
Tym, co go puszcza! — A nie zawsze z nieba  
Cudowna pomoc zstępuje, gdy trzeba.

FILIP.

Tak, królu! anioł wależy przy twym boku! —  
Lecz gdzież jest ona?

KRÓL (*do otaczających*).

Kędy jest Dziewica?

Czyżby się szczęścia chroniła widoku,  
Co nam jej własna zjednała prawica? —

ARCYBISKUP.

Nie dla niej, panie! zgiełk dworskiej zabawy.  
Gdy ją powinność nie woła na bitwy,  
Gdy nie może dla Francyi sławy,  
W ustroniu za nią przesyła modlitwy.  
I w Bogu tylko, przez Boga natchniona,  
Żyje dla Boga.

DUNOIS.

Lecz otóż i ona.

#### SCENA IV.

Ciż i JOANNA w pancerzu, ale bez hełmu i z wieńcem  
we włosach.

KRÓL.

Pójdź, pójdź kapłanko! w tym świątecznym stroju,  
Pójdź stwierdzić związek spojony przez ciebie! —

FILIP.

Onaż to? niegdyś tak groźna w potrzebie,  
Tak dziś łagodna, jak Anioł pokoju!  
(*Do Joanny*) Widzisz, spełniłem, com obiecał tobie.  
Nie wart-żem dzięków?

JOANNA.

O! dziękuj sam sobie!

O! dziękuj Panu! że dziś gwiazdą jasną  
Jaśniejiesz przed Nim; ty, coś wczoraj jeszcze,  
Groźny kometa, nad ojczyzną własną  
Rozsiewał światło krwawe i złowieszcze.  
(*Patrząc dokoła*) Wszysey tu, widzę, radzi i weseli,  
A tam smutnego spotkałam w przedsieniu,  
Co się kryć musi, i szczęścia nie dzieli!

FILIP.

Któż jest tak winnym, że się nie ośmieli  
Dziś nawet w naszym ufać przebaczeniu? —

JOANNA.

Możeż on ufać? — O! powiedz, że może!  
I niech się w pełni twa zasługa ziści!  
Bo gdy chcesz godnie spełnić dzieło Boże,  
Pełń je do końca! — Kropla nienawiści  
Sam źródł zbawienia zamienia w truciznę.  
Zdaj miłosierdziu twej zemsty spuściznę! —

FILIP.

Teraz rozumiem.

JOANNA.

I przebaczysz, książę? —

Tak, tak! przebaczysz! — Pójdź tu, du Chatelu!  
(*Otwiera drzwi i wprowadza du Chatela, który zatrzymuje  
się opodal*).

(*Do Filipa*) Kto tu odpuścił winowajcom wielu,  
Z wielu go grzechów Pan w niebie rozwiąże.

FILIP.

Joanno! wszystko uczynię dla ciebie,  
Ale ty nie wiesz, jakiej chcesz ofiary!

JOANNA.

Wiem, że jak słońce, dla wszystkich na niebie,  
Jak rosa z nieba, jak wszystkie swe dary  
Niebo zarówno dla wszystkich swych dzieci:  
Tak miłosierdzie, które jest od Boga,  
Na wszystkich spada i dla wszystkich świeci.  
Wiem, że przebaczyć i miłować wroga,  
Jest to zwycięstwo nad wszystkie zwycięstwa,  
Natchnienie łaski, boskość człowieczeństwa!

FILIP.

O! niepojęta! skąd ci moc nade mną?

*(Do du Chatela)*

Zbliż się! — Przebaczam! — Duchu mego ojca!  
Przebacz mi równie, że twój wróg zabójca  
Ściska dłoń syna, co cię pomścić miała! —  
A wy, bogowie śmierci! których ramię  
Sięga szeroko; niech wasz gniew nie pała,  
Że wam złożony ślub mej zemsty łamię! —  
W waszych tam państwach, gdzie serce nie bije,  
Wszystko niezmiennie, niezachwiane, wieczne;  
Lecz póki człowiek tu czuje i żyje,  
Wpływ chwili musi rodzić czucia sprzeczne.

KRÓL *(do Joanny)*.

Com ci nie winien? posłanniczko Boga!  
Tyś zawróciła koło mej fortuny;  
Ty mi powracasz brata; ty z rąk wroga  
Wydzierasz berło; ty wojny pioruny  
Gasisz nad nami! — Któryż z ziemskich króli,  
Tyle dobrodziejstw, jak warte, odpłaci?

JOANNA.

Bądź ludzkim w szczęściu, jakeś był w niedoli!  
Boga za ojca — bliźnich miej za braci! —  
Najuboższemu zpośród twego ludu  
Czyń sprawiedliwość; strzeż praw i swobody;  
A nie pogardzaj niskim! — bo od trzody  
Bóg tobie zesłał spełnicielkę cudu! —  
Francya tobie ukorzy się cała,  
I będziesz ojcem królów pokolenia;  
I wielka będzie ich moc i ich chwała,  
Dopóki pycha serca i myślenia  
Nie zbluźni Bogu, i ludem nie wzgardzi.  
Bo wtenczas! — wtenczas i Bóg się zatwardzi,  
I skąd ci pomoc — z pod wieśniaczej strzechy,  
Wyzwie mścicieli za mocarzów grzechy!

FILIP.

Gdy ci otwarte przeznaczenia księgi,  
Czytaj z nich, Święta! przyszłość mego domu!

JOANNA.

Obok królewskich tron jego potęgi;  
Chce wznieść się wyżej: — nie lęka się gromu  
Boga, ni ludzi. — Grom przecież uderzy,  
Grom przeznaczenia! — Lecz się nie bój zbytnie!  
Dom twój nie upadł! — Nie z miecza rycerzy,  
Z łona dziewicy szczep jego odkwitnie,  
I na dwóch tronach, w pełni majestatu,  
Króluje, widzę, znajomemu światu,  
Ha! i nowemu! który wola Boża  
Kryje dziś jeszcze za zasłoną morza!



KRÓL.

O! mów! czy węzeł, co nas dzisiaj wiąże,  
W przyszłe też wieki, dwa bratnie narody  
Połączać będzie?

JOANNA.

O! królu! o! książę!

Mocarze ziemi! strzeżcie się niezgody!  
Nie budźcie Jędzy! niech w swych lochach drzemie!  
Bo raz zbudzoną, kto zdoła powstrzymać?  
Z jadu jej smocze rozrodzi się plemię,  
Z pożaru pożar będzie się rozdymać! —  
Dość! — Obłok stanął u przyszłości progu. —  
Cieszcie się z dzisiaj, jutro zwierzcie Bogu!

AGNIESZKA.

Święta Dziewico! ty wiesz myśli moje,  
Powiedz, co przyszłe rokują mi lata?

JOANNA.

Duch widzi tylko wielkie dzieje świata,  
Własnym twym losem rządzi serce twoje.

DUNOIS.

Lecz jakież szczęście, jakie ziemskie blaski,  
Jaka nagroda będzie godną ciebie?  
Ty! coś nam zlała źródło niebieskiej łaski!

JOANNA.

Szczęście prawdziwe mieszka z Ojcem w niebie.

KRÓL.

Lecz dać ci ziemskie, należy od króla.  
On cię uczyni celem czci narodu,  
On! — I wnet jego dopełni się wola. —  
Klękniij, Joanno!

*(Joanna przykłęka, Król dobywa miecza i uderza ją nim zlekka po ramieniu).*

I z nizkości rodu

Wstań! — Ja król, ciebie, i twój ród, i w grobie  
Prochy twych przodków, uszlachcam zarazem!

Lilie białe będą herbem tobie,

Jak są cnót twoich godłem i obrazem.

A nikt z rycerzy, ni książąt, przed tobą,

Nikt, prócz krwi królów, niema mieć pierwszeństwa.

Związek twój będzie najwyższych ozdobą,

A mnie, królowi, zdaj swadźbę małżeństwa!

DUNOIS *(występując).*

Serce ją moje wybrało już wprzód,

Nimeś ją, panie! w blask twej łaski odział.

I jeślim godzien tak wielkiej nagrody,

By los mój z ręką chciała przyjąć w podział:

Was samych, królu! i ty mężu Boży!

Wzywam na świadków mej szczerej przysiędze.

KRÓL *(do Joanny).*

Cuda po cudach Bóg nam w tobie mnoży!

Cóż niepodobnem będzie twej potędze,

Gdy nawet jego — miłości szydercę,

Zhołdować mogłaś?

LA HIRE *(występując).*

Znam Dziewicy serce,

Pierwszą jej cnotą jest pokora święta.

I jakbądź warta czei, którą odbiera —

Nie ją ułodzi wielkości ponęta,

Nie od niej wzgardy dozna miłość szczera.

Więc chociaż prosty rycerz — wybacz, książę!  
Wybór jej serca niech nasz los rozwiąże.

KRÓL.

I ty, La Hirze? — Dziewico! dla Boga!  
Ledwieś pomogła przejednać mi wroga,  
Chcesz-że poróżnić przyjaciół mych? — Oba  
Godni są ciebie; — dla obudwóch jedna  
Życzliwość moja. — Po co długa próba?  
Mów, kto szczęśliwy, co twe serce zjedna?

AGNIESZKA.

Nagłość twa, królu! przeraża Dziewicę,  
Rumieniec wstydu widzę na jej czole.  
Daj czas, niech sama zbada tajemnicę  
Serca swojego! — Ani ją w tem kole  
Wyjawić może. — Zostawcie nas same!  
Siostrze przed siostrą powróci swoboda,  
Ufność przemoże nieśmiałości tamę.  
Wyrok jej serca, ja ogłoszę.

KRÓL.

Zgoda! (*Chce odchodzić*).

JOANNA.

Nie, królu! zostań! Nie rumieniec sromu,  
Nie żar miłości czoło moje pali.  
Nie do zwierzzenia nie mam tu nikomu,  
Cobym nie rada, by drudzy słuchali.

Umiem czuć wdzięcznie cześć, co mię spotkała;  
Alem nie na to wzięła miecz śmiertelny,  
Bym krwią mych bliźnich, sobie kupić miała  
Książęcą mitrę, albo mirt weselny.

O! nie! mój królu! — Wielkie dzieło Boże,  
Co mi na ziemi spełnić przeznaczono,  
Czysta dziewica tylko spełnić może. —  
Żadnemu z mężów nie mogę być żoną.

ARCYBISKUP.

Azaliż nie wiesz, że na ulgę troski  
Pierwszemu z mężów, Bóg niewiastę stworzył? —  
W głosie natury, jest głos woli Boskiej.  
Gdy dojdiesz celu, co ci Bóg założył,  
Rychło, odwyklszy od miecza i zbroi,  
Piękniejszy zawód obaczysz przed sobą:  
Byś cnót niewieścich dała wzór płci twojej,  
Jak byłaś mężom wzorem i ozdoba.

JOANNA.

Ojczel! któż zgadnie przyszlą wolę ducha?  
Lecz gdy czas przyjdzie, a poznam, co trzeba:  
Serce go moje z pokorą usłucha. —

Tymczasem spełńmy pierwszą wolę nieba!  
Król nie jest jeszcze pomazańcem Boga,  
Olej mu święty nie namaścił czoła;  
Do Reims nam drogę zaszło wojsko wroga —  
Tam, bracia! za mną! tam powinność woła! —

KRÓL.

Jedna myśl, widzę, rządzi sercem twojem,  
Miłość się przed nią ozwać nie ośmiela.  
Lecz gdy kraj cały zakwitnie pokojem,  
A w serca ludzi wróci duch wesela:  
Wierz mi, że wtenczas twe serce niewieście  
Wzbudzi też w sobie uczucia dziś śpiące;

I coś zaczęła zbawiając tysiące,  
Szcześciem jednego zakończysz nareszcie.

JOANNA.

Delfinie! takżeś syt już Bożej łaski,  
Że chcesz w proch ziemski rzucić jej narzędzie?  
Tak-że cię rażą wyższych światów blaski,  
Że ziemię tylko mieć umiesz na względzie? —

O! ślepe serca! ludzie małej wiary!  
Niebo przed wami działa na odkryte;  
Cuda po cudach świadczą jego dary,  
A wy w tem tylko widzicie — kobietę! —

Gdzież jest kobieta? gdzie jest ziemska siła,  
Aby uczynić, co Pan przez mnie czyni? —  
Biadaż mi, biada! gdybym się ważyła  
Myśleć o sobie: — i cudu sprawczyni,  
Ziemskim rozumem mierzyć moje życie!  
Biada wam wszystkim, którzy mię kusicie!  
Lecz Pan jest ze mną! On mię wziął w opiekę!...  
*(urywa nagle — i po chwili woła w natchnieniu).*  
Słyszę głos Jego! — Do broni, mój królu!

## SCENA V.

CIŻ I RYCERZ *(wpadając z pośpiechem).*

KRÓL.

Cóż nam przynosisz?

RYCERZ.

Wróg przeszedł przez rzekę,  
I szyk bojowy rozwija na polu.

JOANNA.

Do broni! mówię. — Dziś kres jego pysze!

Sami na oślepa idą w nasze ręce.

Za mną, kto Francuz! (*Wybiega*).

KRÓL.

Idźmy, towarzysze!

Niech mą koronę zwycięstwem uświęcę! —

Sam jako żołnierz chcę walczyć na czele.

(*Do Agnieszki*)

Bądź zdrowa, luba! nie płacz!

AGNIESZKA.

O! nie płaczę,

Nie drzę o ciebie! — Bóg nazbyt już wiele

Uczył dla nas, by tylko rozpaczę

Zsyłać miał w końcu! — Jemu ufam śmieie,

Że cię w Reims dzisiaj zwycięzcą zobaczę.

(*Wszyscy odchodzą*).

(*Słychać głos trąb wojennych, który podczas przemiany dekoracji, coraz w większą wrzawę przechodzi, naśladując zgiełk i zamieszanie bitwy. Orkiestra łączy się z nim przy otwartej scenie, wraz z odgłosem wojennych instrumentów za sceną*).

## SCENA VI.

Teatr zamienia się w obszerne, otwarte pole, otoczone drzewami. Podczas muzyki widać w głębi szybko przebiegających żołnierzy.

TALBOT wsparty na FASTOLFIE i otoczony żołnierzami —  
wkrótce potem LIONEL.

TALBOT.

Dość! — pod tem drzewem złóż mię, przyjacielu!

Wracaj do bitwy! — Nie mi już nie trzeba,

A umrzeć umiem.

LIONEL (*wchodząc*).

Co widzę? — o! nieba!

FASTOLF.

Na smutny widok trafiasz, Lionelu!  
Wódz nasz umiera.

LIONEL.

Nie daj tego Boże!

*(Do Talbota)* Dziś nam najbardziej potrzebna twa siła.  
Wstań, wodzu! doświadczy, co moc woli może!  
Powstań! i rozkaż naturze, by żyła!

TALBOT.

Próżno! nie zmienić, co zły los przeznaczy! —  
Tron nasz, dźwigniony tyłu prac ogromem,  
Wali się w gruzy; — próżno bój rozpaczy  
Wiodłem do końca; — patrz! rażony gromem  
Leżę, bym nie wstał. — Reims jest już stracony,  
Brońcie Paryża!

LIONEL.

Paryż sprzymierzony  
Z Delfinem; — właśnie odebrałem gońca.

TALBOT *(odrywając zawiązki ran)*.

A więc krwi moja, upływaj do końca!  
Bo już mi światło obrzydło słoneczne.

LIONEL *(do Fastolfa)*.

Śpiesz unieść wodza na miejsce bezpieczne!  
Wróg z całą na nas następuje siłą.

TALBOT.

O! głupstwo gminu! tyś mię zwyciężyło!  
Ty! — i nie ludziom walczyć z mocą twoją,  
Przed którą same bogi nie dostoja! —  
Lecz ty, rozumie! światło niebios tronu!  
Ty sprawco świata! ty bóstwo człowiecze!

I cóż ty jesteś? gdy szal zabobonu  
Porwie cię z sobą, i w przepaść zawlecze? —  
Przekleństwo temu! co w krainie myśli  
Szuka wielkości: trwoni moc i lata,  
I wierzy planom, gdy je mądrze skreśli! —  
Bo szal i głupstwo — to są władzcy świata!

LIONEL.

Przestań, milordzie! Krótkie są twe chwile.  
Myśl o wieczności! pojednaj się z Bogiem!

TALBOT.

Gdybyż przynajmniej męskiej uledez sile,  
Upaść w zapasach z godnym siebie wrogiem!... —  
Lecz stać się pastwą głupstwa i obłudy —  
O! to dotkliwsze od śmierci tysiąca! —  
Czyż wszystkie nasze ofiary i trudy  
Nie były warte — choć lepszego końca? —

LIONEL (*podając mu rękę*).

Żegnaj, milordzie! — Hołd leż i modlitwy  
Złóżę ci w czasie, gdy mię los ocali.  
Teraz powinność zwie mię na plac bitwy,  
Gdzie los ojczyzny waży się na szali.  
Żegnaj, Talbocie! — Tak! do powitania  
Na lepszym świecie, gdzie niema rozstania!  
(*Odchodzi*)

TALBOT.

Stało się! trzeba spłacić dług natury,  
Oddać żywiołom, to co z nich powstało! —  
Chwila nie minie — a z Talbota, który  
Świat niegdyś cały nappełnił swą chwałą,  
Zostanie tylko — proch! — Tak kończy człowiek!



A cała korzyść światła, co dziedziczym,  
Jest — że ze wzgardą, przed zawarciem powiek,  
Widzim, że wszystko było tylko niczem!

## SCENA VII.

CIŻ, KRÓL, FILIP, DUNOIS, DU CHATEL I ŻOŁNIERZE  
FRANCUSCY.

FILIP.

Zwycięstwo nasze!

KRÓL (*postrzegając Talbota*).

Patrzcie! ktoś umiera!

Śpieszcie dać pomoc! gdy już nie daremnie.

(*Żołnierze francuscy zbliżają się do umierającego*).

FASTOLF (*zastępując im drogę*).

Precz stąd! szanujcie zwłoki bohatera,  
Przed którym w życiu drżeliście niekczemnie!

FILIP (*zbliżając się*).

Co widzę? Talbot!

FASTOLF.

Oddal się, Filipie!

Niech zgonu męża wzrok zdrajcy nie brudzi!

(*Talbot wlepia wzrok w Filipa i kona*).

DUNOIS.

Toż ten, tak ufny w męstwie i dowcipie,

Że za nic ważył i Boga i ludzi? —

Straszny Talbocie! jak ci teraz mało

Ziemi potrzeba! — a dziś jeszcze rano,

Francyi całej nie dosyć się zdało! —

(*Do Króla*) Teraz cię królem witać mogę śmiało!

Bo szczęście zawsze groziło odmianą,  
Póki duch żywy poruszał to ciało.

KRÓL.

Nie my, moc wyższa zmoгла cię, rycerzu!  
Na ziemi Franków, jak na swym puklerzu,  
Coś i konając nie chciał puścić z dłoni,  
Ległeś, byś spoczął! — I ona cię przyjmie  
Do swego łona. — Tu, gdzie kres twej broni,  
Tu grób ci wzniesiem, — a samo twe imię,  
Sam ten grób, w środku państw naszych dzierżawy,  
Stanie za pomnik twych czynów i sławy.

FASTOLF (*zbliża się i oddaje miecz*).

Przyjm, panie! — jestem twym jeńcem.

KRÓL (*nie przyjmując*).

Nie, wcale!

Świątą powinność umiem czcić i w wojnie.

(*Do żołnierzy angielskich*)

Idźcie, i wierni wodza swego chwale,  
Cześć mu ostatnią oddajcie spokojnie! —

(*Fastolf z żołnierzami odchodzi*).

Ty, Du Chatelu! śpiesz, nie tracąc chwili,  
Śpiesz do Agnieszki! — uspokój jej trwogę!  
Powiedz, że żyjem; żeśmy zwyciężyli;  
Że ją w Reims czekam. — Ty jej wskażesz drogę.  
(*Du Chatel odchodzi*).

## SCENA VIII.

CIŻ I LA HIRE.

DUNOIS (*do wchodzącego*).

Gdzież jest Dziewica?

LA HIRE.

Właśnie pytać chciałem.  
Przy tobie była wśród bitwy pola.

DUNOIS.

W twojej ja straży zostawić mniemałem,  
Gdym z jazdą poszedł na obronę króla.

FILIP.

Przed chwilą jeszcze wśród zastępów wroga,  
Widziałem zdala jej chorągiew białą!

DUNOIS.

Biada nam! gdzież jest? — Jakaś myśl złowroga  
Trwoży mię o nią; — drzę, by nazbyt śmiało  
Nie wpadła w tłumy, gdy nikt nie był przy niej.

KRÓL.

Do broni! śpieszmy na odsiecz zbawczyni!  
(*Odchodzą*).

## SCENA IX.

Inna, pusta okolica bitwy. — W oddaleniu widać wieże  
miasta Reims, oświecone słońcem.

RYCERZ w czarnej zbroi, ze spuszczoną przyłbicą, wchodzi  
cofając się. — JOANNA ściga go aż na przodek sceny, gdzie  
on staje i czeka na nią.

JOANNA.

Ha! nędzny! teraz doszłam twych podstępów!  
Chciałeś ocalić resztę twoich braci,  
Uwieść mię zdala od waszych zastępów. —  
Lecz krew mi twoja tę zdradę zapłaci

CZARNY RYCERZ.

Po cóż mię ścigasz? — Pocoś tak, jak widzę,  
Zawzięta na mnie? —

JOANNA.

Bo cię nienawidzę.

Bo jak noc piekieł, której nosisz barwę,  
Sama twa postać wściekłość budzi we mnie. —  
Zedrzyj z twej twarzy tę szatańską larwę,  
Co cię mym oczom chce ukryć daremnie!  
Mów, ktoś jest? — Gdybym nie widziała w boju,  
Jak tuż przedemną, choć nie moim grotem,  
Legł mężny Talbot: — z postaci i stroju  
Mogłabym wnosić, żeś ty jest Talbotem.

CZARNY RYCERZ

Nic-że ci wewnątrz nie mówi głos ducha?

JOANNA.

Ha! skąd wiesz o tem, że mi złem zagraża? —  
Lecz duch mój tylko głosu Boga słucha!  
Groźba złych duchów, czystych nie przeraża.

CZARNY RYCERZ.

Joanno! słuchaj! — Duch ci prawdę wróży.  
Oto Reims! — Nie wchodź! — złóż oręż przed bramą!  
Szczęście nikomu do końca nie służy —  
Puść je od siebie — nim odbiegnie samo! —

JOANNA.

I któż ty jesteś, co mi na pół drogi  
Radzisz opuścić nieskończone dzieło?  
Mnież to rozumiesz zachwiać widmem trwogi,  
Mnie, którą niebo swem męstwem natchnęło? —

CZARNY RYCERZ.

Siła się tobie nie oprze człowiecza,  
Lecz jest moc wyższa, co i tobą władnie.

JOANNA.

Żadna, prócz Boskiej! — i nie złożę miecza,  
Aż tron Lankastra w proch się nie rozpadnie.

CZARNY RYCERZ.

Złóż broń! powtarzam — ostrzegam raz jeszcze.  
Nie wchodź do miasta!

JOANNA.

Milez, widmo piekielne!  
Mów kto ci natchnął te groźby złowieszcze?  
Mów, lub giń! *(podnosi miecz jak do cięcia).*

CZARNY RYCERZ

*(dotyka ręką Joannę, która staje nieruchoma).*

Zabij to co jest śmiertelne! —

*(Nagła ciemność — uderzenie piorunu — Rycerz znika).*

JOANNA *(z przerażeniem).*

To nie był człowiek! — Zwodna mara piekła  
Wyszła z przepaści, by mi zachwiać serce,  
Bym się mej świętej powinności zrzekła! —

Lecz mnież to — Boga mojego rycerce,  
Mnież to wszechmocnej nie ufać potędze? —  
O! niech się cała moc piekieł sprzysięże,  
Pan mój jest ze mną! — wierna mej przysiędze,  
W Nim ufać będę, i przezeń zwyciężę!

*(Chce odchodzić).*

## SCENA X.

LIONEL I JOANNA.

LIONEL (*wchodząc*).

Przekłeta! broń się! — bo jedno z nas obu  
Zginać tu musi. — Krew tysiąca braci,  
Szlachetny Talbot z przedwczesnego grobu  
Woła o pomstę; — miecz ci mój odplaci! —  
I byś wiedziała, zwodzicielko podła!  
Że mię nie splątasz w guseł twoich matni:  
Jam jest Lionel — wojska wódz ostatni! —  
Walcz, i klnij chwilę, co cię ze mną zwiodła!  
(*Walcząc. — Po krótkiej chwili Joanna wytrąca mu miecz  
z ręki*).

Niewierne szczęście! (*Pasuje się z nią*).

JOANNA (*porywa go lewą ręką za pióro od hełmu i zdziera  
mu hełm z głowy, tak, że twarz jego odsłania; w prawej ręce  
podnosi miecz jak do ciosu*)

Miej więc, czegoś żądał!

(*W tej chwili spogląda mu w oczy; wzrok jego męsza ją nagle  
i jakby przeraża. Staje nieporuszona, i powoli opuszcza rękę*).

LIONEL.

Uderz, przekłeta! — Próżno będziesz czekać;  
Nie przyjdzie nigdy dzień, coby oglądał  
Pokorę moją. — Uderz!

(*Joanna daje mu znak ręką, aby się oddalił*).

Mam uciekać?

Przed tobą? — Nigdy! — Stokroć umrzeć raczej!

JOANNA (*z odwróconą twarzą*).

Nie chcę pamiętać, żeś był w mojej mocy.

LIONEL.

Nie! — Gardzę tobą! nie chcę twej pomocy! —

JOANNA.

Zabij mię, a uciekaj!

LIONEL.

Cóż to znaczy?

JOANNA (*zakrywa twarz rękoma*).

Biada mi!

LIONEL.

Mówią, że każdego jeńca  
Zabijać zwykłaś. — Czemuż mnie jednego  
Ocalasz?

JOANNA (*w gwałtownem poruszeniu podnosi miecz, ale spojrzawszy mu w oczy, znowu go opuszcza*).

Boże! wspieraj mię!

LIONEL.

Jakiego

Śmiesz wzywać Boga? — Nasz Bóg nie uświęca  
Czarów piekielnych! —

JOANNA (*w najgwałtowniejszej boleści*).

Cóżem uczyniła! —

Ślub mój złamany! — (*załamuje ręce z rozpaczą*).

LIONEL (*spogląda na nią z politowaniem, i zbliża się do niej*).

Co się dzieje ze mną? —

Ty płaczesz! — Jakaś niepojęta siła  
Gniew mój rozbraja! — Czuję, że daremno  
Chcę nienawidzieć! — Ktoś ty, tajemnicza?

JOANNA.

Uciekaj! —

LIONEL.

Piękność twojego oblicza

Chwyta mi serce. — Chcę cię zbawić — muszę!

Pójdź ze mną! — zerwij piekielne sojusze!

Rzuć ten miecz! —

JOANNA (*z przerażeniem*).

Ja mam iść z tobą?

LIONEL.

Czas drogi!

Nie trać go! — idźmy!

(*Pokazuje rękajeść swego miecza*) Na to znamię krzyża!

Zaklinam — każę — rzuć ten miecz złowrogi!

Idźmy! (*porywa ją za rękę*).

JOANNA.

Co widzę? — Dunois się zbliża! —

Uchodź, nieszczęsny! Czuję, że twej zguby

Przeżyć nie zdołam.

LIONEL.

Jestem ci więc luby?

JOANNA.

Święci niebiescy!

LIONEL.

Spotkamyż się jeszcze?

JOANNA.

Nie! — nigdy, nigdy!

LIONEL.

Spotkamy się! — ręczę.

Przecucia serca nie mylą mię wieszce. —

Twój miecz na zakład! (*wydziera jej miecz*).



JOANNA.

Co czynisz? szaleńcze!

LIONEL.

Kocham cię! — Ufaj rycerskiemu słowu:  
Będę cię szukał — spotkamy się znowu! —  
(*Odchodzi*).

SCENA XI.

LA HIRE, DUNOIS I JOANNA.

LA HIRE.

To ona! — żyje!

DUNOIS.

Wszędzie cię szukamy.

LA HIRE (*patrząc w stronę, gdzie odszedł Lionel*).  
Któż to uchodzi? — Ha! znam go zdaleka,  
To jest Lionel!

DUNOIS.

Mniejsza! niech ucieka!

(*Do Joanny*)

Zwycięstwo nasze! Reims otwiera bramy.  
Lud cały tłumnie, z radości wyrazem,  
Spotyka króla! — Pójdź z nami, Joanno!  
(*Podaje jej rękę. — Joanna chwije się i ma upaść*).

LA HIRE (*podchwytyjąc ją*).

Cóż to jest? — Przebóg! Dziewica jest ranną!  
Krew jej upływa!

JOANNA.

Oby z życiem razem!

(*Upada zemdlona na ręce La Hira*).



## AKT CZWARTY.

---

Scena w Reims.

### SCENA I.

Wspaniale ozdobiona sala; kolumny otoczone girlandami.  
Za sceną słychać oboje i flety.

JOANNA (*sama*).

Umilkł szczepek broni, przeszła groza wojny,  
Po krwawych znojach wraca pokój miły.  
Do świątyń Pańskich lud tłoczy się strojny,  
Ganki i ołtarz kwieciami się okryły.  
Wszędzie wesołość, albo wczas spokojny,  
Nęcą po mieście lud zdala przybyły;  
Reims nie ogarnie niezliczonych gości,  
Na wielkie święto chwały i radości.

A wszystkie serca jednym czuciem gorą,  
A z wszystkich oczu bije blask wesela.  
Co gniew i zemsta dzieliły przed porą,  
Razem dziś szczęście i radość podziela.  
Frank, co drżał tylko i cierpiał z pokorą,  
Olbrzymem wzniosł się nad nieprzyjaciela.

Francya, krusząc pęta swej niewoli,  
Wita na tronie potomka swych króli!

A ja! — ja jedna! — ja, com to zdziałała!  
Mnie jednej szczęście tych wszystkich nie wzrusza! —  
Moc potężniejsza serce mi wyrwała,  
W obozie wrogów uwieźla ma dusza! —  
W proch mię poniża dawana mi chwala,  
Hołdem jej zgryzot jątrzy się katusza.  
Stronię od braci, uciekam z ich koła,  
By ukryć rozpacz i wstyd mego czoła! —

Kto? ja? w piersi mej dziewiczej  
Nosić obraz męża? — Ja? —  
Światłość Łaski tajemniczej  
W ziemskim czuciu zgasnąć ma? —  
Ja ludu mego pasterka,  
Ja Boga mego rycerka,  
Ja goreć miłością wroga?... —  
I nie ściągnęź niebios gromu?  
I nie spłonęź ogniem sromu,  
Przed okiem ludzi i Boga? —

*(Muzyka przechodzi zwolna w miłą, rzuwną melodyę).*

Biada, biada! co za tony!  
Dźwięk ich, czuję, urzekł mnie.  
W każdym, zda się, ulubiony  
Głos z wiatrami ku mnie techie! —

Oby mnie porwał szal wojny człowieczej!  
Oby usłyszeć świst strzał i szezęk mieczy!  
Śród nichby może nanowo ożyła  
Duszy mej siła!

Lecz te dźwięki! lecz te nuty!  
Myśl ich echem tylko brzmi.  
Dusza mdleje od tęsknoty,  
Serce taje w żalu lzy! —

*(Po pauzie z żywością)*

Miałąłem zabić? mogłałem go zabić,  
Widząc te oczy, ten wyraz oblicza?...  
O! wprzódbym na się cios wołała zwabić! —  
Zbrodniaż jest ludzkość i litość dziewczęca? —

Ha! ludzkość, litość! Czulażeś je wprzód,  
Gdy cię posłano nieść mord na morderce?  
Czulażeś litość, gdy Walijczyk młody  
Błagał cię o nią? — Milez, milez, podłe serce!  
Nie kłam przed Bogiem! — On zna prawdy skrytość.  
Nie kłam nikczemnie! — To nie była litość! —

Na cóż mi było patrzeć w jego lice? —  
Bóg chce mieć ślepe woli swej narzędzia.  
Jam śmiała spojrzeć! — Przekłęte zrenice!  
Z ojca i stróża, został tylko -- sędzia!

*(Głos fletów odzywa się znowu. — Joanna w smutnem po-  
grążona dumaniu. — Po pauzie).*

Obym cię nigdy, lasko pastusza,  
Nie zamieniła na miecz wojowniczy!  
Czemuż cię, czemu, prosta moja dusza  
Słuchać musiała, dębie tajemniczy?! —  
Królowo Niebios! oby twój przeczysty  
Nigdy przede mną nie zjawił się blask! —  
Odbierz go, odbierz twój wieniec gwiazdzisty!  
Jam jest grzesznica niegodna twych łask.

Jam widziała śmiertelnemi,  
Chwałę niebios, oczyma;  
Przecież cel mój jest na ziemi,  
W niebie dla mnie go niema! —

Ciężkie, ciężkie powołanie,  
O! Wszecmocny! na mnieś włożył! —  
Jaż zatwardzić jestem w stanie  
Serce, któreś tkliwem stworzył? —

Chcesz okazać moc twą światu,  
Masz twe duchy, masz anioły!  
Ich, z twej chwały majestatu,  
Na śmiertelne szlij padoły!  
Im, zleć woli twojej czyny!  
Im wybranym — co bez winy,  
Co bez serca — nieskalani,  
Nieśmiertelni, niezachwiani  
Ziemią trwogą, ni rozpaczą,  
Ani czują, ani płaczą!  
Nie dziewicy, nie pasterce,  
Kładź ten ciężar na jej serce! —

Co mi do losów krajów i król?  
Co mi do ludów niezgody? —  
Swobodna, rada z ubogiej doli,  
Wesoło pasłam me trzody.

Tyś mię wyrwał z pod mej strzechy,  
Ty na krwawy popechnął bój! —  
Możeż za to będą grzechy?... —  
Ach! to nie był wybór mój! —

## SCENA II.

AGNIESZKA SOREL I JOANNA.

AGNIESZKA (*wbiega w najwyższem poruszeniu, i postrzegając Joannę rzuca się jej na szyję; lecz w pierwszej chwili cofa się, i upada na kolana przed nią*).

Nie, nie tak! — W prochu...

JOANNA.

Co czynisz?

AGNIESZKA.

Wesele,

Zbytek wesela przepełnił mą duszę.  
Szukam cię — z Bogiem podzielić je muszę,  
Niewidomego czczę w tobie, aniele! —  
Pójdź, skończ twe dzieło! ty sprawczyni cudu!  
Król, pan mój, Karol, śród swych parów koła,  
Wodzowie, wojsko, tłum radośny ludu,  
Czekają na cię, by iść do kościoła. —

Ja to widziałam! — ja słyszałam zdala  
Okrzyk tryumfu narodu i miasta! —

O! zbytek szczęścia tłoczy mię, przywala!...

Ratuj mię, wspieraj! bom słaba niewiasta.

(*Joanna podnosi ją z wolna w milczeniu. Agnieszka wpatruje się w nią z podziwieniem, i po chwili*).

Aleś ty smutna? — Szczęścia, coś nam dała,  
Nie dzielisz sama? — Nie dziw! twoja dusza,  
Co nieśmiertelny blask niebios widziała,  
Ziemską się naszą radością nie wzrusza.

(*Joanna ujmuję ją za rękę, ale wnet ją znowu opuszcza*).

O! gdybyś chciała czuć sercem kobiety!... —

Lecz precz ten oręż! precz hełm z twego czoła!  
Nie gardź słodsze mi płci twojej zalety! —  
Miłość się zbliżyć nie śmie i nie zdoła,  
Póki w twych ręku lśni miecz archanioła.

JOANNA.

Czego chcesz po mnie?

AGNIESZKA.

Złóż oręż i zbroję,  
Daj się miłości z twem sercem oswoić!  
Stań się niewiastą! —

JOANNA.

Ja mam się rozbroić? —  
Teraz? — O! wiedz mię na mordy i boje!  
Na grotty wrogów! — tam ja się rozbroję,  
Tam! — Ale teraz! — murem nie żelazem  
Kryć mi się od was — i od siebie razem!

AGNIESZKA.

Dunois kocha ciebie. — Ach! czyż szczerza  
Miłość serc takich ma goreć daremnie? —  
Pięknie jest zyskać miłość bohatera,  
Lecz piękniej stokroć kochać go wzajemnie!

*(Joanna odwraca się ze wstrętem).*

Wzdrygasz się? Cóż to? — Miałabym się brzydzić  
Hołdem rycerza? — Nie! — Możesz odrzucić,  
Możesz nie kochać: — lecz go nienawidzić!...  
Nie! nigdy, nigdy! — Nienawiść ocucić  
Może ten tylko, co nam chce wydzierać  
Cel uczuć naszych. — Ty go jeszcze nie masz —  
Lecz w najgodniejszych, chciej, możesz wybierać.

JOANNA.

Załuż mię! — jestem biedniejsza niż mniemasz.

AGNIESZKA.

Ty? — i cóż jeszcze braknie szczęściu twemu? —  
 Stargałaś kraju niewolnicze pęta,  
 Król przez cię stoi zwycięzcą śród Remu,  
 Tyś jest boginią twej ojczyzny święta!  
 Milion serc dla cię jednym czuciem płonie. —  
 Król w całym blasku swego majestatu,  
 Nie jest tak wielkim, jak ty, której skronie  
 Bóg opromienił swą łaską tajemną!

JOANNA.

Milecz! dość! — O! ziemio! rozstap się pode mną!

AGNIESZKA.

Joanno! przebóg! cóż ta rozpacz dzika  
 Znaczy w twych ustach? — Ach! komuż z nas, komu  
 Czuć dzisiaj radość, gdy cię żal przenika? —  
 Mnie to, mnie trzeba płonąć ogniem sromu,  
 Mnie, com przy tobie tak niska i mała,  
 Że nie śmiem spojrzeć do twej wysokości! —  
 Bo znaj mą słabość! — Nie ojczyzny chwała,  
 Nie szczęście braci, nie tryumf jedności,  
 Nie to, nie! wzrusza duszę moją biedną!  
 Nim tylko jednym i sobą zajęta,  
 We wszystkim widzi, czuje tylko jedno:  
 On pan tych ludów, on cel tego święta!  
 Jemu koronę i laurowy wianek  
 Zesłało niebo! — On mój — mój kochanek!



JOANNA.

O! tyś szczęśliwa! — Szczęśliwa dziewico!  
Kochasz, gdzie wszystko kocha razem z tobą.  
Miłość twa nie drży przed ludzką zrenicą,  
Ona ci szczęściem i razem ozdoba.  
Słyszysz ten okrzyk, to radości echo,  
One bolesnym nie rażą cię wstrętem;  
Pociecha braci, jest twoją pociechą,  
Święto narodu, jest twych uczuć świętem.  
We wszystkim tylko masz nowe ogniwo  
Szczęścia twojego, z ojczyzną szczęśliwą;  
A On, najwyższy, jak słońce na niebie,  
Świecąc dla wszystkich — kocha tylko ciebie!

AGNIESZKA (*rzuca się jej na szyję*).

Joanno! jam się myliła! — Ty czujesz,  
Ty znasz co miłość! ty mnie tak pojmujesz!  
Wszystkieś tajniki mej duszy przenikła.  
Dotąd cię tylko czeić byłam nawykła,  
Teraz cię kocham! — O! gdybyż wzajemnie!

JOANNA (*wyrywając się jej z objęć*).

Odstąp, nieszczęsna! uciekaj ode mnie!  
Chroń się zabójczej tchu mego zarazy,  
Idź, bądź szczęśliwa!

AGNIESZKA.

Dziwne twe wyrazy!  
Badać ich nie śmie dusza czcig przejęta. —  
Aleś ty dla mnie zawsze niepojęta!  
Nie dziw! któż z ludzi zrozumie lub zgadnie,  
Co w duszy świętych ukrywa się na dnie? —

JOANNA.

Świątych? — Niebaczna! — Tyś czysta, tyś święta! —  
Gdybyś zajrzała w otchłań mego serca,  
Każdy twój wyraz zdałby się bluźnierca! —

### SCENA III.

Też, DUNOIS, DU CHATEL i LA HIRE z chorągwią Joanny.

DUNOIS.

Szukamy ciebie, Joanno! — Król żąda,  
Byś pierwsza przed nim święte niosła знамя,  
Bo jak sam czuje, chce niech świat ogląda,  
Że twoje tylko zbawiło go ramię.

LA HIRE.

Oto chorągiew! Spiesz! bo chwila droga.

JOANNA.

Ja iść przed królem? — Ja ją nieść? —

DUNOIS.

Któż inny

Śmiałby się mniemać, że jest dość niewinny,  
By miał tknąć знамя posłanniczki Boga? —  
Tyś z niem do zwycięstw przodkowała w boju,  
Ty nam wskaż drogę szczęścia i pokoju!  
*(La Hire chce jej podać chorągiew. — Joanna odwraca się  
ze wstrętem).*

JOANNA.

Precz z nią! precz!

LA HIRE.

Cóż to? czyż ci nie znajomy  
Sztandar twój własny? obraz Matki Bożej? —  
*(Roztacza chorągiew).*

JOANNA (*poglądając na nią, z rozpaczą*).

Ach! tak! — to Ona! — patrzcie, jak się sroży!  
Jak z ócz jej biją płomieniste gromy!

AGNIESZKA.

Co ci jest? przebóg! — Urojeń mamidło,  
Czcza jakaś mara obłąkała ciebie. —  
Patrz! wszak to tylko ziemskie malowidło,  
Sama Najświętsza, z aniołami w niebie!

JOANNA (*z okiem wlepionem w chorągiew*).

Przyszłażeś znowu, by gromić grzesznicę? —  
Karz, karz! jam winna! jam cierpieć gotowa!  
Ale te gniewu twego błyskawice —  
Któż je wytrzyma?

DUNOIS.

Przebóg! co za mowa!

LA HIRE (*do du Chatela*).

Cóż sądzisz o tem?

DU CHATEL.

Nie śmiem rzec, co myślę,  
Lecz nie od dzisiaj już mię ta myśl trwoży.

DUNOIS.

Jaka myśl?

DU CHATEL.

Sam jej nie chcę badać ściśle.  
Bóg daj! niech tylko król koronę włoży!

LA HIRE (*do Joanny*).

Jak to? czyż powiew tajemniczej trwogi  
Z sztandaru twego i ciebie pochłania? —

O! niechaj przed nim drżą Francyi wrogi!  
Nam on jest zawsze godłem zmartwychwstania!

JOANNA.

Tak! prawdę mówisz! — tak! niechaj drżą wrogi!  
*(Słychać marsz koronacyjny za sceną).*

DUNOIS.

Bierz więc chorągiew! Śpiesz! bo czas jest drogi.  
*(Przymuszają ją do wzięcia chorągwi. — Joanna porywa ją  
nakoniec z gwałtownością i odchodzi; wszyscy za nią).*

#### SCENA IV.

Teatr zmienia się, i przedstawia otwarty plac przed kościołem katedralnym. Tłum ludu zapelnia głąb sceny; ze środka jego wychodzą BERTRAND, STEFAN i KLAUDYAN. Słychać zdaleka muzykę koronacyjnego marszu.

BERTRAND.

Słyszycie granie? — To oni! — już blisko!  
Pójdźmy pod kościół! — tam najlepiej z boku  
Będziemy widzieć całe widowisko.

STEFAN.

Gdzie tam! nie sposób przecisnąć się w tłoku!  
Zostańmy lepiej gdzie stoim; toć przecie  
I stąd coś ujrzym.

KLAUDYAN.

Jak żyję na świecie,  
Nigdy nie widział tyle razem ludu.

BERTRAND.

Cóż za dziw? Któżby nie chciał widzieć cudu,  
Nie święcić święta narodowej sławy? —

A rzecz też słuszną, aby król nasz prawy  
Nie mniejszy przecież miał orszak, niżeli,  
Co go w Saint-Denis królem zrobić chcieli;  
I by mu każdy, w czyich piersiach bije  
Serce francuskie — krzyknął dziś: „Niech żyje!“

## SCENA V.

Ciż, ANNA I ANIELA (*wychodzą z tłumu*).

ANIELA.

Ach! moja Anno! będziem ją widziały!  
Serce me, czuję, to raz drży, to skacze.

ANNA.

Ujrzym ją w blasku wielkości i chwały!

ANIELA.

Wiesz ty co, siostro? Póki nie zobaczę,  
Nie mogę jakoś wierzyć w sobie szczerze,  
Żeby ta, którą cały świat ogłasza,  
Której słuchają sam król i rycerze,  
Żeby to była ona — siostra nasza!

ANNA.

Wątpisz? — Za chwilę obaczymy same.

BERTRAND (*patrząc w stronę*).

Już idą! przeszli tryumfalną bramę!

## SCENA VI.

MARSZ KORONACYJNY.

MUZYCZY z obojami i fletami idą na czele orszaku. — Po nich  
DZIECI, ubrane białą, z palmami w ręku. — Za nimi dwaj  
HEROLDOWIE. — Dalej poczet HALABARDZISTÓW. — CZŁON-

KOWIE MAGISTRATU w obrzędowych togach. — Dwaj MAR-SZAŁKOWIE z laskami w ręku. — KSIĄŻĘ BURGUNDZKI nio-sący miecz koronacyjny. — DUNOIS z berłem. — Inni DYGNI-TARZE z koroną, jabłkiem i laską sądową, inni z ofiarnymi darami. — Za nimi RYCERZE w obrzędowych strojach. — CHŁOPCY CHORAŁNI z kadzielnicami. — KSIĘŻA. — Dwaj BISKUPI ze świętą ampułką. — ARCYBISKUP REIMSKI z krucy-fiksem w ręku. — Za nim JOANNA z chorągwią; idzie zwolna niepewnym krokiem, ze spuszczoną głową. (*Siostry na jej widok dają sobie nawzajem znaki radości i podziwienia*). — Za nią KRÓL pod baldachimem, niesionym przez czterech BARONÓW. — Dalej DWORZANIE i ŻOŁNIERZE zamykający orszak. — (*Gdy wszyscy wnijdą do kościoła, muzyka ustaje*).

## SCENA VII.

ANNA, ANIELA, KLAUDYAN, STEFAN I BERTRAND:

ANNA.

Widziałeś siostrę?

KLAUDYAN.

Ta, co szła we zbroi?

Z chorągwią w ręku?

ANNA.

Tak jest, tak! to ona!

Nie myśli pewno, że ją widzą swoi.

ANIELA.

Ależ, mój Boże! jaka zamyślona!

Jak cała drżąca! — jakby czuła trwogę. —

Widząc ją nawet, cieszyć się nie mogę.

ANNA.

Ktoby mógł myśleć, znając ją w Dom-Remy,  
Gdy za trzodami chodziła po polu,

Że ją tak ujrzym oczyma naszemi,  
W takiej świetności, i pierwszą po królu?

ANIELA.

Pamiętasz przecie, co się ojcu śniło,  
Że w Reims jej będziem kłaniać się w kościele. —  
Toż Reims — to kościół — wszystko się spełniło!  
Lecz w śnie tym było i złych marzeń wiele. —  
Ach! strach mię o nią, że jest tak wysoko!

BERTRAND.

Cóż tu stoimy? Trzeba wejść do środka,  
Widzieć jak króla w purpurę obloką.

ANNA.

Tam może łatwiej dojrzy nas lub spotka.

ANIELA.

Darmo! tłok taki! ludzi jak w mrowisku! —  
Wracajmy raczej! — Wszakżeśmy widziały  
Siostrę; — dość na tem.

ANNA.

Jak to? bez uścisku?

Bez powitania?

ANIELA.

Czyż będziemy śmiały  
Zbliżyć się do niej w tej prostej odzieży? —  
Ach nie! już ona do nas nie należy.  
Miejsce jej teraz z królni i panami!  
Któż my jesteśmy, by się równać do niej? —  
Obcą nam była będąc jeszcze z nami.

ANNA.

Myślisz, że wzgardzi? że się nas zapłoni?

BERTRAND.

Wzgardzić?... Król królem, a nikim nie gardzi,  
Wita się z każdym; — a onaż tem bardziej!...  
Bo niechaj będzie jak chce wywyższona,  
Król przecież zawsze jest wyższy jak ona.  
*(Z głębin kościoła słysząc huk trąb i kotłów).*

KLAUDYAN.

Ależ się śpieszmy! bo już późno będzie.  
A żal byłoby nie być na obrzędzie.  
*(Oddalają się w głąb sceny i gubią się w tłumie).*

## SCENA VIII.

TEOBALD wchodzi, ubrany czarno. — RAJMUND idzie za nim  
i chce go zatrzymać.

RAJMUND.

Nie idź tam ojcze! zostańmy na boku,  
Trudno ci będzie między taką rzeszą.  
Albo wracajmy! — Z twoim smutkiem w oku,  
Co tu masz czynić, gdzie się wszyscy cieszą?

TEOBALD.

Widziałeś moje nieszczęśliwe dziecko? —  
Czy uważałeś? —

RAJMUND.

Dość o tem!

TEOBALD.

O! biada!

Czy uważałeś? — czy widziałeś przecie  
Jak drżała idąc? — jak smutna, jak blada? —



Nieszczęsna! czuje sama czego warta. —  
Lecz jeszcze pora! ratować ją muszę. (*Chce iść*).

RAJMUND (*zatrzymując*).

Stój! co chcesz czynić?

TEOBALD.

Skruszyć jarzmo czarta,  
Gwałtem do Boga nawrócić jej duszę!  
Strącić ją z szczytu wielkości i grzechu,  
Której swe wieczne szczęście poświęciła!...

RAJMUND.

Ach! ojcze! bój się zbytniego pośpiechu!

TEOBALD.

Mniejsza o ciało, byle dusza żyła!

(*Joanna wybiega z kościoła bez chorągwi. Lud ciśnie się ku niej; klękają przed nią, całują jej szaty; natłok zatrzymuje ją w głębi sceny*).

TEOBALD.

To ona! — Patrzaj! ucieka z kościoła!  
Trwoga ją wewnętrzna z świętych miejsc wygania.  
Patrz, jaka blada! — trąba archaniola  
Brzmi już w jej duszy na sąd zmartwychwstania!

RAJMUND.

Bądź zdrów! okrutny! idziesz krzywo świadczyć.  
Żal twój ma za nie przyjaciela słowo. —  
Bądź zdrów! — Ach! na toż miałem ją zobaczyć,  
Abym czuł tylko, że tracę nanowo! — (*Odchodzi*).  
(*Teobald usuwa się w przeciwną stronę sceny*).

SCENA IX.

JOANNA, LUD, potem ANNA I ANIELA.

JOANNA

*(wydziera się z tłumu, i postępuje szybko na przód sceny).*

Nie mogłam zostać! nie! — organ mię głuży,  
Jak huk piorunów; kościół zda się cały  
Wali się na mnie; — piekło w mojej duszy! —  
O! nie mnie teraz nieść mój sztandar biały!  
Tam na ołtarzu oddałam go Bogu. —

Tu jakoś lepiej! — tu oddychać mogę;  
Tu śmieiej!... O nie! nie myśleć o wrogu,  
Nie! — pragnę tylko uspokoić trwogę. —

Czy mi się zdało? czy przed chwilą w tłoku  
Widziałam siostry? — Byłóż to w istocie?  
Czy tylko widmo pożądane oku,  
Przyszło uragać, czy ulżyć tęsknocie? —

Ach! tak, tak! — po co ludzi się daremnie?  
One daleko, daleko ode mnie!  
Jak moje szczęście, moja młodość ranna!...

*(Anna i Aniela wchodzą).*

ANNA *(do Anieli).*

Patrz, patrz! to ona!

ANIELA *(biegnąc ku Joannie).*

To nasza Joanna!

JOANNA.

To wy! O! siostry! o najmilsze moje!  
Więc to nie mara? — Nie! sen mię nie łudzi! —  
O! co za rozkosz spotkać serca swoje,  
Śród tej pustyni nieznajomych ludzi!

ANNA.

A co? Anielo! — czy się nas wyrzeka?  
Czy gardzi nami?

JOANNA.

I wy z tak daleka  
Przyszłyście do mnie — com was opuściła?

ANIELA.

Boska w tem wola a nie twoja była.

ANNA.

Sława dzieł twoich napęlnia świat cały,  
Bóg cię uczynił swoich łask obrazem;  
I myśmy przyszły widzieć blask twej chwały —  
I to nie same!

JOANNA (*prędko*).

Co? ojciec jest razem? —  
Gdzież on? — gdzie? mówcie! —

ANNA.

Nie, ojca tu niema.

JOANNA.

Niema? — Dlaczego? — Czy może trwa w gniewie?  
Nie chce mię widzieć przed swemi oczyma? —  
Może złorzeczy? —

ANIELA.

O! nie! lecz on nie wie,  
Że tu jesteśmy.

JOANNA.

Nie wie? — Cóż to znaczy? —  
Wy się miészacie? — Gdzież on jest? dla Boga!  
Mówcie! czy żyje?

ANNA.

Żyje, i przebaczy  
Wszystko! — Lecz odkąd poszłaś, siostró droga!  
Ojciec nasz —

ANIELA (*dając znak aby milczała*).

Anno!

ANNA.

Stał się więcej jeszcze  
Smutnym, niż dawniej.

JOANNA.

Smutnym z winy mojej!

ANIELA.

Znasz ojca umysł i myśli złowieszce.  
Los go twój trwoży. — Lecz się uspokoi,  
Gdy mu powiemy, że jesteś szczęśliwa.

ANNA.

Bo wszakże jesteś? — Na czymże ci zbywa?

JOANNA.

O! tak! na niczem! — Niczego nie żądam,  
Kiedy was widzę; gdy z ust waszych słyszę,  
Że mię kochacie: i zda się, oglądam  
Nasze rozkoszne, rodzinne zacisze,  
Gdzie w cieniu ojca i waszej opieki,  
Chodząc za trzodą po zielonym gaju,  
Byłam szczęśliwa — szczęśliwa jak w raju,  
I jak już nigdy nie będę na wieki!

(*Ukrywa twarz na piersiach Anieli*).

SCENA X.

TEŻ, STEFAN, KLAUDYAN I BERTRAND, *(wchodzą i z nieśmiałością zatrzymują się zdaleka)*.

ANNA *(do wchodzących)*.

Chodźcie tu, chodźcie! wszystko się spełniło!

Siostra nie dumna, nie ma nas za cudze.

*(Ci zbliżają się i chcą podać jej rękę; Joanna wpatruje się w nich bystro i wpada w głębokie zamyślenie)*.

JOANNA.

Gdzież to ja jestem? Czyż to wszystko było  
Snem tylko marnym? — a teraz się budzę? --

O! tak, tak! pewnie! — Musiałam, jak nieraz,  
Zasnąć pod drzewem i marzyć — a teraz!...

Lecz mówcież, mówcie! Jesteśmyż w Dom-Remy?  
Was-że to widzę przed oczyma memi? —  
Czyż więc te króle, te mordy, te boje,  
Były snem tylko? — Ach! bo myśli moje  
Dziwnie splątane! — Nic nie wiem, nie pomnę.  
Dąb ten mię urzekł! — Gdzież są te ogromne  
Wojska? te tłumy radośnego ludu? —  
Byłoż to wszystko dziełem snu, czy cudu? —  
Mnież to mówiono, że Francją zbawię? —

ANIELA.

Tak! i zbawiłaś, zbawiłaś na jawie!

Przed tobą pierzchli jej nieprzyjaciele.

To jest Reims — patrzaj! Król jest w tym kościele,  
Król, co przez ciebie posiadał państwo swoje! —

To nie sen, siostro! — patrz! widzisz swą zbroję!  
*(Joanna chwyta się ręką za piersi, przychodzi do przytomności, i wzdryga się z przerażeniem)*.

BERTRAND.

Jam ci hełm przyniosł — pamiętasz to przecie?

ANNA.

Nie dziw, że wszystko snem być ci się zdaje.  
Bo co przez ciebie Bóg zdziałał na świecie,  
Ludzkim rozumem pojąć się nie daje.

JOANNA.

Idźmy stąd, idźmy! uciekajmy razem!

ANIELA.

Ty chcesz iść z nami?

JOANNA.

Ach! ci obcy ludzie,  
Czcią swoją dla mnie, gorzej niż żelazem  
Rażą me serce: — hołd niosą uludzie!  
Ale wy moi! — wy mię lepiej znacie!  
Wyście mię znali jako słabe dziecię,  
Jako pasterkę w niskiej, wiejskiej chacie —  
Wy mię kochacie — ale nie wielbicie!

ANNA.

Masz-że dość serca rzucić taką chwałę?

JOANNA.

O! precz ode mnie, przez te blaski liche!  
Wam chce poświęcić życie moje całe,  
Służyć jak sługa; by odkupić pychę,  
Co się tak bardzo na nas wynieść chciała.

*(Słychać trąby i kotły).*

## SCENA XI.

KRÓL wychodzi z kościoła w ubiorze koronacyjnym, AGNIESZKA SOREL, ARCYBISKUP, FILIP, DUNOIS, LA HIRE, DU CHATEL, RYCERZE, DWORZANIE, LUD.

OKRZYKI LUDU.

Niech żyje Karol siódmy! Chwała! chwała!

*(Trąby i kotły. — Na znak Króla, heroldowie podnosząc łaski, nakazują milczenie).*

KRÓL.

Dzięki, mój ludu! dzięki ci! — Korona,  
Którą Bóg dzisiaj dał na skronie nasze,  
Twoim jest znojem i krwią okupiona,  
Lecz ja ją wieńcem oliwnym opaszę.  
Dzięki tym wszystkim, co praw jej bronili,  
A wrogom, łaska i krzywd zapomnienie!  
Bóg nam przebaczył — i nasze w tej chwili  
Pierwsze niech będzie słowo: przebaczenie!

LUD.

Niech żyje Karol łaskawy! niech żyje!

KRÓL.

Przez łaskę tylko Bożą, a nie czyję,  
Wszyscy królowie, poprzednicy moi,  
Tron swój dzierżyli; — lecz jam z Jego dłoni  
Wziął go widoczniej. — Patrzcie! oto stoi  
Zesłanka niebios! Jej to dziełem broni  
Zwycięstwo nasze; jej syn waszych króli  
Winien swe berło; ona z pęt niewoli  
Lud swój wywiodła; — jej więc przed wszystkiemi  
Cześć naszą dajmy! — i odtąd w modlitwach,

Obok świętego patrona tej ziemi,  
Kładźmy jej imię w pokoju i bitwach,  
I ołtarz dla niej zbudujmy w świątyni!

LUD.

Chwała Dziewicy! Cześć, chwała Zbawczyni!

KRÓL *(do Joanny)*.

Jeśliś ty ze krwi i z ciała, Dziewico!  
Mów! jakich darów, jakiej żądasz łaski?  
Największa, małą stanie się dla ciebie. —  
Lecz jeśli twoja ojczyzna jest w niebie;  
Jeżeli tylko przed ludzką żrenicą  
Ukrywasz w ciele archanielskie blaski:  
Zjaw się, czem jesteś! — bo nie mogąc dociec  
Natury twojej, chwiejem się i trwożym.  
Zjaw się! — a w prochu przed posłańcem Bożym  
Padniem na twarz.

*(Ogólne milczenie; wszystkie oczy zwrócone na Joannę).*

JOANNA *(sposstrzegając Teobalda)*.

Nieba! to mój ojciec!

## SCENA XII.

CIŻ I TEOBALD *(wychodzi z tłumu i zatrzymuje się  
naprzeciw Joanny)*.

WIELE GŁOSÓW.

Jej ojciec!

TEOBALD.

Tak jest! ojciec nieszczęśliwy,  
Najnieszczęśliwszy, jaki był na świecie!  
Ojciec, któremu sąd Boga straszliwy  
Każe oskarżać swe najmilsze dziecko!



FILIP.

Ha! cóż to?

DU CHATEL.

Tu się wyda tajemnica.

TEOBALD.

Zwiedziony królu! zaślepiony ludu!  
Myślisz że Boska dźwiga cię prawica? —  
Nie! jest to dzieło czarta, a nie cudu!  
*(Wszyscy cofają się z przestrawem).*

DUNOIS.

On jest szalony!

TEOBALD.

Nie! wyście szaleni!  
Wy, co myślicie, że Bóg majestatu,  
Dla lichej dziewczki prawa swoje zmieni,  
Że przez jej pychę objawi się światu!... —  
Ale obaczym, czy kuglarka podła  
Będzie się ważyć, wobec ojca swego  
Popierać kłamstwa, któremi was zwiodła? —  
*(Do Joanny)* W Imię Najświętsze w Trójcy Jedyne,  
Pytam cię: jestżeś święta i niewinna? —  
*(Przerażenie i cisza powszechna. — Wszystkich oczy zwrócone na Joannę, która stoi nieporuszona).*

AGNIESZKA.

O! nieba! — Milczy!

TEOBALD.

Bo milczeć powinna,  
Bo milczeć musi przed strasznem imieniem,  
Przed którym nawet drżą otchłanie piekła. —  
Ona natchniona! — Pod przeklętym cieniem

Drzewa Druidów, gdzie krew ludzka ciekła,  
Gdzie moc swą dotąd szerzy duch piekielny,  
Tam z nim bezbożne zawarła przymierze,  
I całą wieczność duszy nieśmiertelnej,  
Za czczy blask świata oddała w ofierze.

FILIP.

Dziwna rzecz wprawdzie! lecz ojciec dziecięcia  
Świadom najlepiej; — trudno nie dać wiary.

DUNOIS.

Co? wierzyć w gminu szalone pojęcia,  
W zabobonnika chorowite mary?...

AGNIESZKA (*do Joanny*).

O! mów, mów! przerwij to straszne milczenie!  
My ci wierzymy, my ufamy w tobie:  
Ale rzecz słowo! zbij czcze oskarżenie! —  
Winnaś to Bogu, królowi, i sobie.  
(*Joanna stoi nieporuszona. — Agnieszka oddala się od niej z przestraczem*).

LA HIRE.

Strach ją oniemił — bo i kogóż z ludzi  
Na taką skargę przestracz nie ogarnie? —  
Ale, Joanno! niech się duch twój zbudzi!  
Jest w niewinności moc, na którą marnie  
Wszystkie swe jady wyrze potwarz wściekła.  
Ufaj jej, przemów! i w szlachetnym gniewie  
Skarć lud — co widział tve czyny, a nie wie  
Kto je mógł zdziałać: duch z nieba, czy z piekła? —  
(*Joanna stoi nieporuszona. — La Hire odstępkuje od niej ze zgrozą. — Szmer i poruszenie między ludem*).

DUNOIS.

Co są te szmery? Czego chce gromada? —  
Ona niewinna! — Na mą cześć rycerza,  
Ja ręczę za nią! — a kto niedowierza,  
(*rzucając rękawicę*)

Niech ją podniesie, i niech mi fałsz zada! —  
(*Gwałtowne uderzenie piorunu: wszyscy stoją przerażeni*).

TEOBALD (*do Joanny*).

Przez tego Boga, który grzmi na niebie,  
Mów! czyś niewinna? czyś z Boga natchnięta?  
Czy duch zwodziciel nie obłąkał ciebie? —  
Milczysz — nieszczęsna! — A więc bądź przekłeta!  
(*Drugie, mocniejsze uderzenie piorunu. — Lud pierzcha na wszystkie strony*).

FILIP.

Boże! ty naucz, co nam czynić trzeba!

DU CHATEL (*do Króla*).

Pójdź! pójdź stąd, królu! ustąp woli nieba!

ARCYBISKUP (*do Joanny*).

Nie w imię Boga gniewu, lecz litości,  
Pytam cię, córko! co ci mówić broni:  
Uczucie winy? czy gniew niewinności? —  
Jeśliś niewinna — weź krzyż z mojej dłoni.  
(*Podaje krzyż. — Joanna stoi zawsze nieporuszona. — Nowe gwałtowne uderzenie piorunu. — Król, Agnieszka Sorel, Arcybiskup, Filip, La Hire i Du Chatel odchodzą*).

SCENA XIII.

DUNOIS I JOANNA.

DUNOIS.

Teraz tyś moja! — Uwierzyłem w ciebie  
Od pierwszej chwili. i dotychczas wierzę —  
Więcej, niż wszystkim tym znakom na niebie,  
Których się uląkł lud, król, i rycerze.  
Nie! tyś niewinna! Gniew krzywdzonej cnoty  
Zamknął twe usta; gardzisz sądem zgrai  
Aniś jej mogła, bez wewnętrznej sromoty,  
Objawiać świętość, co się w duszy tai.  
I oto wszyscy odbiegli nikczemie. —  
Lecz jam ci został; — złóż twą ufność we mnie!  
Nie chcę słów nawet: — jeden znak twojej dłoni,  
Jedno spojrzenie — dość mi będzie na tem.  
Miecz cię mój tarczą przed światem zasłoni;  
Jak mię twój wybór zaszczyci przed światem.  
*(Podaje jej rękę. Joanna odwraca się ze wstrętem. Dunois  
patrzy na nią z podziwieniem).*

SCENA XIV.

CIŻ I DU CHATEL, potem RAJMUND.

DU CHATEL.

Słuchaj, Joanno d'Arc! Król ci dozwala  
Opuścić miasto wolno i bezpiecznie,  
Bez krzywd i zniewag. — Idź więc, i żyj zdala,  
Żyj tak, byś potem nie cierpiała wiecznie! —  
Dunois! ze mną! — My wszyscy błagamy,  
Król każe — wracaj! — spełń niebios przestrogę.

*(Dunois obudza się nagle z zamyślenia, spogląda jeszcze raz na Joannę, i odchodzi z Du Chatelem. — Joanna zostaje sama. — Po chwili ukazuje się Rajmund, i czas niejaki, stojąc zdaleka, patrzy się na nią z cichą boleścią. Nakoniec zbliża się do niej, i bierze ją za rękę).*

RAJMUND.

Śpiesz stąd, śpiesz! póki otwarte są bramy. --  
Ja idę z tobą, ja ci wskażę drogę.

*(W tej chwili Joanna okazuje pierwszy znak czucia; spogląda bystro na niego, i wznosi oczy ku niemu; poczem porywa go silnie za rękę, i odchodzą razem).*

## AKT PIĄTY.

---

Teatr wystawia dziką puszcę: w odległości widać chaty węglarzy. — Ciemność zupełna. — Burza, grzmoty i błyskawice. — Zdaleka słychać strzelanie.

### SCENA I.

WĘGLARZ I JEGO ŻONA.

WĘGLARZ.

Co za okropny szturm! co za ulewa!  
Niebo się zdaje stopi w błyskawicach,  
Lub spłynie z deszczem. Najsilniejsze drzewa,  
Nieporuszone w zwykłych nawałnicach,  
Gną się jak trzciny, lub się kruszą w borze.  
Istny dzień sądny! — A jednak, mój Boże!  
Że też ta walka żywiołów zawzięta  
Złości człowieczej złagodzić nie może! —  
Słyszysz te, z wiatru i gromów hałasem,  
Strzały po strzałach! — to ludzkie modlitwy!  
Obadwa wojska stoją tuż za lasem,  
I lada chwila przyjsć musi do bitwy.

ŻONA.

Boże zmiłuj się! A już tak spokojne

Były te strony; wróg był uciekł z pola. —  
Cóż jest, że znowu śmie podnosić wojnę?

WĘGLARZ.

Jest to, że znowu nie boi się króla. —  
Wszystko jak z płotka szło nam przy Dziewicy,  
Było i szczęście, była i odwaga;  
Lecz jak w Reims naród zląkł się czarownicy,  
Wszystko znów na wspak; — czart już nie pomaga,  
A król! — *(ściskając ramionami)*.

Ha! prawda, że to się nie godzi  
Trzymać z szatanem! — jednak...

ŻONA.

Ktoś nadchodzi!

## SCENA II.

CIŻ, RAJMUND I JOANNA.

RAJMUND *(wchodząc, do Joanny)*.

Widzę tu chaty, widzę ludzkie twarze,  
Pójdź! tu się schronim: — iść nie możesz dłużej.  
Trzy dni o głodzie i śród takiej burzy!  
*(Zbliżając się)* Ludzie ci, widzę, są biedni węglarze,  
Gościnność zawsze jest w ubogich domu.  
*(Do Węglarza)* Prosim was o gościnność w imię Boże!

WĘGLARZ.

Nie odmówiłem jej nigdy nikomu,  
Waszem jest wszystko, co mój dom mieć może.  
*(Burza zaczyna się uciszać)*.

ŻONA *(wpatrując się w Joannę)*.

Cóż to się znaczy? niewiasta we zbroi? —

Lecz prawda, prawda! że w dzisiejszych czasach  
Oreż i zbroja każdemu przystoi,  
I że w niej może bezpieczniej niż w lasach. —  
Wszakież to sama królowa, jak wiecie —  
Odpuść jej Panie! — w obozie Anglików  
Chodzi we zbroi; — a i u nas przecie  
Dziewica była wodzem wojowników.

WĘGLARZ.

Ot przestań bajać, a idź obacz lepiej,  
Niema tam czego, co ich trud pokrzepi?

*(Żona odchodzi do chaty).*

RAJMUND *(do Joanny)*.

Widzisz! nie wszyscy ludzie nieużyci.  
Wszędzie człek znajdzie wsparcie i pociechę.  
Rozwesel myśli! — patrz! słońce już świeci,  
Szturm się uciszył; — pójdź spocząć pod strzechę!

WĘGLARZ.

Chcecie iść pewno do obozu króla,  
Żeście tak zbrojni? lecz idźcież ostrożnie!  
Obóz angielski stoi tuż od pola,  
A czaty jego krzyżują się różnie.

RAJMUND.

Cóż radzisz czynić?

WĘGLARZ.

Spocząć tu tymczasem.

Syn nasz wnet z miasta być musi z powrotem.  
Wie on najskrytsze ścieżki między lasem,



Co chyba sarny deptały przelotem:  
Bądźcie spokojni! on was przeprowadzi.

RAJMUND *(do Joanny)*.

Złóż już tę zbroję! bronić nie obroni.  
A tylko znuży, lub co gorsza, zdradzi.  
*(Joanna daje znak odmowny).*

WĘGLARZ.

Ktoś idzie! — cicho! — skryjmy się w ustroni!

### SCENA III.

Ciż, ŻONA WĘGLARZA powraca z chaty z kubkiem w rękę,  
potem ich SYN.

ŻONA.

To syn nasz, Franek, wraca widzę z miasta.

*(Do Joanny, podając kubek)*

Napij się kroplę! — to cię wnet posili,

WĘGLARZ *(do wchodzącego syna)*.

No! cóż tam w mieście?

SYN *(postrzegając Joannę)*.

Cóż to za niewiasta?

*(Zbliża się szybko ku niej, właśnie gdy ona kubek do ust przykłada; poznaje ją, wyrzywa kubek, i woła z przerażeniem)*

Ach! ojeze! matko! coście wy zrobili? —

To czarownica! — zgubicie się sami!

Precz z nią!

WĘGLARZ I JEGO ŻONA.

Ach! Boże! zmiłuj się nad nami!

*(Żegnają się i uciekają).*

## SCENA IV.

JOANNA I RAJMUND.

JOANNA (*spokojnie i łagodnie*).

Widzisz! przekleństwo ściga za mną wszędzie.  
Idź i ty! — po co masz cierpieć daremno?

RAJMUND.

Ja miałbym odejść? Któż przy tobie będzie?

JOANNA.

O! bądź spokojny! jest kto pójdzie ze mną! —  
Słyszałeś głos tych gromów? — Przyjacielu!  
One mi rzekły, że mam przewodników,  
Co mię chcąc nie chcąc prowadzą do celu.

RAJMUND.

Gdzież się obrócisz? tu obóz Anglików.  
Co krwi twej pragną; tam nasi, co ciebie  
Sami skazali na wstyd i wygnanie.

JOANNA.

Nie bój się! wszystko widzą tam na niebie,  
I to się tylko, co stać musi, stanie.

RAJMUND.

Któż cię pożywi? kto obronić zdoła  
Od dzikich zwierząt, dzikszych jeszcze ludzi?  
W kim znajdziesz pomoc, gdy cię życie strudzi?

JOANNA.

Znam wszystkie zdrowe i pożywne zioła,  
Znam biegi planet; — po nich w nocach ciemnych  
Znajdę mą drogę. — Szmer źrójów podziemnych

Słyszę mem uchem! — Niewiele, co trzeba,  
Sama natura daje człowiekowi.

RAJMUND (*biorąc ją za rękę*).

Joanno! przebacz, co przyjaciel powie! —  
Czyżby nie pora przejednać gniew nieba,  
Zmyć grzech pokutą, i na łonie wiary?...

JOANNA.

Jak to? i ty mnie sądzisz godną kary?

RAJMUND.

Ach! czyż nie muszę? — To milczenie twoje....

JOANNA (*z żalem*).

O! to już nadto! Ty jeden na świecie,  
Ty mój ostatni! co niedolę moję  
Podzielasz ze mną: — myślałam, że przecie  
Ty mię znasz lepiej!

RAJMUND (*z radośnem podziwieniem*).

Czyżbyś więc nie była  
W zmowie ze złemi?

JOANNA.

Ja w zmowie ze złemi?

RAJMUND.

I wszystkie cuda, któreś uczyniła,  
Czyniłaś z Bogiem i Jego świętymi?

JOANNA.

Z kimżeby innym?

RAJMUND.

I trwałaś w milczeniu,  
Gdy jedno słowo mogło zbawić ciebie?

JOANNA.

Milcząc uległam memu przeznaczeniu,  
Które tu na mnie zesłał Pan mój w niebie.

RAJMUND.

Zniosłaś gniew ojca w niesłusznym zapędzie?

JOANNA.

Co szło od ojca, znać przyszło od Boga. —  
To też ojcowska próba tylko będzie.

RAJMUND.

A też pioruny? a twa niema trwoga?...

JOANNA.

Niebo mówiło, jam milczeć musiała.

RAJMUND.

I mogłaś ścierpieć, że Francya cała  
Będzie podzielać błąd i omamienie?

JOANNA.

O! nie! to nie był błąd, lecz dopuszczenie!

RAJMUND.

Więc tyś niewinna! i taką sromotę  
Zniosłaś cierpliwie!... — O! teraz pojmuję,  
Teraz się korzę i wielbię twą cnotę —  
Kto to mógł zrobić, z tym już Bóg współczuje!

JOANNA.

Toż więc rozumiesz, iżby mię posłano,  
Gdybym nie ślepo czciła jego wolę?  
Ani śmiej sądzić, że gdy mię wygnano,  
Gdy mię skazano na wstyd i niedolę,  
Bóg mię opuścił! — Nie! On mi przebaczył,  
I tylko nowy cud swej łaski czyni.

Potrzebę serea mojego obaczył  
Wejść samej w siebie kazał na pustyni! —  
Gdy mię światowe otaczały blaski,  
Wtenczas to, wtenczas w sercu wrzały burze!  
Teraz w ciemnościach świta promień łaski. —  
Zamęt żywiołów w widomej naturze,  
Co zdał się w gruzy roztrząść świat poziomy,  
Cud odrodzenia w duszy mojej ziścił.  
Myśli wezbrały nad swój cel znikomy,  
Jak to powietrze, duch się mój oczyścił,  
I to, bez czego byłam mniej niż niczem,  
Moc Jego, czuję, wraca w piersi moje.

RAJMUND.

O! pójdźmy, pójdźmy! przed świata obliczem  
Ogłosić prawdę, i niewinność twoją!

JOANNA.

Kto błąd dopuścił, ten go sam rozjaśni.  
Lecz jak i kiedy? nikt prócz Jego nie wie. —  
Czas wszakże przyjdzie, że ziomkowie własni,  
Co mię dziś z wżgardą odepchnęli w gniewie,  
Uznają prawdę — i z gorzką rozpaczą,  
Razem nade mną i sobą zapłaczą.

RAJMUND.

Co? miałbym czekać aż traf kiedyś zrządzi?...

JOANNA (*biorąc go za rękę*).

Wszystko chcesz mierzyć na rozum człowieczy,  
Co się sam tylko sędzią świata sądzi! —  
Lecz ja widziałam blask nadziemskich rzeczy  
Ja ci powiadam: jak gwiazdy na niebie,

Jak ziarna piasku w oceanach na dnie,  
Bóg z nas każdego policzył u Siebie,  
Bez woli Jego włos z głowy nie spadnie.

*(Wskazując ręką ku niebu)*

Widzisz to słońce u kresów zachodu?  
Jak to jest pewno, że znów jutro wejdzie,  
I świecić będzie: tak wierz bez zawodu,  
Że prędzej, później, dzień prawdy nadejdzie!

## SCENA V.

CIŻ I KRÓLOWA IZABELA Z ŻOŁNIERZAMI.

IZABELA *(za sceną)*.

Tędy na lewo! tu jest droga nasza.

RAJMUND.

Przebóg! Anglicy!

*(Żołnierze wchodzą, i postrzegając Joannę, zatrzymują się,  
i cofają się w nieładzie)*.

IZABELA *(do żołnierzy)*.

Czegoście stanęli?

ŻOŁNIERZE.

Boże zmiłuj się!

IZABELA.

Cóż was tak przestrasza,

Jakbyście czarta samego ujrzeli?

*(Przedziera się przez tłum żołnierzy i cofa się postrzegając  
Joannę)*.

Cóż to ja widzę? Ha! ona to, ona!

*(Wstrzymuje się — i szybko postępuje naprzód ku Joannie)*.

Podдай się, nędzna!

*(Joanna stoi nieporuszona. — Rajmund uchodzi czyniąc znaki  
rozpaczy)*.

IZABELA *(do żołnierzy)*.

Okuć ją w łańcuchy!

*(Żołnierze zbliżają się z bojaźnią; Joanna sama im ręce do okucia podaje).*

Toż jest ta mężna, ta niewyciężona?

Ha! niech cię teraz wyzwolą złe duchy!

*(Do żołnierzy)* Patrzenie! widzicie tę, coście mniemali

Wyższą nad ludzi i nad siłę wszelką;

Patrzenie, nikiemni! i niech was wstyd spali! —

Małość to wasza czyniła ją wielką;

Strach wasz i podłość, to były jej czary! —

Precz z nią z mych oczu! — Niech widzą w obozie,

Przed kim rzucali i broń i sztandary. —

Do Lionela wieść ją na powrozie!

Niechaj się pomści śmierci przyjaciela. —

Ja wnet przybędę.

JOANNA *(z przerażeniem)*.

Mnie do Lionela!

Nie! nigdy, nigdy! Każ raczej sto razy

Śmierć mi tu zadać!

IZABELA *(do żołnierzy)*.

Wiecie me rozkazy *(odchodzi)*.

## SCENA VI.

JOANNA I ŻOŁNIERZE.

JOANNA.

Anglicy! wyż to ścierpicie, bym żywa

Wyszła z rąk waszych? — Ja to, ja, pomnicie,

Morze krwi waszej przelałam, i mściwa

Bezbronnym jeńcom wydierałam życie.

Macie mię teraz! zemsta sprawiedliwa!  
Bierzcie ją, radzę; — bo gdy ocalicie,  
Wierzcie mi! porę stracie przychylną.  
Nie zawsze będę, jak jestem bezsilną.

DOWÓDCA.

Dość tego! — pełńcie rozkazy królowej.

JOANNA (*wznosząc oczy w niebo*).

Cóż jeszcze po mnie chcesz, o! Niepojęty!  
Mam-że nanowo wpaść w grzechu okowy?  
Dasz-że mi siłę zmóźdz pokus ponęty? —  
Biada mi! czuję że pytam daremno —  
Duch milczy we mnie, i niebo nade mną!

(*Odchodzi z żołnierzami*).

## SCENA VII.

Obóz francuski.

DUNOIS między ARCYBISKUPEM I DU CHATELEM.

ARCYBISKUP.

Raz przecie, książę! zwalcz posępność myśli!  
Chceszże twój naród opuszczać w potrzebie,  
Dziś, gdyśmy znowu na ten koniec przyszli,  
Że musim upaść i zginąć bez ciebie?

DUNOIS.

Zginąć? Któż winien, że Francya ginie?  
Że jak łeb smoczy wróg się znów odradza? —  
Ja was mam bronić? — Kto wygnał zbawczynię,  
Ten was niech broni! ten niech dziś zaradza!  
Jam tylko jeden — a tych jest tak wielu!



DU CHATEL.

Książę! ojczyzna wzywa twojej broni.

DUNOIS.

Ty milcz! — rad twoich nie chcę, Du Chatelu!  
Ty byłeś pierwszy, któryś zwątpił o niej.

ARCYBISKUP.

Któż z nas nie zwątpił? Kto z nas nie wykroczył,  
Gdy samo niebo przeciw niej się zdało? —  
Przestrach obłąkał, przesąd nas omroczył!  
Lecz omamienie nazbyt krótko trwało.  
Pomnimy teraz, jaką była z nami,  
Jej świętą skromność, jej anielskie cnoty! —  
Niesłuszność naszą uznaliśmy sami —  
Gniew-że twój jeszcze ma zwiększać zgryzoty?

DUNOIS.

Ona fałszywa!... — Gdyby tajemnicza  
Prawda się chciała ukazać na ziemi,  
Wzięćby musiała rysy jej oblicza! —  
Jeśli są jeszcze między śmiertelnemi,  
Szczerłość, niewinność, czystość nieskażona —  
To ich obrazem jedna chyba Ona!

ARCYBISKUP.

Bóg sam zna prawdę; — bo rozum człowieczy  
Dojść jej w tym razie napróżno się kusi. —  
Lecz jakbądźkolwiek obróć się rzeczy,  
To jedno z dwojga w końcu wypaść musi:  
Że albo w pomoc przyzwaliśmy czary,  
Albośmy świętą wygnali niegodnie.  
A to czy owo, są to równe zbrodnie,  
Które pozostać nie mogą bez kary.

SCENA VIII.

Ciż i GIERMEK, potem RAJMUND.

GIERMEK (*do Dunois*).

Wieśniak tu jakiś z waszą wysokością  
Chce mówić. — Mówi, że jest od Dziewicy.

DUNOIS.

Śpiesz! wiedz go tutaj!

ARCYBISKUP.

O! z jakąż radością

Ujrzymy wreszcie koniec tajemnicy!

(*Giermek otwiera drzwi, Rajmund wchodzi*).

DUNOIS (*idąc naprzeciw niemu*).

Tyś od Dziewicy? Gdzież jest? mów! gdzie ona?

RAJMUND.

O! szczęście moje żem was znalazł wreszcie.

Szlachetny książę! i że tu jesteście

Ojciez wielebny! — W was cnoty obrona.

DUNOIS.

Gdzież jest Dziewica?

ARCYBISKUP.

Powiedz nam, mój synu!

RAJMUND.

Ach! Panie! Ona nie jest czarownicą!

Niesłuszny wyrok był króla i gminu.

Świadczę się Bogiem i Boga-Rodzicą,

Ona niewinna!

DUNOIS.

O! wiem, że niewinna!

Lecz gdzież jest ona?

RAJMUND.

Ach! Panie jedyny!

Toć gdy wam o niej przyszła już myśl inna,  
Brońcież ją, brońcie! bo zginie bez winy.

DUNOIS.

Zginie? — Nieszczęsny! mów, co się z nią stało?

RAJMUND.

W lesie Ardeńskim, gdzieśmy się chronili,  
Wojsko angielskie jeńcem ją zabrało! —  
Sam byłem świadkiem, jak ją prowadzili.

ARCYBISKUP.

O! nieszczęśliwa!

DUNOIS.

Do broni! do broni!

Kto Francuz, za mną! Ogniem i żelazem  
Idźmy ją zbawić — albo zginąć razem!  
*(Odchodzi śpiesznie).*

ARCYBISKUP *(wznosząc ręce ku niebu).*

Boże! błogosław sile jego dłoni!  
*(Odchodzi wszyscy).*

## SCENA IX.

Obóz angielski.

Teatr wystawia wieżę strażniczą, z oknem u góry.

JOANNA, LIONEL, FASTOLF I IZABELA.

FASTOLF *(wchodząc z pośpiechem).*

Niema sposobu! bunt coraz się szerzy,  
Tłum krwi jej pragnie. — Nie oprzem się dłużej.

I albo głowę jej zrzucemy z tej wieży,  
Lub ją wnet wojsko zdobędzie i zburzy.

IZABELA (*wchodząc do Lionela*).

Ratuj się, wodzu! już stawiają drabiny. —  
Co tu się wahać? — ratunek jedyny  
Wydać ją; — zbrodnię niech krwią swą odpłaci.  
Inaczej zginiem z rąk własnych współbraci.

LIONEL.

Ha! niech szturmują! uchodź stąd, Królowo!  
Bo ja się raczej w tych gruzach zagrzebię,  
Niż uledez zgrai! — Joanno! rzecz słowo,  
Rzecz, żeś jest moją; a jak Bóg na niebie!  
Choćby świat cały chciał być twoim katem,  
Walki za ciebie nie zleknie się z światem!

IZABELA.

Czyś ty szalony?

LIONEL (*do Joanny*).

Twoi cię wygnali,  
Twoi skazali na wstyd i sromotę.  
Podli! o twoją wprzód rękę zebrali,  
A potem wierzyć nie śmieli w twą cnotę! —  
Lecz jam ci został — ja wszystkim dostoję,  
Ja twój obrońca! — Niegdyś życie moje,  
Dałaś mi wierzyć, że ci było drogiem.  
A jam natenczas był tylko twym wrogiem!  
Dziś, prócz mnie, innych nie masz przyjacieli.  
Wszystko nas łączy.

JOANNA.

Nie! wszystko nas dzieli!

Wróg ludu mego zawsze będzie moim! —  
Lecz gdy się ku mnie serce twoje skłania,  
Dowiedź to czynem! — a stronom oboim  
Przyjaźń ta będzie godłem pojednania.  
Cofnij twe wojsko! zaniechaj napaści!  
Oswobódź jeńców! wróć nam nasze właści,  
Wróć łup nieprawy! i przysięgą szczerze  
Zatwierdź umowę! — a wtedy ci wzajem  
Król mój przeze mnie zaręczy przymierze,  
I Bóg grom zemsty wstrzyma nad twym krajem.

IZABELA.

Zuchwała! w więzach chcesz nam dawać prawa!

JOANNA.

I śpiesz się, radzę, aby czas nie minął!  
Bóg wam nie wiecznie w moc Francją dawa,  
Nie przez gniew nad nią będzie wiecznie słynał!  
W proch już runęła broni waszej sława,  
Pod mieczem naszym kwiat rycerstwa zginał;  
Śpiesz się! powiadam — bo i reszcie biada!  
Wyrok wasz: pokój, lub śmierć i zagłada!

IZABELA (*do Lionela*).

I tyż bezkarnie zniesiesz te bluźnierstwa?

## SCENA X.

CIŻ I KILKU DOWÓDCÓW (*wchodzą spiesźnie*).

JEDEN Z DOWÓDCÓW.

Wodzu! w imieniu wojska i rycerstwa,  
Błagamy przebaczyć uniesienia chwilę!  
Francuzi na nas idą w całej sile —

Bronią ich cała połyska równina.  
Wróć nam hetmanic!

JOANNA (*wznosząc oczy ku niebu*).

Przyszła więc godzina!  
Sprawiedliwości twej stało się zadość! —

FASTOLF.

Nieszczęsna! poskrom tę niewczesną radość  
Wprzód nim my zginiem, głowie twojej biada!

JOANNA.

Lud mój zwycięży, a ja umrę rada!  
Umrę szczęśliwa — że ich dość beze mnie!

LIONEL.

Nędzni! w stu bitwach pierzchali nikczemnie,  
Nim ta cudowna stanęła za niemi! —  
Toć prócz niej jednej, pogardzam wszystkiemi! —  
Pójdźmy, Fastolfie! uczują po chwili,  
Żeśmy ci sami, co pod Crequi byli.

(*Dó Izabeli wskazując na Joannę*).

Ty ją. Królowo! miej tutaj w swej straży,  
Nim Bóg, czy szatan, los bitwy przeważy.

FASTOLF.

Co? czarownicę chcesz w tyle zostawić?

JOANNA.

Tak cię więc trwoży bezbronna niewiasta?

LIONEL (*do Joanny*).

Słowo? — że sama nie zechcesz się zbawić.

JOANNA.

Ja? — Z każdą chwilą chęć swobody wzrasta.

IZABELA *(do żołnierzy)*.

Hola! w potrójne okuć ją łańcuchy! —  
Że stąd nie ujdzie, ja wam ręczę głową.  
*(Żołnierze przynoszą pęki łańcuchów i krępują nimi Joannę)*.

LIONEL *(do Joanny)*.

Zmuszasz nas! — Widzisz! próżne twe otuchy! —  
Lecz jeszcze pora! — Jedno twoje słowo —  
A wnet ci sami, co krwi twojej pragną,  
U stóp twych w prochu harde czoła nagną.

FASTOLF.

Czas śpieszyć, wodzu!

JOANNA *(do Fastolfa)*.

Śpiesz, śpiesz! śmierć cię wzywa.  
*(Słychać głos trąb. — Lionel wybiega)*.

FASTOLF *(wskazując na Joannę)*.

Królowo! pomnij! gdyby się los wojny  
Przeciw nam zwrócił...

IZABELA *(dobywając sztylet)*.

O to bądź spokojny,  
Klęski wojsk naszych nie obaczy żywa.

FASTOLF *(do Joanny)*.

Słyszałaś? — Teraz módl się za twojemi! *(Odchodzi)*.

## SCENA XI.

IZABELA, JOANNA I ŻOŁNIERZE.

JOANNA.

Ja się nie modlić? — Żadna moc na ziemi,  
Żadna twa groźba nie wzbroni mi tego! —  
*(Za sceną słychać trąby i pieśni wojenne)*.

Boże! to trąby! to pieśń ludu mego! —  
Śmiało, mój ludu! z tobą ramię Boże,  
Z tobą Dziewica! — Ach! ona nie może,  
Nie może swego sztandaru rozwinać,  
Nie może z wami zwyciężać lub ginać! —  
Lecz duch jej wolny, z niewolniczej cieśni,  
Buja nad wami, z echem waszych pieśni!

IZABELA (*do jednego z żołnierzy*).

Wstąp tam ku oknu, i patrz co się dzieje!  
(*Żołnierz wstępuje ku oknu w górze*).

JOANNA.

Śmiało! mój ludu! śmiało! miej nadzieję!  
Bóg nie opuści twojej dobrej sprawy! —

IZABELA (*do żołnierza*).

Co widzisz?

ŻOŁNIERZ.

Widzę obłoki kurzawy,  
Lecz nie w niej dojrzeć nie mogę na błoniu. —  
Ha! widzę, widzę! już się zwarli z nami.  
Jakiś szaleniec na arabskim koniu,  
W tygrysiej skórze leci z żandarmami.\*)

JOANNA.

Dunois! — Boże! twa moc niech go wspiera!

ŻOŁNIERZ.

Jazda burgundzka na nasz most naciera.

IZABELA.

Przekleństwo zdrajcom!

---

\*) *Gens d'armes*, ówczesna jazda francuska.



ŻOŁNIERZ.

Lord Fastolf go broni. —  
Co za rzeź! widzę — zeskakują z koni,  
Wręcz się ścinają.

IZABELA.

Nie widzisz Delfina?  
Znaków królewskich?

ŻOŁNIERZ.

Nie! — cała równina  
Znowu się kurzu zakryła obłokiem.

JOANNA.

Oby on mojem mógł poglądać okiem,  
Lub jam tak mogła, jak on, patrzeć z góry!  
Wzrokby mój przebił te mgły i te chmury,  
Nieby tam, nieby nie skryło się przed nim! —

ŻOŁNIERZ.

Bój najzaciętszy wre przy szańcu średnim.  
Wszyscy tam nasi.

IZABELA.

A nasz sztandar?

ŻOŁNIERZ.

W górze!

JOANNA.

Oby mi spojrzeć, choć przez szparę w murze!  
Wzrokby mój bitwą rządził na wsze strony.

ŻOŁNIERZ.

Nieba! co widzę! wódz nasz otoczony!

Giń!  
IZABELA (*podnosząc sztylet nad Joanną*).

ŻOŁNIERZ (*prędko*).

Już jest wolny! — Widzę w chmurach pyłu  
Lord Fastolf z jazdą zabiega im z tyłu.  
Już, już są blisko — ledwie mały przedział!

IZABELA (*opuszczając sztylet*).

Ha! twój to anioł, a nie on powiedział!

ŻOŁNIERZ.

Pierzchają — widzę — pierzchają!

IZABELA.

Kto?

ŻOŁNIERZ.

Oni! —

Tłum się w bezładzie rozsypał po błoni. —  
Lord sprawił szyki — i w pogoń się puścił.

JOANNA.

Boże mój, Boże! takżeś mię opuścił?

ŻOŁNIERZ.

Kogoś rannego prowadzą w tę stronę.  
Wódz, widać, jakiś — bo tłum za nim bieży.

IZABELA.

Nasz, czy francuski?

ŻOŁNIERZ.

Czoło ma zwieszzone,  
A w tłoku dojrzeć nie mogę odzieży. —  
Ha! cóż to? omdlał? — hełm zdjęli mu z głowy —  
Dunois!

JOANNA (*wstrząsając kajdany*).

Boże! skrusz mi te okowy!

ŻOŁNIERZ.

Patrz, patrz! ktoś w płaszczu błękitnym ze złotem...

JOANNA (*z przerażeniem*).

To król!

ŻOŁNIERZ.

Koń jego dosięgniony grotem,  
Wspina się — nasi opadli go zbliska.  
Broni się — widzę — miecz raz po raz błyska.  
Znikł! —

JOANNA.

Czyż Bóg teraz cudu nie uczyni?!

IZABELA (*śmiejąc się szyderczo*).

Teraz masz porę, zbawiaj go, zbawczyni!

JOANNA (*w najgwałtowniejszem poruszeniu, rzuca się na kolana, i wznosząc załamane ręce do góry, modli się rzewnym, prędkim i nagłym głosem*).

Słuchaj mię, Boże! bo wzywam Ciebie,  
Ojcze na niebie!  
Duszą wierzącą,  
Wiarą gorącą,  
Ach! nie dla siebie wzywam Cię, Panie!  
Nad ludem moim miej zlitowanie!  
Ty sieć pajęczą w stalne obręcze,  
Ty więzy zmienisz w sieci pajęcze,  
Boś Ty Wszechmocny! bo to się stanie,  
Co Ty chcesz, Panie!  
Samson wydany na urąganie,  
W więzach u wrogów — jak ja w tej chwili,  
Wołał do Ciebie: — oni szydzili,  
A on Ci ufał! — stary i ślepy! —

I dałeś siłę, że twarde sklepy  
Zrzucił na wrogów: — boś Pan nad pany!

ŻOŁNIERZ.

Tryumf nasz! tryumf!

IZABELA.

Cóż jest?

ŻOŁNIERZ.

Król pojmany!

IZABELA.

Ha! zginął wreszcie nienawistny wróg!

JOANNA (*porywając się z ziemi*).

Francya żyje! bo ze mną jest Bóg!

(*Wstrząsa oburącz i rozrywa łańcuchy. W tejże chwili rzuca się na stojącego u drzwi żołnierza, wyrywa mu z rąk miecz i wybiega. — Wszyscy zostają w osłupieniu*).

## SCENA XII.

Ciż sami prócz JOANNY.

IZABELA (*po długiem milczeniu*).

Prawdaż to była? czy mi się to śniło? —

Jak mogła zerwać potrójne łańcuchy? —

Nie! ludzką tego nie zdołała siłą!

(*Do żołnierza*) Widzisz ją?

ŻOŁNIERZ.

Widzę. — Zda się, że złe duchy

Pędzą ją wichrem! — Już tonie w natłoku —

Rozrywa szyki; — bystrzejsza od wzroku,

Jest tu, jest ówdzie — wszędzie zda się razem! —

Jak błyskawicą wywija żelazem! —

Francuzi ku niej zbiegają się — stają —  
Pędzą na naszych. — Zmięszali się zgrają —  
Biada nam! nasi ustępują z pola!

IZABELA.

Przeklęta!

ŻOŁNIERZ.

Wpadła na wiodących króla! —  
Co za rzeź! — Boże! lord Fastolf upada! —  
Lionel wzięty! —

IZABELA.

Dość! nie kończ!

ŻOŁNIERZ.

O! biada!  
Królowo! uchodź — ich jazda tu bieży!

IZABELA *(dobywając miecza)*.

Brońcież się, nędzni!

### SCENA XIII.

CIŻ I LA HIRE Z WOJSKIEM.

*(Żołnierze angielscy składają broń przed wchodzącym).*

LA HIRE.

Podдай się, królowo!  
Najpierwsi z waszych wodzów i rycerzy  
Są w rękę naszym. — Zdaj się na me słowo!  
Mów, gdzie chcesz mieszkać w państwach twego syna?

IZABELA.

Wiedź gdzie chcesz — byle nie spotkać Delfina!  
*(Oddaje miecz i odchodzi z La Hirem i żołnierzami).*

SCENA XIV.

Teatr zmienia się i wystawia plac bitwy.

ŻOŁNIERZE FRANCUSCY z rozwiniętymi chorągwiami napelniają głąb sceny. — Na przodzie KRÓL i księżę burgundzki FILIP; na rękę ich obudwóch JOANNA śmiertelnie raniona, bez znaku życia. — AGNIESZKA SOREL przybiega ze strony.

AGNIESZKA (*do Króla*).

Królu mój! panie! tyżeś mi wrócony? —  
Przy tobie tryumf!

KRÓL (*wskazując na Joannę*).

Patrz! czem okupiony.

AGNIESZKA.

Joanna! Boże! umiera!

FILIP.

Widzicie,

Zejście anioła! — Jak znużone dziecko,  
Usypia, zda się. — Jak piękna! jak cicha!  
Pokój już niebios z jej twarzy oddycha! —  
Serce ustało — lecz jeszcze krwi drganie  
Zdradza znak życia.

KRÓL.

Ach! już nie powstanie!

Nie wróci do nas dusza wniebowzięta,  
Nie ujrzy naszych zgryzot i żałoby!

AGNIESZKA (*z wykrzyknieniem*).

Otwiera oczy! żyje!

FILIP (*z podziwieniem*).

Czyż i groby

Zwalczyć potrafi jej moc niepojęta? —

JOANNA (*powstaje o własnej sile, i spoglądając wkoło*).  
Gdzież to ja jestem?

FILIP.  
Śród twoich, Dziewico!  
Śród ludu twego!

KRÓL.  
Król twój wspiera ciebie!

JOANNA.  
Nie! ja nie byłam nigdy czarownicą!  
Nie! —

KRÓL.  
O! tyś czysta, jak anieli w niebie!  
Nas to błąd uwiódł — nas niegodnych cudu!

JOANNA (*uśmiechając się łagodnie*).  
Prawdaż to, prawda? Żem śród mego ludu?  
Że mną nie gardzą? nie winią o czary?...  
(*Pogląda wkoło*).

Tak, tak! — to król nasz! — to nasze sztandary! —  
Gdzież jest mój sztandar? — Dajcie mi go w dłoń! —  
Pan mi go zwierzył; — z nim przy Jego tronie  
Stanać powinnam — bom go nie skalala...

KRÓL.  
Dajcie jej sztandar!  
(*Żołnierze podają rozwiniętą chorągiew. Joanna bierze ją w ręce, i stoi chwilę z oczyma wzniesionemi ku górze. W tej chwili różana jasność ukazuje się na niebie, i coraz się bardziej rozszerza*).

JOANNA (*w natchnieniu*).  
Całe niebo pała  
Blaskiem swej chwały! — Widzicie, widzicie!

Tę jasną tęczę na niebios błękiecie?  
To droga moja! -- Tam widzę -- to Ona!  
Z Synem na ręku, wśród aniołów grona,  
Zstępują ku mnie! — O! Nieogarniona!  
O! Pani moja! — O! jakąż rozkoszą  
Pierś moja pełna! — Chmury mię unoszą —  
Jasność mię od Niej otacza słoneczna! —  
Krótka jest boleść --- ale radość wieczna!

*(Chorągiew wyryka się z jej ręki; sama upada na nią bez życia. — Chwila powszechnego milczenia. — Wszyscy w najgłębszem rozrzuconieniu — Na znak Króla wszystkie chorągwie schylają się nad Joanną, tak, że niemi całkiem zakryta zostaje. — Zastona spada).*



## SPIS RZECZY.

---

|                                                                                               | Str. |
|-----------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| Korsarz, powieść Lorda Byrona . . . . .                                                       | 1    |
| Narieczona z Abydos, powieść turecka Lorda Byrona .                                           | 83   |
| Mazeppa, powieść Lorda Byrona . . . . .                                                       | 143  |
| Niebo i Ziemia, dramat liryczny Lorda Byrona . .                                              | 177  |
| Czcziciele ognia, powieść wschodnia Tomasza Moora .                                           | 245  |
| Peri i Raj, powieść wschodnia Tomasza Moora . . . .                                           | 343  |
| Dziewica Orleańska, tragedia romantyczna Szyllera w pię-<br>ciu aktach, z prologiem . . . . . | 365  |









